OLIWER TWIST

Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

PANA BOZ

(KAROLA DICKENS.)

TOM I.

Lipsk.

Nakładem i czcionkami Breitkopfa i Hærtla.

1845.

ROZDZIAŁ I.

O miejscu urodzenia Oliwera Twista i okolicznościach towarzyszących jego przyjściu na świat.

Pomiędzy wielu innymi zakładami publicznymi, powszechnymi po wszystkich prawie, czy to mniejszych, czy większych miastach Anglii, znajdują się także i domy robocze. Posiadaniem podobnego domu roboczego szczyciło się także i pewne miasteczko, którego nazwiska z wielu i bardzo ważnych przyczyn wymienić nie mogę, a nieprawdziwego mu nadać nie chcę. W tym tedy pomniku nędzy urodził się na tym padole płaczu i przypadkowości ów śmiertelnik, którego imie na czele tego rozdziału stoi. Kiedy to nastąpiło, nadmieniać nie myślę; nie sądzę bowiem, aby ta wiadomość wielką wagę dla czytelnika mieć mogła.

Gdy ta dziecina przez lekarza gminy w ten świat cierpień i boleści wprowadzoną została, długo wielka wątpliwość zachodziła, czyli tak długo przynajmniej pożyje, iżby mu jakie imie nadawać potrzeba. W przeciwnym bowiem razie jak największe podobieństwo było, iżbyśmy żadnych pamiętników o nim nie byli mieli; a

gdyby kiedykolwiek jakie były wyszły, w kilku wierszach zawarte, byłyby przynajmniéj tę zasługę nieoszacowaną miały, iżby za wzór zwięzłości i prawdziwości w pisaniu życiorysów dla pismiennictwa wszystkich wieków i narodów uchodzić mogły.

Lubo twierdzić wcale nie myślę, że to jest wypadkiem najszczęśliwszym i najpomyślniejszym dla istoty ludzkiéj, jeżeli się w domu roboczym urodzi, to jednak powiedzieć mogę, że w obecnym szczególnym przypadku, było to najszczęśliwszém wydarzeniem, jakie tylko Oliwera Twista spotkać mogło. Niezmierna bowiem trudność zachodziła, zniewolić go do tego, aby sam na siebie przejął urząd oddychania, — czynność bardzo niemiła, do któréj nas jednak przyroda zmusza, chcąc, abyśmy samodzielnie i swobodnie istnieć mogli; — leżał przytém stękając na kawałku lichego materaca, a los jego tak się między tym i tamtym światem ważył, iż się na chwilę zdawało, że się najpodobniéj na korzyść ostatniego stanowczo przechyli. Gdyby Oliwer był pod ów czas był otoczony troskliwemi babkami i trwożliwemi ciotkami, zręcznemi akuszerkami i głęboko uczonymi a biegłymi lekarzami, byłby się niezawodnie i niezaprzecznie do wieczności przeniósł. Ale że nikogo przy nim nie było, prócz biednéj staréj kobieciny, nieco podchmielonéj niezwykłą ilością piwa, i lekarza obowiązkowego, przez gminę utrzymywanego, Oliwer się bez wszelkiéj przeszkody z przyrodą mógł rozprawić, a ta w końcu upór jego pokonała.

Wypadkiem téj walki było, iż Oliwer po wielu wysileniach kichnął i mieszkańcom *roboczego domu* nowy ciężar, na gminę nałożony, takim wrzaskiem donośnym

ogłaszać począł, jakiego się tylko po chłopcu, tego prawdziwie korzystnego narzędzia, głosu, nie dłużéj jak trzy minut blizko dopiero posiadającego, rozumnie spodziewać można.

Skoro tylko Oliwer dał ten pierwszy znak swobodnego i samodzielnego użycia płuc swoich, kołdra, z różnobarwnych płatków zeszyta, i na żelazném łóżku niedbale porzucona, nagle się ruszyła, a głowa i twarz blada młodéj kobiety zwolna z poduszki się podniosła i głosem słabym dość niezrozumiale te słowa wymówiła:

— Pozwólcie, niech dziecię zobaczę, a potém umrę!

Lekarz siedział obrócony twarzą do ognia na kominku, grzejąc sobie przy nim ręce po kolei, a potém je zacierając; lecz gdy głos młodéj kobiety usłyszał, wstał, zbliżył się do łóżka i rzekł z daleko większą dobrodusznością i uprzejmością, niżby się tego po nim spodziewać można było:

— Nie powinnaś jeszcze myśleć o śmierci, moja kochana!

— Niechże Bóg uchowa, moja lubko! — zawołała dozorczyni, kryjąc śpiesznie do kieszeni wielką flaszkę zieloną, z któréj właśnie w kąciku kilka łyków namiętnie pociągnęła, — niech Bóg uchowa, moja lubko! Jak pożyjesz tak długo, jak ja, Sir, i będziesz miała trzynaścioro dzieci, jak ja, Sir, z których wszystkie pomarły prócz dwojga, będących tutaj przy mnie w domu roboczym, to inaczéj mówić będziesz, moja lubko; niech cię Bóg uchowa! Pomyśl tylko, co to znaczy być matką! Oto jest to jagnie kochane.

To wskazanie obowiązków macierzyństwa nie mu-

siało widocznie zrobić na chorćj wielkiego i pożądanego wrażenia, kiedy na to głową tylko wzruszyła i ręce po dziecię wyciągnęła.

Lekarz jej podał syneczka, a ona swoje blade i zimne usta namiętnie do jego czoło przytuliła, potém ręką po czole i oczach przesunęła, wzrokiem osłupiałym po izbie potoczyła, zadrżała, upadła i — skonała. Wszelkich sposobów użyto, aby ją do siebie przywrócić; nacierano jej ręce, nogi, piersi, skronie; lecz krew w jéj żyłach na wieki zastygła. Mówiono jej o nadziei i pocieszeniu,.... lecz nadziei i pociechy od dawna już dla niéj nie było.

— Już się z nią skończyło, pani Niedopytalska, — ozwał się lekarz nareszcie.

— Biedna kobiecina! to prawda, już skończyła, — odpowiedziała dozorczyni, podnosząc z kołdry korek od butelki zielonéj, któren jej wypadł przy schylaniu się po dziecko, gdy je z rąk trupa odbierała. — Biedna kobiecina!

— Niekoniecznie po mnie posełać, gdyby dziecko w nocy bardzo krzyczało, moja pani Niedopytalska, — rzekł lekarz wdziewając rękawiczki z wielkim namysłem. — Będzie ono *zapewne* bardzo niespokojne. Dajcie mu trochę papki.

Poczém zasadził kapelusz na głowę, a wychodząc jeszcze raz przy łóżku się zatrzymał i dodał:

— Nie brzydka wcale była z niéj kobieta!..... Czy nie wiesz z kąd przybyła?

— Przywieziono ją tutaj przeszłéj nocy na rozkaz Wójta Gminy, — odpowiedziała staruszka. — Znaleziono ją leżącą na ulicy.... Musiała ona nie małą odbyć

podróż, bo trzewiki miała podarte. Lecz z kąd przyszła j dokąd szła, o tém nikt nie wie.

Lekarz nachylił się do nieboszczki i podniósł lewą jéj rękę.

— Stare dzieje! — rzekł potrząsając głową, — nie ma obrączki ślubnéj. Dobra noc!

Szanowny lekarz poszedł sobie na objad, a dozorczyni, posiliwszy się jeszcze trochę z butelki, usiadła przy ogniu na małym stołeczku, i zaczęła dziecię powijać i ubierać.

Jakże pięknym przykładem potęgi ubioru był ten młodziutki Oliwer Twist!.... Zawinięty w prześcieradło, stanowiące dotąd jedyne jego pokrycie, mógł tak dobrze uchodzić za dziecko wielkiego pana, jak i żebraka;...... a najdumniejszy nawet cudzoziemiec nie byłby w stanie rozpoznać i oznaczyć tego stopnia w układzie społeczeńskim, do którego on należał. Lecz gdy obwinięty został w starą, bawełnianą sukienkę, któréj barwa wypłowiała od długiego używania, czyniąc już mało sto razy tę samą usługę, został natychmiast naznaczony piętnem pewnego stanu, i spadł bardzo nisko, — bo aż na stopień wychowanka gminy, — sieroty z domu roboczego, — téj nędznéj, na pół z głodu umierającéj istoty, która w nędzy życie swoje wlokąc, od wszystkich pogardzana i potrącana, od nikogo litości nie doznaje.

Oliwer krzyczał żwawo. Lecz gdyby mógł był wtedy już o tém wiedzieć, że był sierotą, zostającą na łasce Starszyzny Gminy i dozorców domu roboczego, byłby może jeszcze bardziéj krzyczał.

ROZDZIAŁ II.

O młodości i wychowaniu Oliwera.

Przez następne ośm do dziewięciu miesięcy, Oliwer Twist był ofiarą systematycznéj zdrady i oszukaństwa; — gdyż go bez piersi karmiono. Władze domu roboczego doniosły w swojém urzędowém sprawozdaniu o wygłodniałym i zatrważającym stanie téj nędznéj sieroty; a zwierzchność Gminy z wszelką powagą i godnością u władz domu roboczego wywiedzieć się kazała, czyli przypadkiem niema takiéj kobiety w ich zakładzie, któraby Oliwerowi Twistowi tego pokarmu i pocieszenia dostarczyć zdołała, jakie mu koniecznie potrzebne było. Na co, po urzędowéj zwłoce, pokornie odpowiedziano, iż podobnéj kobiety w domu roboczym nie było.

W skutek tego zwierzchność Gminy wspaniałomślnie i miłościwie postanowić raczyła, aby Oliwera *wydzierzawiono*; czyli innemi słowy, aby oddany został do drugiego zakładu podrzędnego, o trzy mile prawie odległego, w którym już dwudziestu do trzydziestu podobnych jemu zbrodniarzy przeciwko ustawom dla ubogich po podłodze pełzało, nie obciążonych nigdy ani zbyteczném jadłem, ani też zbytecznym ubiorem. Ci mali złoczyńcy zostawali tam pod opieką macierzyńską

pewnéj staruszki, która ich za opłatę tygodniową siedmiu pensów od głowy niezmiernie czule do siebie przyjmowała i ciągle tak troskliwie opatrywała, iż żadne na przeładowanie żołądka nigdy nie zachorowało. Bo téż to i siedm pensów (groszy polskich) tygodniowéj zapłaty od głowy, zwłaszcza przy drożyznie angielskiej, ładna i okrągła sumka! — Za siedm pensów wiele dostać można, — za siedm pensów można nawet czasem i żołądek przeładować, i to niebezpiecznie.

Owa staruszka była to kobieta niepospolitego doświadczenia i rozumu; znała się ona dobrze na tém, co pożytecznėm było dla dzieci, lecz téż i o tém jeszcze lepiéj wiedziała, co, kiedy i pod jakiemi warunkami dla niéj saméj najkorzystniejsze być mogło. Ztąd téż, idąc za roztropnością i przebiegłością swoją, większą część owéj tygodniowéj zapłaty jako *rządna gospodyni* dla siebie oszczędzała, a wzrastające pokolenie Gminy na mniejsze jeszcze porcyje wskazała, jak mu pierwotnie przeznaczone były; przez co, znalazłszy w tak wielkiéj głębi, jeszcze większą głębię, jasno dowiodła, iż niepospolitą *gospodynią i filozofką* była.

Komuż by nie była znajoma powieść o pewnym wielkim badaczu i praktycznym filozofie, który przez głębokie dociekanie do utworzenia téj bardzo przemyślnéj i pożytecznéj teoryi doszedł, że koń bez jadła żyć może. A ponieważ wszyscy filozofowie praktyczni wszystko zawsze na własną korzyść obrócić umieją i do osobistego zysku przedewszystkiem stosują, dla tego téż i ów filozof swojéj teoryi na własną korzyść poprzód chciał doświadczyć, nimby sposób wyszukał spieniężenia swojego wynalazku, lub przynajmniéj ciągnienia z niego docho-

du przez długie lata, uzyskawszy od rządu na to przywilej. Jakoż udało mu się było przyprowadzić swego konia już do tego, że się jedném źdźbłem słomy na dzień mógł obejść. I niezawodnie byłby się z niego tak dziarskiego i ognistego rumaka doczekał, jakiego nikt jeszcze dotąd nie miał, gdyby śmierć jego nie była nastąpiła właśnie na dwadzieścia cztéry godzin przed tém, nim czysto-filozoficzną strawę z powietrza po raz pierwszy miał dostać.

Nieszczęściem dla naszéj praktycznéj filozofki, któréj opiece i staraniom mały Oliwer Twist był poruczony, tenże sam skutek wieńczył ten system *jéj rządności i oszczędności*; zwykle bowiem się wydarzało, iż téjże tak miłéj dla staruszki chwili, kiedy dziecko sposób wynalazło żyć ile możności jak najmniejszą ilością ile możności jak najlichszéj strawy, z dziesięciu pewnie ośm do dziewięciu jakby na złość umierało, i to albo z zimna lub głodu, albo téż wpadłszy w ogień przez niedbałość, albo téż udusiwszy się jakimkolwiek bądź przypadkiem. Zawsze jednak ta biedna, nędzna istota na tamten świat się przeniosła i do ojców swoich dostała, którzy jej tutaj na tym nie byli wcale znani.

Jeżeli zaś przypadkiem śledztwo ściślejsze jak zazwyczaj nastąpiło z przyczyny niezwykłéj śmiertelności sierót Gminy, które albo przy składaniu łóżek niespostrzeżono, albo téż przez nieostrożność przy praniu bielizny gorącą wodą oparzono, — co się jednak bardzo rzadko wydarzyło, gdyż rządna staruszka jak najusilniéj wszystkiego, co najmniejsze podobieństwo do prania bielizny miało, unikać umiała, — a Sądy przysięgłych sobie coś w głowie ubrdały, i żądały, aby im

na ich nudne pytania odpowiadano; albo też jeżeli lud Gminy w nie swoje rzeczy wtrącać się zaczął, i zaskarżenie swoje z licznemi podpisami do władz wyższych podać zamyślał, wtedy zwykle podobnem nieprzyzwoitościom zaświadczeniem lekarza, lub też złożeniem przysięgi Woźnego Gminy natychmiast zaradzić umiano; pierwszy bowiem zawsze ciało trupa otwierał i nigdy w niém nic nie znalazł, — co było rzeczywiście jak największą prawdą; — drugi zaś bez pytania wszystko przysięgą swoją stwierdzał, co tylko powagę urzędników zakładu utrzymać mogło, a to nie małém poświęceniem z jego strony było. Prócz tego zbór zwierzchników Gminy czasami także pielgrzymki do owego zakładu odprawiał; zawsze jednak dniem poprzód Woźnego z tém uwiadomieniem wysłał, że przybędzie. Gdy tedy przybyli, zastali wszystko w porządku, dzieci umyte i czysto ubrane, a czegóż więcéj naród od nich mógł żądać?..

Niepodobna się spodziewać, aby takowy sposób wydzierżawienia dzieci miał korzyści nadzwyczajne przynosić. To było też powodem, że ósma rocznica urodzin Oliwera Twista zastała go chłopcem bladym, chudym, znędzniałym i bardzo szczuplutkim. Lecz przyroda, czyli też prawa dziedziczność pierś jego za to niepospolicie silnemi płucami uposażyła, które z powodu szczupłéj strawy zakładu wiele miały miejsca do rozszerzenia się i rozrastania. A może też i tej okoliczności przypisać potrzeba, że Oliwer ósmych urodzin swoich dożył.

Cokolwiek bądź, to jednak pewna, że to była właśnie ósma rocznica jego urodzin, a on ją obchodził

w piwnicy na węgle, w dobraném towarzystwie dwóch innych rówienników swoich, którzy się z nim najprzód dla zdrowia pobili, późniéj zaś do piwnicy za tę wielką zbrodnię zamknięci zostali, iż się głodnymi być poważyli, kiedy pani Mann, owa poczciwa gospodyni domu, niespodziewanym widokiem pana Bumble, Woźnego Gminy, przestraszoną została, który się do drzwiczek od bramy ogrodowéj dobijał i je odemknąć usiłował.

— O dla Boga najwyższego! Czy to *wy*, panie Bumble? — zawołała pani Mann, wychylając głowę przez okienko z przedziwnie udaném uniesieniem radości. — Zosiu, wyprowadź natychmiast Oliwera i jego dwóch towarzyszów z piwnicy i umyj ich spiesznie.... O dalibóg, panie Bumble! jakże się cieszę, że was oglądam, Sir.

Lecz pan Bumble był to mężczyzna otyły i do tego bardzo popędliwy. Zamiast tedy mile i przyjaźnie odpowiedzieć na to przychylne i serdeczne powitanie, wstrząsnął gniewliwie małemi drzwiczkami i uderzył nakoniec nogą w nie z taką siłą, na jaką się tylko noga Woźnego Gminy kiedykolwiek zdobyć mogła.

— O na miłość Boga! — zawołała pani Mann, wypadając ze swojego mieszkania,.... będąc teraz pewną, iż owych trzech chłopców pod ten czas z piwnicy wyprowadzono, ubrano i umyto; — o na miłość Boga! a ja zapomniałam całkiem, że drzwiczki z wewnątrz zamknięte, aby ta kochana dziatwa na ulicę nie wybiegła.... proszę wejść Sir, proszę wejść, proszę....

A każdemu słowu tych zaprosin taki dyg wdzięczny i powabny towarzyszył, żeby nawet serce samego Wójta

Gminy był zmiękczył, lecz serca pana Bumble zmiękczyć nie potrafił.

— Czy sądzisz, moja mości pani Mann, — łajał w gniewie pan Bumble, chwyciwszy mocniéj za laskę, — że to jest przyzwoicie i zgodne z winném uszanowaniem dać tak długo czekać za bramą od ogrodu urzędnikowi Gminy, przybywającemu do ciebie w sprawie Gminy, dotyczącéj się sierót Gminy, ha, co? Czyś może o tém zapomniała, moja mości pani Mann, że i ty jesteś w usługach Gminy i płatną od Gminy?

— Wiem o tém, wiem, panie Bumble! Ja poszłam tylko te lube dzieci, które was tak bardzo kochają, o waszém przybyciu, Sir, uwiadomić, — odpowiedziała pani Mann z nadzwyczajną pokorą i uległością.

Pan Bumble nie małe miał rozumienie o potędze swéj wymowności i godności. Pierwszą okazał, a drugą sobie wywalczył. Spuścił tedy trochę z tonu.

— Dobrze już dobrze, moja pani Mann, — odpowiedział Bumble cokolwiek spokojniéj; — być może iż się rzecz tak ma jak mówisz, być może. Proszę iść naprzód, moja pani Mann. Ja tu przychodzę z urzędu i mam pewne polecenie dopełnić.

Pani Mann zaprowadziła Woźnego do małéj izdebki z posadzką cegłą wykładaną, podała mu krzesło i położyła własnoręcznie z uprzejmością nadzwyczajną jego kapelusz trójgraniasty i laskę urzędową przed nim na stoliku. Pan Bumble otarł pot z czoła, którym przechadzka ono pokryła, spojrzał z upodobaniem na swój kapelusz trójgraniasty i uśmiechnął się. Tak jest, on się uśmiechnął. Wszak Woźnemi są tylko ludzie; dla tego się téż i pan Bumble uśmiechnął.

— Gdybyście mi tego za złe nie wzięli, panie Bumble, co wam powiem.... — ozwała się pani Mann z ujmującém przymileniem; — droga trochę daleka, Sir,.... wy o tém sami wiecie, inaczéj bym się wspomnieć nie poważyła; .... możebyście się kapkę czego dla posilenia napili, panie Bumble?

— Ani kapki, ... ani kapki! .... — odpowiedział pan Bumble, posunąwszy prawą ręką poziomo w powietrzu z pewną spokojnością i godnością.

— Ale przecie, — nalegała pani Mann, umiejąc dobrze ocenić i dźwięk głosu, z jakim to odmówienie wyrzeczono, i ruch ręki, który mu towarzyszył. — Tylko małą *kapeczkę* Sir, wraz z kropelką zimnéj wody i odrobinką cukru.

Pan Bumble krząknął.

— Tylko kapeczkę, — nalegała pani Mann uporczywie.

— Cóż tam masz takiego? — zapytał nareszcie Woźny.

— Coś, co zawsze pod ręką mieć muszę dla dzieci na przypadek, gdyby które z nich zachorowało. Kontuszuwkę, jeżeli przyjąć zechcecie, panie Bumble, — odpowiedziała pani Mann idąc do szafki w kącie stojącéj, z któréj butelkę i flaszkę wyjęła. — Czyściutką kontuszuwkę!

— I ty, moja droga pani Mann, dzieciom wódkę dajesz? — zawołał Bumble z zadziwieniem, śledząc chciwie oczyma nader zajmujące widowisko żarcia się wódki z wodą.

— Bóg widzi, że to czynię, chociaż w tych czasach bardzo droga, — odpowiedziała ta poczciwa go-

spodyni; — wszak wiecie sami Sir, żebym tego na sercu nie zniosła, gdyby które z tych biedaków cierpieć miało.

— To prawda, to prawda,— potwierdził Bumble;— wiem ja o tém dobrze, iż jesteś kobietą litościwą; prawdziwą matką dla nich, moja pani Mann.

Tutaj pani Mann szklankę przed nim postawiła.

— Przy najbliższéj sposobności zrobię o tém wzmiankę przełożonym Gminy, droga pani Mann.

Tutaj szklankę przysunął do siebie.

— Raz jeszcze powtarzam, żeby nawet rodzona matka tkliwszą dla nich być nie mogła.

Teraz wodę z cukrem i wódką zamieszał.

— Piję,.. piję za zdrowie twoje moja pani Mann!

I za jednym łykiem szklankę odrazu do połowy wychylił.

— A teraz pomówmy o naszych sprawach urzędowych, — ozwał się w końcu Woźny Gminy, dobywając z kieszeni bocznéj skórzanego pularesu. — Znajduje się tutaj chłopiec, któremu na chrzcie imie Oliwer,.. Oliwer Twist dano. Temu się dzisiaj właśnie ośm lat skończyło.

— Niech go Bóg od złego uchowa! — rzekła pani Mann, końcem fartuszka oczy sobie zaogniając.

— Jednak, pomimo wypisaną nagrodę dziesięciu funtów, którą późniéj na dwadzieścia podwyższono,.... pomimo to nadzwyczajne, i śmiało powiedzieć mogę, niesłychane, niepojęte wysilenie Zwierzchności Gminy i Władz domu roboczego, —- rzekł Bumble w uniesieniu, — niepodobna było dotąd jeszcze wykryć, kto był jego ojcem, ani téż imienia, godności, i rodu jego matki.

Pani Mann załamała ręce z zadziwienia; po chwili namysłu jednak rzekła:

— Jakimże więc sposobem on jednak ma imie i nazwisko?

Woźny wyprostował się na to pytanie z dumą na krześle i odpowiedział:

— Ja mu to jedno i drugie nadałem!....

— Kto,.. wy panie Bumble?

— Tak jest, ja, pani Mann. Nadajemy naszem sierotom nazwiska w porządku abecadłowym. Na ostatniego przed nim padło z kolei S., nazwałem go tedy Swubble. Ten przypadł na T., Twist się przeto nazywa. Następujący po nim zowie się Unwin, a ostatni Vilkins. Mam ja nazwiska wypisane na wszystkie głoski abecadła od początku aż do końca; a gdy do *Z* dojdę, to znowu od *A* zaczynam.

— Jak widzę, to z was prawdziwy uczony, Sir, — rzekła pani Mann.

— Być to może, — odpowiedział Woźny, któremu ta uwaga widocznie mocno pochlebiała, — być może,.. moja pani Mann.

Skończywszy potém wódkę z wodą, dodał:

— Oliwer już jest za stary, aby tutaj mógł dłużéj pozostać; zwierzchność Gminy przeto postanowiła odebrać go napowrót do domu roboczego, a ja tu sam osobiście przyszedłem, aby go wziąść ze sobą;.... bądźże więc tak dobra, moja pani Mann, i każ mi go natychmiast przywołać.

— Ja sama pójdę zaraz po niego, — odpowiedziała pani Mann i w tym celu z izby wyszła.

Pan Bumble nie długo czekać musiał. Albowiem dobrotliwa opiekunka Oliwera, którego pod ten czas o tyle przynajmniéj z grubéj skorupy brudu, twarz i ręce jego pokrywającéj, oczyszczono, o ile to się przez jednokrotne obmycie uczynić dało, niebawem go do izby wprowadziła.

— Ukłoń-że się temu panu, Oliwerze! — rzekła pani Mann do niego.

Oliwer się nizko skłonił; lecz wątpliwość pozostała, czyli Woźnemu na krześle, lub téż jego kapeluszowi trójgraniastemu na stole.

— Czy pójdziesz chętnie ze mną, Oliwerze? — zapytał pan Bamble uroczyście.

Oliwer chciał właśnie odpowiedzieć, żeby z największą ochotą z kimkolwiek bądź poszedł, byle tylko z tego zakładu raz został uwolnionym, gdy podniósłszy oczy w górę, z wejrzeniem pani Mann, stojącéj za krzesłem Woźnego, się spotkał, która, przenikając jego myśli, pięścią z wściekłością mu pogroziła. Zrozumiał on natychmiast to skinienie, gdyż ta pięść za nadto często po sobie wrażenia na jego ciele zostawiała, aby i w jego pamięci niemiłego wrażenia zostawić nie była miała.

— Czy *pani* także pójdzie ze mną? — zapytał biedny Oliwer.

— Nie, — odparł Woźny; — ale ona cię może czasami odwiedzić, jeźli zechce.

Nie byłać to wprawdzie wielka pociecha dla biednego chłopczyny; lecz jakkolwiek jeszcze młody, tyle jednak rozsądku już posiadał, że natychmiast poznał, iż mu wielki żal udawać wypadało. Jeżeli zaś o to chodziło, aby się rzewnemi zalać łzami, trudność w tém

wielka dla nieszczęśliwego chłopczyny nie była, albowiem głód i świeżo odebrane chłosty, silnie mu do tego pomagały. Oliwer tedy jak najszczérzéj się rozpłakał.

Pani Mann, widząc ten dowód dobrego serca chłopczyny, mało sto razy go uściskała, i przyniosła mu kromkę chleba z masłem, z czego Oliwer daleko bardziéj rad był, a drugą dała mu na drogę, ażeby nie wyglądał bardzo wygłodniały, gdy do domu roboczego przybędzie.

Z kromką tedy chleba z masłem w jednéj ręce i małą szarą czapeczką na głowie, têm piętnem każdéj sieroty Gminy, Oliwer w towarzystwie pana Bumble to smutne mieszkanie opuścił, w którém najmniejsze słówko przyjaźne, lub spojrzenie przychylne, pierwszych lat jego dziecieństwa nie rozweseliło. A jednak smutek i boleść serce jego dziecięce opanowała, gdy brama ogrodowa za nim się zamknęła. Jakkolwiek owi towarzysze wspólnéj nędzy, których tutaj zostawiał, byli biedni i mali, byli oni jednak jedynemi przyjaciołami, których dotąd zaznał, a gorżkie uczucie zupełnego opuszczenia i usamotnienia na tym niezmiernym świata obszarze, zajęło po raz pierwszy serce tego chłopczyny.

Pan Bumble szerokim krokiem pośpieszał, a mały Oliwer, uczepiwszy się poły jego złotemi galonami obszytéj sukni, biegł obok niego, zapytując się za każdym ćwierć-milowym słupkiem, czy jeszcze *daleko mają?* na co pan Bumble zawsze krótko i gniewliwie odpowiadał; gdyż ta czułość chwilowa, którą wódka z wodą w sercu niektórych ludzi wznieca, dotąd już zupełnie wywietrzała, a pan Bumble, uczuciem swéj

godności na wskróś przejęty, napowrót się stał Woźnym całą gębą.

Oliwer nawet ćwierć godziny spełna pomiędzy murami domu roboczego jeszcze niezabawił, zostając pod opieką staruszki, której go Woźny powierzył, i drugą kromkę chleba z masłem zaledwie pokonał, kiedy pan Bumble już powrócił i oświadczył mu, że to jest godzina zboru Władz domu roboczego, Wójta i ławników, a posiedzenie ich natychmiast nastąpi.

Oliwer, nie mając jasnego i dokładnego pojęcia, co to jest zbór i ławnicy, przeląkł się na tę wiadomość, zdziwił, i nie wiedział, czy się ma śmiać lub płakać. Nie miał jednak na tyle czasu, by się dobrze nad tém zastanowić, gdyż pan Bumble raz laską w głowę go uderzył, aby go z tego rozmyślania obudzić, a drugi raz w plecy, aby mu pośpiech zalecić. Rozkazawszy mu potém iść za sobą, zaprowadził go do obszernéj, wybielonéj izby, w któréj ośmiu do dziesięciu Jegomości przy okrągłym stole siedziało, a na czele ich, w krześle poręczowem, nieco nad inne wywyższoném, Jegomość nadzwyczaj otyły z obliczem pełném i rumianém.

— Ukłońże się panom zboru i ławnikom, — napomniał go Woźny.

Oliwer otarł kilka łez, które mu się z ócz potoczyły, i ukłonił się szczęśliwie stołowi.

— Jak się nazywasz chłopcze? — zapytał go nareszcie ów rumiany Jegomość z wysokiego krzesła.

Oliwer tak się przeląkł na widok tylu panów, że na całém ciele drżeć zaczął, a Woźny przytém tak silnie kułakiem nieznacznie z tyłu go uderzył, że się biedne-

mu chłopczynie aż na płacz zebrało; te dwie przyczyny były zaś powodem, że zborowi głosem drżącym i niewyraźnym odpowiedział, z czego wynikło, iż jeden z przytomnych Jegomości, w białej kamizelce, głupim chłopcem go nazwał, co było oczywiście bardzo skutecznym środkiem do uspokojenia Oliwera, oddalenia od niego trwogi i wzniecenia w nim śmiałości i odwagi.

— Chłopcze, — ozwał się powtórnie ów Jegomość z wysokiego krzesła; — posłuchaj mnie! Sądzę, że wiesz, iż jesteś sierotą?

— Cóż to znaczy, Sir? — zapytał biedny Oliwer.

— Tén chłopiec rzeczywiście głupi,.... wiedziałem o tém, — wtrącił Jegomość w białej kamizelce stanowczo.

Jeżeli to prawda, że bywają stworzenia, obdarzone władzą poczucia istót, do tegoż samego rzędu, co i one należących, więc i nasz Jegomość w białej kamizelce był niezaprzecznie uzdolniony do wydania owego sądu i wyroku stanowczego.

— Pst! — napomniał Jegomość z wysokiego krzesła. — Spodziewam się przecież, iż o tém wiesz przynajmniéj, że nie masz ani ojca, ani matki, i że cię Gmina na swoje koszta utrzymuje, nieprawdaż?

— Wiem panie! wyjąkał Oliwer, płacząc rzewnie.

— Czego ty płaczesz? — zapytał Jegomość w białej kamizelce. A musiało to być coś bardzo nadzwyczajnego. — Czego on tylko płakać może.

— Spodziewam się, że mówisz przecież pacierz co rano i wieczór, — ozwał się znów inny Jegomość grubym głosem, — i modlisz się za tych, którzy cię ży-

wią, odziewają i pielęgnują, jak na prawego Chrześcijanina przystoi?

— Tak jest, — odpowiedział chłopczyna.

Ten ostatni Jegomość mimowolnie wielką prawdę wyrzekł. Trzeba było na to być Oliwerowi *rzeczywiście prawym* Chrześcijaninem, i to nadzwyczajnie gorliwym i cnotliwym Chrześcijaninem, aby się za tych modlić, którzy go żywili, pielęgnowali, i staranie o *nim* mieli. Lecz on tego nie czynił, gdyż go nikt modlić się nie nauczył.

— Kazaliśmy cię tutaj przyprowadzić, aby ci dać wychowanie i rzemiosła pożytecznego cię nauczyć, — rzekł rumiany Jegomość z wysokiego krzesła.

— Zaczniesz przeto od jutra szóstéj godziny z rana kłaki skubać, — dodał Jegomość w białej kamizelce.

Za to połączenie owych dwóch dobrodziejstw w jednej tak prostej czynności skubania kłaków, Oliwer nizkim ukłonem podziękował na skinienie bardzo dobitne Woźnego, który go potém do obszernéj izby zaprowadził, gdzie się ten biedny chłopczyna na łóżku twardém ułożyć musiał, i płaczem w sen ukołysał.

Jaki piękny obraz praw litościwych naszego kraju błogiego!.... Wszak pozwalają zasnąć człowiekowi biednemu,....jeżeli może!

Biedny Oliwer!....Kiedy snem błogim ujęty spoczywał, w zupełnej niewiadomości wszystkiego, co się w koło niego działo, ani mu się śniło, że zbór tego jeszcze wieczora postanowienie uchwalił, które wpływ największy na całą jego przyszłość wywrzeć miało. A jednak to w istocie się stało, rzecz zaś cała następnie się miała:

Członkowie tego zboru byli to wszystko ludzie mądrzy, rozważni, głęboko rzeczy biorący. Kiedy więc całą swoją uwagę na dom roboczy zwrócili, na pierwszy rzut oka do razu to dostrzegli, czego by ludzie zwyczajni nigdy nie byli dociekli, to jest: że się tutaj ludziom biednym bardzo podobało! Wszakże ten dom roboczy był miejscem zwyczajném zabawy dla biedaków;... gospodą, w której przez cały rok śniadanie, — objad, — herbatę i wieczerzę mieli,..a nic za to wszystko płacić nie potrzebowali,...niejako rajem ziemskim, gdzie tylko sama zabawa, a żadnej pracy nie było.

— Hola! — zawołał wtedy zbór, potrząsając głową z wielką mądrością, — my właśnie jesteśmy ludzie do tego najstósowniejsi, aby te nadużycia znieść i wszystkie zboczenia na drogę porządku sprowadzić; my temu wszystkiemu złemu w krótce tamę położymy.

W skutek tego zbór w swej mądrości postanowił, ażeby każdemu biedakowi, w tym domu roboczym pomocy szukającemu, do wolnego wyboru zostawiono, — gdyż oni przemocą nikogo do tego zmuszać nie chcieli, broń Boże! — czyli chce powoli umrzeć z głodu w domu roboczym, lub też szybko bez tego domu. W tym celu zawarli ugodę z przedsiębiorcą, dostarczającym wodę do tego zakładu, o dostarczanie codziennie niezmierzonéj ilości wody, a drugą z kupcem zboża i mąki o dostarczanie czasami szczupłéj ilości owsianéj mąki, i wyznaczyli dla ubogich w tym zakładzie zostających trzy razy na dzień cienkiéj polewki owsianéj, dwa razy na tydzień po główce cebuli i co Niedziela po półbułeczki na jednego.

Prócz tego wiele jeszcze nie mniéj mądrych i ludz-

kich rozporządzeń uchwalono, dotyczących się po większéj części kobiet, które jednak pominąć wolemy. Przez nadzwyczajną dobroć serca, mając wzgląd na koszta znaczne rozwodów sądowych, postanowili także sami o rozwód dla zaślubionych się postarać, i zamiast do tego zniewalać, aby mąż rodzinę swoję utrzymywał,...czego się dotąd sumiennie trzymali, teraz przeciwnie, rodzinę mu odbierali, i człowieka bezżennego na powrót z niego robili.

Czyliby się wielu z różnych stanów społeczeństwa było znalazło, którzyby z tego dobrodziejstwa byli korzystać chcieli, gdyby ono z domem roboczym nie było koniecznie połączone, to się na teraz z wszelką dokładnością powiedzieć nie da. Lecz Władze domu roboczego byli to ludzie przezorni, doświadczeni; wcześnie zatém tej niedogodności zapobiedz i trudności zaradzić umieli. Owe dobrodziejstwo było bowiem z domem roboczym i owsianką niezbędnie połączone, a to ludzi odstręczało.

Przez pierwsze sześć miesięcy po przybyciu Oliwera do domu roboczego trzymano się jak najściśléj i najsurowiéj owego rozporządzenia. Z początku to wznowienie wielkie wydatki za sobą pociągnęło, a to z przyczyny coraz bardziéj wzrastającego rachunku Przedsiębiorcy pogrzebów, i potrzeby konieczněj ścieśnienia odzieży wszystkich biedaków, na których ta odzież, po kilkutygodniowém użyciu owsianki, bardzo przestrona się stała, i na nich jak wory wisiała; lecz za to ilość mieszkańców domu roboczego znacznie się przerzedziła, a zbór się rozpływał w uniesieniu radości.

Izba, w któréj sierotom jadło rozdawano, była ob-

szerna, murowana; na jednym końcu wisiał kocioł, a przy nim stał kucharz, swoim fartuchem kucharskim opasany i rozdawał dzieciom owsiankę wielką warzechą, przy pomocy dwóch kobiet, umyślnie w tym celu mu przydanych. Każdy chłopiec dostał jednę taką warzechę téj strawy, ale też i nic więcéj,...wyjąwszy jednak wszystkie święta, Niedziele i dnie uroczyste; wtedy bowiem dodawano im jeszcze do téj owsianki cztéry łuty i ćwierć chleba.

Talerzy nigdy myć nie potrzebowano. Chłopcy je bowiem swojemi łyżkami tak długo skrobali, dopokąd nie były na powrót tak czyste i lśniące jak szkło,....a kiedy już tę całą czynność ukończyli, — co bardzo długo nigdy nie trwało, talerze bowiem nie wiele były większe od łyżek, — biedne dzieci, rzucając takie wygłodniałe spojrzenia na kocioł i ognisko, jakby i te kamienie nawet, z których się składało, pożreć były chciały, oblizywały sobie palce starannie, aby najmniéjszéj kropelki nawet na nich nie pozostawić, jeżeliby przypadkiem jaka na nie padła.

Chłopcy zwykle apetyt niepospolity miewają.

Oliwer Twist i jego towarzysze znosili cierpliwie te powolne męki konania z głodu przez całe trzy miesiące. Lecz w końcu tak im głód mocno dopiekać zaczął, że jeden z nich, nieco roślejszy, jakby na jego wiek wypadało, i do podobnego życia wcale nie przyzwyczajony, — gdyż jego ojciec małą garkuchnię utrzymywał, — nie mogąc dłużéj znieść tych cierpień, z tą groźbą przed swoimi towarzyszami się oświadczył, iż téj nocy jeszcze najbliższego swego sąsiada nadkąsi,— a był to właśnie chłopiec bardzo wątły i słabowity, —

jeżeli jednego talerza owsianki przynajmniéj tego dnia więcéj nie dostanie. Oczy jego przytém takim ogniem dzikości i żarłoczności pałały, że mu wszyscy natychmiast na słowo uwierzyli.

Złożono tedy radę ogólną i puszczono na losy, który z nich tego jeszcze wieczora po wieczerzy przed kucharza ma wystąpić i od niego więcéj zażądać. Los padł na Oliwera.

Wieczór nadszedł; wszyscy chłopcy na swych miejscach zwyczajnych zasiedli; kucharz stał przy kotle w swym kucharskim ubiorze, a za nim obie pomocnice; rozdzielono owsiankę i zmówiono długi pacierz nad tém krótkiém jadłem. Owsianka znikła w oka mgnieniu, a chłopcy zaczęli szeptać pomiędzy sobą, na Oliwera mrugać, najbliżsi zaś sąsiedzi łokciem go potrącać.

Prawda że Oliwer był jeszcze wtenczas chłopcem małym, młodziutkim; lecz głód dopiekający przyprowadził go w końcu do rozpaczy i zupełnéj niedbałości o siebie. Wstał tedy od stołu, zbliżył się z talerzem i łyżką w ręku do kucharza, i rzekł sam swoją śmiałością zdziwiony:

— Proszę o więcéj, panie!

Kucharz był to człowiek otyły, krwisty, rumiany; na to żądanie Oliwera jednak zbladł jak chusta. Z przerażenia oparł się o kocioł, i spoglądał osłupiały przez kilka chwil na tego małego buntownika. Pomocnice stały jak wryte z zadziwienia, a resztę chłopców przestrach jakby poraził.

— Co? — wybełkotał przecież nakoniec kucharz głosem słabym.

— Proszę o więcéj, panie, — odpowiedział Oliwer.

Teraz dopiero kucharz się opamiętał, warzechą Oliwera w głowę ugodził, za kołnierz go chwycił i głośno za Woźnym wołać zaczął.

. . . .

Zbór przełożonych Gminy i Władz domu roboczego zgromadził się właśnie na uroczyste posiedzenie, gdy Bumble w największém pomięszaniu wpadł do izby obradowéj, i zwróciwszy się do Jegomości na wysokiém krześle, odchodząc prawie od siebie, zawołał:

— Panie Limbkins,....proszę mi wybaczyć, Sir,.... Oliwer Twist żądał *więcéj!*

Wszyscy struchleli, a zgroza i przerażenie na ich obliczu się malowało. Po chwili jednak ogólne wzburzenie nastąpiło.

— *Więcéj!!* — zawołał pan Limbkins. — Uspokój się trochę, panie Bumble, i opowiedz nam dokładnie: Czy to się ma znaczyć, że Oliwer żądał więcéj, kiedy już część swoję, z urzędu przeznaczoną, dostał i spożył?

— Tak jest, Sir, — odpowiedział Bumble.

— Ten chłopiec będzie wisiał, — rzekł na to znany nam Jegomość w białej kamizelce. — Ja jestem przekonany, że ten chłopiec będzie wisiał.

Nikt się nie sprzeciwiał temu zdaniu proroczemu Jegomości w białej kamizelce. Nastąpiła żywa i burzliwa narada, po któréj Oliwera do więzienia domowego natychmiast zamknięto. Nazajutrz zaś przybito zewnątrz na bramie obwieszczenie, ofiarujące pięć funtów nagrody każdemu, ktoby chciał zakład od Oliwera

uwolnić, biorąc go do siebie. Czyli raczéj, innemi słowy: pięć funtów i Oliwera Twista w dodatku ofiarowano każdemu, czy to mężczyznie czy kobiecie, ktoby chłopca w naukę do jakiegokolwiek bądź zatrudnienia, zarobku lub rzemiosła potrzebował.

Gdy Jegomość w białej kamizelce nazajutrz rano do bramy zapukał i powyższe obwieszczenie na niéj przybite przeczytał, rzekł do siebie z uśmiechem:

— Jeszcze nigdy w mojém życiu o niczém tak mocno przekonany nie byłem, jak teraz o tém, że ten chłopiec będzie wisiał.

Że zaś moim jest zamiarem w dalszym ciągu téj powieści wykazać, czyli ten Jegomość w białej kamizelce w swojém przeczuciu się nie zawiódł, zniszczyłbym więc zaraz z góry całą ciekawość, — jeżeli tylko prawda, że ta powieść jest ciekawa, — gdybym teraz już chciał powiedzieć, czyli pasmo życia Oliwera takim zamachem gwałtownym rzeczywiście przerwane zostało.

ROZDZIAŁ III.

Oliwer Twist posady omal nie otrzymał, któréjby nikt z pewnością sinekurą nie nazwał.

Przez cały tydzień prawie po popełnieniu téj wielkiéj i ohydnéj zbrodni, iż głodem do rozpaczy przywiedziony, *więcéj* owsianki zażądał, Oliwer ciągle w téjże samej ciemnej i ciasnej komórce uwięziony zostawał, do której go zbór w swej mądrości i dobrotliwości ojcowskiej zamknąć kazał.

Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że to przypuszczenie rozsądkowi się wcale nie sprzeciwia, iżby Oliwer Twist sławę proroczą owego Jegomości w białéj kamizelce raz na zawsze był mógł ustalić, gdyby cokolwiek przynajmniéj czucia i uszanowania należytego dla jego ducha proroczego posiadając, jeden koniec chustki od nosa do mocnego haka w ścianie był przywiązał, a na drugim sam się powiesił; lecz wykonaniu tego zamiaru jedna okoliczność stała głównie na przeszkodzie, to jest: że zbór chustki od nosa jako rzecz niepotrzebną i zbytkową uznał, i wyraźnem rozporzą-

dzeniem swojém na walném i uroczystém posiedzeniu należycie i wszechstronnie rozebraném, uchwaloném, podpisem własnoręcznem i pieczęcią zatwierdzoném, na wszystkie czasy i pokolenia przyszłe od nosów biednych ludzi je oddalił.....Wyznać jednak potrzeba, iż daleko większą jeszcze przeszkodą była zbytnia młodość i dziecinność tego chłopczyny.

Przez całe dnie łzy gorzkie jedynie wylewał, a gdy noc długa i okropna nadeszła, zakrywał sobie oczy swojemi małemi rączętami, aby ciemności nie widzieć, i do kącika przytulony, zasnąć się starał. Często jednak drżąc ze zgrozy na całém ciele, z przerażeniem ze snu się zrywał i do ściany coraz bardziéj tulił, jakby czuł, że i te ściany zimne, twarde, dla niego były pewną ochroną niejako w tej ciemności i samotności, zewsząd go otaczającej.

Nieprzyjaciele tego *systemu* niechaj jednak nie sądzą, że Oliwer przez ten cały czas swego samotnego uwięzienia wszelkich dobrodziejstw ruchu, przyjemności w towarzystwie, lub też wszelkich korzyści, z pocieszenia religijnego wynikających, zupełnie był pozbawionym. Co się bowiem ruchu dotycze, była to właśnie pora zimowa, a Oliwer wszelką wolność posiadał, codziennie rano myć się przy studni, na podwórzu zamkniętém, w przytomności pana Bumble, który troskliwy o zdrowie jego, zapobiegając temu, aby biedny chłopczyna bardzo nie zziąbł, częstém użyciem swéj laski urzędowéj zbawienne i wskróś przenikające wstrząśnienie w jego ciele sprawiał.

Oliwerowi podobnież i na towarzystwie nie zbywało; .....co drugi dzień bowiem prowadzono go do jadalni

zakładu, w której to swoję zbrodnię wielką popełnił, i chłostano go w oczach wszystkich dzieci dla powszechnego przykładu i przestrogi. Nie chcąc go zaś pozbawić wszelkiego dobrodziejstwa modlitwy i pocieszenia religijnego, wtrącano go codziennie rano do téjże saméj izby jadalnéj, podczas ogólnéj modlity porannéj sierót domu roboczego, i pozwolono mu się przysłuchiwać i czerpać pociechy i spokojności serca w modlitwie dzieci, zawierającéj w sobie prośbę osobną do Boga, przez Władzę zakładu umyślnie ułożoną i przydaną, aby je uczynił dobremi, cnotliwemi, posłusznemi i zachował je od grzechu i występku Oliwera Twista, którego w téj modlitwie jako utwór rąk samego szatana, jako chłopca wyłącznie pod opieką władz piekła zostającego, wyraźnie przedstawiono.

Kiedy Oliwer w tak nader przyjemném i pomyślném położeniu zostawał, zdarzyło się pewnego poranku, że pan Gamfield, kominiarz, w smutnych myślach pogrążony, drogą koło domu roboczego wiodącą jechał, dręcząc sobie mózg nadaremnie nad wynalezieniem środków i sposobu zapłacenia czynszu za mieszkanie od dawna już zalegającego, a którego się gospodarz domu właśnie bardzo natarczywie upominał. Lubo pan Gamfield wszelkie źródła swego dochodu w myśli wyczerpał, niepodobna mu było żadną miarą więcéj nad pięć funtów zebrać na całą sumę, którą był winien; w téj tedy rospaczy arytmetycznéj niejako to siebie, to osła w głowę na przemian uderzał, i już wszelką nadzieję wydobycia się z tego położenia przykrego tracił, kiedy dom roboczy mijając, okiem na uwiadomienie, na bramie przybite, przez czysty przypadek rzucił.

— Prrrrr! .... — zawołał Gamfield na osła.

Osieł był właśnie w myślach głębokich pogrążony. Obliczał sobie z pewnością, ile téż głąbiów, czyli jeden lub dwa dostanie, gdy te dwa wory sadzy na miejscu przeznaczenia złoży, któremi jego wózek mały był obładowany. Nie zważał tedy wcale na rozkaz pana i biegł sobie szczęśliwie daléj.

Gamfield wyzionął okropne przekleństwo na wszystkich osłów w ogóle, a szczególnie na ich oczy, i biegnąc za nim, taki raz silny w łeb mu wymierzył, żeby od tego uderzenia czaszka była pęknąć musiała, gdyby to czaszka ośla nie była. Schwyciwszy potém za wodze, tak silnie niemi szarpnął, jakby szczękę chciał był urwać swemu osłowi, i dać mu przez to małe napomnienie, iż nie jest wcale panem swéj woli. Tym sposobem udało się mu go na miejscu wstrzymać. Dopiąwszy raz tego celu, pan Gamfield powtórnie osła w łeb uderzył; to uderzenie miało być tylko upomnieniem dla niego, aby tak długo stał na miejscu, dopókąd jego pan nie powróci. Poczém pan Gamfield śpiesznie do bramy pobiegł, aby obwieszczenie wzwyż wspomnione przeczytać.

Znany nam dobrze Jegomość w białéj kamizelce stał sobie właśnie spokojnie w bramie, z założonemi w tył rękoma, spłodziwszy poprzód kilka głębokich myśli w izbie obradowéj. Będąc świadkiem owéj sprzeczki małéj pomiędzy panem Gamfield i jego osłem, uśmiechnął się radośnie, gdy spostrzegł, że ten obcy do bramy zmierza, aby uwiadomienie przeczytać. Natychmiast się bowiem domyślił, że pan Gamfield był właśnie

takim panem, jakiego im dla Oliwera Twista potrzeba było.

Pan Gamfield także się uśmiechnął, skoro uwiadomienie przeczytał; gdyż owe pięć funtów przyobiecane właśnie dla niego wystarczały i z wszelkiego kłopotu wybawić go mogły. Znając przytém dokładnie system żywienia dzieci w domu roboczym, natychmiast pojął, iż ten chłopczyna, którym owe pięć funtów obciążono, był właśnie takim małym i cienkim wisusem, jakiego mu do wycierania teraźniejszych kominów wązkich potrzeba było. Przegłoskował tedy jeszcze raz całe uwiadomienie od góry do dołu, od początku do końca, i zdjąwszy czapkę futrzaną z głowy na znak uszanowania, zagadnął Jegomości w białej kamizelce.

— Czy to w tym zakładzie ten chłopiec się znajduje, którego przełożeni Gminy chcą dać do nauki? — zapytał pan Gamfield.

— Tak jest, mój poczciwcze, — odpowiedział Jegomość w białej kamizelce z uśmiechem łaskawym; — cóż chcesz od niego?

— Jeżeli przełożeni Gminy chcą go dać w naukę do rzemiosła lekkiego i przyjemnego, czém się kominiarstwo zacne poszczycić może, — rzekł Gamfield, — to ja właśnie chłopca do nauki potrzebuję, i gotów jestem wziąść go do siebie.

— Proszę wejść! — rzekł na to Jegomość w białej kamizelce.

Lecz pan Gamfield poprzód do osła swego powrócił, raz jeszcze w łeb go uderzył i za wodze szarpnął, co miało być dla osła napomnieniem, ażeby podczas niebytności swego pana stał spokojnie i z miejsca się nie

ruszył; .... poczém dopiero za Jegomością w białej kamizelce do owéj izby się udał, w któréj go Oliwer po raz pierwszy zobaczył.

— To bardzo brudne rzemiosło, — zarzucił pan Limbkins, gdy im Gamfield życzenie swoje przedłożył.

— Zdarzyło się już nieraz, że się chłopcy w kominie podusili, — ozwał się inny.

— To dla tego jedynie, że słomę pierwéj w wodzie zmaczano, nim ją w kominie zapalono, aby chłopców do zejścia na dół zmusić, — objaśnił ich Gamfield. — Słoma zwilżona nie daje wcale ognia, tylko dym wielki; a dymem samym niepodobna chłopców z komina wypędzić. Dym ich tylko usypia, a oni sobie téż tego najbardziéj życzą. Bo to trzeba panom wiedzieć, że niema istót krnąbrniejszych i leniwszych, jak te chłopcy, a niemaż sposobu lepszego i skuteczniejszego do wypędzenia ich z komina, jak rozpalenie dobrego ognia. Sama ludzkość nawet użycie tego środka nam nakazuje, gdyż jeźli który w kominie uwięźgnie, a ogień mu w nogi dopiecze, tak długo się rzuca i nogami wierzga, dopokąd się sam nie uwolni.

To objaśnienie zdawało się wielką radość sprawiać owemu Jegomości w białej kamizelce; lecz wesołość jego wkrótce jedno wejrzenie pana Limbkins rozproszyło. Zbór przystąpił do wspólnéj narady, która przez pięć minut blisko trwała. Wszyscy jednak tak cicho pomiędzy sobą rozmawiali, że tylko te słowa: „oszczędzić wydatku,“.... obwieszczenie wytłoczone do wiadomości powszechnéj podane zostanie,“ nieco wyraźniéj słyszeć się dawały, i to dla tego jedynie, że je często z wielką uroczystością powtarzano.

Nakoniec przecież szepty te ustały, a gdy członkowie zboru do swych krzeseł i swéj godności uroczystéj powrócili, pan Limbkins się ozwał:

— Rozważyliśmy dokładnie waszą prośbę i na nią przystać nie możemy.

— Żadną miarą, — potwierdził znany nam Jegomość w białej kamizelce.

— Ani myśleć o tém, — dodali inni członkowie.

Że zaś o panu Gamfield ta krzywdząca wieść chodziła, iż niedawno dwom czy trzem uczniom swoim głowy na śmierć porozbijał, zdawało się mu tedy, że sobie zbór w sposób niepojęty to wbił do głowy, a ta okoliczność niemiła wpływ niekorzystny na ich postanowienie wywarła. Prawda, że postanowienie podobne wbrew wszelkiemu ich zwyczajowi w ułatwieniu podobnych spraw było, lecz, że mu wiele na tém zależało, aby wieści owe na nowo nie odświeżyć, zaczął tedy kręcić czapką w rękach, i zwolna od stołu się oddalać.

— A zatém mi panowie tego chłopca dać nie chcecie? — rzekł Gamfield, do drzwi się zbliżając.

— Nie, — odpowiedział Limbkins; — chyba że przy tak niemiłém zatrudnieniu tyle nagrody żądać nie będziesz, ile obwieszczeniem zapowiedziano.

Oblicze pana Gamfield napowrót się wypogodziło; zbliżył się tedy śpiesznie do stołu i rzekł:

— Ileż więc chcecie dać, panowie? Nie bądźcie za nadto surowi z biednym człowiekiem! Ileż dacie panowie?

— Mnie się zdaje, że trzy funty i dziesięć szylingów wystarczy? — rzekł Limbkins.

— O dziesięć szylingów nawet za wiele; — zarzucił Jegomość w białej kamizelce.

— Ej moi panowie! — błagał Gamfield, — dajcie cztéry funty spełna. Dajcie cztéry funty, a pozbędziecie się go na zawsze i tanio.... Cóż,.... czy zgoda?

— Trzy funty dziesięć szylingów, — powtórzył Limbkins niezachwiany.

— Nie o wiele się rozchodzi,..ustąpmy z obu stron połowę, moi panowie, — nacierał Gamfield, — niech będzie trzy funty piętnaście szylingów.

— Ani grosza więcéj nie damy, — było odpowiedzią stanowczą pana Limbkins.

— Nie bądźcie tak twardego serca ze mną, moi panowie! — rzekł na to Gamfield wahając się i nie wiedząc co czynić.

— Ba! .brednie, mój poczciwcze! czyste brednie, — odparł Jegomość w białej kamizelce. — On i bez naszéj nagrody jest jeszcze tanim dla ciebie. Bierz go, bierz! i nienamyślaj się długo. Jest to chłopiec, jakby umyślnie dla ciebie stworzony. Trzeba, prawda, czasami kija na niego, ale ten mu nic nie szkodzi; jest nawet owszem rzeczą bardzo zbawienną dla niego. Żywność jego wiele cię kosztować nie będzie, gdyż on już od dziecieństwa do skromności w jedzeniu przyzwyczajony ...ha!..ha!..ha!....

Gamfield najprzód okiem podejrzliwém po obliczu wszystkich osób obecnych potoczył; dopiero gdy uśmiech na ustach wszystkich spostrzegł, sam się powoli uśmiechnął.

Nakoniec przecież ugoda pomiędzy nimi stanęła, a panu Bumble natychmiast nakazano, tego jeszcze dnia

po południu Oliwera do urzędu miejskiego zaprowadzić i świadectwo, na mocy którego panu Gamfield do nauki miał być oddany, do podpisu i sądowego potwierdzenia przedstawić.

W skutek tego postanowienia biednego Oliwera z więzienia wypuszczono, i kazano mu świeżą wdziąć koszulę, co go w niepospolite zadziwienie wprawiło. Zaledwie tego niepojętego i niesłychanego przeobrażenia na sobie dokończył, pan Bumble się zjawił, i własnoręcznie talerz owsianki mu przyniósł wraz z niedzielnym dodatkiem chleba, cztery łóty i ćwierć wynoszącym. Oliwer, to widząc, rzewnie płakać zaczął, sądząc nie bez przyczyny, że zbór śmierć jego w jakimś celu szczególnym i niepojętym postanowić musiał, inaczéj by mu nigdy na myśl nie było przyszło, w ten sposób go tuczyć.

— Nie płacz, nie, Oliwerze! ale jedz co ci dają, i bądź za to wdzięcznym, — pocieszał go Bumble z powagą uroczystą; — w krótce nasz zakład opuścisz, Oliwerze, i pójdziesz do nauki.

— Do nauki, Sir? — zapytał chłopczyna, drżąc na całém ciele.

— Tak jest, do naukł, Oliwerze, — potwierdził Bumble. — Nasi panowie litościwi i dobroczynni, którzy się z tobą jak z własnym dzieckiem obchodzą, dla tego że nie masz ni matki ni ojca, chcą cię teraz oddać do nauki;... wysłać cię w świat, abyś wyszedł na człowieka, chociaż to Gminę całe trzy funty i dziesięć szylingów kosztuje!....trzy funty dziesięć szylingów! tylko pomnij, Oliwerze! siedmdziesiąt szylingów!...sto czter-

dzieści sixpensów!.... i to wszystko dla sieroty nieznośnéj, któréj nikt cierpieć nie może!

Gdy Bumble przestał, aby po tej uroczystej przemowie na chwilkę odetchnąć, łzy się potoczyły z ócz biednego Oliwera, rzewnie i gorżko szlochającego.

— No, no,.... nie płacz Oliwerze, nie płacz, — rzekł do niego Bumble niceo przyjaźniejszym głosem, biorąc to rozczulenie Oliwera z wielkiém upodobaniem swojém za dowód nieprzezwyciężonego wpływu swéj wymowy; — uspokój się, uspokój, i otrzyj sobie łzy rękawem od kurtki, ażeby ci do owsianki nie padały; to prawdziwie wielkie głupstwo.

I słusznie mówił, gdyż i tak już wody aż za nadto w owsiance było.

Gdy się do urzędu królewskiego udali, pan Bumble zaczął Oliwera po drodze nauczać, że nic innego tam czynić nie potrzebuje, tylko wesoło wyglądać, a gdyby się go panowie urzędnicy pytali, czyli ma ochotę do rzemiosła, śmiało im odpowiedzieć, iż to jest jedyném jego życzeniem. Oliwer przyrzekł, iż wiernie to polecenie wykona, zwłaszcza, gdy pan Bumble mu z daleka dał do zrozumienia, iż ani wyobrażenia o tém nie ma, coby się z nim działo, gdyby przeciwko jednemu lub drugiemu poleceniu wykroczył.

Gdy do urzędu przybyli, zaprowadzono ich do małej izdebki, w której pan Bumble Oliwera samego zostawił, napomniawszy go poprzód, aby siedział spokojnie, dopokąd po niego nie powróci i z sobą go nie weźmie.

Tak więc ten biedny chłopczyna przez pół godziny blizko sam jeden w tym pokoiku zostawał, aż nakonice

pan Bumble drzwi nieco uchylił, głowę swoję, lecz ozdoby trójgraniastego kapelusza pozbawioną, przez nie do izdebki wsunął, i głośno na Oliwera zawołał:

— Chodźże.... chodź, mój drogi Oliwerze! chodź do tych zacnych i godnych panów!

Lecz przytém spojrzenie groźne i przeraźliwe na biednego chłopca rzucił, dodając po cichutku:

— Pamiętaj na to, com ci mówił, ty mały łotrze!

Oliwer, słysząc te dwie, tak sobie wprost przeciwne przemowy pana Bumble, z nie małém zadziwieniem w swej prostocie serca w oczy mu spojrzał. Ale pan Woźny tyle czasu mu nie dozwolił, aby w tej mierze jakie uwagi mógł uczynić, i wprowadził go natychmiast do przyległéj izby radniéj, do któréj drzwi stały otworem.

Była to izba obszerna o jednym wielkim oknie, w któréj za biórkiem dwóch panów w podeszłym już wieku, mających głowy upudrowane, na krzesłach wysokich siedziało. Jeden z nich czytał gazetę, a drugi przebiegał za pomocą okularów, w żołwią skorupę oprawnych, kartę pergaminową przed nim leżącą.

Pan Limbkins stał z jednéj strony biórka, a pan Gamfield z twarzą starannie umytą z drugiéj. Kilku napuszonych panów, w wielkich, palonych butach, przechadzało się po izbie i rozmawiało między sobą.

Zdawało się, że ów stary Jegomość w okularach z żółwiej skorupy, znużony zapewnie zbytnią pracą przy czytaniu tego małego zwitku pergaminowego, szczęśliwie i błogo sobie zadrżemał, a chwila milczenia nastąpiła po przybyciu Oliwera do izby, któremu pan Bumble wprost naprzeciw biórka stanąć kazał.

— Oto jest ta sierota, Wasza Godności! — ozwał się Bumble.

Staruszek, czytający gazetę, podniósł oczy, i zwrócił je na Oliwera, któremu się przez chwilę przypatrywał; poczém towarzysza swego za rękaw szarpnął, przez co się tenże obudził.

— A! czy to jest ten chłopiec? — zapytał ocknąwszy się staruszek.

— Tak jest, Wasza Godności, to on! — odpowiedział Bumble. — Ukłońże się temu łaskawemu Jegomości, mój kochany Oliwerze.

Oliwer zebrał wszystkie swoje siły, i jak mógł najlepiéj, tak się ukłonił. Z wielkiém jednak zadziwieniem oczy swoje w mączkę na głowie urzędnika wlepił, zastanawiając się nad tém głęboko, czyli to wszyscy urzędnicy z tą mączką białą na głowie się rodzą i dla tego jedynie sa urzędnikami, że tę mączkę na niéj mają?

— Dobrze, dobrze, — odrzekł staruszek; — spodziewam się przecież, że mu się kominiarstwo podoba?

— Przepada za niém, Wasza Godności! — odpowiedział Bumble, uderzywszy przytém nieznacznie Oliwera kułakiem w plecy, niby dla napomnienia, że się czegoś lepszego jeszcze ma spodziewać, gdyby mu przypadkiem na myśl wpadło powiedzieć, iż kominiarstwo zacne nie odpowiada wcale jego życzeniom.

— No i cóż, czy *chcesz* zostać kominiarzem, mój malcze? — zapytał staruszek Oliwera.

— Gdyby go do jakiego innego rzemiosła oddano, Wasza Godności, toby jeszcze tego samego dnia od swego majstra uciekł, — odpowiedział Bumble z pośpiechem, uprzedzając Oliwera.

— A ten człowiek oto, chce być jego majstrem?.. ....Jakże, mój panie?.... czy będziesz się z nim dobrze obchodził, ... będziesz go żywił przyzwoicie, ... i we wszystkiém ojcowskie o nim miał staranie?..

— Jeżeli powiadam że chcę,.... to i uczynić to myślę, — odpowiedział Gamfield zniecierpliwiony opryskliwie.

— Twój język trochę za nadto uszczypliwy, mój przyjacielu!....zdajesz się jednak człowiekiem być uczciwym i otwartego serca.

Odparł staruszek urzędnik, zwracając swe okulary na ubiegającego się o nagrodę, na głowę Oliwera nałożoną, w którego twarzy ohydnéj wyraz okrócieństwa wyraźnie był wybity. Lecz urzędnik staruszek był już na pół ciemnym, na pół zdziecinniałym, a tak ani podobna mu było tego dostrzedz i poznać, co światu całemu było jasne i widoczne.

— Mam nadzieję, że nim jestem, Sir, — odrzekł pan Gamfield, spójrzawszy zyzem.

— Nie wątpię o tém wcale, że nim jesteś, mój przyjacielu, — odparł staruszek, utwierdziwszy okulary mocniéj na nosie i szukając oczyma kałamarza.

Była to chwila stanowcza dla losu Oliwera.

Gdyby się kałamarz był na tém miejscu znajdował, na którém według myśli staruszka znajdować się był powinien, byłby natychmiast pióro w nim zamaczał i świadectwo podpisał, a Oliwer byłby bez ratunku wpadł w ręce pana Gamfield. Ale że ten godny urzędnik miał go tuż pod nosem, musiał zatém pierwéj po całém biórku oczyma za nim zbiegać, nim go nareszcie odkrył.

Podczas tego śledztwa spojrzenie jego padło także

przypadkiem i po za biórko, i nadybało twarz wylęknioną i zgrozą przejętą Oliwera Twista, który, pomimo wszelkie napominające spojrzenia i potajemne kułakiem uderzenia pana Bumble, na oblicze odrażające swego przyszłego majstra z takim wyrazem widocznym przestrachu i przerażenia spoglądał, że nawet ten urzędnik stary, na pół już ciemny, na pół zdziecinniały, to spostrzedz i poznać musiał.

Staruszek się przeto zatrzymał, pióro na bok odłożył, i przez kilka chwil to na Oliwera, to na pana Limbkins spoglądał, który wesołego i obojętnego udając, z krwią najzimniejszą tabakę sobie zażywał.

— Mój synu, — ozwał się nareszcie staruszek do Oliwera, wychyliwszy się z po za swego biórka.

Oliwer, usłyszawszy ten głos, wzdrygnął się cały... Trzeba mu to jednak wybaczyć, gdyż głos ten był uprzejmy i dobrotliwy, a każdy głos niezwyczajny człowieka łatwo przestraszyć może. Biedny chłopczyna drżał na całém ciele i rzewnie się rozpłakał.

— Mój synu, — powtórzył staruszek, — wyglądasz bardzo strwożony i wylękniony, cóż ci to takiego?

— Odstąp od niego Woźny, i nie zasłaniaj go, — ozwał się drugi urzędnik, czytający gazetę, którą na bok odłożył, i z wyrazem wielkiéj przychylności z po za biórka ku Oliwerowi się nachylił. — Mówże mój synu, mów śmiało, co ci jest, i nie lękaj się niczego.

Oliwer padł na kolana, wyciągnął ręce złożone, i zaczął błagać: iż woli raczéj, aby go do ciemnéj komórki napowrót zamknięto,.... aby go głodem morzono,.... karano,.... bito,.... a nawet i zabito,.... byle go tylko temu groźnemu człowiekowi nieoddawano.

— Otóż mamy! — zawołał pan Bumble, wznosząc w górę swe ręce i oczy z niewypowiedzianą uroczystością. — Wiele już sierót złośliwych i kłamliwych w życiu mojém widziałem, ale tak złośliwéj i kłamliwéj jak Oliwer, jeszcze się mi nigdy widzieć nie zdarzyło.

— Lepiéj milcz! — zgromił Woźnego urzędnik, do którego się Bumble z tą swoją świątobliwą i budującą przemową był zwrócił.

— Za pozwoleniem Waszéj Godności, — rzekł Woźny, niechcąc dać temu wiary, że dobrze słyszał, — czy Wasza Godność do mnie co mówiła?

— Tak jest;.... mówiłem ci, abyś milczał!

Pan Bumble stanął jak wryty z zadziwienia. Rozkazać Woźnemu, aby milczał! wszak to istny bunt moralny!

Staruszek w okularach z żółwiéj skorupy spojrzał na swego towarzysza, a ten ze znaczeniem głową kiwnął. —

— My nie możemy téj ugody podpisać, — rzekł tedy urzędnik i odsunął na bok ów zwitek pergaminowy, który do podpisu mu był przedłożony.

— Spodziewam się przecież, — rzekł pan Limbkins zmięszany, — spodziewam się, że przewielebny Urząd nie zechce na proste, niczém nie poparte oskarżenie prawdziwego dziecka, złego wyobrażenia powziąść o przyzwoitości Zwierzchników Gminy w obchodzeniu się z sierotami domu roboczego!

— Urząd nie jest obowiązany wyjawiać i dawać swego zdania w téj mierze, — odparł drugi Urzędnik cierpko. — Weźcie tego chłopca napowrót do domu roboczego, i obchódźcie się z nim łagodnie, z więk-

szą ludzkością. Jak się zdaje, to mu na tém bardzo zbywa.

. . . .

Tego jeszcze wieczora znany nam Jegomość w białej kamizelce z największą pewnością twierdził, że Oliwera nietylko szubienica czeka, ale że i na miejsce stracenia powleczonym, i tam rozćwiertowanym zostanie.

Woźny zaś głową ciągle tajemniczo potrząsał, i mówił, iż mu życzy, aby się mu dobrze powodziło; na co pan Gamfield zwykle dodawał, iż mu życzy, aby się do niego dostał. To życzenie było jednak wprost życzeniu pana Bumble przeciwne, lubo się zresztą obaj we wszystkiém prawie jak najlepiéj zgadzali.

Nazajutrz rano publiczność napowrót uwiadomiono, że Oliwer Twist jest na wydaniu, a ten, co go do siebie wziąść zechce, pięć funtów nagrody dostanie.

ROZDZIAŁ IV.

Oliwer dostaje inne miejsce, i poraz piérwszy w świat wstępuje.

U rodzin znacznych i znakomitych jest to powszechnie przyjętym zwyczajem, że się syna młodszego na morze jako kadeta okrętowego wysela, jeżeli się dla niego czy to przez zakupienie, czy też przez następstwo, puściznę, lub przydłuższe czekanie, miejsca korzystnego otrzymać nie może.

Zbór tedy, naśladując przykład tak zbawienny, zaczął radzić nad uwolnieniem się od wszelkiego kłopotu wysłaniem Oliwera Twista na morze, na jakim małym, kupieckim okręcie, do byle jakiego portu bardzo niezdrowego, i jednogłośnie na to się zgodził, że miejsca lepszego dla tego chłopca znaleść nie można. Zrobili bowiem tę uwagę, że wielkie było podobieństwo, iż go kapitan okrętu, według swego zwyczaju, albo tak długo codziennie po objedzie chłostać każe, dopókąd go na śmierć nie zachłosta, albo też drążkiem żelaznym głowę

mu rozbije ; .... a wszystkim jest wiadomo, że te dwie zabawy są zwykłą i najmilszą rozrywką tych panów.

Czém więcéj tedy zbór nad tém rozmyślał, i ten wzgląd brał na uwagę, tém liczniejsze korzyści w tém postanowieniu upatrywał, tak dalece, iż w końcu do tego wniosku doszedł, że niezwłoczne wysłanie Oliwera na okręt, jedynym i najlepszym sposobem zapewnienia jego losu było.

Wysłano tedy pana Bumble z poleceniem wywiedzenia się najprzód dobrze o wszystkiém, co z tym zamiarem pewną styczność miało, i wyszukania przytém jakiego kapitana okrętu, lub téż jakiéj inny osoby, któraby małego chłopca, sieroty bez rodziny i przyjaciół, do usług potrzebowała, i z sobą na okręt wziąść chciała.

Bumble wracał właśnie z téj wyprawy do domu roboczego, aby zdać sprawę ze swego poselstwa, gdy się tuż pod bramą z panem Sowerberry, przedsiębiorcą pogrzebów tego miasteczka, spotkał.

Pan Sowerberry był to wysoki, barczysty mężczyzna, w czarnym, wytartym surducie, łatanych pończochach bawełnianych téjże saméj barwy, i odpowiednich całemu ubiorowi trzewikach. Oblicze jego nie miało wcale wrodzonéj skłonności do uśmiechu, lubo powszechnie z tego był znany, że wesołość właściwą swego rzemiosła posiadał.

Gdy się do pana Bumble zbliżał, chód jego był lekki, a oblicze wewnętrzną radością jaśniało. Powitawszy Woźnego, uściskał go serdecznie za rękę:

— Wziąłem miarę tych dwóch kobiet, panie Bumble, które ostatniéj nocy umarły, — rzekł przedsiębiorca.

— Jeszcze się majątku z nas dorobisz, panie So-

werbery, — odpowiedział na to Woźny i zatopił głęboko swe dwa palce w tabakierkę pana Sowerberry, bardzo ładny i przemyślny wzorek mały uprzywilejowanéj trumienki przedstawiającą, którą mu tenże uprzejmie podał.

— Jestem przekonany o tém, że się jeszcze majątku dorobisz, panie Sowerberry, — powtórzył Bumble, poklepawszy go z lekka i po przyjacielsku laską swoją urzędową po ramieniu.

— Czy tak myślisz? — odpowiedział na to Przedsiębiorca głosem na pół zaprzeczającym i na pół przypuszczającém prawdopodobieństwo tego wypadku. — Cena przez zbór naznaczona jest za nadto mała, mój p. Bumble.

— Nie mniejsza od trumien, — odpowiedział Woźny, o tyle tylko usta do uśmiechu zmuszając, o ile na to powaga urzędowa zezwalała.

Lecz pana Sowerberry ta uwaga bardziéj rozśmieszyła, jak mu to roztropność nakazywała. Śmiał się tedy długo bez przestanku.

— Prawda,.... prawda,.... panie Bumble, — rzekł nakoniec, — nie można tego zaprzeczyć, że od czasu, jakeście wasz nowy system żywienia ubogich w tym domu roboczym zaprowadzili, trumny trochę węższe i płytsze wypadają, jak dotąd zwykle bywały. Lecz i my przecież jaki taki zysk mieć musimy, panie Bumble. Dobre suche drzewo w tych czasach bardzo rzadkie i drogie, a rączki żelazne wszystkie z Birmingham kanałem sprowadzać muszemy.

— Słuszna prawda! — odpowiedział pan Bumble. — I kura grzebie, aby coś wygrzebała, a zysk uczciwy nikogo nie krzywdzi.

— Rzecz pewna,... rzecz pewna,... — potwierdził Przedsiębiorca, — a ja nie mogę mego zysku ciągnąć z tego lub owego osobno, lecz go muszę z mego całego długiego towaru wydobyć, jak sami wiecie panie Bumble,.... ha! ha! ha!

— Wielka prawda, — odpowiedział Bumble.

— Lubo wyznać muszę szczerze, — prowadził daléj Przedsiębiorca ciąg swoich uwag, które mu Woźny przerwał; — lubo wyznać muszę szczerze, panie Bumble, że nieraz z wielkiemi przeciwnościami walczyć muszę, gdyż właśnie ludzie najsilniejsi i najroślejsi najprędzéj z tego świata schodzą;.... to jest, ja powiadam: że ludzie, którzy do lepszego życia przyzwyczajeni byli, i przez wiele lat podatki płacili, pierwsi umierają, jeżeli w tym domu przytułek znajdą. A proszę mi wierzyć panie Bumble, że dwa lub trzy cale więcéj na trumnie nad przyjęte obliczenie, zaraz uszczérbek znaczny w zysku nam robi, zwłaszcza, jeżeli człowiek ma w domu żonę, dzieci i na tylnie kółka oglądać się musi.

Sowerberry to wyrzekł ze zwykłém oburzeniem człowieka, który się oszukanym być mniema; a że pan Bumble czuł, iż ta cała sprawa przy bliższém zastanowieniu nie wielki zaszczyt przełożonym Gminy przynosiła, uznał przeto za rzecz najroztropniejszą zmienić przedmiot rozmowy. Mając zaś ciągle Oliwera na myśli i w sercu, przeto téż mowę zaraz na niego zwrócił.

— Ale, ale,... — ozwał się pan Bumble: — Czy nie znasz panie Sowerberry przypadkiem kogo, coby chłopca do nauki lub usług potrzebował?.... co?.... chłopca z roboczego domu? który nam teraz jest cięża-

rem,.... kamieniem młyńskim u szyi Gminy, mówiąc po prostu. Nie zły to handelek panie Sowerberry,.... wierzajcie mi, że nie zły.

Pan Bumble to mówiąc, wskazał przytém laską swoją urzędową na uwiadomienie na bramie przybite, i potrzykroć mocno nią uderzył w te słowa: *pięć funtów*, odbite pismem rzymskiém, olbrzymiego rozmiaru.

— Dalibóg, — zawołał Przedsiębiorca, chwytając Woźnego za galonem złotym obszyte wyłogi jego urzędowéj sukni, — właśnie chciałem o tém z wami pomówić, panie Bumble.... Co ja widzę!.... jakie piękne guziki, panie Bumble; jeszczem ich nigdy u was nie widział.

— Prawda, że są ładne nie lada, — odpowiedział Woźny, spoglądając z dumą na te wielkie, świecące guziki, którymi ubiór jego był przystrojony. — Godło na tych guzikach to samo, co i na pieczęci Gminy: miłosierny Samarytanin, pielęgnujący rannego i chorego człowieka. Zbór mi ten ubiór na nowy rok podarował. Jak sobie przypominam, tom go wdział na siebie po raz pierwszy owego dnia, kiedyśmy przytomni byli śledztwu względem owego kupca zubożałego, który pewnéj nocy tu pod bramą umarł.

— Przypominam sobie bardzo dobrze to zdarzenie, — odpowiedział Przedsiębiorca. — Sądy przysięgłych wtedy wyrok wydały: Umarł z zimna i braku pierwszych potrzeb do życia!.... nieprawda?

Pan Bumble kiwnął głową na znak potwierdzenia.

— Jeźli się nie mylę, to nawet Sądy w wyroku swoim dodały, — mówił daléj Przedsiębiorca, — że, gdyby urzędnik dozorujący tego domu był....

— Ot,.... lepiéj bądź cicho,.... i nie powtarzaj takich głupstw; — przerwał mu Woźny w złości. — Gdyby Zbór miał na wszystkie niedorzeczności zważać, które mu Sądy przysięgłych, składające się z ludzi, żadnego wyobrażenia o świecie nie mających, nagadają, toby miał bardzo wiele do czynienia.

— To wielka prawda, — potwierdził Sowerberry z przekąsem, — wielka i święta prawda.

— Przysięgli, — mówił daléj Bumble, chwytając mocniéj za laskę, jak to zwykle czynił, jeżeli w gniew wpadał; — przysięgli są to prostacy, bez wykształcenia, bez wiadomości, i tylko kłócić się lubią.

— Nicinaczéj,.... nicinaczéj, — potwierdził Przedsiębiorca.

— Oni tyle nawet filozofii i znajomości gospodarstwa społeczeńskiego nie posiadają, — zawołał w zapale pan Bumble i strzepnął z pogardą palcami.

— Wielka prawda,.... wielka prawda! — potwierdził Sowerberry.

— Ja nimi pogardzam, — zawołał Woźny, zapyrzony ze złości.

— I ja to samo, — powtórzył Sowerberry.

— Jabym sobie tylko życzył, abyśmy kilku tych zagorzałych przysięgłych na tydzień lub dwa przynajmniéj do naszego domu dostali, — rzekł Woźny, — a ręczę, żeby ustawy i rozporządzenia naszego Zboru wkrótce ich ducha upokorzyły.

— O niezawodnie, — odpowiedział Przedsiębiorca, i uśmiechnął się zarazem, aby gniew kipiący oburzonego Woźnego Gminy uspokoić.

Bumble zdjął z głowy swój kapglusz trójgraniasty,

wyjął z niego chustkę od nosa, obtarł nią czoło z potu, oblicie z gniewu po niém ciekącego, zasadził potém kapelusz napowrót na głowę, i zwróciwszy się do Przedsiębiorcy, rzekł do niego z większą nieco spokojnością:

— No i cóż?.... jakże będzie z chłopcem?

— Jak?.. — odparł Przedsiębiorca, — wszak sami wiecie najlepiéj, panie Bumble, że nie mało podatku na ubogich płacić muszę!....

— Czy tak?.... — mruknął pan Bumble, — nie mało?

— Nieinaczéj, — odpowiedział Przedsiębiorca. — Sądzę przeto, że kiedy tyle na nich płacę, to i prawo mam, tyle na nich zyskać, ile tylko mogę,.... nieprawda panie Bumble?.... dla tego się mi zdaje,.... żebym sam tego chłopca mógł wziąść do siebie.

Pan Bumble nic na to nie odpowiedział, lecz natychmiast pana Sowerberry za rękę chwycił, i z największym pośpiechem do izby radnéj go zaprowadził.

Pan Sowerberry nie długo się ze Zborem umawiał. Ugoda wkrótce pomiędzy nimi stanęła, a w skutek téjże Oliwer tego wieczora jeszcze *na próbę* do niego miał być oddany;.... co ze względu na sierotę Gminy tyle ma znaczyć, że gdy się majster przekona, iż pracą z chłopca więcéj daleko zysku wydobyć może, jak żywnością w niego włożyć musi, wtedy go jako chłopca do nauki na tyle lat bierze, na ile mu się tylko podoba.

Tego jeszcze wieczora przyprowadzono małego Oliwera przed oblicze Zboru, który mu oświadczył, iż téj nocy jeszcze panu Sowerberry, przedsiębiorcy pogrze-

bów, jako chłopiec do posługi w sklepie zostanie oddany. Przytém mu zagrożono, aby się nigdy nie poważył pana swego opuścić i do domu roboczego powrócić; inaczéj, gdyby się mu to kiedykolwiek uczynić spodobało, natychmiast na morze wysłanym zostanie, gdzie go albo zabiją, albo też utopią, stósownie do woli i przywidzenia kapitana okrętu.

Lecz Oliwer tak mało czucia na te groźby okazał, iż cały Zbór jednogłośnie oświadczył, że jest chłopcem krnąbrnym i niepoprawnym złoczyńcą. W końcu rozkazano Woźnemu natychmiast go z ich oczów oddalić.

Lubo to nie jest rzeczą wcale zadziwiającą, owszem, najprościejszą nawet, iż Zwierzchnicy Gminy z wszystkich ludzi prawo największe mają natychmiast w gniew i cnotliwe oburzenie wpadać, jeżeli u kogokolwiek najmniejszy brak czucia dostrzegą, w obecnym jednak przypadku słuszności wcale za sobą nie mieli. Cała rzecz bowiem z Oliwerem tak się miała, iż on nie tylko nie mało, lecz owszem za nadto wiele czucia posiadał, i tylko przez złe i nielitościwe obejście się, którego od dziecieństwa, a szczególnie w ostatnich czasach doznawał, prosto do stanu zwierzęcéj niedbałości i otrętwienia zupełnego dążył.

W milczeniu przeto wysłuchał owéj wiadomości o nowém przeznaczeniu swojém, okazując największą obojętność na całą przyszłość swoję; a gdy w końcu zawiniątko do rąk odebrał, — które mu bardzo ciężyć nie mogło, wszystko bowiem co w niém było, zmieściło się w paczce z siwego papieru, pół stopy w przecięciu długości, tyleż szerokości, i trzy cale grubości mającéj, — nacisnął czapkę na uszy, i uchwyci-

wszy się jeszcze raz poły złotemi galonami obszytéj sukni pana Bumble, na nową widownię cierpień pod przewodnictwem tego człowieka zacnego się udał.

Przez długi czas Bumble Oliwera wlókł za sobą, nie dając na niego najmniejszéj baczności lub uwagi, i pośpieszał żywo, z głową dumnie do góry zadartą, jak na Woźnego Gminy przystoi. A że to był dzień właśnie bardzo wietrzny, małego Oliwera ani widać nie było z po za poły wierzchniéj sukni pana Bumble, którą wiatr ciągle rozwiewał, i tym sposobem długą, białą kamizelkę jego i krótkie spodnie bardzo korzystnie rozkrywał.

Jednak, gdy już nie daleko miejsca przeznaczenia byli, pan Bumble uznał za rzecz potrzebną głowę nachylić i na dół spojrzeć, czyli też chłopczyna w takim stanie się znajduje, aby go nowemu panu z zaletą przedstawić można; co też i natychmiast z całą dobrotliwością przychylnego opiekóna uczynił.

— Oliwer! — zawołał na chłopca Woźny.

— Słucham pana, — odpowiedział Oliwer głosem drżącym z bojaźni.

— Usuń czapkę z oczów i wyprostuj głowę, mój chłopcze!

Lubo biedny Oliwer natychmiast wszystko wypełnił, czego od niego zażądano, i grzbietem ręki wolnéj łzy sobie z oczów otarł, łza jednak w nich na nowo zabłysła, gdy oczy do góry podniósł i na swego przewodnika spojrzał. A kiedy Bumble z powagą i surowością na niego okiem rzucił, ta łza po licu jego się potoczyła, a za nią druga, i trzecia i w końcu cały strumień.

Biedny chłopiec wprawdzie wszelkich sił dokładał,

aby je wstrzymać i zatamować, lecz nadaremnie. Wysunął tedy i drugą rękę z objęcia pana Bumble, zakrył sobie twarz obiema, i tak szczerze płakać zaczął, że się mu łzy aż z pomiędzy jego szczuplutkich i chudych palców potokiem sączyły.

Na ten widok pan Bumble naraz się zatrzymał, i groźne spojrzenie na chłopca rzuciwszy, zawołał:

— Jeszcze mi się *nigdy* w mojém życiu takiego chłopca niewdzięcznego i złośliwego, jak ty, Oliwerze, widzieć nie zdarzyło....

— Ach dobry, kochany panie! — odpowiedział szlochając Oliwer, i chwycił Woźnego za rękę, uzbrojoną w ową dobrze nam znaną laskę urzędową; — nie jestem ja niewdzięcznym,....nie, nie,.....mój drogi, kochany panie;....ja się będę zawsze dobrze sprawował, doprawdy, doprawdy, że będę..... wszak ja jeszcze tak młodym chłopcem jestem, Sir, a już tak....tak....

— No i cóż tak? — zapytał Bumble z zadziwieniem.

— Tak opuszczonym, Sir,.... od wszystkich opuszczonym! — zawołała z płaczem i żalem chłopczyna. — Wszyscy mnie nienawidzą. Ach, panie, błagam cię, nie gniewaj się i ty na mnie.

Chłopczyna, to mówiąc, rękę na sercu położył, i z łzami rzewnemi najszczerszéj boleści swojemu towarzyszowi w oczy spojrzał.

Pan Bumble spoglądał przez kilka chwil z zadziwieniem na tego bolejącego i litości żebrającego chłopca, odkrząknął potém kilka razy chrypliwie, mruknął sobie pod nosem, coś nakształt: „ten przeklęty kaszel,“ kazał Oliwerowi otrzyć oczy, i wszelkich sił dokładać,

aby zawsze być dobrym i posłusznym; a uchwyciwszy go nakoniec powtórnie za rękę, szedł z nim daléj w milczeniu.

. . . .

Pan Sowerberry kazał właśnie godła swoje z ulicy pozdejmować, okienice i drzwi od składu pozamykać, sam zaś zasiadł do biórka, aby przy świetle lichéj, niestósownéj świecy dochód dniowy do księgi obrachunkowéj zaciągnąć, gdy pan Bumble wszedł do składu.

— Witam, witam, panie Bumble! — zowołał Przedsiębiorca, ucinając pisanie w połowie słowa.

— Nie jestem ja sam, panie Sowerberry, nie sam! — odpowiedział Woźny; — przyprowadziłem wam chłopca.

Oliwer się ukłonił.

— A zatém to jest ten chłopiec? — zapytał Przedsiębiorca i wzniósł świecę po nad głowę, aby się Oliwerowi lepiéj mógł przypatrzeć. — Pani Sowerberry, czy nie raczysz do mnie wyjść na chwilkę do sklepu, moja droga?

Pani Sowerberry się niebawem na progu małéj izdebki, w tyle składu leżącéj, pojawiła. Była to kobieta nizkiego wzrostu, szczupła, chuda, zawiędła, z obliczem, w którém złośliwość wyryta była.

— Moja luba, — rzekł pan Sowerberry z wielkiém uszanowaniem, — oto jest ten chłopiec z roboczego domu, o którym ci niedawno mówiłem.

Oliwer powtórnie się ukłonił.

— Na miłość boga! — zawołała żona Przedsiębiorcy, — jakiż to chłopczyna mały!

— Prawda, że *jest* mały, — odparł Bumble, spoj-

rzawszy przytém z takim wyrazem na Oliwera, jakby to jego winą było, że nie był roślejszym; — prawda, że *jest* mały;.... temu zaprzeczyć nie można. Ale on jeszcze podrośnie, moja pani Sowerberry, on z pewnością jeszcze podrośnie.

— O ja wiem bardzo dobrze, że on jeszcze podrośnie, — odpowiedziała Jejmość z przekąsem, — ale na naszym chlebie i jadle. Ja w tém żadnéj oszczędności nie widzę, brać chłopców z roboczego domu do siebie, gdyż więcéj tylko zjedzą, jak cały zarobek ich warta; ale ci mężowie zawsze chcą bydź mędrszymi, i wszystko lepiéj wiedzieć muszą...... Ruszże się rusz z miejsca, i zejdź na dół po schodach, ty mały kościeniu!

Pani Sowerberry to mówiąc, drzwi małe, boczne, otworzyła, i wepchnęła Oliwera po schodach do komórki ciemnéj, wilgotnéj, stanowiącéj przedsionek do piwnicy, i *kuchnią* ochrzczonéj, w której dziewczyna brudna, w trzewikach z zadeptanymi napiętkami i pończochach niebieskich, gwałtem pilnéj i wielkiéj naprawy się domagających, siedziała.

— Słyszysz Karolino! — zawołała pani Sowerberry, zeszedłszy tuż za Oliwerem na dół; — daj temu chłopcu to mięso, co się dla psa pozostało. Od rana go jeszcze w domu nie było, to też i jeść nic nie dostanie. Mnie się zdaje, że to zjesz z ochotą, nieprawda chłopcze?

Oliwer, którego oczy się na samo wspomnienie mięsa zaiskrzyły, zaczął drżeć z czystéj chciwości pochłonięcia tego przysmaczku jak najprędzéj, i odpowiedział potwierdzająco na zapytanie. Niebawem też i talerz

mięsa z różnymi resztkami i kościami na stole przed nim postawiono.

Byłbym sobie życzył, aby jaki filozof dobrze wykarmiony, w którego żołądku jadło i napój w żółć się zamienia, ... którego krew to lód, a serce to żelazo, mógł był widzieć téj chwili Oliwera, połykającego te przysmaczki mięsa, o które pies nawet nie dbał, i poświadczyć, z jaką żarłocznością okropną, z jaką chciwością wygłodniałego źwierzęcia te kęsy jeden po drugim pochłaniał!....

— No i cóż, — ozwała się żona Przedsiębiorcy, gdy Oliwer wieczerzę swoję skończył, na którą się ze zgrozą wewnętrzną i obawą przed jego przyszłą żarłocznością, patrzyła, — czy masz już dosyć?

Oliwer, nie widząc już nic więcéj takiego przed sobą, coby mu się zjedzenia godném być zdawało, odpowiedział z potwierdzeniem na to zapytanie swéj pani.

— To chodź za mną, — rzekła pani Sowerberry, biorąc z sobą kaganek brudny, smrodliwy, i wracając po schodach na górę. — Łoże twoje pod stołem. Może się boisz spać pomiędzy trumnami?... Czy ty się jednak boisz, lub nie boisz, o to wcale nie chodzi, gdyż dla ciebie innego miejsca niema. Chodź i nie zatrzymuj mię tutaj przez całą noc!

Oliwer nie ociągał się dłużéj i poszedł za swoją nową panią.

ROZDZIAŁ VII.

Oliwer nową znajomość zawiera, a towarzysząc swemu panu po raz pierwszy na pogrzeb, złego wyobrażenia o zatrudnieniu swego pana nabiera.

Oliwer, w składzie Przedsiębiorcy pogrzebów sam jeden zostawiony, postawił kaganek na warsztacie, i spojrzał w koło siebie ze zgrozą i trwogą, któréjby nie jeden z wiele starszych od niego w podobném położeniu doznał, i ukazać się nie wahał.

Trumna, jeszcze nieskończona, stojąca na czarnych podstawkach na samym środku składu, tak ponuro i pogrzebowo wyglądała, że dreszcz zimny biednego chłopca każdego razu wskróś przejął, ile razy się jego oczy w kierunku tego groźnego przedmiotu zbłąkały; zawsze mu się bowiem zdawało, że jakaś postać okropna i przerażająca, głowę z niéj koniecznie wychylić musi, i w obłąkanie go ze zgrozy wprawi.

Wzdłuż ściany stał długi szereg desek, porządkiem

ustawionych, wszystkie w jednym kształcie poprzyżynanych, i przy tém świetle bladém, ponurém, jego kaganka, niby widma szeroko barczyste, ręce w spodniach trzymające, wyglądających. Wieka od trumień, heblowiny, błyszczące goździe, i kawały czarnego sukna, to wszystko leżało rozrzucone na podłodze, a ściana nad biórem przyozdobiona była w obraz, przedstawiający jaskrawemi barwami dwóch pachołków pogrzebowych, w swoim właściwym żałobnym ubiorze, a obok nich karawan, przed wspaniałemi drzwiami jakiegoś pałacu stojący, do którego cztery, czarnymi kirami pokryte konie zaprzężone były.

Skład, w którym Oliwer zamieszkał, był wązki i nizki, a powietrze w nim zdawało się być duszne, zapachem grobowym przesiąknięte. Nawet i łoże owe, pod stołem dla niego przeznaczone, wielkie podobieństwo do trumny miało.

Były to wprawdzie wszystko uczucia niemiłe i przykre dla Oliwera, ale prócz nich jeszcze inne serce jego boleśnie udręczały.

Wszak on sam jeden był w miejscu obcém, a my wszyscy bardzo dobrze o tém wiemy, jak smutnym i nieszczęśliwym by się czuł każdy z nas, choćby nawet najlepszy, gdyby się w podobném położeniu znajdował. Biedny chłopczyna nie miał żadnych przyjaciół, którzyby się o niego byli troskali, lub on się przynajmniéj o nich był mógł troskać.

Jego pamięć nie pieściła żadnego żalu za świeżém rozstaniem, a żadne wspomnienie miłego i drogiego oblicza nie obciążało lubym smutkiem jego serca. A jednak to serce było strapione, i tém życzeniem zatę-

skniło, gdy się na swoje twarde i wązkie łoże rzucił, aby ono trumną dla niego się stało, i on już spokojnym, wiekuistym snem zdjęty, w grobie na cmentarzu spoczywał, trawa bujna nad jego głowami rosła, a dźwięk dzwonów kościelnych do tego snu wiecznego mu przyśpiewywał.

Nazajutrz rano silne uderzenie we drzwi składu ze snu go przebudziło. To uderzenie powtórzyło się najmniéj dwadzieścia razy z wszelkimi oznakami gniewu i oburzenia, nim się biedny Oliwer ubrać był w stanie. A gdy nakoniec łańcuchy i zapory od drzwi składowych odejmować zaczął, owe nogi zabawę swoję zaprzestały. i głos nieznajomy się odezwał:

— Czemu drzwi nie otwierasz? — zawołał ów głos, należący do tych nóg, co się właśnie z takim hałasem do drzwi dobijały.

— Natychmiast je otworzę, panie, — odpowiedział Oliwer, odjąwszy ostatnią zaporę, i zakręciwszy kluczem w zamku.

— Czy to ty jesteś, chłopcze nowo przybyły? — zapytał głos przez dziurkę od klucza.

— Tak jest, panie! — odpowiedział Oliwer.

— Ile masz lat? — pytał daléj ów głos.

— Dziesięć, panie, — odpowiedział Oliwer.

— No, to dostaniesz cięgi, jak tylko do składu wejdę, — zawołał ów głos, — spuść się na to, ty młody wisusie z roboczego domu!

Ów głos, dawszy Oliwerowi tę pocieszającą obietnicę, zaczął sobie świstać.

Oliwer za nadto często temu ruchowi podlegał, którym go ów prawdziwie krótko, lecz dobitnie się wyra-

żający głos powitać przyrzekł, aby na chwilę przynajmniéj wątpliwość najmniejszą był miał zachować, iż właściciel tego głosu, ktokolwiek on będzie, w sposób dla siebie najzaszczytniejszy tego słowa danego nie dotrzyma. Ręką drżącą przeto zasuwkę ostatnią odsunął, i drzwi na oścież otworzył.

Przez kilka chwil Oliwer po ulicy to w tę, to w ową stronę spoglądał, w tém mniemaniu, że ów nieznajomy, który przez dziurkę od klucza z nim rozmawiał, po ulicy przejść się musiał, aby się cokolwiek rozegrzać; lecz nikogo nigdzie nie spostrzegł, wyjąwszy otyłego chłopca z domu miłosierdzia, siedzącego na kamieniu wprost naprzeciwko składu, i spożywającego spokojnie kromkę chleba z masłem, którą kozikiem na kawałki wielkości otworu swych ust krajał i potém je z wielką żarłocznością pochłaniał.

— Proszę mi powiedzieć, — ozwał się nakoniec Oliwer, niewidząc nikogo więcéj na ulicy, — czyście to nie wy przed chwilą do drzwi pukali?

— Tak jest,... ja to pukałem, — odpowiedział ów chłopiec.

— Czy sobie może trumny życzycie, Sir? — zapytał Oliwer prostodusznie.

Na to pytanie ów chłopiec z domu miłosierdzia groźnie na Oliwera spojrzał i odpowiedział, iż on sam w krótce dla siebie trumny potrzebować będzie, jeżeli sobie takie żarty ze swoim przełożonym pozwala.

— Jak widzę, to nie wiesz, kto ja jestem, chłopcze z roboczego domu, ha? — zawołał chłopiec z domu miłosierdzia, podniósłszy się z nadzwyczajną godnością z kamienia, na którym siedział.

— Nic, panie! — odpowiedział Oliwer.

— Ja jestem pan Noa Claypole, — rzekł na to ów chłopiec z domu miłosierdzia, — a ty jesteś moim podwładnym. Pootwieraj okiennice i pozawieszaj godła, ty chłopcze przemierzły!

Pan Noa Claypole, to wyrzekłszy, biednego Oliwera najprzód silnie kułakiem w plecy uderzył, a potém z wielką godnością do składu wszedł, co mu wielką powagę u niego zjednać miało, lubo to jest rzeczą bardzo trudną dla chłopca nizkiego, z łbem wielkim, małemi oczyma, twarzą głupkowatą w jakimkolwiek położeniu swego życia poważnie wyglądać, zwłaszcza, jeżeli się z tymi wdziękami osobistymi nos czerwony i spodnie skórzane, żółte, połączą.

Gdy Oliwer okiennice pozdejmował i szybę już nawet przez swoje gorliwe natężenie wybił, aby je podnieść i na małe podwórze w domu zanieść, gdzie je przez cały dzień przechowywano, pan Noa dopiero wtedy do niego się zbliżył, i pocieszywszy go tém miłem zapewnieniem: *że coś obcrwie*, tak dalece się poniżył, iż mu w pomoc przyjść raczył.

Nie zadługo też pan Sowerberry się zjawił, a w kilka chwil po nim i jego droga małżonka, pani Sowerberry, w składzie się pokazała; poczém Oliwer, *obcrwawszy* coś za stłuczoną szybą, jak mu to Noa przepowiedział, za tym chłopcem do kuchni na śniadanie się udał.

— Siadaj bliżéj przy ogniu, Noa, — rzekła Karolina. — Schowałam dla ciebie kawałek szynki z pańskiego śniadania. Oliwerze, zamknij drzwi za panem Noa, i weź sobie to, co tam leży na pokrywie od dzieżki,

Oto jest twoja herbata, weź ją sobie tam na skrzynię i wypij ją, tylko żywo, bo cię wnet na górze w składzie potrzebować będą. Słyszałeś?

— Słyszałeś, chłopcze z roboczego domu? — powtórzył Noa Claypole.

— Oj ty niepoczciwy Noa! — rzekła Karolina, — jaki z ciebie człowiek dziwny! dla czegóż temu chłopcu nie dasz pokoju?

— Jemu dać pokój! — odparł Noa. — Czyliż mu cały świat nie daje pokoju?....Wszakże go jego własny ojciec i matka odstąpili i pokój mu dają; wszyscy krewni go opuścili i pokój mu dają. No i cóż, Karolino, czy nie dobrze? ha! ha! ha!

— Oj ty dziwaku, ty! — odpowiedziała Karolina, i na całe gardło się rozśmiała.

Ten śmiech i Noa podzielał, a oboje potém z gniewem i złością na biednego Oliwera spoglądali, który, drżąc z zimna, w najodleglejszym kącie kuchni na skrzyni siedział, i najlichsze kęsy jadła, naumyślnie dla niego wybrane, spożywał.

Noa był chłopcem z domu miłosierdzia, lecz nie sierotą z domu roboczego.

On nie był dzieckiem przypadku, albowiem swój rodowód aż do swoich rodziców, niedaleko nawet mieszkających, wyprowadzić zdołał. Jego matka była praczką, a ojciec żołnierzem, pijakiem, uwolnionym z wojska z jedną nogą drewnianą, i dwudziestu jeden fenikami dziennego żołdu, prócz małego jeszcze ułamku.

Chłopcy z sąsiedztwa już od dawna za zwyczaj sobie wzięli Noego, właściwym ubiorem chłopca z domu miłosierdzia napiętnowanego, różnemi hańbiącemi prze-

zwiskami, jak n. p. *chłopiec w skórzanych spodniach, chłopiec z domu miłosierdzia*, i t. d. na ulicy prześladować, a Noa to wszystko cierpliwie i pokornie znosić musiał. Lecz teraz, kiedy los sierotę bez imienia pod rękę mu poddał, na której się najostatniejszy nawet z ludzi mógł mścić bezkarnie, więc też i on na niéj swoje cierpienia hojnie chciał powetować.

Ta okoliczność podaje nam przedmiot do rozmyślania bardzo zajmujący.

Pokazuje nam, jaką rzeczą piękną jest ludzkie serce, i jak bezstronnie przyroda te same przymioty i zalety miłe i przyjemne tak w lordzie najświetniejszym, jak i w chłopcu najnędzniejszym z domu miłosierdzia rozwinęła.

. . . .

Oliwer już więcéj jak cztery tygodnie w domu Przedsiębiorcy pogrzebów zostawał, gdy pan Sowerberry, schroniwszy się do swéj tylniéj izdebki z godną swoją połowicą na wieczerzę, po wielu pokornych i błagających spojrzeniach na swoję żonę nakoniec rzec się ośmielił:

— Kochana żono....

Chciał jeszcze coś więcéj powiedzieć, lecz ta kochana żona, takie szczególne, nieprzyjemne wejrzenie na niego rzuciła, że natychmiast uciął.

— No i cóż takiego? — zapytała żona opryskliwie.

— Nic, moja kochana żono, nic, wcale nic, — odpowiedział pan Sowerberry pokornie.

— Jakież z ciebie głupie źwierze! — zawołała pani Sowerberry wzgardliwie.

— Nie ze wszystkiém, moja kochana żono, nie ze wszystkiém, — odparł pan Sowerberry z pokorą. — Sądziłem, że mię zechcesz wysłuchać, moja droga. Ja ci tylko chciałem powiedzieć ..

— Ja zaś tego wcale słyszeć nie chcę, coś mi chciał powiedzieć, — przerwała mu jego kochana żona. — Ja nie jestem niczém, a zatém się mię nieradź wcale; bardzo cię o to proszę. Ja się niechcę wcale w twoje tajemnice wciskać.

Gdy to pani Sowerberry wyrzekła, śmiech kurczowy, histeryczny, ją pochwycił, który bardzo złe skutki za sobą mógł pociągnąć.

— Ależ moja kochana żono, — rzekł Sowerberry, — ja się tylko chciałem o twoje zdanie zapytać....

— Nie, nie, ja niechcę, żebyś się mnie o moje zdanie pytał, — odpowiedziała pani Sowerberry z udaną skromnością, — spytaj się lepiéj kogo innego.

Poczém ów śmiech kurczowy na nowo wybuchnął i panna Sowerberry mocno przeraził.

Ten śmiech jest środkiem bardzo powszechnym, w małżeństwie zwykle używanym, i najczęściéj bardzo skutecznym. I w tym przypadku także to sprawił, iż pan Sowerberry za łaskę największą sobie uprosił pozwolenie powiedzenia tego, co pani Sowerberry z upragnieniem słyszeć chciała.

Po krótkiéj tedy sprzeczce, nie więcéj jak trzy ćwierci godziny trwającéj, pan Sowerberry sobie w końcu pozwolenie jak najuprzejmiejsze wyjednał.

— Chciałem tylko z tobą o tym chłopcu małym, o Oliwerze Twiście pomówić, moja droga, — rzekł

pan Sowerberry. — Jak się mi zdaje, ten chłopiec miłe i dobrze wygląda, moja kochana żono.

— Jakżeż niema dobrze wyglądać, kiedy je za czterech, — odrzekła pani Sowerberry opryskliwie.

— Jakiś wyraz smutku bardzo zajmujący w jego twarzy się przebija, — mówił daléj Przedsiębiorca, — który jej wiele powabności nadaje. Ja sądzę, żeby z niego był pachołek pogrzebowy bardzo przyzwoity, moja kochana!

Pani Sowerberry spojrzała na swego męża z wyrazem niemałego zadziwienia. Pan Sowerberry to spostrzegł, i niedając żonie czasu do zrobienia najmniejszéj uwagi, mówił daléj:

— Ja nie mówię, aby go używać jako pachołka do prowadzenia pogrzebów zwyczajnych ludzi dorosłych, moja kochana, tylko do pogrzebów dzieci. Taki pachołek odpowiedni byłoby to coś nowego i mocno by się podobało. Ja wiem, żeby to wielkie wrażenie zrobiło.

Pani Sowerberry, mająca wiele smaku w urządzaniu pogrzebów, mocno była uderzona nowością tego pomysłu. Żeby jednak godności swojej była ubliżyła, gdyby w tych okolicznościach zasługę tego pomysłu była mu przyznała, zapytała się go jedynie z większą daleko jak zwykle cierpkością, dla czego ta myśl pierwéj do głowy mu nie przyszła?

Pan Sowerberry zaś wziął to pytanie słusznie za tajne potwierdzenie swego zamiaru i postanowił szczerze Oliwera jak najprędzéj w tajemnice swego rzemiosła poświęcić. W tym celu nakazał mu, zawsze być gotowym, ażeby swojemu panu przy najpierwszéj spo-

sobności mógł towarzyszyć, gdyby mu usługi jego były potrzebne.

Tej sposobności długo czekać nie potrzebowano, gdyż zaraz nazajutrz, w półtoréj godziny blisko po śniadaniu, pan Bumble wpadł do składu, laskę swoję urzędową oparł o biórko, wydobył z kieszeni swój pulares skórżany, wyjął z niego małą kartkę i podał ją panu Sowerberry.

— Aha! — zawołał Przedsiębiorca, spoglądając na tę kartkę z radością, — zamówienie na trumnę i pogrzeb, nieprawdaż?

— Najprzód na trumnę, a potém na pogrzeb na koszta Gminy....

Odpowiedział Bumble, chowając na powrót do kieszeni swój pulares skórzany, co do grubości bardzo do niego podobny.

— Bajton! — zawołał Przedsiębiorca, spoglądając to na kartkę, to na pana Bumble na przemian. — Jeszczem tego nazwiska nigdy nie słyszał.

Bumble wstrząsnął głową i odpowiedział:

— Jest to naród uparty, panie Sowerberry, bardzo uparty; a pyszny aż strach, Sir!

— Pyszny? doprawdy! — zawołał Sowerberry z szyderskim uśmiechem. — Ejże, i to bardzo?

— Aż do znudzenia, — odpowiedział Woźny; — aż do odrazy, panie Sowerberry.

— To prawda, to prawda! — potwierdził Przedsiębiorca, aby Woźnego uspokoić.

— Nie słyszeliśmy jeszcze nigdy o nim, dopiero wczoraj wieczór, — rzekł Woźny, — i bylibyśmy go może nigdy nie poznali, gdyby się kobieta, miesz-

kająca wraz z nim w jednym domu i litością tknięta, do Przełożonych Gminy nie była udała, aby lekarza Gminy przysłano do kobiety bardzo choréj u niego. Lekarz był właśnie przy objedzie; ale jego pomocnik, człowiek młody bardzo uczony, posłał jéj natychmiast lekarstwo we flaszce od czernidła.

— A to co się nazywa pomoc śpieszna! — zawołał z uśmiechem Przedsiębiorca.

— Śpieszna, i bardzo śpieszna, nieinaczéj! — odrzekł Woźny. — Lecz jakiż tego był skutek? jaka niewdzięczność tych buntowników Sir? Wystaw sobie, panie Sowerberry, iż mąż téj kobiety choréj to lekarstwo na powrót odesłał i kazał powiedzieć, że ono dla jego żony jest niestósowne, ona go przeto zażywać nie będzie! Takie dobre, mocne i pomocne lekarstwo, które przed tygodniem dopiero dwóm robotnikom z Irlandyi i węglarzowi jednemu z najpomyślniejszym skutkiem zadano! to się ludziom poseła bezpłatnie,....we flaszce od czernidła,.... a oni odsełają ono na powrót, i każą powiedzieć, że go zażywać nie będzie, wystaw sobie Sir!

Ta niewdzięczność niesłychana w całej swojej okropności panu Bumble przed oczyma stanąć musiała, gdyż silnie laską swoją o biórko stuknął i z oburzenia się zapyrzył.

— To prawda, — ozwał się Przedsiębiorca, — iż jeszcze nigdy....nie....sły....szałem....

— Nigdyś jeszcze nie słyszał, Sir? — wyzionął Woźny, — nie tylko ty, ale nikt jeszcze w świecie tego niesłyszał! ale otóż i kobieta umarła, a my ją teraz pochować muszemy. Oto jest kartka na pogrzeb, ...czém się prędzéj stanie, tém lepiéj.

To wyrzekłszy, pan Bumble w zapale zbytniéj gorliwości urzędowéj swój kapelusz trójgraniasty krzywo na głowę zasadził, i śpiesznie ze sklepu wypadł.

— Tam do licha! tak był zagniewany, że się nawet i o ciebie spytać zapomniał, Oliwerze! — zauważył pan Sowerberry, spoglądając za Woźnym, biegnącym szybko ulicą.

— To prawda, panie!

Odpowiedział Oliwer, który się podczas téj rozmowy troskliwie przed jego wzrokiem ukrywał, a nawet i teraz jeszcze, na samo wspomnienie dźwięku jego głosu cały drżał z przestrachu.

Oliwer niepotrzebował jednak wcale widoku pana Bumble unikać, gdyż ten urzędnik, na którego umysł przepowiednia Jegomości w białej kamizelce nadzwyczajne wrażenie zrobiła, mocno sobie postanowił o niego się wcale nie dopytywać, dopokąd Oliwer, zostający dotąd jeszcze dopiero na *próbie* u Przedsiębiorcy, na całe siedm lat mu zupełnie i prawnie oddanym nie zostanie, a tak i niebezpieczeństwo całkiem nie przeminie, aby kiedykolwiek do domu roboczego na powrót się mógł dostać.

— Niechże i tak będzie, — ozwał się pan Sowerberry, szukając swego kapelusza, — czém prędzéj się tego kłopotu zbędziemy, tém lepiéj. Noa, daj tymczasem pozór na sklep, a ty Oliwerze weź czapkę, i chodź ze mną.

Oliwer natychmiast usłuchał i poszedł za swoim panem, towarzysząc mu w jego zatrudnieniu rzemieslowém.

. . . .

Długo szli przez najludniejszą i najcieśniéj zabudowaną część miasta, aż na koniec w uliczkę daleko węższą, plugawszą i lichszą się zwrócili, jak wszystkie, przez które dotąd przechodzili. Tutaj kroku nieco zwolnili, aby wynaleść dom, będący celem ich wycieczki.

Domy po obu stronach ulicy były wprawdzie wysokie, obszerne, lecz bardzo już stare, i przez lud najuboższy zamieszkane, o czém by ich powierzchowność zaniedbana i spustoszałość zupełna natychmiast każdego przekonała, gdyby nawet o téj prawdzie nie świadczył widok kilku nędznie i plugawie wyglądających kobiet i mężczyzn, którzy się z założonemi rękoma i przezornością niezwykłą przypadkiem po ulicy błąkali.

Wielka część tych budynków miała na przodzie sklepy; lecz te sklepy wszystkie stały spustoszałe, niezajęte i zamknięte. Zaledwie że piątra wyższe były zajęte i zamieszkane.

Było też i bardzo wiele takich domów, które dla swojéj starości i zbytniego spustoszenia, niebezpieczeństwem zawalenia się grożąc, belkami, jednym końcem na ulicy głęboko w ziemię wpuszczonemi, a drugim pod ściany mocno podbitemi, popodpierane i tym sposobem od zupełnego upadku uchronione zostały. Lecz i w tych, jak się zdawało, jacyś ludzie biedni, innego przytułku nie mający, schronienie na noc obrać sobie musieli, albowiem bardzo wiele desek, zastępujących miejsce drzwi i okien, z miejsc właściwych wysuniętych było w celu zrobienia otworu, przez który by się istota ludzka przecisnąć mogła.

Ścieki i kanały stały zatamowane i brudem smro-

dliwym zapełnione. Nawet i szczury, tu i owdzie zdechłe leżące i gnijące, tak okropnie wyglądały, jakby z głodu były poginęły.

U drzwi otwartych pewnego domu, przed którym się Oliwer i jego pan zatrzymali, nie było ani młotka, ani dzwonka. Przedsiębiorca, idąc tedy omackiem przez tę sień ciemną z największą ostrożnością, i poleciwszy Oliwerowi, aby się go mocno trzymał i niczego nie bał, wpiął się nakoniec po ciemnych schodach do góry na pierwsze piętro i utknął o drzwi, do których natychmiast zapukał.

Te drzwi mu otworzyła dziewczyna młodziutka, trzynaście do czternastu lat mieć mogąca. Lecz Przedsiębiorca poznał natychmiast z tego, co w tym pokoju spostrzegł, iż to było właśnie to mieszkanie, do którego rzemiosło go powoływało. Wszedł tedy do izby, a Oliwer za nim.

W téj izbie nie było nigdzie ognia, lubo jakiś człowiek, zapewnie ze zwyczaju, nad zimnym i próżnym kominkiem skulony siedział. I staruszka jakaś przysunęła sobie stołeczek nizki do tego zimnego ogniska i usiadła na nim.

Na drugim końcu izby tuliło się kilkoro łachmanami pokrytych dzieci do siebie w kąciku, a we framudze wązkiéj, umieszczonéj w murze wprost naprzeciw drzwi wchodowych, leżało coś na ziemi, starém prześcieradłem pokrytego.

Oliwer, rzuciwszy okiem w to miejsce, wzdrygnął się cały i przysunął mimowolnie do swego pana, *poczuł*

bowiem, iż to zwłoki ludzkie na ziemi prześcieradłem pokryte leżały.

Ów człowiek przy kominku wyglądał na twarzy blady i wynędzniały; włos na głowie i brodzie miał siwy, a oczy krwią zabiegłe. Oblicze staruszki zaś było już zmarszczkami pokryte, dwa zęby ostatnie z ust jéj sterczały i po za dolnią wargę zachodziły; oczy miała siwe i przenikliwe.

Oliwer się lękał spojrzeć na nią lub jéj towarzysza. Zdawali się mu bowiem oboje bardzo podobni do tych szczurów, które na ulicy pozdychane widział.

— Niechaj się nikt do niéj zbliżyć nie waży, — zawołał ów człowiek, i zerwał się od kominka groźnie, widząc, że Przedsiębiorca do trupa zmierza. — Precz od niéj, precz, ... zdaleka, ... mówię ci! ..... jeżeli życia stracić nie chcesz.

— Ot, bajesz baje mój poczciwy człowieku, i nic więcéj! — odparł Przedsiębiorca, przyzwyczajony do nędzy w każdéj postaci; — to czyste duby!

— Ja ci zaś powiadam, — zawołał ów człowiek, ściskając pięści, tupnąwszy nogą o ziemię z wściekłością; — ja ci zaś powiadam, że ja nie chcę, aby ją pochowano. Ona w ziemi leżeć nie może. Tamby jéj robaki spokoju nie dały, a ona i tak już tutaj na tym świecie spokoju nie miała.

Przedsiębiorca nie odpowiedział ani słowa na tę mowę szaloną tego człowieka, lecz dobywszy miary z kieszeni, ukląkł na chwilę koło trupa.

— O tak! — zawołał wtedy ów człowiek rozpłakawszy się rzewnie, i rzucił się na kolana u nóg zmar-

łéj kobiety; — klękajcie, klękajcie wszyscy,..... klękajcie i otoczcie ją w koło, i słuchajcie tego pilnie, co wam powiem. Ja wam mówię, że ona z głodu umarła. Nie wiedziałem o tém dopotąd że ona jest słaba, dopokąd gorączki nie dostała, a kości jéj przez skórę świecić nie zaczęły!..... Nie mieliśmy ani ognia, ani światła, a ona umrzeć musiała w ciemności;.... o tak, w ciemności!...... Nie mogła nawet zobaczyć oblicza swych dzieci, lubośmy dobrze słyszeli, że ich po imieniu wołała. Dla niéj to żebrałem na ulicy, a oni mnie do więzienia wtrącili. Gdy mię z więzienia wypuszczono, ona już konała; a krew wszystka lodem się mi w żyłach ścięła, gdym się o tém dowiedział, że jéj z głodu umrzeć dano...... O, przysięgam na Boga, który to wszystko widział,...... że jéj z głodu umrzeć dali!......

I z rozpaczy za włosy się chwycił, z wrzaskiem przeraźliwym na ziemię wywrócił, i z pieniącemi usty, oczyma w słup postawionemi, po niéj się tarzać zaczął.

Dzieci tém wszystkiém przerażone, gorżko się rozpłakały, lecz staruszka, która dotąd tak cicho siedziała, jakby ją to wcale nic nie obchodziło, co się koło niéj działo, albo téż tego wcale nie słyszała, groźbami je natychmiast uspokoiła, a odwiązawszy opinkę z szyi owemu człowiekowi, teraz spokojnie w otrętwieniu na ziemi leżącemu, zbliżyła się do Przedsiębiorcy.

— To moja córka, — ozwała się staruszka, wskazując skinieniem głowy na zmarłą i mówiąc z wzrokiem obłąkanym, groźniejszym jeszcze od samego

trupa. — Miły Boże!...... jakże to dziwnie i zabawnie, że ja, com jéj przecież życie dała, i już wtedy kobietą zamężnią była, jeszcze dotąd żyję i jestem przy zdrowiu, a ona tu leży tak zimna i skostniała...... Miły Boże!...... jeżeli o tém pomyślę,...... to mi się bardzo zabawnie wydaje,...... bardzo zabawnie!

Gdy ta nieszczęśliwa istota tak sobie mrucząc, groźnie uśmiechając, z takiém przerażającém zadziwieniem nad tém się zastanawiała, Przedsiębiorca tymczasem do odejścia się zabierał.

— Poczekajno!...... poczekaj! — zawołała wtedy staruszka, szepcąc głośno. — Kiedyż ją pochowacie, czy dzisiaj rano,..... czy jutro,..... czy też w nocy? Trzeba mi o tém wiedzieć,.... bo jak wiecie, przecież za nią na cmentarz pójść muszę. A przyślijcie mi płaszcz wielki,..... a tylko ciepły,..... bo wielkie zimno. Powinnibyśmy dostać wina i ciastek, nim ztąd wyruszemy!. .. ale to nic nie szkodzi,.... przyślijcie nam tylko chleba,..... choćby tylko bochenek chleba i kubek wody. Cóż, czy chleba dostaniemy, mój kochany panie?

Zawołała płaczliwie, chwytając Przedsiębiorcę za połę od surduta, gdy się ten coraz bardziéj ku drzwiom posuwał.

— Dostaniecie,..... dostaniecie, — odpowiedział Sowerberry, — dostaniecie wszystkiego, czego pragniecie.

Przedsiębiorca uwolnił się oraz od staréj kobiety, i ciągnąc Oliwera za sobą, wybiegł śpiesznie z tego domu.

Nazajutrz, — a rodzinę pocieszono tymczasem w smutku i strapieniu pół bochenkiem chleba i kawałkiem sera, co jéj pan Bumble sam zaniósł, — gdy Oliwer i jego pan do tego mieszkania nędzy przyśli, zastali tam już pana Bumble, który w towarzystwie czterech ludzi z roboczego domu, mających nieść trumnę, przybył. —

Łachmany męża i staruszki pokryto starym czarnym płaszczem, prostą białą trumnę zbito goździami, a owi czteréj ludzie z roboczego domu wzięli ją na barki i wynieśli na ulicę.

— Weźże teraz nogi na plecy i pośpieszaj co żywo, moja matko, — szepnął Sowerberry staruszcze do ucha. — Już późno, a niewypada, aby ksiądz miał długo na nas czekać..... Daléj, żwawo naprzód, moi ludzie! ...... i pośpieszajcie tak żywo, jak tylko możecie. —

Na ten rozkaz ludzie, niosący trumnę, biegli co żywo ze swoim lekkim ciężarem, a staruszka i mąż w żałobie trzymali się ich tak blizko, jak tylko mogli. Pan Sowerberry i Bumble szli krokiem sporym naprzód, a Oliwer, nie mający tak długich nóg, jak jego pan, biegł ciągle tak prędko jak tylko mógł obok nich.

Nie było jednak wcale żadnéj potrzeby tak prędko z trumną pośpieszać, jak pan Sowerberry nakazał, gdyż kiedy na cmentarz przybyli, i trumnę w kąt najodleglejszy zanieśli, tam, gdzie tylko pokrzywy rosły, i tych wszystkich grzebano, których Gmina na swoje koszta chować kazała, księdza jeszcze nie zastali, a

kościelny, siedzący sobie w sakrystyi przy dobrym ogniu, z tém zdaniem się odezwał, iż według jego mniemania księdza przed godziną, a może jeszcze i później, spodziewać się nie można.

Złożono tedy trumnę na brzegu grobu, a staruszka i mąż w żałobie oczekiwali z największą cierpliwością jego przybycia, stojąc przez cały czas na drobnym, zimnym deszczu właśnie padającym, w towarzystwie kilku chłopców obszarpanych, którzy, widowiskiem pogrzebu na cmentarz zwabieni, nudząc się i zatrudnienia innego nie mając, pomiędzy nagrobkami w krycie tymczasem sie bawili, a gdy się im w końcu i to sprzykrzyło, dla odmiany przez trumnę skakać zaczęli. Sowerberry zaś i Bumble, będąc osobistymi przyjacielami kościelnego, zasiedli sobie z nim przy ogniu, i czytali gazety.

Już więcéj jak godzina minęła, nim pan Bumble, Sowerberry i kościelny ,nakoniec z zakrystyi wypadli, i śpiesznie do grobu przybiegli. Tuż za nimi pokazał się ksiądz, wdziewający komżę na siebie przez drogę.

Pan Bumble skarał kilku chłopców swą laską urzędową, jedynie dla utrzymania pozoru i powagi swojéj, a przewielebny Ojciec, przeczytawszy z modlitw pogrzebowych tyle, ile w przeciągu czterech minut przez zęby mógł przecedzić, oddał komżę kościelnemu i oddalił się śpieszniéj jeszcze, jak przybył.

— Daléjże, Billu! — rzekł Sowerberry do grabarza, — zarzuć grób!

Na to nie trzeba było wielkiego trudu, albowiem

grób był tak płytki, iż trumną przynajmniéj o pół stopy nad powierzchnię ziemi sterczała.

Grabarz zasypał grób ziemią, udeptał ją nogami, założył rydel na barki, i oddalił się wraz z ulicznikami, którzy się z żalem na to skarżyli, że się wszystko tak prędko odbyło.

— Chodźże i ty, mój poczciwcze, chodź! — rzekł Bumble, uderzając po ramieniu człowieka w żałobie; — gdyż cmentarz natychmiast zamkną.

Ów człowiek, który się od czasu, gdy na cmentarz przybył i nad grobem stanął, jeszcze ani na krok z miejsca swego nie był ruszył, wzdrygnął się cały, podniósł głowę, spojrzał wzrokiem osłupiałym na osobę, która do niego przemówiła, postąpił kilka kroków i padł na ziemię.

Staruszka obłąkana za nadto była zajęta swemi żalami na utratę płaszcza, który jéj Sowerberry odebrać kazał, aby mogła była na owego człowieka baczność dawać i przyjść mu w pomoc; oblano go tedy dzbankiem zimnéj wody, a gdy nakoniec po téj kąpieli do siebie przyszedł, wyprowadzono go z cmentarza, który natychmiast zamknięto; poczém się wszyscy, każdy w swoję stronę, rozeszli.

— No i cóż Oliwerze, — spytał go pan Sowerberry, gdy do domu wracali, — jakżeż ci się to wszystko podobało?

— Dziękuję panu, — odpowiedział Oliwer z niemałém wahaniem się, — nie bardzo, panie.

— Przyzwyczaisz ty się z czasem do tego wszystkiego, mój chłopcze! — odrzekł na to Sowerberry;

— a jak się *raz* przyzwyczaisz, to ci się to wszystko niczém zdawać nie będzie.

Oliwer sobie w duszy pomyślał, ile téż czasu pan Sowerberry potrzebował, aby się do tego wszystkiego przyzwyczaić; lecz, zastanowiwszy się bliżéj i pomiarkowawszy, iż lepiéj będzie, o to go się wcale nie pytać, wracał w milczeniu ze swoim panem do domu, rozmyślając nad wszystkiém co widział i słyszał.

ROZDZIAŁ VI.

Oliwer rozdrażniony zelżywemi mowy Noy-Claypole wpada w zapał i w zadziwienie go wprawia.

Czas próby nakoniec przeminął, a Oliwer pozostał jako chłopiec w nauce u pana Sowerberry.

Była to właśnie pora roku bardzo niezdrowa. Mówiąc po kupiecku: trumny właśnie bardzo dobrze odchodziły, a Oliwer, w przeciągu kilku tygodni bardzo wielkiego doświadczenia w rzemiośle swojém nabrał.

Powodzenie pomyślne owego nader bystrego pomysłu pana Sowerberry najśmielsze nawet nadzieje jego przewyższyło. Najstarsi mieszkańcy miasteczka nie pamiętali takiego roku, w którymby kur tak mocno był panował, lub tak śmiertelnym był dla dzieci; a mały Oliwer, z kapeluszem na głowie, przyozdobionym w czarne wstęgi aż po kolana sięgające, nie małą ilość tych smutnych pogrzebowych pochodów z niewypowiedzianém podziwieniem i rozczuleniem wszystkich matek miasteczka, prowadzić musiał.

Że zaś Oliwer swojemu panu i przy wielu innych

nie mniéj smutnych pochodach pogrzebowych towarzyszył, a to w celu, aby téj otrętwiałości uczucia i téj władzy nad nerwami swojemi nabrał, która dla ukończonego Przedsiębiorcy pogrzebów koniecznie jest potrzebną; miał przeto bardzo wiele sposobności uważania i dostrzeżenia téj pięknéj i wzniosłéj uległości człowieka dla woli Boga, i téj mocy ducha, z jaką wiele osób cierpienia swoje i straty ponosi.

Jeżeli kto do pana Sowerberry przybył zamówić pogrzeb dla jakiego pana, lub pani bogatéj i staréj, otoczonéj wielką ilością siostrzeńców, bratanków, wnuków i t. d., których w przeciągu całéj choroby owéj lubéj staruszki nic w smutku pocieszyć nie zdołało, i to tak dalece, iż żadne swego smutku przed światem ukryć nie zdołało, ... znachodził ich zwykle wtedy właśnie, kiedy pora najpomyślniejsza na okazanie tego smutku była, ... bardzo wesołych, ucieszonych, rozmawiających pomiędzy sobą radośnie i żartobliwie, jakby się nic takiego nie było wydarzyło, coby ich serce żalem i smutkiem napełnić było mogło.

Mężowie znosili także utratę żon swoich z wielką i bohaterską spokojnością; a żony, przywdziewając suknię żałobną za swoim mężem, zamiast coby ją w smutku i żalu serca nosić miały, o tém jedynie dzień i noc przemyśliwały i mózg sobie dręczyły, jakby się w téj sukni ile możności najponętniéj i najpowabniéj wydać. Często i tę uwagę także robiono, iż mężczyzni i kobiety, rozpływający się w łzach i rozpaczy przez cały przeciąg pogrzebowego obrzędu, za powrotem swoim do domu natychmiast się opamiętali, a nawet i zupełną spokojność zwykle pierwéj odzyskali, nim jeszcze

herbatę po pogrzebie na stół dano, i uczta się skończyła. —

Ten widok cały był rzeczywiście bardzo pocieszający, a Oliwer się mu też z wielkiém zadziwieniem i podziwieniem przypatrywał.

Czyli przykład tych wszystkich ludzi dobrych i Oliwera Twista także uległością, pokorą i obojętnością natchnął, tego z ufnością i pewnością wszelką potwierdzić nie myślę, lubo jestem jego życia pisarzem; o tém jednak z największém przekonaniem powiedzieć mogę, iż on przez kilka miesięcy wszelkie prześladowania i pokrzywdzenia siebie z największą cierpliwością od Noy-Claypole znosił, który się z tém większą zawziętością nad nim mścił, iż zazdrość największa sercem jego miotała. Noa bowiem tego strawić nie mógł, iż Oliwer, ten chłopiec niedawno przybyły, na godność pacholka pogrzebowego z laską długą, czarną w ręku, i kapeluszem z długiemi, czarnemi wstęgami na głowie, posunięty został, a on, chłopiec wiekiem i godnością starszy, zawsze przy swojéj czapce futrzanéj i fartuchu skórzanym zostawać musiał.

Karolina się także z Oliwerem nie najlepiéj obchodziła, widząc że Noa to czyni, a pani Sowerberry najzawziętszą nieprzyjaciółką jego dla tego jedynie się stała, że mu pan Sowerberry przychylnym się być zdawał. A tak Oliwer, pomiędzy temi trzema osobami z jednéj, i nawałnością pogrzebów z drugiéj strony, nie doznawał większéj przyjemności, jak owe prosię głodne, które przez zapomnienie na gorącym ruszcie żelaznym w browarze zamknięto.

Tutaj przychodzimy do wydarzenia bardzo ważne-

go w Oliwera życiu. Muszę bowiem nadmienić wypadek, na pierwszy rzut oka bardzo mało znaczący, który jednak pośrednio największą zmianę w jego widokach i całéj jego przyszłości spowodował.

Pewnego dnia Oliwer i Noa zeszli się do kuchni o zwykłéj porze objadowéj, aby się tam uraczyć lichym kęsem skopowego mięsa, — to jest, półtora funta dla obu z końca najgorszego, bo z karku; — a że Karolinę właśnie téj chwili na górę odwołano, musieli zatém czas niejaki na to jadło czekać, którego jednak Noa Claypole, będąc właśnie głodnym, a przeto i złośliwszym, według swego zdania lepiéj użyć nie mógł, jak na ustawiczne draźnienie i wyszydzenie młodego chłopca.

Noa, zabierając się tedy do téj niewinnéj zabawy, nogi swoje na stole rozłożył i Oliwera to za włosy targać, to za uszy szczypać zaczął. Poczém zdanie swoje Oliwerowi o nim oświadczył, mówiąc mu, że jest *nikczemnym lizunem*, i oraz to gorące życzenie, iż niczego tak mocno nie pragnie, jak tego szczęścia być świadkiem naocznym jego powieszenia, gdy ten koniec życia pożądany go spotka. Nakoniec przeszedł do innych podobnych drobnostek uszczypliwych i dotkliwych, na jakie się tylko tak złośliwy chłopiec z domu miłosierdzia mógł zdobyć.

Lecz gdy żaden z tych złośliwych ciosów pożądanego skutku za sobą nie pociągnął, i Oliwera do płaczu nie pobudził, Noa, chcąa tego zamiaru koniecznie dopiąć, postanowił daleko większy dowcip jeszcze rozwinąć i przeszedł w tym celu, — co się ludziom z da-

leko większą sławą od Noego zdarza, jeżeli bardzo dowcipnymi być pragną, — do osobistości.

— Chłopcze z roboczego domu, — ozwał się Noa, — jak się ma twoja matka?

— Ona już umarła, — odpowiedział Oliwer, — dla tego nie wspominaj mi nic o niéj.

Gdy Oliwer to mówił, płomienie na jego lica wystąpiły; zaczął mocniéj oddychać, a pewne drgania dziwnie nosem i ustami jego wykrzywiać poczęły, z których Noa wnosił, iż to są przepowiednie blizkiego i gwałtownego wybuchu płaczu.

W tém przekonaniu postanowił przeto cios swój pierwszy poprawić.

— Na cóż ona umarła, chłopcze z roboczego domu? — zapytał Noa.

— Umarła z bólu i żalu, jak mi jedna z dozorczyń starych powiedziała, — odpowiedział Oliwer, nie tak dla tego, aby Noemu dać odpowiedź, jak raczéj z mimowolnego popędu serca. — O, wiem ja dobrze, jak to być musi, jeżeli serce komu z bólu i żalu pęknie!

— Tralala! głupstwa!.... dobrze jéj tak chłopcze z roboczego domu! — zawołał Noa.

Lecz gdy spostrzegł łzy, po licach chłopca się toczące, dodał:

— Czegóż się mazgaisz, chłopcze z roboczego domu?.... Cóż cię do płaczu pobudza?

— Nie myśl, że *ty*! — odpowiedział Oliwer, łzy śpiesznie ocierając.

— Nie ja, nie? ehe! — zawołał Noa szydersko. —

— Nie, nie *ty*, nie! — odpowiedział Oliwer o-

pryskliwie. — A teraz już dosyć tego; żebyś mi ani słowa więcéj o niéj nie mówił! Ja tego niechcę!

— Niechcesz! — odparł Noa; — patrzaj go!.... on niechce!.... Jesteś zuchwałym, chłopcze z roboczego domu!..... A *twoja* matka,..... to była prawdziwa szlampa,.... ha, ha, ha!....

Noa przytém z ruchem bardzo wyraźnym i znaczącym głową kiwnął, i nosem swoim czerwonym tak mocno skrzywił, jak mu to działalność muszkuł przy téj sposobności uczynić pozwoliła.

— Ty wiesz chłopcze z roboczego domu, — mówił daléj Noa, milczeniem Oliwera ośmielony, z wyrazem najobraźliwszego szyderstwa i udanéj litości w mowie, dobierając przytém wyrazów, któremi by mu najbardziéj mógł dopiec; — ty wiesz chłopcze z roboczego domu, iż temu już teraz zaradzić niepodobna. Wreszcie, tybyś to samo nie mógł był temu wtedy zaradzić; mnie to bardzo boli,.... my cię nawet wszyscy bardzo żałujemy,...... ale raz się musisz i o tém dowiedzieć, chłopcze z roboczego domu, że twoja matka była prawdziwą szlarką.

— Cóż ty pod tém rozumiesz? — zawołał Oliwer, spoglądając na niego z gniewem.

— Co pod tém roznmiem?..... nic więcéj tylko to, że twoja matka była prawdziwą szlarką, chłopcze z roboczego domu! — odpowiedział Noa spokojnie; — a to dla niéj daleko lepiéj, że tak wcześnie umarła; inaczéj, byłaby albo ciężko pracować musiała w domu poprawy, albo by ją téż byli na *wytransportowanie*, a może i na powieszenie skazali, co jeszcze najpodobniejszém było z wszystkiego,

Oliwer, zapłoniwszy się jak ogień z wściekłości, zerwał się nagle z ławki, wywrócił stół i stołek, chwycił Noego za gardło, wstrząsł nim z taką mocą, że mu aż zęby zadzwoniły, i wytężywszy wszystkie swoje siły, jednem uderzeniem w kark na ziemię go powalił. Jeszcze przed chwilą Oliwer był najspokojniejszém, najłagodniejszém, najpokorniejszém w świecie stworzeniem, jakie tylko przez srogie obejście z człowieka stać się może. Lecz nakoniec i jego serce oburzenie i wściekłość owładnęła, a krew w żyłach mu zakipiała na tę z niewagę okrutną, którą matce jego zmarłéj zadano.

Z piersią mocno dyszącą, okiem płomieniącém, postacią całą zmienioną i wyprężoną, stał rozjuszony nad tym nikczemnym dręczycielem swoim, u nóg jego się wyjącym, i gnębił go z taką śmiałością i odwagą, jakiéj dotąd jeszcze nigdy nie okazał.

— Gwałtu!... zabije mnie! — wołał Noa z przestrachem. — Karolino! pani! Oliwer mnie chce zabić! ...ratunku!...Oliwer oszalał! gwałtu! pomocy! Karolino!...

Na ten krzyk Noego Karolina głośnym wrzaskiem, a pani Sowerberry jeszcze głośniejszym odpowiedziała. Pierwsza wpadła natychmiast drzwiami bocznemi do kuchni, a druga się tymczasem spokojnie na schodach zatrzymała, i dopotąd na tém stanowisku raz zajętém czekała, dopokąd się dostatecznie nie przekonała, iż to się troskliwości o zachowanie swego życia wcale nie sprzeciwia, jeżeli do nich zejdzie.

— O ty drabie mały! — zawołała Karolina, chwyciwszy Oliwera za kark z całéj swojéj siły, wyrówny-

wającéj prawie sile mężczyzny miernéj mocy, dobrze wyćwiczonego. — O ty nie-wdzię-czniku, ty roz-bójni-ku, nie-pocz-ci-wy chłopcze!

I za każdą zgłoską Oliwera pięścią w kark uderzyła, towarzysząc każdemu uderzeniu wezwaniem miłości Boga!

Pięść Karoliny nienależała wcale do najlekszych; lecz jakby na uskromienie złości Oliwera jeszcze nie wystarczała, pani Sowerberry sama do kuchni wpadła, jedną ręką trzymać go pomogła, a drugą tymczasem paznokciami twarz mu obrabiała. Noa, widząc ten stan pomyślny rzeczy, zerwał się z ziemi, i zaczął z tyłu bić przeciwnika.

To ćwiczenie sił było za nadto żywe i gwałtowne, aby długo trwać było mogło.

Gdy się nakoniec wszystko troje już zmęczyli, i sił im zabrakło, aby go dłużéj bić i mścić się nad nim, zawleczono Oliwera zbitego, zakrwawionego, lubo odwagi wcale niepozbawionego do piwnicy na węgle i tam go zamknięto.

Po dopełnieniu tak bohaterskiego czynu pani Sowerberry na krzesło się rzuciła i rzewnie rozpłakała:

— Wielki boże!....ona umrze! — zawołała Karolina. — Przynieś no wody drogi Noa, a tylko żywo!.... śpiesz się!

— Ach Karolino! — zawołała pani Sowerberry tak głośno, jak jej tego brak powietrza i obfitość wody dozwoliła, którą Noa na kark jéj i głowę wylał. — Ach Karolino, jakżeż gorące dzięki powinniśmy złożyć panu Bogu, że nas ten mały rozbójnik wszystkich w łóżku nie wymordował!

— To prawda, pani, to prawda! — odpowiedziała Karolina. — Spodziewam się, że to będzie nauczką dla naszego pana, aby takich haniebnych niewdzięczników, którzy się już na to porodzili, by ludzi rozbijać i mordować, drugi raz do domu nie sprowadzał. Biedny Noa! omal że go ten złoczyńca mały już nie zabił, gdym go od niego obroniła....

— Biedny chłopczyna! — powtórzyła pani Sowerberry, spoglądając z litością na tego chłopca z domu miłosierdzia.

Noa, któremu Oliwer szczytem swéj głowy zaledwie po guzik najwyższy od kamizelki sięgał, widząc iż się te niewiasty tak mocno nad nim litują, zaczął sobie ręką trzeć oczy i nakoniec przecież kilka łez z nich wycisnął.

— Cóż teraz poczniemy? — zawołała pani Sowerberry. — Mego męża niema w domu,....żadnego męża niema w domu,.... a on te drzwi najdaléj za dziesięć minut wysadzi.

Zdawało się jakby Oliwer tę przepowiednię swéj pani chciał był sprawdzić, albowiem ustawicznie z siłą niepospolitą do drzwi dębowych od piwnicy się dobijał.

— Bożeż mój boże!.... Mnie się zdaje pani, — ozwała się Karolina, — że najlepiéj będzie po policyję posłać....

— Albo po wojsko, — wtrącił Claypole.

— Nie, nie, — odpowiedziała pani Sowerberry, przypomniawszy sobie dawnego przyjaciela Oliwera. — Noa! pobiegnij natychmiast do pana Bumble, i proś go, aby natychmiast do nas przyszedł, i ani chwili się nie ociągał. Nieszukaj czapki,....tylko biegaj z gołą gło-

wą,....a żywo!.... Na oko podbite możesz tymczasem nóż zimny przyłożyć,....to ci nabrzmienie rozpędzi!

Noa ani słowa na to nie odpowiedział, lecz natychmiast rozkaz swéj pani z jak największym pośpiechem wykonał; a ludzie, którzy go na ulicy spotkali, mocno się dziwili, widząc chłopca z domu miłosierdzia, biegnącego bez opamiętania przez ulicę, bez czapki na głowie, a nożem na oku.

ROZDZIAŁ VII.

Oliwer w swej krnąbrności nieprzestaje.

Noa Claypole biegł cwałem największym przez ulicę, i nie zatrzymał się ani razu, aby odetchnąć, dopiero gdy do bramy domu roboczego dobiegł. Odpocząwszy tutaj na chwilę, aby sił nabrać do szlochania, znaczną ilość łez nazbierać i twarz do udanego przestrachu ułożyć, zapukał głośno do bramy, i przed owym staruszkiem biednym, który mu drzwi otworzył, z takim wyrazem przerażenia w obliczu stanął, że nawet i ten starowina, który w najszczęśliwych i najpomyślniejszych chwilach swego życia, nic prócz żałośnych twarzy koło siebie niewidział, z zadziwieniem na niego spojrzał.

— Cóż ci to takiego? czego żądasz mój chłopcze? — zapytał staruszek z domu roboczego.

— Pana Bumble! pana Bumble!

Zawołał Noa z tak dobrze udaną zgrozą i przestrachem, i tak głośno i trwożliwie, iż to nie tylko uszów pana Bumble, będącego przypadkiem w pobliżu,

doszło, ale i tak mocno go przeraziło, iż z głową odkrytą, bez swego trójgraniastego kapelusza, na podwórze wypadł;....co było wydarzeniem bardzo nadzwyczajném i dziwném, dowodzącém, że i Woźny Gminy, nagłém i silném wrażeniem poruszony, władzę nad sobą na chwilę utracić i o godności swojéj oraz zapomnieć może.

— Ach, panie Bumble! panie Bumble! — zawołał Noa. — Oliwer,....panie,....Oliwer!....

— Oliwer?.... no i cóż?.... cóż?....— przerwał mu Bumble, a promień radości zabłysł w jego oczach świecących. — Przecież nie uciekł!....czy może uciekł?... co Noa?

— Nie, nie, nie uciekł panie!....ale dostał pomięszania zmysłów, — odpowiedział Noa. — Chciał mnie zabić, zamordować, panie!....a potém chciał, zamordować Karolinę i naszą panię. Ach, ileż my trwogi nie ucierpieli, ile strachu nie doznali, panie!....

To wyrzekłszy Noa, zaczął się wić, i kurzyć, i kręcić jak wąż, chcąc przez to panu Bumble dać do zrozumienia, iż przez ten nagły i gwałtowny napad szaleństwa Oliwera on najbardziéj uszkodzony i pokrzywdzony został, i w skutek tego tak wielkich boleści téj chwili doznaje.

Gdy Noa spostrzegł, iż ta wiadomość, którą przyniósł, pana Bumble zupełnie przeraziła, chciał to wrażenie powiększyć głośniejszym jeszcze jękiem i żałośniejszemi skargami na te rany okropny, które poniósł; a dostrzegłszy znanego nam Jegomości w białej kamizelce, przez podwórze właśnie przechodzącego, te żale jego i jęki do najwyższego stopnia doszły; wnosił bo-

wiem bardzo słusznie, iż przez to najłatwiéj uwagę owego Jegomości na siebie ściągnie i oburzenie większe w nim wzbudzi.

Ta nadzieja go nie omyliła, a uwaga owego Jegomości rzeczywiście na niego się natychmiast zwróciła; gdyż zaledwie trzy kroki uszedł, z markotnością się zatrzymał, ku nim obrócił i pana Bumble zapytał: dla czego ten chłopiec tak jęczy, a pan Bumble się nad nim nie zlituje i tego pocieszenia mu nie udzieli, które zwykle cały ten szereg żałośnych jęków mimowolnie przerywa i kończy.

— Jest to biedny chłopiec w robocie u rzemieślnika poczciwego, Sir, — odpowiedział Bumble, — którego mały Oliwer Twist omal że nie zabił;....tak jest Sir, nawet już prawie zabił!....

— Na Boga! — zawołał Jegomość w białej kamizelce, przybliżając się do nich. — Wiedziałem o tém! Od samego początku miałem jakieś przeczucie, że ten chłopiec krnąbrny i zuchwały kiedyś będzie wisiał.

— I służącą chciał zamordować, — dodał pan Bumble, blady jak chusta.

— I panią!....— wtrącił Noa Claypole.

— I pana to samo, nieprawda Noa? — dodał Bumble.

— Nie, tego nie, gdyż go wtenczas w domu niebyło; inaczéj by go był także chciał zamordować, — odpowiedział Noa. — Przynajmniéj powiedział żeby to był uczynił.

— Czy doprawdy?....mówisz, mój chłopcze, że on powiedział, iżby to był uczynił? — spytał Jegomość w białej kamizelce.

— Tak jest panie! — odpowiedział Noa; — a pani posłała mnicj tutaj i kazała się mi dowiedzieć, czy pan Bumble nie będzie miał na tyle czasu, aby do nas przyjść natychmiast i jego ukarać, gdyż naszego pana niema w domu.

— Dobrze, mój chłopcze, dobrze!....

Odpowiedział na to Jegomość w białej kamizelce, uśmiechając się dobrotliwie i głaszcząc Noego po głowie, który przynajmniéj o trzy cale był wyższy od niego.

— Ty jesteś chłopcem dobrym, — mówił daléj; — bardzo uczciwym chłopcem.... Oto masz fenika!.... Bumble! idź z nim natychmiast do domu pana Sowerberry, tylko nie zapomnij twojéj laski!.... Idź i zobacz, co się tam dzieje i co uczynić potrzeba. A szczególnie wcale go nie żałuj Bumble!

— O, tego ja nieuczynię, Sir!

Odpowiedział Woźny, i przyrządził sobie sznureczek z pętelkami u grubszego końca swéj laski urzędowéj, aby nią przy wydzieleniu kary lepiéj mógł władać.

— Powiedz także panu Sowerberry, ażeby chłopca wcale nie żałował, gdyż on z nim bez cięgów i basów nic nie wskóra! .... — dodał Jegomość w białej kamizelce.

— Już ja się o to postaram Sir!

Odpowiedział Bumble i zasadziwszy trójgraniasty kapelusz na głowę, a laskę urzędową wziąwszy w rękę, jak najśpieszniéj za Noą Claypole do domu Przedsiębiorcy się udał.

Tutaj się położenie rzeczy dotąd wcale nie zmie-

nilo; pan Sowerberry bowiem jeszcze nie był do domu powrócił, a Oliwer w swoich usiłowaniach niepospolitych wyważenia drzwi dębowych od piwnicy nie przestawał.

Według opowiadania pani Sowerberry i Karoliny wściekłość jego tak wielką być musiała, iż pan Bumble za rzecz najroztropniejszą uznał wejść z nim pierwéj w układy, nimby mu drzwi otworzył.

W tym celu najprzód w nie nogą, niby na wstęp uderzył, a potém, przytknąwszy usta do dziurki od zamku, poważnie i groźnie zawołał:

— Oliwer!

— Puszczajcie mnie z tąd! — ozwał się Oliwer z wewnątrz.

— Czy poznajesz ty ten głos, Oliwer? — zapytał powtórnie Bumble.

— Poznaję, — odpowiedział Oliwer.

— I nie boisz się go?.... nie drżysz ze strachu, gdy do ciebie mówię? — zapytał znów Bumble.

— Nie, — odpowiedział Oliwer śmiało.

Ta odpowiedź, tak niepodobna do téj, jakiéj się pan Bumble od niego usłyszeć spodziewał, i pospolicie otrzymywać był przyzwyczajony, w niemałe zdziwienie i osłupienie go wprawiła. Z przerażeniem odskoczył od dziurki od klucza, wyprostował się, jak tylko mógł najdumniéj, i okiem osłupiałém po wszystkich trzech osobach, koło niego stojących, potoczył.

— Teraz się sam przekonać możesz, panie Bumble, iż musi być szalony! — ozwała się nakoniec pani Sowerberry. — Gdyby miał zdrowy rozum, czyliżby się na taką odpowiedź poważył?

— Nie szaleństwo to, nie, moja pani! — zawołał Bumble po małéj chwili głębokiego zastanowienia; — to mięso!

— Co? — zapytała pani Sowerberry zdziwiona.

— Mięso, moja pani, mięso! — powtórzył Bumble z powagą i oburzeniem. — Pasłaś go za nadto, moja pani!.... Dodałaś mu przez to za nadto wiele śmiałości i odwagi, moja pani, która wcale nieprzystoi na ludzi tak nikczemnych jak on, i tak nizkiego stanu, jak on,.. co ci nasz Zbór, wszystko ludzie wielkiego doświadczenia i rozumu, moja pani, jak najjaśniéj dowieść i okazać mogą.... Na cóż się bowiem przyda człowiekowi biednemu odwaga i śmiałość?.... Dla niego to już jest rzeczą dostateczną, jeżeli się go przy życiu utrzyma!.... Gdybyś temu chłopcu ciągle owsiankę była dawała, moja pani Sowerberry, toby się to wszystko było nie stało!

— Miły Boże! — zawołała pani Sowerberry, wzniósłszy swe oczy pobożnie ku powale kuchni; — otóż to są skutki, jeżeli człowiek *dobre serce* posiada.

To *serce dobre* pani Sowerberry ze względu na Oliwera na tém zależało, iż go raczono obficie wszystkiemi najgorszemi resztkami i okrawkami potraw, których już nikt w gębę wziąść nie chciał. Wiele przeto łagodności i pokory było w tém jéj dobrowolném poddaniu się pod tak ciężkie oskarżenie pana Bumble, na które, słuszność jéj oddając, ani myślą, ani wolą, ani też uczynkiem sobie nie zasłużyła.

— Według mego zdania, — rzekł Bumble, gdy pani Sowerberry przecież nareszcie oczy swoje przed siebie na dół spuściła, — niema, tylko jeden jeszcze

sposób, jakby sobie z nim odtąd postąpić; to jest: zostawić go przez dzień lub dwa jeszcze w piwnicy, a potém go przez cały czas nauki owsianką jedynie karmić. Ten chłopiec pochodzi z krwi bardzo zepsutéj i burzliwéj, moja pani Sowerberry! Jak mi nasz lekarz i stara dozorczyni powiedziała, to jego matkę w takich mękach i boleściach do domu roboczego przyniesiono, żeby każda inna kobieta uczciwa tygodniem pierwéj na tamten świat się była wybrała!...

Gdy Bumble do tego miejsca w swéj mowie doszedł, Oliwer, już z tego, co dotąd słyszał sprawiedliwie wnosić mogący, iż nie jedna jeszcze przymówka podobna, a może i gorsza, do jego matki nastąpi, we drzwi nogami z taką siłą bić zaczął, iż przez ten hałas ani słowa więcéj z dalszéj mowy pana Bumble nie można było zrozumieć.

Tymczasem i pan Bumble do domu powrócił i na to wszystko nadszedł; a gdy mu zbrodnię Oliwera opowiedziano, lubo z takimi dodatkami i przesadami, jakie kobiety obie za najstósowniejsze uznały do pobudzenia jego gniewu, on drzwi od piwnicy natychmiast otworzył i swego krnąbrnego i zapalczywego chłopca za kołnierz z niéj wyciągnął.

Przez te plagi, które Oliwer biedny ponieść musiał, odzież na nim podarto i poszarpano; jego twarz cała była zbita, podrapana i zakrwawiona, a włosy nad czołem rozczochrane, w nieładzie. Pomimo to rumieniec gniewu i oburzenia na poniesioną zniewagę....pokrzywdzenie, niespełz wcale z jego lica, a gdy go z więzienia wypuszczono, zmarszczył groźnie czoło na Noego i spoglądał na wszystkich śmiało, bez wszelkiéj trwogi.

— Śliczny z ciebie chłopiec, jak widzę, — rzekł Sowerberry do Oliwera, wstrząsnął nim mocno i silny policzek mu wymierzył.

— On szkalował moję matkę, — odpowiedział Oliwer.

— No i cóż z tego, choćby to był uczynił, ty niewdzięczny drabie mały! — zawołała pani Sowerberry. — Ona na to zasłużyła, co o niéj powiedział, a nawet i na coś gorszego jeszcze...

— Ona na to nie zasłużyła! — odparł Oliwer śmiało.

— Ona na to zasłużyła, mówię! — zawołała pani Sowerberry zapyrzona.

— To kłamstwo! — odpowiedział Oliwer.

Pani Sowerberry rozpłakała się rzewnie.

Ten strumień łez, który się z ócz pani Sowerberry potoczył, żadnego wyboru jéj mężowi nie zostawił.

Ktokolwiek doświadczenie najmniejsze w téj mierze posiada, łatwo sobie wyobrazić może, iżby wtedy Przedsiebiorca, według wszelkiego podobieństwa tylu przykładami sprzeczki małżeńskiéj poprzednio już stwierdzonego, został był zwierzęciem, mężem srogim, istotą nieludzką, cieniem mężczyzny, i wielu innemi jeszcze niemniéj miłemi i ładnemi stworzeniami, których wyliczenie jednak granice tego rozdziału przechodzi, gdyby się choćby na chwilę Oliwera jak najsurowiéj ukarać był wahał.

Musimy jednak tę słuszność mu oddać i wyznać, iż jak daleko władza jego się rozciągała, — a okres jéj nie był bardzo wielki, — zawsze z ojcowską dobrocią z tym chłopcem się obchodził,.... czy to ze względu na

własne korzyści, czy też dla tego, że mu żona jego niesprzyjała, ... tego téj chwili rozstrzygnąć trudno. Ów potok łez żadnego jednak wybiegu mu niezostawił; a to było powodem, iż biednego Oliwera tak srogo skarał, że nawet pani Sowerberry sama z tego była rada, a laska urzędowa pana Bumble swych usług więcéj już pełnić niepotrzebowała.

Na resztę tego dnia zamknięto Oliwera do komórki w tyle kuchni leżącéj, w towarzystwie pumpy na wodę i kawałka suchego chleba; a gdy nakoniec noc nadeszła, pani Sowerberry, wyzionąwszy poprzód już pode drzwiami bardzo wiele uwag, na pochwałę matki Oliwera wcale niewyglądających, głowę do komórki wścibiła i kazała mu udać się na spoczynek do owéj izby okropnéj, w któréj zwykle na swém lichém łożu sypiał; co też i natychmiast śród śmiechu szyderczego i złośliwych przycinków Karoliny i Noego uczynił.

Lecz gdy się nakoniec do warsztatu Przedsiębiorcy dostał i tam sam jeden pośród samotności tego mieszkania pozostał, wtedy się dopiero cały tem uczuciom oddał, które jak się spodziewać można, takie srogie i niesprawiedliwe ukaranie w sercu tego dziecka jeszcze prawdziwego rozbudzić musiało.

Dotąd słuchał z pogardą wszystkich szyderstw, i znosił cierpliwie wszelkie bicia i pokrzywdzenia, nie uroniwszy ani jednéj łezki, albowiem w sercu swojém czuł ową dumę, którąby najmniejszy okrzyk boleści natychmiast była w nim stłumiła, gdyby go nawet na rożnie byli piekli.

Lecz teraz, gdy go nikt ani widzieć, ani słyszeć nie mógł, teraz się rzucił na kolana i zakrywszy twarz

rękoma, zalał się łzami, które nam Bog dla uczczenia naszego serca zseła, i to tak rzewnemi i gorącemi, jakich jeszcze żaden chłopiec przed nim w tak młodym wieku niewylewał.

Oliwer zostawał przez długi czas w téj postawie nieporuszony.

Światło na kaganku już dogorywało, gdy się nakoniec z ziemi podniósł; poczém, obejrzawszy się w koło ostrożnie, i przysłuchawszy z wielką uwagą, czyli jakiego szmeru nie usłyszy, po cichutku zapory od drzwi odsunął i na ulicę wyjrzał.

Była to noc ciemna i zimna. Oliwerowi się zdawało iż téj nocy gwiazdy bardziéj od ziemi są oddalone, jak kiedyindziéj. Wiatru najmniejszego nie było, a owe cienie olbrzymie, które drzewa na ziemię rzucały, wyglądały ponure i nieruchome, niby posągi grobowe.

Oliwer drzwi po cichutku na powrót zamknął, i zawiązawszy do chustki przy gasnącém świetle kaganka te kilka sztuk odzieży, które posiadał, usiadł sobie na ławce, oczekując świtu.

Gdy się pierwsze promienia świtającego poranku przez szpary od okienic do jego warsztatu przedarły, Oliwer wstał i drzwi na nowo otworzył.... Jedno jeszcze spojrzenie tkliwe w koło siebie,.... jedna chwila wahania!.... już je zamknął za sobą,.... i na ulicy stanął....

Zrazu spojrzał trwożliwie na wszystkie strony, niewiedząc wcale, w którą stronę ma uciekać. Przypomniawszy sobie jednak, iż wozy z miasta wyjeżdżające zwykle pod górę się brały, i on się tą samą drogą puścił, a doszedłszy do ścieszki przez pola prowadzącéj,

o któréj wiedział, iż w tymże samym kierunku, co i gościeniec bity wiedzie, nią się udał, i krokiem sporym pośpieszał.

Niebawem jednak Oliwer tę dróżynę poznał, i przypomniał sobie, iż to była ta sama ścieszka, którą niegdyś w towarzystwie pana Bumble po raz pierwszy ku domowi roboczemu zmierzał, gdy tenże po niego do pani Mann przybył, u któréj na wydzierżawieniu pod ów czas zostawał, aby go na tę widownię cierpień i nędzy sprowadzić;.... a ta ścieżka toż koło domu pani Mann prowadziła.

Gdy mu ta okoliczność na myśl wpadła, zaczął sobą trwożyć, serce mu mocniéj biło z obawy, nawet się już wrócić postanowił.

Lecz tak wielki kawał drogi tą ścieżką już uszedł, iżby sobie wiele czasu był zbawił, gdyby się był chciał na gościeniec wrócić. Nareszcie i to mu na myśl przyszło, iż to była pora dnia bardzo wczesna; niemiał się przeto tak bardzo czego obawiać, aby go spostrzeżono i poznano. Nabrał tedy odwagi, i szedł śmiało daléj.

Nakoniec i do zakładu pani Mann doszedł.

Tutaj jednak wcale na to niewyglądało, ażeby który z jego licznych mieszkańców o tak wcześnéj porze już był na nogach. Oliwer się przeto zatrzymał i do ogrodu spojrzał.

W ogrodzie spostrzegł jednego chłopczynę, zajętego plewieniem małéj grządeczki.

Gdy Oliwer przy płocie się zatrzymał, ten chłopczyna się właśnie obrócił, twarz swoję bladą do góry podniósł, i oblicze znane jednego z dawniejszych towarzyszy tego zakładu mu pokazał. Oliwer się mocno

tém uradował, iż tego chłopczynę raz jeszcze zobaczył, nim się z tych stron na zawsze oddalił; .... gdyż lubo ów chłopiec był o wiele młodszym od niego, był on jednak zawsze najlepszym jego przyjacielem i towarzyszem łóżka; .... a wiele, bardzo wiele razy się zdarzało, że ich obu spólnie obito, głodzono, lub do więzienia domowego zamykano.

— Słuchaj Dik! — zawołał Oliwer, ... a ów chłopczyna tymczasem do płotu przybiegł i przez szparę rękę mu podał, — Czy wstał jeszcze ktoś więcéj?

— Nikt prócz mnie! — odpowiedział chłopczyna.

— Nie mówże więc nikomu, żeś mię widział, — rzekł Oliwer; — ja uciekam w świat. Biją mię tylko wszędzie i źle się ze mną obchodzą. Ja też postanowiłem szczęścia w świecie poszukać, chociaż jeszcze nie wiem, gdzie się udam. Ale, jakże blado wyglądasz?

— Słyszałem dobrze, jak lekarz mówił, iż wkrótce umrę, — odpowiedział chłopczyna z dziwnym uśmiechem. — Jestem bardzo rad, że cię widzę, drogi Oliwerze, jednak, niezatrzymuj się ze mną długo i uciekaj!

— Dobrze, dobrze, zaraz się oddalę! Chciałem się tylko z tobą pożegnać! — odpowiedział Oliwer. — My się jeszcze kiedyś zobaczymy Diku, ... ja wiem że się zobaczemy, a ty będziesz wtedy zdrowo i ładnie wyglądał.

— Tego się spodziewam, ale nie pierwéj, aż po śmierci dopiero, — odpowiedział chłopczyna. — Ja wiem, iż doktor prawdę mówi, gdyż się mi zawsze śni tylko o niebie, o aniołach, i o miłych, przyjacielskich twarzach, których na jawie nigdy nie widzę. Pocałuj

mnie, — dodał chłopczyna, wspiąwszy się na płot nizki, i objąwszy swemi drobnemi rączętami Oliwera serdecznie za szyję. — Bywaj zdrów kochany Oliwerze; niech cię Bóg prowadzi i błogosławi, bywaj zdrów!

To błogosławieństwo wyszło wprawdzie z ust dziecięcych, lecz Oliwer po raz pierwszy dopiero tego niewypowiedzianie błogiego i rzewnego uczucia doznał, jakiém błogosławieństwo człowieka przejmuje, zwłaszcza iż po raz pierwszy dopiero w jego życiu błogosławieństwa Niebios na niego wezwano. To było też powodem, iż pośród najsroższych walk i cierpień swego życia o niém nigdy nie zapomniał.

ROZDZIAŁ VIII.

Oliwer idzie do Londynu i nadybuje na drodze dziwnego młodziana.

Oliwer opuścił nakoniec ogród i doszedł wkrótce do gościeńca, do którego ta ścieszka go doprowadziła.

Mogła być właśnie ósma godzina z rana; a lubo już przynajmniéj o milę od miasta się był oddalił, biegł jednak ciągle, kryjąc się od czasu do czasu po za płoty z obawy by go' nie ścigano, dogoniono i schwytano. Nakoniec usiadł znużony koło południa w cieniu milowego kamienia i po raz pierwszy nad tém rozmyślać zaczął, w którą stronę się mu najlepiéj będzie puścić, by znaleść przytułek, pracę i życie.

Na kamieniu, pod którym był usiadł, wielkiemi głoskami stało napisane, iż z tąd jeszcze siedmdziesiąt mil (dziesięć mil polskich) do Londynu.

Nazwisko tego miasta nowy szereg myśli w duszy Oliwera pobudziło. Londyn,.... to wielkie,.... bardzo wielkie miasto,.... gdzieby go nikt a nikt,.... nawet

pan Bumble sam nie mógł znaleść! .... Nieraz on już słyszał starych ludzi w domu roboczym opowiadających, iż żaden chłopiec, który cokolwiek tylko bystrości umysłu i dowcipu posiada, w Londynie żebrać nie potrzebuje, i że w tém mieście ogromném tyle i takich sposobów jest do życia, o jakich ludzie na wsi urodzeni i wychowani ani wyobrażenia nie mają.

Pomyślał sobie tedy, iż to było właśnie miejsce najdogodniejsze dla biednego od wszystkich opuszczonego chłopca, któremuby z głodu na ulicy umrzeć wypadało, gdyby mu nikt w pomoc nie przyszedł.

Ta myśl tak się mu spodobała, iż się natychmiast żywo na nogi zerwał i pełen ufności w dalszą drogę puścił.

Już odległość od Londynu go rozłączającą, o całe cztery mile na nowo zmniejszył, nim mu na myśl wpadło zastanowić się nad tém, jak długo iść będzie musiał, nim do tego miejsca swego przeznaczenia zajdzie. Ta uwaga zmusiła go także do zastanowienia się większego nad sobą samym; zwolnił przeto swego kroku i zaczął nad tém rozmyślać, jakie środki do dostania się do Londynu posiada.

Miał on wprawdzie w swém zawiniątku kawał suchego chleba, jedną koszulę, i dwie par pończóch; .... prócz tego i jednego fenika jeszcze w kieszeni, — którego mu pan Sowerberry pewnego razu podarował, kiedy się lepiéj jak za zwyczaj, na pogrzebie popisał.

— Biała koszula, — pomyślał sobie Oliwer, — jest to rzecz bardzo wygodna, ... prawdziwie; .... i dwie pary pończoch pocerowanych nie są rzeczą zbyteczną, podobnie jak i fenik, ... i to prawda; .... lecz to wszy-

stko jest jeszcze bardzo lichym pomocnikiem do odbycia sześćdziesięciu pięciu mil, i to jeszcze w zimowéj porze!

Lubo umysł Oliwera, podobnie jak i wielu innych ludzi, bardzo był skorym i czynnym w wytykaniu mu wszelkich trudności, nie był jednak wcale zdolnym do wskazania mu środków, jakim sposobem je przezwyciężyć i usunąć. Namyśliwszy się przeto czas niemały nad tą ważną rzeczą, przełożył zawiniątko z jednego ramienia na drugie i szedł sobie daléj.

Oliwer tego dnia dwadzieścia mil blizko uszedł, nie posiliwszy się przez tę całą drogę niczém innćm, tylko tym kawałkiem suchego chleba, który wziął ze sobą i kilkoma łykami wody, które sobie u drzwi jednego domu, nad drogą leżącego, wyżebrał.

Gdy noc nadeszła, udał się na łąkę i umieściwszy pod styrtą siana, postanowił pod nią aż do rana przespać. Z początku strach go pobierał, gdyż wiatr burzliwy wył smutnie i uganiał po tym niezmierzonym niw i pól obszarze, a on wyziębły, wygłodniały, dotkliwiéj jak kiedykolwiek tego przykrego uczucia doznawał, iż na tym świecie samotnie, od wszystkich opuszczony stoi. Będąc jednak podróżą mocno znużony, zasnął wkrótce i zapomniał o swojéj nędzy.

Gdy się Oliwer nazajutrz obudził, uczuł, iż wskróś przeziąbł, i cały od zimna skośniał; przytém jeszcze taki wielki głód mu dokuczać zaczął, iż w pierwszéj zaraz wiosce, przez którą przechodził, fenika swego na bółkę małą chleba zamienić był zmuszony.

Tego dnia już zaledwie mil dwanaście do wieczora uszedł, gdyż nogi odparzone mu popuchły, a on tak mocno

był zdrożony, iż się pod nim chwiały. Noc druga, podobnie jak pierwsza, w czystém polu przepędzona, niebardzo go także pokrzepiła, a gdy nazajutrz rano w dalszą drogę się wybierał, zaledwie tyle miał mocy, że się krokiem chwiejącym daléj powlec zdołał.

Pewnego razu Oliwer, widząc, że powóz pocztowy nadjeżdża, zatrzymał się u stopy dość wysokiego wzgórza, i zaczął podróżnych, na wierzchu siedzących, o pomoc błagać. Lecz mało pomiędzy nimi takich znalazł, którzyby uwagę swoję na niego byli zwrócili, a i ci mu jeszcze powiedzieli, żeby cierpliwym był, dopokąd się na szczyt góry niedostaną, i nie zobaczą, jak daleko za pół fenika biedz potrafi.

Biedny Oliwer biegł tedy koło wozu tak długo, jak tylko mógł; lecz to długo trwać nie mogło, gdyż jego wysilenie było za nadto wielkie, a jego nogi bardzo poranione.

Gdy to owi podróżni zobaczyli, natychmiast swoje półfeniki do kieszeni pochowali, i oświadczyli, iż z niego mały pies leniwy, który na żadną pomoc i litość nie zasługuje; a powóz tymczasem daléj pogonił i tylko chmurę pyłu za sobą pozostawił.

W bardzo wielu wioskach były wielkie tablice przybite z tém ostrzeżeniem, iż ktokolwiek się w tym okręgu żebrać ośmieli, zostanie natychmiast do domu poprawy oddany, a ta groźba Oliwera tak mocnym strachem zwykle nabawiła, iż wszelkich sił swoich dobywał, aby to miejsce jak najśpieszniéj opuścić.

W innych wioskach stawał u drzwi gospodnich, i ze smutkiem na ludzi tamtędy przechodzących spoglądał; lecz i to postępowanie jego zwykle ten skutek za sobą

pociągnęło, iż gospodyni tego domu gospodniego któremukolwiek ze swoich parobków, bezczynnie po wszystkich kątach gospody się włóczących, natychmiast surowo nakazała, tego chłopca ze swego stanowiska spędzić, mając go w podejrzeniu, iż po to tylko stoi, aby dogodną sposobność upatrzyć i coś z domu ukraść.

Jeżeli zaś Oliwer kiedy u drzwi wieśniaka się zatrzymał, żebrząc o jałmużnę, zdarzało się zwykle w dziewięciu razach na dziesięć, iż mu wypuszczeniem psów na niego zagrożono, jeżeli się natychmiast nieoddali; a jeżeli kiedykolwiek do jakiego kramu zajrzał, zwykle rozmowę o Woźnym usłyszał, co mu natychmiast serce do ust wpędziło; bardzo często rzecz jedyna, którą przez całe dnie prawie miał w ustach*).

I w istocie, gdyby się jakiś ksiądz dobroduszny i jakaś staruszka dobrotliwa nad nim nie była zlitowała, cierpienia Oliwera byłyby się z pewnością w ten sam sposób skończvły, jak i cierpienia jego matki; czyli inaczéj powiedziawszy: byłby niezawodnie umarł z głodu na królewskim gościeńcu. Ale ów ksiądz wsparł go kawałkiem chleba i sera, a owa staruszka zacna, mająca podobno w świecie jakiegoś wnuczka, który się zapewnie na morzu z okrętem rozbił, i w skutek tego boso, głodno i chłodno po świecie włóczyć musiał, miała także litość i nad nim, biedną sierotą, i dała mu tyle,.... ile tylko dać mogła,.... a nawet i więcéj,.... albowiem

*) Tyle co: skoczyła mu dusza na ramię; zatrzymałem jednak ten dowcip i w tłómaczeniu, dla zachowania cechy angielskiéj.

z taką dobrotliwością i przychylnością w mowie, ... i tak miłemi łzami litości i współczucia w oku, iż te głębiéj w serce jego się wcisnęły, jak wszystkie cierpienia, które kiedykolwiek poniósł.

Siódmego dnia rano po ucieczce swojéj z miejsca urodzenia, Oliwer szedł zwolna, chromając, przez miasteczko *Barnet*. Okienice były jeszcze wszędzie pozamykane, ulice puste, żywa dusza z zaduchu i ciemności sypialni na jasność dnia jeszcze nie wyszła. Słońce zeszło w całéj swojéj świętnéj piękności; lecz te świetne promienie słońca posłużyły chłopcu jedynie do przekonania się o własnéj nędzy i zupełném opuszczeniu, gdy pyłem okryty, nogi mając ranne, popuchnięte, na zimnym kamiennym progu jakiegoś domu sobie spoczął.

Pomału zaczęto sklepy i okienice otwierać, a mieszkańcy miasta to w tę, to w owę stronę po ulicy się przechodzić. Wielu, spostrzegłszy Oliwera, przed nim się zatrzymało i z ciekawością jemu na chwilę przypatrywało, lub też idąc daléj, za nim się oglądało, lecz żaden z nich tyle litości w sercu nie miał, i téj pracy sobie nie zadał, aby się go zapytać zkąd przychodzi i dokąd idzie? On zaś nie miał odwagi żebrać, siedział przeto smutny i strapiony.

Oliwer spoczywał tak przez długi czas na tym stopniu kamiennym, zastanawiając się niemało nad ilością nadzwyczajną szynkowni w Barnet, — w tém miasteczku bowiem w co trzecim domu prawie jest czy to większa, czy mniejsza szynkownia, — spoglądając smutnie na powozy przejeżdżające, i dziwiąc się w duchu nad tém, iż ludzie w nich w kilku godzinach tę samą przestrzeń

drogi z największą wygodą odbyć mogą, na którą on cały tydzień odwagi i trudów potrzebował.

Z tego rozmyślania obudziło go nagle spostrzeżenie, iż jakiś młody człowiek, który przed chwilą dopiero z największą obojętnością i niedbałością mimo niego przeszedł, niebawem powrócił, i z drugiéj strony ulicy z uwagą i ciekawością na niego spoglądał.

Zrazu Oliwer na to żadnéj baczności niedawał; lecz gdy ten chopiec postawy swojéj niezmieniał, i przez długi czas okiem śledczém i badawczem się mu przypatrywał, Oliwer w końcu głowę do góry podniósł i wzrok swój, na niego zwrócił.

Ów młody człowiek to widząc, przeszedł przez ulicę, i zbliżywszy się do Oliwera, rzekł:

— Jak się masz, mój chłopcze?

Nieznajomy młodzieniec, który Oliwera w ten sposób zagadnął, był w tymże samym wieku prawie co i on; lecz w obliczu jego taka przebiegłość przebijała, jak się Oliwerowi jeszcze nigdy widzieć nie zdarzyło. Zresztą miał on nos zadarty, czoło płaskie, nizkie, twarz pospolitą, a przy tém tak był brudny i niechlujny, żeby trudno były pary do niego znaleść. Jednak ruch cały i układ dorosłego mężczyzny posiadał. Kapelusz tak lekko na głowie miał zasadzony, że mu co chwila spadnięciem groził, ... co by też z największą pewnością było nastąpiło, gdyby właściciel kapelusza również co chwila zręcznym rzutem głowy na miejscu go nie był utrzymał.

Na sobie miał surdut długi aż po kostki prawie, o rękawach, aż po łokieć blizko zawiniętych, widocznie w tym celu, aby ręce mógł mieć wolne i do kieszeni od

swych szerokich spodni je włożyć, gdzie ich też rzeczywiście ustawicznie trzymał. Zresztą taki z niego chłopiec był nadęty i napuszony, jaki tylko kiedykolwiek, cztery stóp i sześć cali, a może i mniéj jeszcze mając, w półbócikach blicherowskich po ulicy kroczył.

— Jakże się masz, mój chłopcze? — zapytał Oliwera ten nieznajomy i zabawny młodzieniec.

— Jestem głodny i znużony, — odpowiedział Oliwer; a łzy mu w oczach się zakręciły, gdy to wyrzekł. — Przychodzę z bardzo daleka; ... szedłem cały tydzień.

— Szedłeś cały tydzień! — powtórzył ów młodzieniec nieznajomy. — A, rozumiem.... na rozkaz *dziubosza*, nieprawda?.... Spodziewam się przecież, — dodał spostrzegłszy Oliwera zadziwienie, — że wiesz co to znaczy dziubosz, mój zacny przyjacielu?

Oliwer mu na to bardzo skromnie odpowiedział, iż w istocie słyszał, że tego słowa przy opisywaniu ptaków używano.

— Na moje oczy, jakiż to z ciebie *zieleniak!* — zawołał ów nieznajomy. — Wiedz o tém, że dziubosz oznacza sędziego; a jeżli się mówi, iż na rozkaz dziubosza idziesz, to nie ma wcale znaczyć, że idziesz prosto drogą i ciągle naprzód, ale ciągle do góry, nie schodząc nigdy na dół. A byłeś ty kiedy w młynie?

— W jakim młynie? — zapytał Oliwer zdumiały.

— W jakim młynie! .... no w *młynie*, ... *) w młynie tak mało miejsca zajmującym, że się nawet w dzbanku kamiennym **) zmieścić może, i zwykle

*) młyn tak zwany: *stępak*.

**) więzienie Tower w Londynie w mowie złodziei dzbankiem kamiennym się nazywa.

w tedy najlepiéj idzie, kiedy wiatr jest słaby, a ludzi mało, gdyż jeźli wiatr jest mocny, robotnika im dostać bardzo trudno.... Lecz teraz chodź ze mną, — dodał ów młody człowiek, — tobie bardzo wiele brakuje, a trzeba, żebyś to miał, czego ci brakuje.... Prawda że i u mnie flota niebardzo wielka, gdyż nie mam więcéj w kieszeni jak półtora szylinga, ale to nic nieszkodzi;.... dobędę ją i tych i zapłacę za ciebie. Wstańże więc, wstań, i stań na twoich piszczałkach! Daléj! ruszże się z miejsca, żywo!

Nieznajomy młodzieniec, pomógłszy Oliwerowi na nogi się podnieść, zaprowadził go do pobliskiego kramu, w którym spory kawał szynki i mały bochenek chleba, *cztery fenikowca*, jak się sam wyraził, kupił. Ażeby się zaś szynka przez drogę niezawalała, i pyłem na ulicy niezapruszyła, użył na to bardzo przemyślnego wybiegu. Wykroił bowiem w chlebie dziurę, wyjął ośródkę i wsadził szynkę na jéj miejsce; potém chleb wziął pod pachę, udał się wraz z Oliwerem do lichéj karczminy, i poprowadził go przez wspólną izbę szynkowną, do osobnéj izdebki w tyle.

Tutaj postawiono przed Oliwerem kufel piwa z rozporządzenia tajemniczego przewodnika, a on się rzucił na niego z chciwością łakomą za pozwoleniem swego przyjaciela, i szczerze się oddał téj rozkoszy, od dawna już niedoznanéj, iż się dowolnie mógł najeść i napić. Jego przyjaciel nieznajomy i zabawny spoglądał tymczasem z wielką uwagą na niego.

— Chcesz zatém iść do Londynu? — spytał Oliwera nareszcie ów młodzieniec tajemniczy, widząc, że się raz przecie już nasycił.

— Tak jest.
— A maszże tam jakie miejsce pewne!
— Nie!....
— A pieniędzy, czy masz?
— Nie mam także.

Tajemniczy młodzieniec wzruszył na to ramionami, poświstał sobie, i obie ręce tak głęboko do kieszeni w spodniach wsunął, jak dalece tego zawinięte rękawy dozwalały.

— A ty czy mieszkasz w Londynie? — zapytał na odwrót Oliwer.

— Mieszkam, jeżeli jestem w domu, — odpowiedział młodzieniec tajemniczy. — Zapewnie tam będziesz potrzebował noclegu ... co? ....

— To prawda! — odpowiedział Oliwer. — Od czasu, jakem miejsce mego urodzenia opuścił, jeszczem ani razu pod dachem nie spał.

— Niech cię o nocleg głowa nie boli, — odrzekł na to tajemniczy młodzieniec. — I ja także myślę na wieczór być w Londynie, i znam pewnego zacnego staruszka, który cię zadarmo przenocuje, i ani się spyta o zapłatę, jeżeli cię tylko ktoś znajomy do niego zaprowadzi. A może on mnie nie zna!... o nie, nie, prawdziwie,... o, on mnie nie zna.

Ów tajemniczy młodzieniec przytém tak się roześmiał, jakby chciał był przez to wyjaśnić, iż jego mowa cała, a szczególnie ustęp ostatni téjże, całkiem był ironiczny; poczém swego piwa dokończył.

To niespodziewane przyrzeczenie noclegu zanadto było ponętne, aby go Oliwier nie miał był przyjąć z ochotą, zwłaszcza, iż mu to zapewnienie towarzyszyło,

że ów staruszek, o którym była mowa, bardzo często już podobne usługi czyniąc, i jego w krótkim czasie w jakim domu uczciwym i porządnym będzie mógł umieścić. To ich wkrótce do poufniejszéj nieco rozmowy doprowadziło, z któréj się Oliwer dowiedział, iż przyjaciel jego nowy Jakub Dawkins się nazywa, i szczególnym jest oblubieńcem wzwyż wspomnionego staruszka.

Powierzchowność pana Dawkins nie świadczyła wprawdzie o zbytecznem przywiązaniu wspomnionego staruszka do niego, a zatém i do wszystkich tych, co pod jego wyłączną opieką zostawali, ale że ten młodzieniec był w swéj mowie bardzo rozwiozłym i Oliwerowi nadto jeszcze wyznał, iż pod nazwiskiem: *Smyk przebiegły* pomiędzy najzaufańszemi przyjaciołami swoimi jest znany, Oliwer przeto z wszystkiego wnosił, iż z niego chłopiec rozrzutny być musi, a zatém i nauki jego dobroczyńcy prędko z głowy mu wietrzeją.

W tém mniemaniu szczerze sobie postanowił, dobrém zawsze zachowaniem i prowadzeniem łaski i względy owego starego Jegomości jak najstaranniéj sobie skarbić, a nawet i zaszczytu dalszego obcowania z panem Dawkins się wyrzec, jeżeliby się późniéj przekonał, że ten zacny młodzieniec żadną miarą się poprawić nieda, czego się nawet już teraz obawiał.

Ponieważ Jakub Dawkins jasno zdanie swoje oświadczył, iż sobie przed wieczorem do Londynu wejść nie życzy, jedynasta godzina w nocy już zatém wybiła, kiedy do rogatki w *Islington* doszli. Minąwszy potém dom gospodni pod *Aniołem*, zwrócili się na ulicę ś. Jana,

z tamtąd weszli na uliczkę wązką, na plac teatru *Sadler Wall* prowadzącą; z tego placu udali się na ulicę *Exmouth-Street*, przebiegli potém przez ulicę *Coppicerow*, daléj przez małą sień przechodnią koło domu roboczego, a potém przez owę część miasta klassyczną, *Hockley in-the-Hole* (Hoklej w jamie) zwaną,.... nakoniec puścili się ulicą; *mały Saffron-hill*, daléj ulicą *Wielki Saffron-hill*, na któréj Smyk kroku swego przyśpieszył, i Oliwerowi nakazał, aby się go dobrze trzymał.

Lubo uwaga Oliwera głównie na to zwrócona była, aby przewodnikowi swemu kroku dotrzymać i z oczów go nie zgubić, nieomieszkał jednak tu i owdzie na ulicę, którą właśnie biegli, okiem rzucić, i to spostrzeżenie zrobił, że jeszcze nigdy w swojém życiu miejsca lichszego, nędzniejszego i plugawszego nie widział.

Była to wązka i błotnista ulica, a powietrze w niéj różnemi zgniłemi wyziewami zarażone. Byłoć tam wprawdzie wiele sklepików i kramów, lecz całym ich zasobem i bogactwem zdawały się być tylko roje dzieci, które, pomimo tę późną godzinę w nocy po wszystkich kątach koło drzwi domów się snuły, lub też po domach samych wrzeszczały.

Śród tego przytułku nędzy i niedoli powszechnéj szynkownie kwitnąć się jedynie zdawały, a po tych się uwijał i hałasił najniższy motłoch pospólstwa.

Pokryte chodniki i uliczki tajne, przechodnie, prowadziły z głównéj ulicy do różnych gromad domów na uboczy, tu i owdzie rozrzuconych; po nich walali się dosłownie wbłocie pijani mążczyzni i kobiety, a z wielu tych ulic krytych, tajemnych, wysuwali się, ostrożnie

koło siebie spoglądając, ludzie nie najlepszegszego pozoru, którzy widocznie nienajlepsze zamiary mieć musieli.

Ta uwaga takie wrażenie na Oliwera zrobiła, iż właśnie nad tém romyślać zaczął, czyliby to nie było lepiéj dla niego uciec, gdy go téj chwili przewodnik, doszedłszy do podnóża małego pagórka, za rękę chwycił, drzwi w pobliżu *Field-lane* śpiesznie otworzył, i wtrąciwszy Oliwera do sieni, natychmiast je za sobą zamknął.

— Kto tam? — zawołał głos z dołu się wydobywający, jako odpowiedź na świśnięcie właściwe *Smyka.*

— *Plummy i Slum!* — odpowiedział Smyk.

Te słowa musiały być hasłem umówioném, jak się zdawało, albowiem wkrótce mdławe światło lichéj świecy na przeciwnym końcu sieni na ścianie się odbiło, a oblicze mężczyzny nad poręczą starych schodów, do kuchni wiodących, się pojawiło.

— Jak widzę to was dwóch? — zapytał ów nieznajomy, odsunąwszy cokolwiek świecę od siebie, i zasłoniwszy ją ręką od oczów. — Cóż to za jeden ten drugi?

— Zieleniak, — odpowiedział Jakub Dawknis, popchnąwszy Oliwera napród.

— Zkądże przychodzi?

— Z daleka.... Czy Fagin w domu?

— W domu! Właśnie szmaty przebiera... Chodźcie.

Natychmiast świeca znikła, a z nią i oblicze nieznajomego.

Oliwer, wyciągnąwszy jedną rękę przed siebie, a drugą mocno swego towarzysza się trzymając, wpiął się nakoniec z wielką trudnością po schodach ciemnych i spru-

chniałych do góry, po których jednak przewodnik jego, pomimo ciemność w sieni panującą, biegł szybko i bezpiecznie, co było jasném dowodem, iż z niemi jak najlepiéj był obznajomiony.

Nakoniec otworzył drzwi do izby i wciągnął do niéj Oliwera za sobą.

Powała i ściany téj izby były już zupełnie czarne z dymu i starości. Niedaleko kominka stał jodłowy stół, na nim świeca łojowa, w szyjkę od butelki z piwa zatknięta, kilka kubków cynowych, chleb, masło i talerz. Na panewce, będącéj na ogniu, któréj rączka sznurkiem do kapy od komina przymocowana była, smażyło się kilka kiełbas, a przed kominkiem stał z długim widelcem w ręku, stary i suchy Żyd, którego oczy nieprzyjemne i twarz odrażającą, gęsty głos rudawy ocieniał.

Ten żyd, w brudnym, zatłuszczonym kaftanie flanelowym, z szyją obnażoną, zdawał się to panwi na ogniu, to wiszadła mnóstwem jedwabnych chustek od nosa najrozmaitszych zarzuconego, troskliwie strzedz i pilnować. Kilka sienników ze starych podartych worów leżało na ziemi jeden przy drugim rozścielonych, a koło stołu siedziało kilku młodych ludzi, niewiele od *przebiegłego Smyka* wiekiem starszych, ćmiących sobie z długich glinianych fajek i popijających wódkę, niby ludzie dorośli.

Gdy Jakub Dawkins kilka słów Żydowi do ucha szepnął, owi młodzi ludzie natychmiast od stołu się zerwali, i koło swego nowo przybyłego towarzysza zbiegli, a potém do Oliwera się obróciwszy, zęby do niego

szczerzyć zaczęli, podobnie jak i sam Żyd, trzymający ów wielki widelec w ręku.

— Panie Fagin, — rzekł Jakub Dawkins, — oto jest mój przyjaciel, Oliwer Twist.

Żyd twarz do uśmiechu wykrzywił, zęby wyszczerzył, i skłoniwszy się Oliwerowi niziutko, ścisnął go za rękę i rzekł: „iż się spodziewa zasłużyć na zaszczyt jego bliższéj znajomości."

Po dopełnieniu tych wszystkich wstępowych grzeczności owi młodzi ludzie Oliwera w koło obstąpili, i serdecznie go za obie ręce ściskać zaczęli; najszczerzéj i najskwapliwiéj zaś ten, co mu jego małe zawiniątko z rąk odebrał. Drugi z nich, chcąc mu przez swoję nadzwyczajną troskliwość zbytniego trudu ulżyć, chwycił za jego czapkę, aby ją powiesić; inny zaś był tak grzeczny, iż swoje ręce do jego kieszeni wsunął, ażeby Oliwer, udając się na spoczynek, i będąc już i tak mocno znużony, wypróżnieniem się ich kłopotać nie potrzebował.

Ci młodzi ludzie byliby swoję uprzejmość daléj jeszcze może posunęli, gdyby ów stary Żyd hojnym upominkiem swego wielkiego widelca ich grzbiety nie był udarował, i przeto téj ich zbytecznéj grzeczności poskromił.

— Panie Oliwer! ..... bardzo radzi jesteśmy, ... żeśmy cię poznali, — ozwał się w końcu Żyd do niego. — Smyku, zestawno kiełbasy z ognia i przynieś dla pana Oliwera beczułkę do kominka, aby miał na czém usiąść.... A! ....! spoglądasz na chustki od nosa, co? nieprawdaż mój drogi, że ich mamy podostatkiem, ... nieprawdaż? ... Wyjąłem je właśnie do prania! ... ha! ha! ha!

Ostatniemu ustępowi téj mowy wtórzył śmiech głośny wszystkich obecnych i pełnych nadziei wychowanków wesołego staruszka, a pośród tego śmiechu zasiędziono do stołu.

I Oliwer część swoję z wieczerzy dostał, a Żyd przyrządziwszy mu potém mięszaninę z wódki i ciepłéj wody, upomniał go, ażeby ją natychmiast wypił, gdyż on téj szklanki i dla drugich potrzebuje.

Oliwer uczynił zadość temu życzeniu. Niebawem jednak w oczach się mu ćmić zaczęło, stracił przytomność, i tyle tylko czuł, iż go powoli na jednym z sienników na ziemi rozścielonych położono, na którym też natychmiast głęboko zasnął.

ROZDZIAŁ IX.

Zawiera dalsze wiadomości szczegółowe o żartobliwym staruszku, i jego wielkie nadzieje rokujących wychowankach.

Nazajutrz rano słońce już wysoko na niebie stało' i późno w dzień było, gdy się Oliwer nakoniec ze swego długiego i głębokiego snu przebudził. W izbie już nikogo nie było, prócz samego Żyda starego, który stojąc przy kominku, sam kawę na śniadanie gotował, i poświstując sobie pod nosem, blaszaną łyżką ciągle w naczyniu mieszał. Czasem jednak zawieszał tę czynność swoję, aby ucho nadstawić i pilnie się przysłuchać, czyli jakiego szmeru w sieni od ulicy nie usłyszy; poczém jak się zdawało, dostatecznie w téj mierze zaspokojony, na nowo jął mięszać i świstać.

Lubo się Oliwer ze snu już był wybił, jednak zupełnie jeszcze do przytomności przyjść niezdołał.

Między snem i zupełném ocknięciem się człowieka jest jeszcze pewien stan pośredni, w którym się człowiekowi, mającemu oczy na pół tylko przymknięte,

i będącemu oraz na pół temu wszystkiemu przytomnym, co się koło niego dzieje, daleko więcéj w pięciu minutach naśni, jak kiedyindziéj przez pięć nocy, mając oczy zupełnie zamknięte, a zmysły w więzach otrętwienia ujęte. W podobnéj chwili człowiek tyle znajomości o tém nabiera, co jego duch czyni, że słabe przynajmniéj pojęcie powziąść jest w stanie o jego potędze, o jego wzniesieniu nad ziemię, i pogardliwém przełamaniu wszelkich zapor przestrzeni i czasu, jeżeli od ciężaru i więzów swego ustawicznego towarzysza: *ciała*, oswobodzony się uczuje.

Oliwer się właśnie w témże samém położeniu znajdował.

On widział dobrze Żyda przed sobą, lubo miał oczy na pół zamknięte, słyszał wyraźnie jego świstanie ciche, rozpoznawał dokładnie hałas, pochodzący z tarcia łyżką blaszaną po panwi, a jednak te same zmysły były równocześnie i umysłowo zajęte czynném obcowaniem z wszystkiemi prawie osobami, które kiedykolwiek w swojém życiu zaznał.

Gdy się kawa ugotowała, Żyd zdjął naczynie z trójnoga, i stojąc przez kilka chwil w niepewności, rozmyślając niby nad tém, co ma teraz począć, obrócił się nagle, spojrzał na Oliwera, i zawołał na niego po imieniu.

Oliwer nie nieodpowiedział i pozór śpiącego ciągle zachowywał.

Żyd uspokojony w téj mierze zupełnie, zbliżył się do drzwi na palcach, zamknął je na zasówkę po cichutku i dobył potém z jakiéjś kryjówki w podłodze, jak się

Oliwerowi zdawało, małéj skrzyneczki, którą na stole postawił.

Gdy wieko otworzył i w nią spojrzał, oczy się mu z radości zaiskrzyły. Przysunąwszy sobie potém stare krzesło do stołu, usiadł na nim, i wyjął ze skrzyneczki śliczny zegarek złoty, dyjamentami połyskujący.

— Aha! — zawołał Żyd, stuliwszy ramiona aż po uszy, i twarz swoję do śmiechu ohydnego wykrzywił.— Zręczne psy!.... zręczne psy!.... Wytrwałe do ostatniego.... Żaden z nich ani pisnął,.... żaden nie wydał téj osoby, u któréj przebywali,.... żaden z nich nie zdradził starego Fagina!.... I cóżby mu z tego było przyszło,.... choćby to był uczynił?.... Wszakżeby żaden z nich przez to guza u swego stryczka nie był rozwiązał, ani też śmierć swoję choćby na chwilę opoźnił!... Tęgie z nich chłopcy!.... tęgie chłopcy!....

Pośród tych i tém podobnych wykrzyknięć,.... cicho pod nosem wyrzeczonych, Żyd zegarek na powrót do skrzyneczki włożył, dobywając z niej jeden po drugim, najmniéj półtuzina podobnych zegarków i przypatrując się im z niewypowiedzianém upodobaniem. Po zegarkach nastąpiły różne i rozmaite pierścionki, śpinki, naramienniki i różne inne klejnoty, a to wszystko roboty najpiękniejszéj i najdroższymi i najkosztowniejszymi kamieniami wysadzane, o których istnieniu Oliwer przedtém ani wyobrażenia nie miał, i nigdy jeszcze w swojém życiu ich nazwisk nie słyszał.

Żyd ukrywszy te wszystkie klejnoty na powrót w swojéj skrzyneczce, wyjął z niéj coś tak małego, coś tak drobnego, że się na jego dłoni ukryć mogło. Musiał być na tém jakiś napis bardzo drobny i nieczytelny,

gdyż Żyd ten przedmiot poziomo na stole położył i osłoniwszy go z jednéj strony ręką od światła, przypatrywał się mu długo i uważnie. Nakoniec, jakby już zupełnie był zwątpił o pomyślnym skutku swych usiłowań, włożył go na powrót do skrzyneczki, i oparłszy się o plecy swego krzesła, mruknął sobie pod nosem.

— Jakżeż to jest rzeczą piekną ta kara śmierci!.... Zmarły niczego już żałować nie może.... Zmarły się z niczém już niewygada!.... A jakżeż ona jest rzeczą zbawienną i pomyślną dla naszego przekupu?.... pięciu ich szeregiem powieszono,.... a żaden z nich ani nie stchórzył, ani się też na zdobycz nie złakomił!

Gdy to Żyd wyrzekł, z sobą samym rozmawiając, oczy jego ciemne, przenikliwe, dotąd nieruchomie w jedno miejsce wlepione, nagle w inną stronę się zwróciły, i przypadkiem na Oliwera padły, który wzrok swój w Żyda utopiwszy, z niemą ciekawością się mu przyglądał, ... a lubo czas poznania trwał tylko chwilę, — czas najkrótszy, jaki pomyśleć można, — i ta chwila już była dostateczna do przekonania starca, że go śledzono.

Zatrzasnął tedy natychmiast wieko od skrzyneczki z wielkim hałasem i schwyciwszy w rękę nóż od chleba na stole leżący, zerwał się ze stołka i rzucił z wściekłością na Oliwera. Widać było jednak po nim wyraźnie, iż trwoga nadzwyczajna sercem jego miotała, gdyż Oliwer, lubo sam był mocno przestraszony, łatwo jednak mógł dostrzedz, że nóż starcowi drżał w ręce.

— Co to jest? — zawołał Żyd! — czego ty mnie śledaisz?.... Dla czego nie śpisz?.... Cóżeś widział?....

Mów chłopcze!.... tylko żywo!..... tylko żywo!..... tu idzie o twoje życie!

— Nie mogłem dłużéj spać, dobry panie! — odpowiedział Oliwer pokornie. — Bardzo mnie to boli, jeżelim wam w czém przeszkodził, Sir.

— A może ty już od godziny nie śpisz, i mnie ciągle śledzisz?

Zapytał Żyd, rzucając na Oliwera groźne spojrzenie.

— Nie, nie,.... proszę mi wierzyć, Sir,.... dalibóg! — odpowiedział Oliwer.

— Czy tylko prawdę mówisz?

Zawołał Żyd, spoglądając na niego z większą jeszcze wściekłością jak dotąd, i zbliżając się groźnie do niego.

— Na moję uczciwość, mówię prawdę, Sir!.... Dalibóg Sir, — odpowiedział Oliwer błagając; — widzi bóg, że się dopiero przed chwilą przebudziłem, Sir. —

— Dobrze już dobrze, mój chłopcze!

Odpowiedział na to Żyd, zmieniając nagle swoje postępowanie i przybierając swój układ zwykły. Przez chwilę jeszcze w palcach nożem się bawił, nim go na powrót na stół położył, chcąc przez to Oliwera w tę myśl wprowadzić, iż go żartem jedynie czczego przestrachu chciał nabawić.

— Wiedziałem ja o tém dobrze mój synu, wiedziałem, — mówił Żyd daléj; — i chciałem cię tylko cokolwiek zastraszyć!.... Ale z ciebie jednak chłopiec odważny,.... tak, tak!.... ha! ha! ha!.... śmiały z ciebie chłopiec Oliwerze, nie ma co mówić.

Żyd przytém z uciechą ręce zacierał, lubo ciągle z niespokojnością w oku na skrzyneczkę spoglądał.

— Czyś te piękne rzeczy widział, Oliwerze?.... co mój drogi? — zapytał Żyd kładąc po chwili rękę na jego ramieniu.

— Widziałem panie, — odpowiedział Oliwer.

— Ach! — zawołał Żyd, zbladłszy jak chusta. — To.... to jest moją własnością, Oliwerze, ... jedyną.... i całą własnością moją!.... to wszystko, co sobie na moje stare lata zachowałem.... Ludzie mię mają za skąpca, Oliwerze!.... tak, nazywają mię tylko skąpcem, i nic więcéj!....

Oliwer sobie pomyślał, iż ten staruszek prawdziwym skąpcem być musi, kiedy w tak brudném, nędzném miejscu mieszka, posiadając tyle zegarów; zastanowiwszy się jednak nad tém, iż przez swoję szczodrobliwość dla *Smyka* i jego drugich towarzyszów, wiele na nich wydawać musi, spojrzał z uszanowaniem na Żyda i zapytał go pokornie, czyli teraz wstać i ubierać się może? —

— Zapewnie że możesz mój drogi, zapewnie! — odpowiedział starzec. — Oto patrz! tam w kącie przy drzwiach stoi dzbanek z wodą. Pójdźże sobie po niego, a ja ci tymczasem miednicę do mycia podam, mój drogi!

Oliwer wstał, przeszedł przez izbę i schylił się na chwilkę, aby dzbanek z ziemi podjąć. Gdy się potém podniósł i głowę zwrócił, już skrzynki nie było.

Zaledwie się Oliwer umył, i stósownie do polecenia Żyda, wodę brudną z miednicy przez okno wylał, *Smyk* wrócił w towarzystwie prawdziwie na gacha wyglądają-

cego młodzieńca, którego on już wczoraj wieczór palącego fajkę zastał, a którego mu teraz z wszelką uroczystością jako: pana *Karola Bates* przedstawiono.

Wszyscy czteréj zasiedli potém razem do śniadania, składającego się z kawy i kilku ciepłych bułek z szynką, które Smyk w kapeluszu swém przyniósł.

— No i cóż? — ozwał się nakoniec Żyd do Smyka, spoglądając z ukosa na Oliwera; — spodziewam się przecież, żeście dzisiaj rano pilni byli w pracy?

— I to bardzo pilni, — podpowiedział Smyk.

— Jak bobry, — dodał Karolek Bates.

— Dobre, poczciwe z was chłopcy! .... bardzo poczciwe, — pochwalił ich Żyd. — Cóżeś ty przyniósł Smyku?

— Kilka pularesów, — odpowiedział młodzieniec.

— Czy wyłożone? — zapytał Żyd drżąc z chciwości.

— I to suto!

Odpowiedział Smyk, wyjmując z kieszeni dwa pularesy, jeden zielony, a drugi czerwony.

— Nie tak jeszcze. jakby być powinny, — odparł Żyd, zbadawszy je wewnątrz starannie, — ale zawsze dobrze i ładnie zrobione ... Zręczny z ciebie robotnik, nieprawda Oliwerze?

— W istocie bardzo zręczny, Sir, — potwierdził Oliwer prostodusznie.

Pan Bates, to słysząc, głośnym parsknął śmiechem z wielkiém zadziwieniem Oliwera, nie mogącego tego pojąć, ażeby się z czegoś podobnego, jak jego odpowiedź, śmiać można.

— A cóżeś ty przyniósł, mój drogi? — zapytał Fagin Karola Bates.

— Kilka szmat tylko! — odpowiedział Bates, dobywając kilka chustek od nosa z kieszeni.

— Bardzo dobrze, — odpowiedział Żyd, i obejrzawszy je wszystkie troskliwie, dodał: — Dobre, bardzo dobre, tylko niedobrze naznaczone. Karolku, te znaczki trzeba będzie wypruć, ... a tego ja Oliwera nauczę. Czybyś się chciał tego nauczyć Oliwerze, co?

— Bardzo chętnie, Sir, jeżeli wam to przyjemność zrobi, — odpowiedział Oliwer.

— A może byś ty się i tego chciał nauczyć, jak chustki tak ładnie robić, jak Karolek Bates, ... co mój drogi? — zapytał Żyd.

— Z największą chęcią, jeżeli mię tego nauczyć zechcecie, Sir, — odpowiedział Oliwer.

Pan Karolek Bates tak coś nadzwyczajnie śmiesznego i pociesznego w téj odpowiedzi Oliwera sobie upatrzył, iż powtórnie na całe gardło się roześmiał. Lecz ten śmiech przy piciu kawy omal że go o śmierć przedwczesną przez zakrztuszenie nie przyprawił, gdyż mu przez to kilka kropli kawy do krztani zabiegło.

— Ale bo też z niego taki czyżyk zielony! Zawołał nakonicc Bates, przyszedłszy do siebie, chcąc się tą uwagą w oczach towarzystwa za niegrzeczność, którą popełnił, usprawiedliwić.

Smyk na to nic niepowiedział, lecz Oliwera po głowie pogłaskał, włosy mu z czoła i z oczów odgarnął i rzekł: iż jest o tém szczerze przekonanym, że się Oliwer z czasem poprawi. Lecz Żyd, który go ciągle miał na oku, i spostrzegł, iż rumieniec na jego lica występuje,

chciał na coś innego zwrócić rozmowę i zapytał ich, czyli dzisiaj rano wiele luda przy wieższaniu było?

To pytanie jeszcze bardziéj zadziwienie Oliwera pomnożyło, zwłaszcza, gdy się z odpowiedzi chłopców okazało, iż i oni przy téj uroczystości byli obecni. Oliwer zaś z podziwienia nie mógł przyjść do siebie i pojąć, czyli to jest podobieństwem, aby w tak krótkim czasie tyle zrobić można?

Gdy po śniadaniu ze stołu sprzątnięto, żartobliwy staruszek i jego dwaj ucznie, zaczęli się bawić w grę dziwną i pocieszną, która się w następujący sposób odbywała:

Staruszek żartobliwy włożył tabakierkę do jednéj kieszeni w spodniach, pulares do drugiéj, do kieszeni w kamizelce złoty zegarek z łańcuszkiem złotym, który na szyi zawiesił, koszulę spiął szpilką z fałszywemi dyjamentami, potém surdut zapiął, okulary i chustkę od nosa do bocznéj kieszeni wsadził, i z laską w ręku po izbie tam i nazad przechadzać się zaczął, naśladując dokładnie układ i ruch staruszka, jakich o każdéj dnia porze po ulicy się błąkających spotkać można. To się przy kominku, to przy drzwiach zatrzymał, głowę to w tę, to w owę stronę wykręcił, wykrzywił, wyciągnął, jak ci ludzie zwykle czynią, którzy z wielką ciekawością przez okna lub drzwi do sklepów zaglądają.

Czasami jednak z wielką przezornością koło siebie na wszystkie strony się oglądał, jakby się złodziei obawiał, i po kieszeniach bardzo często macał, aby się przekonać, czyli z nich co nie zginęło, a to wszystko czynił ten staruszek żartobliwy z taką śmiesznością, lubo

przytém z taką prawdą, że się Oliwer śmiał serdecznie, aż mu oczy łzami zabiegły.

Przez ten czas cały owi dwaj młodzi ludzie szli krok w krok za nim ciągle, a jeźli się kiedy obrócił, tak zręcznie za każdą razą w bok uskoczyć umieli, że niepodobna było ich poruszeń wyśledzić. Nakoniec mu Smyk przypadkiem na nogę nadeptał, czyli też o but jego zawadził, a Karolek Bates tymczasem z tyłu o niego utknął, i téjże saméj chwili oba mu z niesłychaną zręcznością tabakierkę, pulares, zegarek z łańcuszkiem, a nawet i okulary z kieszeni wyjęli. Jeżeli zaś Żyd rękę którego w kieszeni poczuł, zaczął zaraz na niego krzyczeć, a cała zabawa na nowo się rozpoczynała.

Tę zabawę, dość długo trwającą, przerwało przybycie dwóch dziewcząt, przychodzących z odwiedzinami do owych dwóch młodzieńców; jedna z nich nazywała się *Betty*, a druga *Nancy*. Obie mały włos ładny, bujny, lubo bardzo niedbale, nieporządnie w tyle głowy związany i zawinięty; na nogach zaś brudne i zabłocone pończochy i trzewiki. Prawda, że tych dziewcząt pięknościami nie można było nazwać, lecz rumieńce dość żywe pokrywały ich lica, a postać cała zdrowiem i siłą życia tchnęła. Będąc przytém w obejściu się dość przyjemne i niewymuszone, uchodziły w oczach Oliwera za dziewczęta powabne i porządne, jakiemi też i bez wątpienia były.

Ich odwiedziny trwały dość długo. Przyniesiono wódki, i to z powodu, że jedna z tych dziewcząt na zaziębienie żołądka się skarżyła, a rozmowa cała nabrała toku poufnego i przyjacielskiego.

Nakoniec jednak Karolek Bates swoje zdanie obja-

wił, iżby czas już było nogi wziąźć na plecy;.... czego wprawdzie Oliwer natychmiast nie zrozumiał, lecz się domyślał, iż to tyle miało znaczyć, co: wyjść; ten domysł go niezawiódł, gdyż w istocie Smyk, Karolek i obie panny niebawem się zabrali i razem wyszli, wziąwszy poprzód od żartobliwego staruszka pieniędzy na zabawę, których im tenże dał z wielką ochotą.

— No i cóż, mój luby, — zapytał Fagin, — czyliż nie mają szczęśliwego życia? Patrzaj! teraz sobie na cały dzień wyszli na rozrywkę!

— Czy już dzisiaj nic więcéj robić nie będą? — rzekł Oliwer.

— Nie, — odpowiedział Żyd. — Chyba żeby im coś niespodziewanie pod rękę wpadło, do czego by się wziąść mogli..... A że takiéj spososobności nieopuszczą, o tém możesz być przekonany, mój luby.

Po chwili Żyd się ozwał, wlepiwszy w Oliwera swe oczy płowe, i uderzając przytém łopatką od ognia w ognisko, aby swéj mowie tém większéj ważności dodać.

— Weź sobie ich za przykład, mój luby, weź sobie ich za przykład,—powtórzył,—rób wszystko, co ci każą, i słuchaj ich we wszystkiém, a szczególnie Smyka, mój luby, szczególnie Smyka! Z niego kiedyś będzie człowiek bardzo wielki, a on i ciebie także tak wysoko doprowadzi, jeżeli sobie go za wzór weźmiesz. Czy mi chustka z kieszeni wisi, mój luby, co?

Zapytał w końcu Żyd, zatrzymawszy się nagle przed Oliwerem.

— Wisi Sir, — odpowiedział tenże.

— Sprobójże też, mój luby, czyli mi jéj nie bę-

dziesz mógł z kieszeni wyciągnąć tak lekko i nieznacznie, abym twéj ręki wcale nie poczuł, tak jakeś to dziś rano u Smyka i Karolka widział podczas naszéj zabawy.

Oliwer przytrzymał sobie jedną ręką spód kieszeni, jak to u Smyka widział, a drugą leciuchno chustkę z niéj wyjął.

— Czy ją masz? — zapytał Żyd.

— Oto jest Sir, — odpowiedział Oliwer i podał mu chustkę.

— Zręczny z ciebie chłopiec, mój luby, bardzo zręczny! — rzekł na to żartobliwy staruszek, poklepawszy radośnie Oliwera po głowie, — jeszczem nigdy tak zręcznego i pojętnego nie widział. Oto masz szylinga! Jeżeli tak daléj postępować będziesz, to z ciebie jeszcze kiedyś człowiek największy swego wieku będzie. A teraz chodź! pokażę ci jak masz znaczki z chustek wypruwać.

Oliwer się mocno zdziwił, nie mogąc tego żadną miarą pojąć, jaki związek staruszka kieszenie, z których się mu chustkę nieznacznie wyciągnąć udało, z nadzieją zostania kiedyś wielkim człowiekiem mieć mogą;.... sądząc jednak iż Żyd jako człowiek wiekiem o wiele starszy od niego, lepiéj te rzeczy rozumieć musi, poszedł spokojnie za nim, usiadł do stolika, i wkrótce się zupełnie w swojém nowém zatrudnieniu zatopił.

ROZDZIAŁ X.

Oliwer wkrótce lepszego wyobrażenia o przymiotach swych towarzyszów nabiera, lubo to doświadczenie drogo okupić musi. — Rozdział krótki lecz bardzo ważny.

Oliwer przez długi czas ani na krok z domu się nie ruszył, będąc ciągle zajęty wyprówaniem znaczków z chustek, których wielką ilość tymczasem do domu przyniesiono; .... czasami miewał także czynny udział w owéj grze, którąśmy poprzednio opisali, a w którą się Żyd i jego dwaj wychowanki codziennie rano bawili. Nakoniec zaczął tęsknić za świeżém powietrzem, i przy każdéj sposobności staruszka błagał, ażeby mu pozwolił wyjść z domu z owemi dwoma towarzyszami i pomódz im w ich pracy.

Oliwer tém bardziéj tego pozwolenia i okazania swéj gorliwości pragnął, ile że kilka razy się już przekonał o sumienności i surowości zasad żartobliwego staruszka.

Jeżeli bowiem kiedykolwiek Smyk lub Karolek Bates z gołemi rękami na wieczór do domu powrócili, on

ich natychmiast surowo karcił, przyganiał im mocno zdrożność próżniackiego i gnuśnego życia i zalecał im konieczność pracy, wysełając ich spać bez wieczerzy. Pewnego razu tak dalece nawet w swéj gorliwości i swym zapale się posunął, że ich obu ze schodów strącił, co się Oliwerowi jednak gorliwością cokolwiek przesadzoną w upomnieniu ich do cnoty być zdawało.

Pewnego rana Oliwer raz przecież nakoniec to pozwolenie otrzymał, o które już tak długo i usilnie błagał.

Od kilku dni już ani chustek, ani też żadnego innego wyrobu nie przynoszono, a obiady przez to bardzo skromnie i skąpo wypadały. Ta okoliczność była może powodem, iż się staruszek żartobliwy nakoniec dał skłonić do udzielenia Oliwerowi swego pozwolenia. Czy to był jednak powód prawdziwy, lub nie, dość, że Oliwerowi powiedział, iż może wyjść na świat, i wspólnéj opiece Smyka i Karolka Bates go powierzył.

Ci trzéj chłopcy wyszli tedy na miasto. Smyk jak zwykle, w swoim długim surducie o rękawach aż po łokcie zawiniętych, i kapeluszu na samym czubku głowy;.... Karolek Bates idąc poważnie, trzymając ręce w kieszeniach od spodni,.... a Oliwer w środku pomiędzy nimi, niezmiernie ciekawy, gdzie go też ci dwaj towarzysze najprzód zawiodą, i jakiéj gałęzi rzemiosła nauczać będą.

Idąc przez ulice, szli jednak krokiem tak powolnym, leniwym, że się Oliwer mocno zdziwił, i nakoniec na tę myśl wpadł, iż to nie było wcale ich zamiarem, aby się udać na robotę, ale staruszka oszukać i po mieście się wałęsać.

Prócz tego zachowanie się obu towarzyszy było bardzo rażące. Smyk miał bowiem ten brzydki zwyczaj zrywać czapki małym chłopcom z głowy, i je daleko na ulicę rzucać; Karolek Bates zaś zdawał się mieć bardzo szerokie pojęcie o własności, kradł bowiem wszędzie gdzie tylko mógł, jabłka lub inne owoce z kup i koszów przekupek, i chował wszystko do kieszeni, taką objętość nadzwyczajną mających, że się pod jego ubiorem we wszystkich kierunkach ukryte być zdawały.

To wszystko było rzeczą tak brzydką i nieprzyzwoitą w oczach Oliwera, że im właśnie chciał oświadczyć, iż jeźli tego czynić nie zaprzestaną, on pierwszą lepszą drogą do domu powrócić woli, gdy myśli jego zmianą bardzo tajemniczą w postępowaniu Smyka nagle inny kierunek wzięły.

Zaledwie bowiem z ciasnéj uliczki niedaleko rynku Clarkinwell, — przez jakieś szczególne przekręcenie wyrazów: *The green* (trawnik) zwanego, — wyszli, Smyk się nagle zatrzymał, i kładąc palec na ustach, swych towarzyszy również wstrzymał, zalecając im największą ostrożność i przezorność.

— Cóż to takiego? — zapytał Oliwer.

— Pst! — odpowiedział Smyk. — Czy widzisz tego staruszka oto, koło księgarni?

— Tego starego pana przy drodze? — zapytał Oliwer. — Tego widzę!

— Ten będzie dobry! — rzekł Smyk.

— Kęs niebardzo lichy! — potwierdził Karolek Bates.

Oliwer z wielkiém zadziwieniem to na jednego, to na drugiego spoglądał, lecz żadnego zapytania zrobić nie śmiał, gdyż obaj chłopcy zwolna na drugą stronę

ulicy przeszli, i nieznacznie tuż za owym staruszkiem stanęli, który ich uwagę na siebie był zwrócił.

Oliwer także kilka kroków za nimi poszedł, nie wiedząc jednak, czyli ma iść daléj, lub też się wrócić, stanął, spoglądając na nich w niemém osłupieniu.

Ów staruszek z głową upudrowaną i złotemi okularami, wyglądał na osobę poważną i czcigodną; w surducie zielonym o czarnym, aksamitnym kołnierzu, spodniach białych, z grubą laską z tureckiéj trzciny pod pachą, stał koło księgarni i czytał w książce, którą od księgarza do przejrzenia pożyczył, tak pilnie, jakby w swojém krześle wygodném u siebie w domu siedział.

Być może, iż ten staruszek sam był rzeczywiście w tém mniemaniu, gdyż się tak mocno w swojém czytaniu zatopił, iż ani kramu z książkami, ani ulicy, ani tych chłopców, słowem nic, prócz téj swojéj książki jedynie nie widział, którą sobie zapewnie zaraz na ulicy od deski do deski przeczytać postanowić musiał, bo ciągle kartę za kartą porządkiem przewracał, a skończywszy jedną stronę na dole zaraz następną z góry z największém zajęciem i pilnością czytać zaczynał.

Lecz jakże wielkie zadziwienie i zgroza Oliwera przejęła, gdy stojąc o kilka kroków od owego staruszka oddalony, wytrzeszczywszy oczy szeroko, spostrzegł, iż Smyk rękę do kieszeni staruszka czytającego wsunął, chustkę z niéj wyciągnął, Karolkowi ją szybko podał, a potém się natychmiast z nim jak najśpieszniéj oddalił i koło rogu ulicy znikł mu z oczu.

W oka mgnieniu cała tajemnica z chustkami, zegarkami, klejnotami i Żydem Oliwerowi się wyjaśniła, i przez myśl mu przebiegła. Chwilę stał na miejscu jak

wryty, a krew wszystka ze zgrozy tak żywo mu po żyłach krążyła, żé się mu zdawało, iż się cała w żar zamieniła. Nakoniec, przestraszony, zmięszany, niewiedząc nawet co czyni, tak śpiesznie uciekać zaczął, jakby jego nogi ziemi niedotykały.

To wszystko i minuty nawet nie trwało; a téj chwili właśnie, kiedy Oliwer ucieczką się ratował, ów staruszek, sięgnąwszy do kieszeni po chustkę, spostrzegł się że jéj niema, żywo przeto na ulicę obrócił, a widząc chłopca z tak szybkim pędem się oddalającego, natychmiast z tego i to słusznie wnosił, że to on mu chustkę skraść musiał; wołając tedy z całéj siły: *Łapajcie złodzieja!* z książką w ręku za nim pogonił.

Staruszek ten nie był jednak osobą jedyną, która za Oliwerem biegła i wołała.

Smyk i Karolek Bates, niechcąc szybką ucieczką i pędzeniem ulicą zwrócić na siebie uwagi publiczności, schronili się rozsądnie do pierwszéj lepszéj bramy, którą zaraz na zakręcie ulicy spostrzegli. Zaledwie jednak ów hałas i krzyk usłyszeli i Oliwera uciekającego zobaczyli, domyśleli się natychmiast, jak rzeczy stoją i niemieszkając korzystać z téj pomyślnéj okoliczności, zaczęli wołać i krzyczeć: Łapajcie złodzieja, łapajcie złodzieja! i połączyli się zręcznie z goniącymi za nim dobrymi obywatelami.

Lubo filozofowie znakomici Oliwera wychowali, nie był on wcale obeznany z tą ich piękną zasadą: iż zachowanie samego siebie jest pierwszém prawem przyrody. Gdyby o tém był wiedział, byłaby go może nie tak wielka trwoga i zadziwienie ogarnęło, słysząc swych dwóch towarzyszy za sobą wołających. Lecz że na to

wcale przysposobionym nie był, strach i przerażenie coraz to większe go przejmowało; biegł tedy szybko jak wiatr, a za nim ów stary jegomość i jego dwaj towarzysze, krzycząc i wołając:

— Łapajcie złodzieja! łapajcie złodzieja.

— Łapajcie złodzieja!... łapajcie złodzieja!

W tych słowach leży jakaś moc czarowna! Przekupca porzuca swój kram, woźnica swój wóz, rzeźnik swoje niecki, piekarz swoje dzieże, mleczarz swój dzban, drążnik swój ciężar, kamieniarz swoje narzędzie, dziecko swoję piłkę, uczeń swoje książki, a wszystko bieży bez ładu, bez porządku, jeden ubiegając drugiego, cisnąc się, tłocząc, tłumiąc, wrzeszcząc, krzycząc, potrącając, uderzając o przechodzących przy zwrocie koło ulicy, pobudzając psów do szczekania, zadziwiając pospólstwo, a rynki, ulice, podwórza, powtarzają i wracają odgłos tych słów:

— Łapajcie złopzieja!.... łapajcie złodzieja!

Wołanie to powtarza tysiąc głosów, a tłum się za każdym zakrętem ulicy pomnaża. Oto pędzą, brodząc po błocie, kłapiąc po bruku, drzwi i okna po domach się otwierają, a lud z nich wypada coraz daléj tłum cisnąc,.... publiczność bawiąca się opuszcza błazna w najpiękniejszym figlu jego, i łącząc się z goniącym tłumem pomnaża go i większéj mocy jeszcze nadaje temu wrzaskowi.

— Łapajcie złodzieja!.... łapajcie złodzieja!

— Łapajcie złodzieja! ..łapajcie złodzieja!... Żądza kogoś gonić człowiekowi jest wrodzona. Biedny chłopczyna zadyszany, wysilony, tchu pozbawiony, z trwogą w spojrzeniu, zgrozą w oku, któremu pot gęstemi kro-

plami z czoła ciecze, wszystkich sił dobywa, aby prześladowcom swoim uciec; lecz czém bardziéj się za każdym krokiem do niego zbliżają, tém głośniejszym wrzaskiem jego siły opadające witają, krzyczą i wołają z radością:

— Łapajcie złodzieja!.... chwytajcie złodzieja!.... Chwytajcie go na miłość Boga! miejcie litość i łapajcie go!

Nakoniec zostaje schwytany!

Zręcznie uderzony i oto leży powalony na ziemi, a tłum się ciśnie chciwie do niego, i każdy nowo przybyły trąca, popycha, dobija się, aby tylko zobaczyć złodzieja.

— Ustąpcie!

— Dozwólcież mu przecież odetchnąć, niech do siebie przyjdzie.

— Głupstwo!.... niezasłużył na to....

— Gdzie jest stary jegomość!

— Oto idzie!....

— Miejsca dla tego jegomości.

— Czy to ten chłopiec Sir?

— Tak jest!

Oliwer leżał powalony na ziemię, zakrwawiony, zabłocony, pyłem okryty i spoglądał dziko z trwogi i przerażenia na ten tłum otaczających go twarzy. Gdy owego staruszka przemocą prawie do koła biednego chłopczynę najbliżéj otaczających prześladowców wciśnięto, wepchnięto i odpowiedź na nim wymuszono:

— Tak jest, — odezwał się litościwie dobroduszny starowina; — boję się, że to on!

— Boi się! — mruknął tłum pomiędzy sobą. — Widać że ma dobre serce.

— Biedny chłopczyna! — zawołał staruszek; — jakże się uszkodził!

— Nie, ... to ja to uczyniłem Sir! — odparł silny, krępy, barczysty wyrobnik, wysunąwszy się z tłumu; — ja to uderzyłem go pięścią w pysk i zatrzymałem go Sir!

Wyrobnik sięgnął przytém ręką do kapelusza, uchylił go cokolwiek z ohydnym uśmiechem, oczekując na pewne za swój trud wynagrodzenia.

Lecz staruszek z wstrętem na niego spojrzał i na około się z trwogą obejrzał, rozmyślając, czy nie lepiéj ztąd uciekać; .... coby też może i rzeczywiście był uczynił, i przez to powód do drugiéj gonitwy był dał, gdyby téj chwili żandarm, — który zwykle w podobnych przypadkach najpóźniéj się jawi, — przez tłum się nie był przecisnął i Oliwera za kołnierz chwycił.

— Wstań! — zawołał żandarm rubasznie.

— Ach panie! ..... to nie ja! ..... doprawdy, ... doprawdy, ... to nie ja! .... to inni dwaj chłopcy! — błagał Oliwer, i rączęta swoje z rozpaczą złożył, spoglądając naokoło siebie, — oni tu muszą jeszcze nawet być gdzieś niedaleko.

— Ale gdzież tam, ich tu już nie ma! ....

Odpowiedział na to żandarm.... On to przez szyderstwo jedynie chciał powiedzieć, lecz w istocie prawdę wyrzekł, albowiem Smyk i Karolek Bates, skwapliwie się byli oddalili, upatrzywszy sobie do tego chwilę pomyślną.

— Wstań! .... wstań! — powtorzył żandarm.

— Proszę mu tylko nic złego nie robić! — ozwał się staruszek litościwie.

— Już ja mu nic złego nie zrobię!.... — odpowiedział żandarm i tak go na dowód silnie za kołnierz schwycił, że mu go omal nie obdarł. — Chodź no chodź, urwiszu!.... znam ja ciebie ptaszku! to ci teraz na sucho nie ujdzie!.... Czy staniesz ty raz na nogach, ty drabie mały!

Oliwer się zaledwie na nogach mógł utrzymać; jednak wszystkich sił swoich dobył, aby się podnieść, a żandarm go natychmiast za kołnierz ulicą powlókł.

Staruszek udał się także za niemi, a mnóstwo ludu im towarzyszyło, o parę kroków Oliwera ciągle uprzedzało, i w oczy mu nieustannie zaglądało. Uliczniki nie posiadali się z radości, krzyczeli, wrzeszczeli, a śród tego wrzasku tłum cały dalej się posuwał.

ROZDZIAŁ XI.

O panu Fang, urzędniku policyjnym, o jego sprawowaniu urzędu i wymierzaniu sprawiedliwości.

Zbrodnia ta popełnioną została w okręgu miasta, a nawet i bardzo bliskiém sąsiedztwie sławnego policyjnego urzędu. Tłum cały przeto niedługo się mógł tém widowiskiem cieszyć; przeprowadziwszy bowiem Oliwera przez parę ulic tylko i plac zwany: *Multon-hill*, musiał go opuścić koło domu o nizkiéj bramie, przez którą go przeprowadziwszy na błotniste podwórze zawiedziono, a z tamtąd do siedziby sprawiedliwości, brudnéj izby na tyle.

Idąc najsamprzód przez podwórze małe, brukowane, spotkali na niém człowieka z długą brodą i pękiem kluczy w ręku.

— Cóż tam nowego? — zapytał ów człowiek niedbale. —

— Młody złodziéj! — odpowiedział żandarm Oliwera wiodący.

— Czy to pana okradziono? — spytał z kolei ów człowiek z kluczami w ręku staruszka.

— Tak jest, ... mnie! — odpowiedział stary jegomość, — lubo z pewnością powiedzieć nie mogę, czyli to jest rzeczywiście *ten* chłopiec, który mi skradł chustkę.... Ja .... jabym wolał nieposzukiwać daléj méj straty.

— To nic niepomoże; .... teraz się pan musisz przed komisarzem stawić, — odpowiedział ów człowiek z kluczami. — To długo niepotrwa. Najdaléj za parę minut będziesz pan wolny.... No, ruszaj naprzód, ty mały wisielcze!

To było zaproszeniem dla Oliwera, ażeby wszedł do małéj ciasnéj komórki, którą mu dozorca podczas swéj mowy otworzył. Tutaj mu kieszenie staranie przetrząśnięto, a gdy w nich nic nieznaleziono, zostawiono go samego w komórce i drzwi za nim zamknięto.

Ta komórka była tak co do kształtu, jak i wysokości do jamy piwnicznéj bardzo podobna; w tém się jedynie od niéj różniła, że nawet tak jasną nie była.

Prócz tego największa nieczystość w niéj panowała, gdyż to był właśnie Poniedziałek, a od Soboty wieczora najmniéj sześciu pijanych w niéj przesiedziało. Ale to jeszcze nic, a przynajmniéj za nic się uważa w porównaniu z tém, co się po więzieniach dzieje, do których zamykają ludzi o przestępstwa oskarżonych, ale nieprzekonanych jeszcze.

Do tych bowiem zamykają co noc prawie mężczyzn i kobiety razem za najmniejsze przewinienia, ... a te kurdygardy tak są brudne, że w porównaniu z niemi więzienia w Newgate, gdzie zbrodniarzy największych,

winowajców już osądzonych, a często i na śmierć skazanych osadzają, prawdziwymi są pałacami.

Ktoby temu niechciał dać wiary, niechże sam oba porówna.

Staruszek sam niemniéj od Oliwera smutnie wyglądał, gdy się klucz w zamku obrócił i zasówka zasunęła; z westchnieniem spojrzał na książkę, która przyczyną niewinną tego wszystkiego była.

— Ten chłopiec coś takiego w twarzy swojéj posiada, co mnie za serce chwyta i mimowolnie do niego pociąga!

Przemówił do siebie staruszek, odchodząc ode drzwi zwolna, i uderzył się w zamyśleniu książką lekko po brodzie.

— Miałżeby on być niewinnym? .... Wprawdzie na takiego wygląda! .... bądź co bądź, — dodał staruszek, zatrzymawszy się nagle, wznosząc oczy ku niebu, — ale raz już na Boga! to spojrzenie gdzieś widziałem.

Pomyślawszy o tém przez chwilę, zwrócił się ciągle w dumaniach swoich pogrążony, do przedpokoju urzędowéj izby, którego okna na podwórze wychodziły i usiadłszy tutaj w kącie, wywołał przed oko swéj duszy cały obszar twarzy, które całun ponury grobu od wielu lat już pokrywał.

— Nie! — zawołał nakoniec, — to musi być czyste przywidzenie.

Jeszcze raz się w myśli wszystkiem twarzom dobrze przypatrzył.

Jeszcze raz je wszystkie przed oczy wywołał, a serce jego wielkiéj doznało przykrości, gdy mu je

przyszło całunem grobowym na powrót pokryć, pod którym tak długo już spoczywały.

Były to twarze przyjaciół, i nieprzyjaciół, i wiele innych jeszcze osób, całkiem mu prawie nieznajomych, teraz jednak natrętnie z tłumu na niego spoglądających. Były tam oblicza młodych i kwitnących dziewcząt, będących teraz już staremi kobietami; były też i takie, które grób na okropne trofei zwycięztwa śmierci zamienił, które jednak myśl człowieka, silniejsza od niéj, w dawną ich świeżość i piękność uroczą przybrała, ogniem życia ich oczy zapaliła, uśmiech na usta ich wywabiła, wywołała ich duszę promieniącą świetnie z po za téj maski z gliny;... lśniące pięknością z tamtéj strony grobu, zmienione jedynie dla tego, aby nabrać téj piękności, a pokryte ziemią, aby się stać światłem, i miłym, ponętnym promieniem swojém na ścieżce do nieba świecić.

Lecz staruszek żadnéj twarzy przypomnieć sobie niezdołał, z którąby rysy twarzy Oliwera najmniejsze podobieństwo miały; z westchnieniem tedy pożegnał owe wspomnienia, które w swéj duszy wywołał, a posiadając na szczęście swoję pamięć bardzo płochą, wkrótce się całkiem w czytaniu swéj książki zatopił, i o świecie całym zapomniał.

Z tego zapomnienia przebudziło go niebawem uderzenie lekkie w ramię i zaproszenie owego dozorcy więzienia z pękiem kluczy w ręku, aby się za nim do izby urzędowéj udał. Staruszek śpiesznie książkę zamknął, i natychmiast przed oblicze dumne i dworujące sławnego pana Fang zaprowadzony został.

Izba urzędowa miała okna wychodzące na ulicę, i ściany taflowane. Na jednym końcu siedział pan Fang

za szrankami przy swojém biórku, a koło drzwi było ogrodzenie do klatki ciasnéj podobne, do którego biednego Oliwera wepchnięto, drżącego na całém ciele z przestrachu i przerażenia na okropność tego widowiska.

Pan Fang był to mężczyna średniego wzrostu, z włosem niebardzo bujnym na głowie; lecz i ten, co go jeszcze miał, rósł jedynie z tyłu i dołem po obu stronach głowy. W obliczu przebijała surowość i nadzwyczajna nadętość. Jeżeli w istocie nie miał swyczaju pić więcéj, jak tylko tyle, ile mu do zdrowia służyło, więc mógł śmiało wytoczyć sprawę przeciwko zaskarżeniu, w téj mierze na jego twarzy wyrytemu, a z pewnością byłby ją wygrał i przyznanie hojnego wynagrodzenia u sądu pozyskał.

Staruszek zbliżył się z uszanowaniem do biórka urzędnika, pokłonił mu grzecznie i łącząc mowę z uczynkiem, rzekł:

— Oto jest moja karta, Sir. —

Poczém o parę kroków się cofnął, powtórnie grzecznie i przyzwoicie ukłonił i cierpliwie śledztwa i wywodu urzędowego oczekiwał.

Przypadkiem jednak się zdarzyło, iż pan Fang téj chwili był zajęty czytaniem artykułu w Gazecie Porannéj, w któréj ostatnie rozsądzenia jego surowo były rozebrane, a on po raz trzysta pięć dziesięty niebardzo korzystnie szczegółowéj i troskliwéj pamięci ministra spraw wewnętrzynch polecony. Mocno się tedy rozgniewał i z okropnym gniewem koło siebie okiem potoczył.

— Kto Aćpan jesteś! — zapytał pan Fang rubasznie.

Staruszek wskazał z zadziwieniem na podaną kartę.

— Holla! Woźny! Żandarmeryja! — zawołał pan Fang, odrzucając z pogardą na bok i kartę i gazety, — co to jest za człowiek?

— Sir, ja się nazywam Brownlow! — Odparł staruszek głosem, jakim zwykle ludzie grzeczni mówią. — Proszę, mi pozwolić, Sir, zapytać się o nazwę urzędnika, który obrazę i obelgę człowiekowi uczciwemu bez wszelkiéj przyczyny i powodu w obec prawa wyrządza!

Pan Brownlow przytém w koło po izbie urzędowéj okiem potoczył, szukając osoby, któraby mu tę przysługę uczynić była gotowa, o którą prosił.

— Woźny! — zawołał pan Fang, przerzucając papiery swoje na inne miejsce; — o co ten człowiek oskarżony?

— Ten pan nie jest wcale oskarżonym, Wasza Godności, — odpowiedział Woźny. — Owszem, on zaniósł skargę przeciwko temu chłopcu, Wasza Godności!

Jego Godność bardzo dobrze o tém wiedziała; ale ten postępek był obelgą, któréj się bezkarnie mógł dopuścić.

— Zanosi skargę przeciwko temu chłopcu?

Zapytał Fang, mierząc ze wzgardą pana Brownlow od stóp do głowy.

— Niechaj poprzód przysięgę złoży!

— Nim przysięgę złożę, musze pierwéj słowko powiedzieć, — odparł pan Brownlow; — a to jest, żebym nigdy nie był wierzył, gdybym tego sam był niedoświadczył, aby....

— Proszę milczeć, sir! — zawołał Fang piorunująco.

— Ja nie chcę milczeć! — odparł staruszek rozgniewany.

— Milcz natychmiast, albo cię z ibzy urzędowéj wyprowadzić każę, sir! — zawołał Fang. — To jakiś człowiek bezczelny i bezwstydny! Jak śmiesz tak zuchwale do urzędnika przemawiać?

— Co? — zawołał staruszek zapłoniwszy się.

— Odebrać przysięgę temu człowiekowi! — zawołał Fang na pisarza. — Ani słowa od niego słyszeć nie chcę, dopokąd przysięgi nie złoży!

Oburzenie pana Brownlow doszło do najwyższego stopnia; pomnąc jednak na to, iżby tém może biednemu Oliwerowi mógł zaszkodzić, gdyby się nie poskromił, stłumił w sobie gniew i poszedł złożyć przysięgę.

— A teraz, — zapytał Fang, — o co ten chłopiec jest okarżony? Co masz przeciwko niemu, sir?

— Stałem koło księgarni... — zaczął mówić pan Brownlow.

— Milczeć! — zawołał Fang. — Żandarmeryja! gdzie jest żandarm?... Odebrać od niego przysięgę!... A teraz, żandarm! jak to było?

Żandarm opowiedział z przyzwoitą uniżnością i pokorą, jak skargi wysłuchał, jak przetrząsł Oliwera kieszenie i nic u niego nieznalazł, i jak to wszystko było co wie o téj całéj sprawie.

— Czy są świadkowie? — zapytał Fang.

— Niema żadnych, Wasza Godności, — odpowiedział żandarm.

Pan Fang milczał przez kilka chwil, nakoniec się

zwrócił do skarżącego i rzekł do niego z nadzwyczajną złością:

— Czyż powiesz raz Sir, co masz przeciwko temu chłopcu, lub nie?.... Złożyłeś przecież przysięgę. Jeżeli tak będziesz stał i nic niemówił, to cię skaram za lekceważenie sobie urzędu, mój panie! tak jest, ja to uczynię Sir, przysięgam na....

Na co lub na kogo?....niewiadomo, albowiem pisarz i dozorca więzienia rozkaszleli się natychmiast bardzo mocno, a pierwszy upuścił nawet książkę na podłogę, co było najgłówniejszą przeszkodą, iż owego zaklęcia niemożna było....przypadkiem....usłyszeć....

Po wielu przerwach i poniesionych obelgach, udało się nakoniec panu Brownlow cały wypadek dokładnie wyłożyć, a robiąc w końcu uwagę, iż w pierwszej chwili swego uniesienia zaczął biedz za tym chłopcem dla tego jedynie, że go widział śpiesznie uciekającego, oświadczył przytém swoję nadzieję, iż urząd, przekonawszy się sam, że on nie jest złodziejem, lubo może ze złodziejami w związku zostaje, tak łagodnie sobie w wymierzeniu kary postąpić zechce, jak dalece to ze sprawiedliwością się da pogodzić.

— On się już i tak potłukł i nadwerężył, — zakończył staruszek swoję mowę, — a ja się obawiam, — dodał z litością, spoglądając na Oliwera siedzącego w klatce, — ja się rzeczywiście obawiam, iż on już teraz w omdlenie wpada.

— A prawda! — zawołał Fang z szyderczym uśmiechem. — Chodź no tu!....tylko nie udawaj, ...ty mały wisielcze!....to ci nic nie pomoże.... Jak się nazywasz?

Oliwer chciał odpowiedzieć, lecz ani słówka wymówić nie zdołał, tak go za gardło ścisnęło.... Zbladł tylko jak trup,...w oczach mu się zaćmiło, a pokój cały z nim się w koło kręcić zaczął.

— Jak się nazywasz, ty chłopcze zuchwały? — zagrzmiał pan Fang. — Żandarm, jak się nazywa?

To pytanie zwrócone było do staruszka z tłustą twarzą, w białej kamizelce w paski, stojącego tuż koło szranek.

Żandarm się do Oliwera nachylił, i powtórzył to pytanie; lecz spostrzegłszy, że ten nie jest wcale zdolnym do zrozumienia tego, o co się go pyta, i wiedząc o tém z doświadczenia, iż jeżli nie odpowie, urzędnika jeszcze bardziéj na siebie rozgniewa i wyrok jego zaostrzy, powiedział pierwsze lepsze nazwisko, jakie mu na myśl wpadło.

— Mówi, że się nazywa Tomasz White, Wasza Godności, — odpowiedział dobroduszny łapacz złodziei.

— Czy niechce odpowiadać?... niechce odpowiadać? — gniewał się Fang. — Bardzo dobrze!...bardzo dobrze!... Gdzie mieszka?

— Gdzie może, — odpowiedział żandarm, udając że odpowiedź Oliwera powtarza.

— Czy ma rodziców? — pytał daléj Fang.

— Mówi że mu już w dziecieństwe umarli, Wasza Godności, — odpowiedział Żandarm, dając śmiało odpowiedź zwykłą w podobnych wypadkach.

Téj chwili Oliwer podniósł głowę, powiódł na około okiem błagającém, i po cichu z tą prośbą się odezwał, aby mu trochę wody zimnéj dano.

— Głupstwo!....oszukaństwo! — zawołał Fang; — czy ty myślisz, że nas uwieść potrafisz?

— Zdaje się mi, że on nie na żarty mdleje! — odważył się odeprzeć Żandarm.

— Znam ja to lepiéj! — zgromił go pan Fang.

— Miej litość nad nim, dobry człowieku, i wspieraj go, — ozwał się pan Brownlow do Żandarma, wyciągając rękę mimowolnie, — on rzeczywiście mdleje i pada....

— Precz od niego, Żandarm! — zagrzmiał Fang gniewliwie, — niechaj pada, jeźli się mu tak podoba.

Oliwer korzystał z tego dobrotliwego zezwolenia, i upadł zemdlały na ziemię. Wszyscy obecni w izbie na siebie wzajem spojrzeli; żaden się jednak ruszyć nie ośmielił.

— Wiedziałem, iż udaje! — zawołał Fang, jakoby to było dowodem niezbitym téj prawdy. — Niechaj sobie leży,...wkrótce mu się to sprzykrzy!

— Jakżeż sobie w tej sprawie postąpiemy, Sir? — zapytał pisarz głośno.

— Bardzo krótko! — odpowiedział pan Fang. — Skazany na trzy miesiące ciężkiéj pracy!... Ustąpić z izby urzędowéj!

W tym celu drzwi na oścież otworzono, a kilku ludzi natychmiast się pojawiło, by chłopca omdlałego wyprowadzić i do więzienia zawlec. Wtém mężczyzna w podeszłym już wieku, skromnie w czarnym surducie ubrany, i godnie, lubo dość ubogo wyglądający, śpiesznie wpadł do izby, i do szranków natychmiast przypadł.

— Stójcie!...stójcie!...niewyprowadzajcie go!...

na miłość Boga, stójcie!...wstrzymajcie się na chwilę! — zawołał nowoprzybyły bez tchu prawie.

Lubo urzędnik na podobnéj posadzie najwyższą i najdowolniejszą władzę nad wolnością, dobrém mieniem, godnością, a nawet i życiem prawie poddanych Jego Król. Mości, a szczególnie ludzi biednych dzierzy;.... lubo za tymi wałami schroniony, dziwak największy codziennie rzeczy wyrabiać może, któreby aniołów samych do łez krwawych pobudziły, świat by jednak ani słowa się o tém nigdy nie dowiedział, gdyby pośrednictwa dzienników niebyło.

Pan Fang przeto niemało się oburzył, widząc takiego gościa niepożądanego i w takim gorszącym nieładzie do urzędu wpadającego.

— Co to jest?...co to ma znaczyć? Wyrzucić tego człowieka!.... Precz ztąd wszyscy!.... Ustąpić z sądowéj izby!.... — wołał grzmiąco pan Fang.

— Ja zaś chcę mówić!.... — odparł nowo przybyły; — ja się niedam wyrzucić!....ja byłem świadkiem naocznym wszystkiego... Ja jestem właścicielem księgarni... Żądam aby mię przysięgi wysłuchano. Ja się niedam wyrzucić!... Panie Fang, musisz mię wysłuchać... Nie możesz mi tego odmówić, Sir!

Żądanie tego człowieka było bardzo słuszne. Jego wzięcie się zapowiadało odwagę i stałość, a wypadek cały był za nadto ważny, aby go tak lekko był mógł zbyć.

— Wysłuchać go przysięgi! — mruknął Fang z gniewem. — A teraz cóż nam masz do powiedzenia, Sir!

— Oto rzecz następującą! — odpowiedział księ-

garz. — Widziałem trzech chłopców, tego więźnia tutaj i dwóch innych jeszcze, błąkających się po drugiéj stronie ulicy właśnie wtedy, kiedy ten jegomość oto koło mojéj księgarni stojąc, czytał. Złodziejstwo na nim popełnili tamci dwaj chłopcy;...widziałem to dobrze przez okno. Widziałem także i to, iż ten chłopiec niém był zdziwiony i przestraszony.

Zacny księgarz, przyszedłszy tymczasem cokolwiek bardziéj do siebie, opowiedział rzecz całą zwięźléj i dokładniéj z wszystkimi szczegółami, temu złodziejstwu towarzyszącymi.

— Dla czegóżeś pierwéj nieprzyszedł tego świadectwa złożyć, Sir? — zapytał Fang po chwili milczenia.

— Niemiałem pod ręką nikogo, kogobym mógłbył przez ten czas w sklepie na mojém miejscu zostawić, — odparł księgarz. — Wszyscy pobiegli gonić złodzieja. Najmniéj dziesięć minut wyszło, nim mi się kogoś schwycić udało, coby mi tymczasem sklepu mógł przypilnować; lecz potém natychmiast co tchu tutaj przybiegłem.

— Oskarżyciel czytał, nieprawda? —

Spytał Fang po niejakiéj chwili milczenia.

— Tak jest, — odpowiedział księgarz, — w tej samej książce, którą jeszcze w ręku trzyma.

— Tę samą książkę? — zawołał Fang; — a czy ją zapłacił?

— Nie,.... niezapłacił, — odpowiedział księgarz z uśmiechem.

— Kochany panie!....na śmierć o tém zapomnia-

łem, — zawołał roztargniony zawsze staruszek z otwartością.

— I podobna osoba waży się zanosić skargę przeciwko biednemu chłopcu? — zawołał Fang z śmieszném udaniem ludzkości. — Jak uważam, toś pod bardzo podejrzanemi i nienajzaszczytniejszemi dla ciebie okolicznościami wszedł w posiadanie téj książki, Sir!....i podziękuj Bogu, że właściciel przeciwko tobie ze skargą nie występuje! Niechaj ci to na przyszłość za naukę posłuży, mój człowieku, inaczéj cię prawo będzie dosięgnąć umiało; wypuścić chłopca!.... Ustąpić natychmiast z izby sądowéj!

— Ha! na Boga! — zawołał Brownlow, wybuchając nakoniec gniewem, którego już dłużéj w sobie pohamować nie mógł. — Ja mu tego tak na sucho nie przepuszczę.

— Wydalić ludzi z sądowéj izby! — wrzasnął pan Fang. — Czy Żandarmeryja słyszała?.... Wydalić ludzi z urzędowéj izby!

Usłuchano rozkazu i wyprowadzono z izby pana Brownlow, pałającego największém oburzeniem, trzymającego pod jedną pachą książkę, a pod drugą swą trzcinę.

Wyszedłszy na podwórze w krótce się uspokoił.

Mały Oliwer Twist leżał na ziemi rozciągnięty z obnażonemi piersiami, mając twarz i głowę zimną wodą zlaną.

— Biedny chłopczyna!....biedny chłopczyna! — zawołał pan Brownlow, nachyliwszy się do niego. — Czy tu niema kogo, coby mi natychmiast powóz przyprowadził?

Niebawem i powóz przyprowadzono, przeniesiono do niego Oliwera z największą troskliwością i złożono go na jedném siedzeniu, a Brownlow sam usiadł na drugiém.

— Czy mogę i ja panu towarzyszyć? — zapytał księgarz, wejrzawszy do powozu.

— Bardzo chętnie, mój dobry przyjacielu! — odrzekł pan Brownlow śpiesznie. — Zapomniałem na ciebie zupełnie, mój drogi panie. Mam jeszcze przy sobie twoję książkę nieszczęsną..... Proszę wsiąść, proszę, niemożemy się długo bawić.

Księgarz wsiadł do powozu, a ten z nimi natychmiast pogonił.

ROZDZIAŁ XII.

Oliwer daleko większéj troskliwości i pieczołowitości doznaje, niż kiedykolwiek w życiu swojém, i staje się bohaterem szczególnego wypadku z obrazem.

Powóz się potoczył przez górę *Pleasant*, przejechał ulicę *Exmouth-Street*, a przebiegając tę samą drogę prawie, którą Oliwer po raz pierwszy w towarzystwie Smyka do Londynu przybył, minął *Anioła* i *Islington*, i zatrzymał się nakoniec w pobliżu przedmieścia Pentonville koło ładnego domku, przy ulicy bardzo spokojnéj i cienistéj.

Skoro tylko przybyli, przyrządzono natychmiast łoże, na które pan Brownlow Oliwera z największą ostrożnością i troskliwością położyć kazał, a tu go pielęgnowano z taką pieczołowitością i przychylnością niewypowiedzianą, jaką by tylko w domu rodzicielskim mógł był znaleść.

Lecz Oliwer długo, bardzo długo był nieczułym na wszelką dobroć swych nowych przyjaciół. Słońce zeszło

i zaszło, i znów zeszło i zaszło, i wiele dni jeszcze tym sposobem wschodziło i zachodziło, a Oliwer leżał ciągle bez pamięci na swém łożu bolesném, usychając z palącéj go i trawiącéj gorączki, która, niby kwas najsilniejszy, w żelazo najtwardze się wżerający, dla tego jedynie pali i trawi, by zniszczyć i pożreć.

Robak nawet z taką szybkością i pewnością ciała zmarłego nie stoczy, jak ta powoli trawiąca gorączka téj pracy na żywém dokonać jest w stanie.

Wybladły, wynędzniały, wątły, obudził się nakoniec ze swego snu, jak się mu zdawało, długiego i ciężkiego. Podniósłszy się cokolwiek na swojém łóżku, głowę podparł ręką drżącą i trwożliwém okiem na około potoczył.

— Gdzież ja to jestem?....jakimże sposobem ja się tutaj dostałem?.... — szepnął nakoniec z cicha. — To nie moje miejsce, na którém zwykle sypiałem!

Chorobą znękany i na siłach zwątlony, wyrzekł to głosem słabym, cichym;...a jednak go usłyszeć musiano, gdyż się natychmiast w jego głowach zasłona od łóżka ruszyła, a kobięta w podeszłym już wieku, skromnie i czysto ubrana, śpiesznie z krzesła przy łóżku stojącego podniesła, na którym dotąd siedziała i dziergała.

— Cyt, cyt, mój synu!....bądź cicho, — ozwała się staruszka łagodnie. — Musisz się jeszcze bardzo spokojnie zachować; inaczéj by ci się pogorszyć mogło, a byłeś bardzo chory!....o tak!....bardzo, bardzo chory!.... Połóż się, połóż na powrót, mój drogi synu!.... to ci lepiéj będzie!

To mówiąc staruszka zwolna i troskliwie głowę Oliwera na powrót na poduszkę złożyła, i odgarnąwszy

mu włosy z czoła, z taką przychylnością serdeczną i miłą w oczy mu spojrzała, że biedny chłopczyna mimowolnie, uczuciem serca wiedziony, ręką swą wychudłą rękę swéj dozorczyni ujął, i szyję sobie nią otoczył.

— Miły Boże! — zawołała staruszka z łzami w oczach, — jakiż to luby i wdzięczny chłopczyna! Biedna sierota!.... Jakich że to uczuć matka jego by była doznała, gdyby tak jak ja przy nim siedzieć i na niego się patrzeć mogła!

— A może też ona i patrzy na mnie! — szepnął Oliwer cichutko, złożywszy ręce na piersi; — może ona przy mnie siedziała, droga pani, bo się mi wszystko zdaje, żem ją tutaj przy sobie widział.

— To ci się tylko w gorączce przywidzieć musiało, mój drogi synu, — odpowiedziała staruszka łagodnie.

— Zapewnie, że to jeno w gorączce być musiało, — rzekł na to Oliwer zamyślony, — gdyż do nieba jest bardzo daleko, a tam oni są za nadto szczęśliwi, by chcieli zejść na ziemię i stanąć przy łóżku biednego chłopca; inaczéjby się i w niebie samym była nademną litować musiała, wiedząc, że jestem chory, gdyż i ona sama bardzo była chora, nim umarła.... Ale ona z pewnością mnie widzieć nie może, — dodał Oliwer po małéj chwili, — bo gdyby była widziała, jak mnie bito, byłaby się tém mocno zmartwiła, a jéj oblicze zawsze pogodą i szczęściem jaśniało, gdym śnił o niéj.

Staruszka nic na to nieodpowiedziała, lecz otarłszy najprzód z łez swoje oczy, a potém okulary na kołdrze leżące, niby część jedną i konieczną jéj oblicza stanowiące, poszła po napój chłodzący dla Oliwera, a przyniósłszy mu go, pogłaskała chłopczynę po twarzy i na-

pomniała go mile, aby leżał cicho i spokojnie, gdyżby mu się pogorszyć mogło.

Oliwer spoczywał tedy bardzo cicho i spokojnie w części dla tego, aby się niesprzeciwić téj staruszcze godnéj, przyjemnéj, z taką troskliwością koło niego chodzącéj, w częsci zaś prawdę powiedziawszy dla tego, że te kilka słów przed chwilą wyrzeczonych, zupełnie go wysiliło i wszelkiéj władzy pozbawiło.

Zasnął sobie tedy wkrótce, snem lekkim i błogim ujęty, z którego światło świecy do łóżka zbliżonéj dopiero go przebudziło, a gdy oczy otworzył, ukazało mu oraz oblicze jakiegoś jegomości, trzymającego w jednéj ręce duży, głośno idący zegarek, a w drugiéj jego rękę, u któréj pulsu badał, i po chwili ścisłego dociekania ten wyrok wydał, iż się Oliwer ma lepiéj!

— Masz się już o wiele lepiéj, nieprawdaż? — rzekł lekarz stanowczo.

— Tak jest, dziękuję panu, — odpowiedział Oliwer.

— Wiedziałem o tém, — odparł lekarz; — czy ci się nie chce jeść, mój synu? — pytał daléj.

— Nie, niechce Sir, — odpowiedział Oliwer.

— Hm!.... — mruknął lekarz. — Ja wiem, że ci się jeść nie chce. Jemu się jeść niechce, moja pani Bedwin, — dodał lekarz z podziwieniem w oku nad swą własną mądrością.

Pani Bedwin pochyliła głowę z wielkiém uszanowaniem, chcąc przez to niby wyrazić, iż bardzo dobrze wie o tém, że pan doktor jest bardzo mądrym człowiekiem, a pan doktor nie zdawał się mieć również innego pojęcia o sobie.

— Zapewnie ci się jeszcze chce spać, mój synu, nieprawdaż? — spytał doktor.

— Nie Sir, — odpowiedział Oliwer.

— Nie! — powtórzył doktor z wyrazem prawdziwego zadowolenia, — wiedziałem o tém..... Nie jest spiący moja pani Bedwin.... Ale pragnienia niemasz?

— Owszem, mam bardzo wielkie pragnienie Sir! — odpowiedział Oliwer.

— Jak się tego spodziewałem, kochana pani Bedwin, jak się tego spodziewałem, — odparł lekarz z dumą. — Nie ma nic dziwnego, że jest bardzo spragniony, prawdziwie, nic dziwnego! Jest to rzecz bardzo prosta. Możesz mu dać trochę herbaty moja pani Bedwin, a do niéj kawałek sucharu,.... tylko nie wiele,.... i to bez masła. — Nie trzymaj go zbyt ciepło, moja pani Bedwin,.... ale i na to uważać proszę, aby mu zbyt zimno niebyło;....czy będziesz o tém pamiętała, moja pani Bedwin?

Staruszka dygnęła; pan doktor skosztowawszy chłodzącego napoju, wyraził swoje zadowolenie i odszedł, a gdy po schodach na dół schodził, buty mu tak skrzypiały, jakby on należał do osób najważniejszych w świecie.

Oliwer zasnął wkrótce po odejściu lekarza; a gdy się powtórnie przebudził, mogło już być koło północy. Godna pani Bedwin go wtedy czule pożegnała, odeszła na spoczynek, rzekłszy mu: dobra noc! i poleciła go troskliwéj pieczy otyłéj kobiety w podeszłym już wieku, która właśnie nadeszła, przyniósłszy z sobą w małém zawiniątku, małą książeczkę do modlitwy i wielki czepek nocny.

Umieściwszy czepek na głowie, a książeczkę na stole, rzekła do Oliwera, że przyszła téj nocy przy nim czuwać. W tym celu przysunęła sobie krzesło poręczowe do ognia, i zaczęła pomału ziewać, oczy mrużyć, chwiać się i kołysać na wszystkie strony z głową na piersi pochyloną, i na przemian to się zrywać, to znów zasypiać, to znów budzić, trzeć nos i oczy, dopokąd w końcu na dobre nie zasnęła i przeraźliwie chrapać nie zaczęła.

Noc tymczasem powoli przeminęła.

Z początku Oliwer niespał przez czas niejaki, i leżał spokojnie licząc te małe kręgi cieniu, które lampa nocna, daszkiem ocieniona, przez światło swoje na stropie tworzyła, lub też śledząc na przemian okiem znużoném rysunek zawikłany malowidła na ścianie.

W pokoju panowała ciemność i cichość ponura, prawdziwie uroczysta; a gdy ta myśl chłopcu przez głowę przebiegła, iż śmierć przez kilka dni i nocy nad nim krążyła, i dotąd jeszcze może z całą zgrozą i okropnością swéj obecności straszliwéj łoża jego nieopuściła, ukrył głowę swoję w pościeli, i gorąco do Boga modlić się zaczął.

Nakoniec sen głęboki i spokojny, wpływ najzbawienniejszy po tylu cierpieniach niedawno poniesionych na niego wywrzeć mogący, znużone powieki jego powoli skleil i oczy osłonił, a spokój i błogość go owionęła, z któréj by go grzechem wyrwać było.....Gdyby śmierć była snem takim, któżby sobie życzył oczy na powrót otworzyć i przebudzić się do wszelkich mąk i cierpień tego życia,....do wszelkich trosk teraźniejszo-

ści, obawy na przyszłość, a co gorsze jeszcze od tego wszystkiego, do wszystkich smutnych i dręczących wspomnień przeszłości.

Słońce już od kilku godzin na wschodniém niebie jaśniało, gdy Oliwer nakonicc oczy otworzył, a przebudziwszy się uczuł, że się ma o wiele lepiéj, że mu jest błogo i miło. Przesilenie choroby szczęśliwie minęło, a on należał na powrót do świata.

Za trzy dni przyszedł już tak dalece do sił, iż w krześle, wygodnie poduszkami wyścielonêm, mógł usiedzieć; lecz że jeszcze za nadto był słabym, aby się o swojéj mocy na nogach utrzymał, pani Bedwin kazała go przeto zanieść na dół do swojéj izdebki, którą jako gospodyni domu zajmowała, posadziła go tuż przy kominku, sama zaś naprzeciw niego usiadła, i z szczeréj radości, że już tak daleko przynajmniéj do zdrowia przyszedł, serdecznie i rzewnie się rozpłakała.

— Nie zważaj na to, mój drogi synu, — przemówiła nakoniec zacna staruszka, — ja miewam często podobne napady płaczu. Oto już wszystko przeminęło, a mnie teraz lepiéj.

— Pani jesteś bardzo,......bardzo dobrą dla mnie, — ozwał się Oliwer.

— Dobrze już, dobrze!...nie troskaj się o to wcale, mój kochany synu! — odpowiedziała poczciwa gospodyni; — to się niezgadza wcale z twoim rosołem, a już dawno czas, żebyś się go napił, gdyż doktor powiedział, że pan Brownlow cię dzisiaj rano może odwiedzi. Musimy przeto wyglądać jak najlepiéj, a to dla tego, iż czém lepiéj wyglądać będziemy, tém większą radość mu sprawiemy.

To wyrzekłszy zacna staruszka zajęła się natychmiast sama zagrzaniem w rondelku małym talerza dobrego rosołu, którymby snadnie i obficie trzystu pięć dziesięciu ubogich z domu roboczego nakarmić można było, gdyby go należycie wodą rozpuszczono.

— Czy lubisz obrazy, mój drogi synu?

Zapytała staruszka, widząc że Oliwer wzrok swój w obrazie, wprost naprzeciw jego krzesła na ścianie wiszącym, utkwił.

— Niewiem dobrze, droga pani, — odpowiedział Oliwer, niespuszczając oka z obrazu. — Tak ich mało w mojém życiu widziałem, że tego powiedzieć nieumiem..Jakże ładne i miłe oblicze ta pani ma na obrazie.

— A! — zawołała gospodyni; — malarze zwykle kobietom pochlebiają, i ładniejsze je malują, jak są w istocie, inaczéj by się im żadna malować nie dała, moje dziecko!.... Ten co wynalazł machinę do zdejmowania obrazów z osób żyjących, powinien był o tém dobrze wiedzieć, że nigdy wielkiego powodzenia nie będzie miała, gdyż jest trochę za nadto wierna i uczciwa,....tak jest: trochę.... — dodała godna staruszka, śmiejąc się serdecznie ze swego własnego dowcipu.

— Czy to jest obraz jakiéj pani żyjącéj? — zapytał Oliwer.

— Tak jest! — odpowiedziała staruszka, odwróciwszy na chwilę oczy od rosołu; — to portret!

— A czyj, droga pani? — zapytał Oliwer skwapliwie.

— Prawdziwie, że niewiem, drogi synu, — odpowiedziała gospodyni wesoło. — Zdaje się mi, że ani

ja, ani ty nieznamy wcale téj osoby, któréj to jest portret. Jak widzę to ci się bardzo podoba, mój drogi synu?

— Bo on taki ładny!.... taki piękny! — odpowiedział Oliwer.

— Ty się go przecież nie lękasz?

Zawołała staruszka, spostrzegłszy z zadziwieniem, iż chłopczyna z pewną trwogą na niego spoglądał.

— O nie, nie! — odparł skwapliwie Oliwer; — lecz w jéj oczach taki smutek rzewny się przebija, a mnie się zdaje, że one ciągle na mnie są zwrócone. Moje serce tak bije, — dodał Oliwer ciszéj, — jakby ona była żywa i mówić chciała do mnie, tylko niemogła!

— Wielki boże! — zawołała staruszka, zrywając się nagle z krzesła; — to są mowy dziwne, mój synu! Jesteś jeszcze jak widać, bardzo osłabiony i drażliwy po twojéj słabości. Pozwól mi twoje krzesło na drugą stronę obrócić, abyś tego obrazu nie miał więcéj na oczach. Tak, — dodała staruszka, uskuteczniwszy swój zamysł, — teraz go już więcéj nie będziesz mógł widzieć.

Lecz Oliwer tak wyraźnie ten obraz w swéj wyobraźni *mógł* widzieć, jakby swego położenia niebył wcale zmienił; pomyślał sobie jednak, iż lepiéj zrobi, staruszce o tém nic wcale nie mówić, by téj godnéj i dobrodusznéj kobieciny, tak starannie i troskliwie koło niego chodzącéj, nie zmartwić. Uśmiechnął się tedy mile, gdy na niego spojrzała, a pani Bedwin, rada że mu teraz wygodniéj będzie, posoliła rosół i wdrobiła do

niego sucharu z całą ruchliwością skrzętną i poważną, towarzyszącą zwykle podobnemu zatrudnieniu.

Oliwer rosół bardzo prędko spożył, i zaledwie łyżkę ostatnią połknął, gdy się lekkie pukanie do drzwi słyszeć dało.

— Proszę wejść! — zawołała staruszka.

Pan Brownlow wszedł do izby.

Gdy ten zacny i godny staruszek wszedł do izby, pogoda i wesołość największa na jego obliczu jaśniała; lecz zaledwie okulary z ócz swoich na czoło zesunął i ręce w tył założył, aby się Oliwerowi wygodniéj i lepiéj przypatrzyć, wiele zmian rozmaitych i dziwnych, niby chmurek lotnych, po jego obliczu przebiegło i ono zmieniło.

Oliwer jeszcze nie przyszedł do siebie po chorobie, i wynędzniały, zwątlony, wszystkich sił swoich dobył, aby się z uszanowania dla swego dobroczyńcy z krzesła podnieść; to natężenie przechodziło jednak siły jego, gdyż się żadną miarą na nogach utrzymać nie mógł, i za każdą razą podniósłszy się cokolwiek, natychmiast na krzesło na powrót opadał.

To bezskuteczne wysilenie Oliwera było więc powodem, jeżeli już prawdę wyznać musimy, iż serce pana Brownlow, lubo z pewnością tak wielkie było, jak serce sześciu starców zwyczajnych z uczuciami ludzkiemi, przez jakąś siłę hydrauliczną, któréj dla braku dostatecznych w téj mierze wiadomości tłómaczyć się nie ośmielamy, łez podostatkiem w oczy jego wpędziło.

— Biedny chłopiec!....biedny chłopiec!

Zawołał nakonice pan Brownlow odkaszlując.

— Mam coś chrypkę dzisiaj rano, moja pani Bedwin! musiałem się gdzieś zaziębić.

— Niech Bóg zachowa, Sir! — odpowiedziała pani Bedwin. — Wszystko, coś pan dzisiaj wziął na siebie, było dobrze wysuszone i ciepłe, Sir.

— Wiem o tém, wiém, kochana pani Bedwin, — odparł pan Brownlow. — Mnie się zdaje, że mi przedwczoraj przy objedzie mokrą serwetę do stołu dano;... ale to nic nieszkodzi. Jakżeż się masz, mój drogi synu!

Dodał pan Brownlow, zwróciwszy mowę do Oliwera.

— Bardzo dobrze Sir, — odpowiedział Oliwer, — i składam najgorętsze dzięki moje Sir, za jego dobroć dla mnie.

— Dobry chłopiec, — rzekł pan Brownlow poważnie. — Czyś mu dała co jeść, pani Bedwin?.....jakiéj poleweczki, co?

— Właśnie co zjadł talerz ładnego i czystego rosołu, Sir.

Odparła pani Bedwin podnosząc się z krzesła, z wielkim naciskiem na to słowo *rosół*, aby przez to dać poznać, że między polewką i rosołem dobrze zrobionym niema żadnego związku, ani powinowactwa.

— Hm! — rzekł pan Brownlow, wzruszywszy lekko ramionami, — parę kieliszków porteru byłyby go daleko więcéj pokrzepiły,....nie prawda Tom White? co?

— Ja się nazywam Oliwer, Sir!

Odparł mały inwalida z wielkiém zadziwieniem.

— Oliwer, — rzekł pan Brownlow, — Oliwer? a daléj jak? Oliwer White, czy tak?

— Nie, Sir....Twist!... Oliwer Twist!

— Dziwne nazwisko! — zawołał pan Brownlow. — Dla czegóżeś kazał powiedzieć sędziemu, że się nazywasz White?

— Ja mu tego niekazałem powiedzieć, Sir, — odparł Oliwer zdziwiony.

To twierdzenie tak do kłamstwa było podobne, że pan Brownlow sam na Oliwera surowo spojrzał; lecz tyle szczerości leżało w każdym z wydatnych i wyrazu pełnych rysów jego oblicza, że niepodobna było kłamstwo mu zadać jego i słowom nie uwierzyć.

— W tém musi być jakaś pomyłka, — rzekł pan Brownlow.

I lubo żadnego już powodu nie miał w Oliwera tak ostro się wpatrywać, dawna myśl o nadzwyczajném podobieństwie tego chłopca do osoby, niegdyś do jego znajomych ściślejszych należącéj, tak go silnie opanowała, że od Oliwera oka swego odwrócić nie zdołał.

— Spodziewam się, że się pan na mnie nie gniewa? Ozwał się nakoniec Oliwer, podnosząc swoje oczy błagające ku niemu.

— Nie, nie, — odpowiedział godny staruszek. — Wielki boże! co to jest?.....Pani Bedwin!.... chciej no się przypatrzeć!

To wyrzekłszy, wskazał oraz szybkiém skinieniem głowy na obraz nad Oliwerem na ścianie wiszący, a potém na jego oblicze.

Był te rzeczywiście pierwotwór żyjący do owego obrazu;.... te same oczy,.... ta sama głowa,.... te same usta,.... każden rys prawie był ten sam. Wyraz jego twarzy tak był przez chwilę dokładny i podobny, że

rys najmniejszy z dokładnością, którą by doskonałą nazwać można było, z niéj na obraz przelany się być zdawał.

Oliwer nie dowiedział się o przyczynie tego nagłego wykrzyknięcia pana Brownlow; za nadto bowiem chorobą osłabiony, aby mógł znieść długo wzrok bystry i badawczy staruszka, w końcu zemdlał.

ROZDZIAŁ XIII.

O żartobliwym staruszku i jego młodych wychowankach i przyjacielach. Pomiędzy tymi występuje w tym rozdziele przed oczy czytelnika dotąd nieznajoma mu osoba, z którą się wiele rzeczy zabawnych, z tą powieścią związek mających, łączy.

Smyk i jego nader dowcipny przyjaciel Karolek Bates, łącząc swe głosy z goniącymi za Oliwerem gorliwemi o dobro publiczne obywatelami, — której to gonitwy oni obaj powodem byli przez swoję żądzę niepohamowaną, przywłaszczenia sobie nieprawnego własności pana Brownlow, jak to nie dawno w jednym z poprzedzających rozdziałów jasno i z wielką dokładnością opisane zostało, — działali w tej mierze, — o czém już pierwéj wspomnieć mieliśmy sposobność, — z bardzo chwalebnego i przyzwoitego względu na siebie samych; a że wolność każdego z poddanych jest

pierwszą rzeczą, którą się każdy Anglik prawdziwy słusznie chlubi, nie potrzebuję przeto nadmieniać o tém nawet czytelnikowi, że ten czyn by ich w poważaniu każdego, kraj swój szczerze kochającego Anglika w tymże samym stopniu podnieść powinien, w jakim ten wielki dowód ich dążenia do zachowania własnego bezpieczeństwa, dąży również do zasilenia i potwierdzenia tego małego kodeksu praw, o których pewien mądry i głęboko uczony filozof powiedział, iż są jedynymi bodźcami wszelkich czynności i działań przyrody.

Ów filozof wspomniony ograniczył w swéj mądrości działanie téj poczciwéj kobiety na zasady i teoryje, a rozwodząc się szeroko z wielkiemi i pięknemi pochwałami na jéj wygórowaną mądrość i uczoność, odmówił jej wszelki wzgląd na najmniejsze nawet wzruszenie serca, lub szlachetny popęd i uczucie, jako czynności nie godne kobiety, powszechnie i jednogłośnie za kobietę wcale żadnéj z tych licznych przywar i słabości drobiazgowych, jéj płci właściwych, nieposiadającą uznanéj.

Gdyby mi jeszcze jakiegokolwiek dowodu potrzeba było do wyjaśnienia, iż to godne zachowanie się owych dwóch młodych ludzi ściśle filozoficzném było, mógłbym go natychmiast znaleść w tym wypadku, — wymienionym już w jednym z przeszłych rozdziałów, — iż skoro tylko uwaga powszechna na Oliwera stale się zwróciła, oni natychmiast ścigających opuścili, i drogą jak najkrótszą do domu jak najśpieszniéj wracali; a lubo wcale twierdzić nie myślę, iż to postępowanie skrócenia sobie drogi do jakiegokolwiek wielkiego celu, jest godne mędrców uczonych i znakomitych, i owszem

utrzymuję, że ci do tego przeciwnie dążą, aby tę drogę przydłużyć różnymi szerokiemi wywodami i objaśnieniami do rzeczy mało należącymi i wykrętami podobnymi do tych, którym pijani, ulegając pod ciężarem za nadto wielkiego napływu myśli, tak łatwo się oddawać zwykli, to jednak powiedzieć zamierzam i wyraźnie wypowiadam, że jest zwyczajem niezmiennćm wszystkich owych filozofów wielkich, swoje teoryje wykładających, nadzwyczajny rozum i naukę rozwijać w zabezpieczeniu się z góry już przeciwko wszelkim możliwym przypadkom, według ich zdania niemile im na zawadzie stanąć mogącym.

Tym samym postępując torem można, chcąc większe prawo odzyskać, mniejszą niesłuszność popełnić, i wszelkich środków choćby najgorszych użyć, jeżeli tylko cel, do którego się dąży, usprawiedliwić je zdoła; gdyż wielkość prawa czyli słuszności, i wielkość bezprawia czyli niesłuszności, lub różnica między oboma, filozofom samym do rozstrzygnięcia zupełnie zostawiona, i według ich własnego, jasnego, przenikliwego i bezstronnego całkiem poglądu i sądu o ich własnéj sprawie, oznaczona i zawyrokowana bywa.

Nie potrzeba nadmieniać, że owi dwaj chłopcy przez wiele bardzo zawiłych uliczek wązkich i przechodnich sieni z największą szybkością przebiegli, nim za rzecz roztropną uznali pod nizką i ciemną bramą na chwilkę się zatrzymać. Tutaj sobie tak długo odpoczywali, dopokąd do tchu nie przyszli i mówić nie mogli. Lecz gdy nakoniec do siebie przyszli i wolniéj oddychać mogli, Karolek Bates nie zdołał się dłużéj oprzeć gwałtownemu uniesieniu wesołości i uciechy,

i parsknąwszy śmiechem głośnym, nieskończonym, rzucił się na małe schodki i tarzał po nich w swém zachwyceniu i radośném upojeniu.

— Czegóż ty się śmiejesz! — zapytał Smyk.

— Ha! ha! ha! — odpowiedział Karolek Bates.

— Czy stulisz ty pysk, szaleńcze? — zawołał Smyk, potoczywszy okiem śledczém na około z wielką przezornością. — Czy ty chcesz, aby nas schwytano, głupcze?

— Kiedy się wstrzymać ani sposób! — odparł Karolek; — na moje oczy, że trudno, niepodobna się mi wstrzymać od śmiechu!......Jeszcze go widzę, jak zmykał, jak zmykał, jak koło rogów ulic zawracał, i o każden słupek uderzał; jednak biegł i biegł ciągle jak strzała,....jakby i on był z żelaża, tak jak owe słupki; a ja mając chustkę w kieszeni biegłem za nim;....o na moje oczy!

Wyobraźnia żywa pana Karolka Bates przedstawiała mu to całe widowisko tak żywemi barwami, że jak tylko w swém opowiadaniu do tego miejsca przyszedł, zaczął się na nowo po schodkach tarzać, i głośniéj jeszcze śmiać jak poprzód.

— Co tylko Fagin na to powie?

Zapytał Smyk, oczekując pomyślnéj chwili do zadania mu tego pytania tak długo, dopokąd brak tchu niejakiéj przerwy w tym pustym śmiechu przyjaciela nie zrobił.

— Co? — powtórzył Karolek Bates.

— Tak jest, co? — rzekł Smyk.

— Cóż by miał na to powiedzieć?

Odpowiedział Karolek, a śmiech mu nagle na ustach

zamarł, uwaga Smyka albowiem wielkie wrażenie na niego zrobiła.

— Tak jest, ... cóż ma na to powiedzieć?

Dawkins poświstał sobie przez chwilę, a potém, zdjąwszy kapelusz, poskrobał się w głowę i cokolwiek nią pokiwał.

— Cóż ty myślisz? — zapytał Karólek.

— Tralala, lirum larum, kirum karum, wszak on tego sam chciał!

Zaśpiewał Smyk z lekkim uśmiechem szyderskim na swéj przebiegłéj twarzy.

To niejako wprawdzie tłómaczyło, ale nie zadawalniało. I Karolek Bates tego samego musiał być zdania, gdyż na nowo zapytał:

— Cóż myślisz, co?

Smyk mu nic na to nie odpowiedział, lecz zasadziwszy kapelusz napowrót na głowę, podkasawszy poły swego długiego surduta, przycisnął język do lica i mlasnął nim kilka razy o wierzchnią część nosa w sposób znany i bardzo dobitny, a obróciwszy się na pięcie, puścił daléj ulicą.

Karolek Bates szedł za nim w smutnych myślach pogrążony.

Odgłos stąpania po wschodach skrzypiących w kilka chwil po owém wydarzeniu i poprzedzającéj rozmowie obu przyjaciół, zbudził z zamyślenia znanego nam starego Żyda, siedzącego przy ogniu z kiełbasą i kawałkiem chleba w lewéj ręce, kozikiem w prawéj, a dzbankiem blaszanym na trójnogu. Szelmoski uśmiech przebiegł po jego licu bladém, gdy się obrócił, i rzuciwszy

śledcze spojrzenie z pod gęstych, rudych brwi swoich, ucho do drzwi przyłożył i uważnie nadsłuchiwał.

— Cóż to się znaczy? — mruknął Żyd nieco zmięszany; — tylko ich dwóch! a gdzież trzeci? przecież ich żadna nieprzyjemność nie spotkała?

Stąpania coraz bardziéj się zbliżały; doszły już do przedpokoju, drzwi się wkrótce ostrożnie otworzyły, a Smyk i Karolek Bates wszedłszy przez nie, starannie je za sobą zamknęli.

— Gdzie jest Oliwer? — zawołał Żyd z wściekłością, zerwawszy się do nich z groźném wejrzeniem, — gdzie jest chłopiec?

Obaj złodzieje młodzi tak dziwnie na swego nauczyciela spojrzeli, jakby gniew jego niezwyczajną trwogą ich nabawił; potém z niespokojnością na siebie okiem rzucili, lecz na jego pytanie nic nie odpowiedzieli.

— Co się z chłopcem stało? — zawołał Żyd, uchwyciwszy mocno Smyka za kołnierz, trzęsąc nim i miotając okropne przekleństwa. — Mów, albo cię zaduszę!

Na obliczu Fagina taka srogość się przytém malowała, że Karolek Bates, kierujący się zawsze tą nader roztropną zasadą, iż lepiéj zawsze na każden przypadek być gotowym i mieć się na ostrożności, i teraz za rzecz nie bardzo do prawdy niepodobną uznał, żeby po zaduszeniu jego przyjaciela i na niego koléj przyjść mogła. Padł tedy na kolana i wydał głośny, przeciągły, wytrwały ryk, stanowiący środek między rykiem byka i huczeniem tuby morskiéj.

— Czy powiesz ty raz, gdzieście go podzieli?

Zagrzmiał Żyd powtórnie, wstrząsnąwszy oraz Smykiem tak gwałtownie, że ten wielkim cudem jedynie w swoim przestronym surducie się utrzymał.

— No.... i cóż wielkiego!.... schwycili go i koniec! .... — odpowiedział nakoniec Smyk kwaśno. — Ot, puszczajcie mnie!

To wyrzekłszy, tak się zręcznie rzucił, że do razu ze swojego wielkiego i przestronego surduta wyleciał; poczém natychmiast do kominka poskoczył, za owe wielkie grabki chwycił i niemi cios tak silny w kamizelkę żartobliwego staruszka wymierzył, że, gdyby nim dobrze był ugodził, byłby z jego brzucha daleko więcéj wesołości wypuścił, jak dwa lub trzy miesiące wynagrodzić zdołały.

Żyd, spostrzegłszy to niebezpieczeństwo groźne, uskoczył w bok z daleko większą zwinnością, jak się tego po człowieku tak pozornie nędznym spodziewać było można, i chwycił za kubek cynowy, chcąc z nim głowę napastnika zapoznać. Lecz Karolek Bates zwrócił w téj chwili swoim rykiem rzeczywiście okropnym uwagę jego na siebie, a to było powodem, że Żyd nagle swój cel zmienił, i kubkiem w tego młodego człowieka ugodził.

— Co się tu dzieje do kroćset tysięcy piekielnych piorunów?! — zagrzmiał gniewliwie gruby głos. — Kto to na mnie rzucił? Szczęście dla niego że to piwo a nie dzbanek mię ugodził, inaczéj bym go był i ja tak ugodził, żeby mu oczy były kołem stanęły...... Powinienem się był zaraz domyśleć, żeby prócz takiego piekielnego, bogatego, zdzierczego, złodziejskiego Żyda nikomu innemu na myśl nie było przy-

szło, czém innćm jak wodą na ludzi rzucać; a nawet i wodą nie, jeżeliby towarzystwa dostarczania wody rzecznéj każde ćwierć roku dobrze nie oszukał.... Cóż to takiego, Fagin? Niech mię djabli wezmą, jeżeli na mojéj chustce będą plamy z piwa!.... Na tu, nikczemne zwierze, czego się kryjesz za drzwiami, może się wstydzisz twojego pana? co? Na tu!....

Człowiek, który takim głosem grzmiącym przemawiał, był to mężczyzna nizki, krępy, pięćdziesiąt lat blizko mający, w czarnym surducie manszestrowym, zabłoconych spodniach sukiennych, ciżmach sznurowanych i szarych bawełnianych pończochach, otaczających parę nóg żylastych i kościstych z tęgiemi łytkami, — nóg, którem w podobném ubraniu zawsze na czémś zbywa, jeżeli kajdany ich nie zdobią.

Na głowie miał kapelusz bronzowy, a na szyi brudną chustkę, któréj długiemi rozpuszczonemi końcami podczas owéj przemowy piwo sobie ocierał z twarzy, objawiającéj po skończeniu téj pracy obszerność i brzydotę niepospolitą i trzechdniowy zarost brody; para groźnych oczu lśniła ponuro w swych jamach, a jedno z nich objawiało różnobarwne ślady świeżego podbicia. —

— Na tu, ... czy przyjdziesz ty raz?

Zagrzmiał ten nadzwyczaj przyjemnie wyglądający złoczyńca.

Na to zaproszenie wbiegł do izby biały pudel angielski, z długim krętym włosem, pyskiem podrapanym i poranionym.

— Dla czegoś nie przyszedł zaraz? — zawołał ów przybylec.-- Czyś już tak spyszniał, że się nawet twojego

pana wobec tak dobranego towarzystwa wstydzisz, co? .... Leżeć!

Temu rozkazowi towarzyszyło zarazem takie uderzenie nogą, że pies całą przestrzeń izby z jednego końca na drugi powietrzem przebył. Jak się jedak zdawało, musiał on do tego już być przyzwyczajony, gdyż ani mruknął, lecz się natychmiast w kąciku spokojniuteńko przytulił, i mrużąc swe złośliwe, złowrogie oczy mało dwadzieścia razy przez minutę, sam jeden całéj izby bacznie strzedz się zdawał.

— Cóż to takiego? Czego tak znieważasz i bijesz tych chłopców, ty skąpy, chciwy, łakomy, nienasycony stary złodzieju?— zawołał nowo-przybyły, siadając sam rozważnie na stołku. — Dziwię się tylko, że cię jeszcze dotąd nie zabili. Chciałbym być na ich miejscu. Niech no bym ja był twoim uczniem, to bym to dawno już był uczynił! .... Lecz nie, ... nie! .... gdyż by mi ani grosza nikt za ciebie dać nie chciał, ... bobyś nikomu na nic się nie zdał, chyba żeby cię kto chciał jako osobliwość brzydoty w szklane naczynie włożyć i za pieniądze pokazywać; .... przypuszczając, że tak wielkie butle w hutach robią.

— Cicho, cicho, panie Sikes, — przerwał Żyd drżąco, — nie mówcie tak głośno.

— Nie panuj mnie tak bardzo, — odpowiedział Sikes; — ty zawsze masz coś złego na myśli, jeżeli od tego zaczynasz. Znasz moje imie, nazywaj że mnie po imieniu. Ja mu nie zrobię wstydu, gdy czas na mnie przyjdzie.

— Dobrze już, dobrze! uspokój się tylko Billu!

uspokój! — odpowiedział Żyd z nadzwyczajną pokorą. — Nie jesteś coś dzisiaj widać w dobrym sosie.

— Może i nie, odpowiedział Bill Sikes; — ale jak uważam, to i ty nie w lepszym; chyba, że tego nawet i za taką szkodę nie uważasz, rzucać pełnym kubkiem piwa na ludzi, jak zdradzać i....

— Czy masz ty rozum?

Zawołał Żyd, chwytając Billa za rękaw, i wskazując skinieniem na chłopców.

Sikes i bez tego ostrzeżenia zamilkł, i tylko na migi guz pod lewém uchem pokazał i głowę przytém na prawe ramię przewiesił; — znak, który jak się zdawało, Żyd bardzo dobrze zrozumiał.—Po chwili zażądał kieliszek wódki w mowie złodziejskiéj, w któréj całą rozmowę swoję prowadzili, lubo my jéj tutaj nie używamy.

— Tylko nie wléj do niéj trucizny, — napomniał Sikes, kładąc kapelusz na stół.

On to żartem powiedział; lecz gdyby mówca był mógł w téj chwili to piekielne i złowieszcze spojrzenie uwidzieć, które Żyd, obracając się do szafy z ukosa na niego rzucił, gryząc się w zbladłe wargi swoje, byłby może pomiarkował, iż nietylko ta przestroga zupełnie niepotrzebną nie była, ale i życzenie posiadania mocy zakierowania zręcznością i przemysłem destillatora według swego własnego upodobania, do niemiłych i niepożądanych sercu staruszka nie należało.

Połknąwszy parę kieliszków wódki, Sikes tak daleko się poniżył, że i na przytomnych chłopców uwagę swoję zwrócić raczył, a ta grzeczność dała powód do rozmowy, w któréj przyczynę, sposób i wszystkie okoliczności, schwytaniu Oliwera towarzyszące, dokładnie

opisano, z tymi jednak dodatkami, zmianami i poprawkami, jakich Smyk w tym stanie rzeczy użyć, za rzecz najstósowniejszą uznał.

— Ja się tylko boję, — ozwał się Żyd, — żeby się z czémś nie wygadał, coby nam wiele kłopotu narobić mogło.

— Nie bardzo o to trudno, — wtrącił Sikes z uśmiechem złośliwym; — strzeż się zatém Faginie!

— A ja się boję, moi kochani, — odparł Żyd, mówiąc, jakby poprzedniéj uwagi Billa nie był wcale słyszał, i spoglądając ostro na młodych chłopców podczas téj mowy, — że jeźli się z nami ta zabawa zakończy, to się i z wielu innymi jeszcze skończy; a gdyby się to stało, toby dla ciebie jeszcze gorzéj wypaść mogło, jak dla mnie, mój drogi.

Sikes się zerwał i z gniewem do Żyda obrócił, ale ten stulił ramiona aż po uszy, i stał nieruchomy z oczyma niezmiennie w przeciwną ścianę wlepionemi.

Po téj przemowie długie nastąpiło milczenie.

Każdy członek tego zacnego towarzystwa zdawał się być w swoich własnych myślach pogrążony, nie wyjmując nawet pudla, któren z pewną złośliwością złowieszczą wargi sobie lizał, i głębokiém rozmyślaniem, zapewnie układaniem napadu na łytki pierwszego lepszego mężczyzny lub kobiety, których za pierwszém wyjściem z domu najprzód na ulicy zdybie, zajętym się być zdawał.

— Musimy koniecznie kogoś wynaleść, coby poszedł na policyję i dowiedział się, co się z nim stało?

Przerwał Sikes pierwszy ogólne milczenie, lecz daleko ciszéj, jak dotąd zwykle mówił.

Żyd kiwnął głową na znak potwierdzenia.

— Jeżeli nikogo nie wydał i osądzonym został, nie mamy się teraz niczego obawiać, dopokąd go z więzienia nie uwolnią, — mówił daléj Sikes, — a wtedy staranie o niego musimy wziąść na siebie. Trzeba kogo wynaleść, żeby po niego poszedł.

Żyd głową powtórnie kiwnął.

Rozstropność téj porady za nadto widoczną była, aby ogólnéj pochwały pozyskać nie miała; jedna tylko rzecz na nieszczęście stała jéj przyjęciu i uskutecznieniu na zawadzie, to jest: że tak Smyk, jak i Karolek Bates, jak Fagin, jak i nakoniec sam Bill Sikes, wszyscy nadzwyczajną i nieprzezwyciężoną odrazę do zbliżenia się zbytecznego z jakiéjkolwiek bądź przyczyny i pod jakimkolwiek bądź pozorem do siedziby policyjnego urzędu mieli.

Jak długo w tém nieprzyjemném położeniu niepewności zostawali i na siebie okiem badawczém wzajem spoglądali, z pewnością oznaczyć nie sposób. Nie jest też to rzeczą tak bardzo ważną dla nas, abyśmy się domysłami w téj mierze trudnić mieli, gdyż nagłe zjawienie się owych dziewcząt obu, które Oliwer już raz, lubo w inném zupełnie położeniu rzeczy, w tym domu widział, więcéj życia całéj rozmowie nadało.

— A to się przedziwnie zdarza! — zawołał Żyd. — Betsy nam pójdzie; ...... nie prawda, że pójdziesz Betsy?

— Gdzież to mam iść? — zapytała dziewczyna.

— Tylko na policyją, moja luba! — odpowiedział Żyd z przymileniem.

Nie można powiedzieć, aby ta dziewczyna była

Żydowi wręcz stanowczo oświadczyła, że iść nie chce; ona tylko objawiła swoję chęć i życzenie najświętsze, aby jéj w razie, gdyby to żądanie przyjęła, ostatnie *błogosławieństwo* dano; przez co w sposób grzeczny i zręczny właściwe pytanie obeszła, i dowiodła, iż posiada właśnie owę dobroć serca wrodzoną, nie dozwalającą nikomu, choćby najgorszéj nawet istocie, odmówieniem wprost wyrzeczonym i niezłomnym przykrego ciosu zadać.

Żyda trwoga wielka ogarnęła; z niespokojnością odwrócił się od téj dziewczyny bardzo pstro, aby nie powiedzieć, pysznie, w czerwoną sukienkę, zielone buciki i żółte papiloty ubranéj, do jéj towarzyszki nieco skromniejszéj.

— Nancy, moja droga Nancy, — rzekł Żyd schlebiając, — cóż ty na to mówisz?

— Że i ja tego nie uczynię, nie zadawaj sobie przeto nadaremnie pracy panie Fagin, — odpowiedziała Nancy.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał Sikes, spojrzawszy na nią surowo.

— To co mówię, Bill, — odpowiedziała dziewczyna odważnie.

— Ty właśnie na to jesteś najlepsza, — rzekł Sikies, — nikt cię tutaj nie zna.

— Mnie téż właśnie o to chodzi, aby mię nikt nie poznał, — odparła Nancy z tą samą odwagą. — Dla tego téż iść nie chcę, Bill!

— Fagin, ona pójdzie! — rzekł Sikies.

— Fagin ona nie pójdzie, — wykrzyknęła Nancy.

— Pójdzie! pójdzie! — odparł Sikes.

I Sikes prawdę powiedział. Groźby, objetnice i przekupstwo na przemian użyte, skłoniło nakoniec tę dziewczynę do wykonania tego zamiaru. Zresztą powody, uniewinniające jéj przyjaciółkę, do niéj się wcale nie stósowały i żadną przeszkodą dla niéj nie były. Sprowadziła się bowiem dopiero niedawno z przedmieścia bardzo odległego, z przeciwnego końca Londynu prawie, w sąsiedztwo części miasta *Fild-lane*; nie miała przeto przyczyny obawiać się, aby ją który z licznych znajomych tutaj spotkał i poznał.

Panna Nancy, zgodziwszy się w końcu na żądanie ogólne, opasała tedy czysty, biały fartuszek, pokryła słomianym kapeluszem swe żółto zawinięte kędziory, — a tego wszystkiego dostarczył jéj Żyd ze swego nieprzebranego składu, — i wybierała się do wyjścia na zwiady.

— Chwilę tylko jeszcze, moja kochana Nancy, — rzekł Żyd, przynosząc mały koszyczek. — Weź to do ręki, będziesz z tém wyglądała, jak jaka zacna mieszczanka, albo służąca, moja luba.

— Daj jéj jeszcze klucz od bramy do drugiéj ręki, Fagin, — dodał Sikes, — to jéj nada lepszego i porządniejszego pozoru.

— Prawda, prawda, mój drogi, — rzekł Żyd, wieszając jéj u palca od prawéj ręki wielki klucz od bramy. — Prawdziwie, ładnie, bardzo ładnie teraz wygląda, — dodał Żyd, zacierając ręce z radości.

— O mój braciszku, mój luby, biedny, kochany, niewinny, drogi braciszku mały! — zawołała Nancy, wylewając łzy i zalamując ręce z koszyczkiem i klu-

czem od bramy, niby w rozpaczy. — Cóż się z tobą stało? Gdzieżeś się podział? dokądże cię zaprowadzili? O miejcie litość panowie, i powiedzcie mi, co się z tym chłopcem stało? kochani, drodzy panowie!

Miss Nancy, wyrzekłszy to wszystko z niewypowiedzianą radością słuchaczy głosem płaczliwym i narzekającym, zamilkła nakoniec, skinęła głową, pokłoniła się wszystkim z uśmiechem i znikła.

— Co to za dziewczyna! to prawdziwy skarb, nie dziewczyna, moi kochani!

Zawołał Żyd po jéj odejściu, potoczywszy okiem po swoich młodych przyjacielach i wstrząsnąwszy poważnie głową, chcąc im przez to niby dać napomnienie milczące, żeby sobie z niéj przykład brali.

— Ona swojéj płci zaszczyt robi, — dodał Sikes, nalewając sobie pełny kielich i uderzając o stół swoją pięścią olbrzymią. — Za jéj zdrowie! oby jéj wszyscy podobni byli!

Kiedy podobne pochwały i cześć pannie Nancy oddawano, ona sobie szła tymczasem drogą najkrótszą do policyjnego urzędu, dokąd, pomimo trwogę swoję nadzwyczajną, którą łatwo tém wytłómaczyć było można, iż sama jedna, bez wszelkiéj ochrony przez ulice iść musiała, całkiem zdrowa i bez wszelkiego przypadku doszła.

Wszedłszy przez drzwi boczne, zapukała śmiało do jednéj z komórek więzienia i słuchała. Nikt się w niéj nie ruszył; poszła tedy do drzwi drugich, zapukała i znów się przysłuchiwała. Ale że i tu wszystko cicho było, zawołała tedy:

— Oliwer! drogi, kochany Oliwer, — zawołała

najsłodszym głosem; — Oliwer, czy mię nie słyszysz?

Lecz w téj komórce nie było nikogo, prócz biednego bosego złoczyńcy, schwytanego na podwórzu jakiegoś domu, grającego na flecie; którego,— ta zbrodnia bowiem przeciwko społeczeństwu dalszych dowodów nie wymagała, gdyż go na uczynku gorącym schwytano, — pan Faug przeto bardzo słusznie na miesiąc więzienia do domu poprawy skazał, z tą właściwą i pocieszającą uwagą, że kiedy tak wielki zapas tchu posiada, korzystniéj go będzie mógł spożyć w młynie stępowym, jak na instrumencie muzycznym.

Więzień nic na wołanie Nancy nie odpowiedział; szczerze albowiem żałował swego fletu, którego mu na korzyść państwa zabrano, a Nancy udała się do drzwi następnych i do nich zapukała:

— Kto tam? — zawołał głos cienki i słaby.

— Czy tu nie ma małego chłopczyka? — zapytała Nancy, westchnąwszy poprzód głęboko.

— Nie, niema, — odpowiedział ów głos, — niech go Bóg od tego uchowa!

Był to włóczęga sześćdziesiąt pięć lat blizko mający, którego za to jedynie uwięziono, że nie grał na flecie; czyli inaczéj powiedziawszy, że chodził po ulicy i niczém się nie trudnił, czémby sobie mógł był na życie zarobić. W więzieniu przyległém siedział znów inny, którego przeciwnie za to uwięziono, że bez pozwolenia rządowego panwie roznosił; a zatém czémś się trudnił, czémby sobie na życie mógł zarobić, lecz z uszczerbkiem dochodów skarbowych.

Ale że żaden z tych zbrodniarzy na imie Oliwera

się nie odezwał, lub téż o nim nic nie wiedział, Nancy udała się tedy wprost do dozórcy w białéj kamizelce w paski, i z płaczem i żałością najrzewniejszą, zręcznêm użyciem w porę klucza od bramy i koszyczka do większéj jeszcze litości pobudzającą, zapytała go o swego kochanego braciszka małego.

— Nie ma go tutaj! — rzekł staruszek.

— Gdzież tedy jest, mój Boże! gdzie jest? — Nancy z płaczem i rozpaczą zawołała.

— Gdzie? ów pan go wziął z sobą, — odpowiedział dozórca.

— Jaki pan?.... Litościwe nieba!.... jaki pan? — zawołała Nancy.

W odpowiedzi na te pytania z rozpaczą zadane, staruszek téj zasmuconéj i strwożonéj siostrze opowiedział, że Oliwer zasłabł był w izbie sądowéj, że go jednak późniéj uwolniono w skutek świadectwa pewnego jegomości, który zaświadczył, iż nie on, lecz innych dwóch chłopców złodziejstwo popełniło, i że go zaskarżyciel omdlałego i bez przytomności do swego mieszkania zabrał, o którém jednak nic więcéj nie wie, tylko tyle, iż gdzieś w okolicy Pentonville leży, dosłyszał bowiem przypadkiem, że ów jegomość, dając rozkaz woźnicy, dokąd ma jechać, to nazwisko wymienił.

W stanie okropnym trwogi i niespokojności ta dziewczyna rozpaczająca ku drzwiom się potoczyła; lecz zaledwie te się za nią zamknęły, zamieniła natychmiast swój chwiejący się chód na krok ile możności najszybszy i powróciła najkrętszemi i najzawilszemi drogami, jakie tylko wymyśleć mogła, do pomieszkania Żyda.

Zaledwie Bill Sikes usłyszał o skutku téj wyprawy,

świsnął natychmiast na swego białego pudla i zasadziwszy kapelusz na głowę, wyszedł, nie dopełniwszy nawet zwykłéj grzeczności, i niepożegnawszy się wcale z towarzystwem.

— My się muszemy koniecznie dowiedzieć, moi kochani, gdzie on jest, muszemy go odszukać! — zawołał nakoniec Żyd, nadzwyczajną niespokojnością miotany. — Karolku, nie rób nic, tylko się włócz po mieście tak długo, dopokąd jakiéj wiadomości o nim do domu nie przyniesiesz. Nancy, moja droga Nancy, ja go mieć muszę napowrót; tobie, tak tobie, moja luba i Smykowi najwięcéj ze wszystkich ufam. Poczekajno, poczekaj! — dodał Żyd, wysuwając drżącą ręką wysuwkę, — oto macie pieniędzy. Dziś na noc będę musiał to mieszkanie zamknąć; wy przecież wiecie, gdzie mię będziecie mogli znaleść. Nie czekajcie tylko długo.... nie zatrzymujcie się tutaj już ani chwili więcéj, moi kochani....

To mówiąc, wypchnął ich prawie za drzwi, zamknąwszy je starannie za nimi na klucz i zasówkę, wyjął z kryjówki ów kufereczek, któren niegdyś Oliwer mimo wolę jego zobaczył, i zabrał się natychmiast do ukrycia zegarów i klejnotów pod swoją odzieżą.

Zapukanie do drzwi przeszkodziło mu w tém zatrudnieniu.

— Kto tam? — zawołał z przenikliwym wrzaskiem trwogi.

— Ja, — dał się słyszeć głos Smyka, przez dziurkę od klucza.

— Cóż tam nowego? — zapytał Żyd z niecierpliwością.

— Nancy się pyta, czy go do tamtego drugiego miejsca zaprowadzić w przypadku, — zapytał Smyk ostróżnie.

— Tak jest, — odpowiedział Żyd, — gdziekolwiek go znajdziecie, schwytajcie go natychmiast; — znajdźcie go tylko pierwéj, znajdźcie, to rzecz najgłówniejsza; o reszcie już ja sam pomyślę, nie bójcie się!

Chłopiec mruknął coś niezrozumiałego na znak odpowiedzi i porozumienia, i zbiegł po schodach za swoimi towarzyszami.

— Dotąd jeszcze nic nie wygadał, — mruknął Żyd, zabrawszy się na nowo do swego zatrudnienia. — Jeżeliby nas chciał zdradzić swoim nowym przyjaciołom, będziemy my wiedzieli zatkać mu gębę.

ROZDZIAŁ XIV.

Wiadomości o dalszém położeniu Oliwera u pana Brownlow, i o szczególnéj przepowiedni, którą niejaki pan Grimwig na niego wydał, gdy go z pewném poleceniem do miasta wysyłano.

Gdy Oliwer nakoniec do siebie przyszedł z tego omdlenia, w które go wykrzyknięcie pana Brownlow wprawiło, strzeżono się jak najstaranniéj tak ze strony tego staruszka, jak i ze strony pani Bedwin zrobić najmniejszą wzmiankę o obrazie owym w rozmowie następującéj, nie mającéj żadnego związku z Oliwera życiem lub widokami, i mówiono jedynie o rzeczach, które go bez wszelkiego wzburzenia zabawić mogły.

Oliwer był jeszcze za nadto słaby, aby był mógł na śniadanie się udać, lecz gdy nazajutrz zeszedł do izby gospodyni, natychmiast chciwe spojrzenie rzucił na ścianę w nadziei, że się będzie mógł przypatrzyć owéj pięknéj pani na obrazie. Lecz oczekiwania jego zostały zawiedzione, gdyż obrazu już nie było.

— A! — zawołała gospodyni, spostrzegając kierunek, w którym się Oliwera oczy zwróciły. — Jak widzisz już go nie ma.

— Widzę to pani, — odpowiedział Oliwer z westchnieniem. — Dla czegóż go ztąd wyniesiono?

— Kazałam go z tąd wynieść moje dziecko, dla tego, że pan Brownlow powiedział, iż ten obraz przykre wrażenie na ciebie robić się zdaje, a musisz wiedzieć, żeby to twojemu rychłemu wyzdrowieniu przeszkodzić mogło — odpowiedziała gospodyni.

— O prawdziwie pani, on mi najmniejszéj przykrości nie robił, — odparł Oliwer. — Ja się chętnie na niego patrzyłem; ja go tak lubiłem!

— Dobrze, dobrze! — rzekła gospodyni dzisiaj bardzo wesoła, — jak przyjdziesz do zdrowia i będziesz się miał tak dobrze, jak niegdyś, mój kochany synu! to się ów obraz znowu na swoje dawne miejsce powiesi. Ja ci to przyrzekam, a teraz pomówmy o czém inném.

Oliwer w ówczas ani słowa więcéj o tym obrazie dowiedzieć się nie mógł, a że owa staruszka tak troskliwie i starannie go w słabości pielęgnowała i tak przychylną dla niego była, postanowił sobie przeto nie myśleć już więcéj o nim i przysłuchiwał się z wielką uwagą jéj powieściom o ładnéj i przyjemnéj córce, którą za przystojnego i przyjemnego męża wydała i na wsi teraz mieszka, i o synu będącym teraz pisarzem u pewnego kupca z Zachodnich Indyj, który przytém tak dobrym jest synem i co trzy miesiące tak czułe listy pisuje, że jéj oczy zawsze łzami się zaleją, gdy sobie tylko na niego wspomni.

Gdy ta dobroduszna gospodyni szereg licznych i pięknych przymiotów swego syna i córki ukończyła, a nawet i o zasługach rzadkich swego męża, tak dobrego i kochanego jakich rzadko, który, — panie świeć nad jego duszą! dopiero przed dwudziestu sześciu laty na łono wieczności się przeniósł, obszerną wzmiankę uczynić nie zapomniała, — nadszedł właśnie czas do dania herbaty, a po herbacie zaczęła staruszka uczyć Oliwera gry w karty, *Cribbage* zwanéj, któréj się on tak prędko uczył, jak prędko ona go nauczać była zdolna, w którą to grę z wszelkiém zajęciem i powagą tak długo się bawili, dopokąd dla chorego czas nie nadszedł wypić ciepłego wina z wodą i kawałkiem sucharu i nakonice na spoczynek się udać.

Te chwile, które ze swojéj słabości do zdrowia przychodząc w tym domu przepędził, należały do najszczęśliwszych chwil w życiu Oliwera.

Wszystko co go otaczało, było tak spokojne, tak czyste i schludne; każdy z nim tak uprzejmie i przyjaźnie się obchodził, że po owym hałasie i wrzawie piekielnéj, śród któréj poprzód żyć był zmuszony, cały ten pobyt teraźniejszy niebem się mu wydawał.

Zaledwie tyle sił odzyskał, że się mógł ubrać i przechodzić, pan Brownlow sprawił mu zupełnie nowy ubiór, nową czapkę i parę nowych trzewików. Gdy Oliwerowi powiedziano, że z sukniami swoimi staremi zrobić może co się mu podoba, podarował je natychmiast służącéj, która go dotąd podczas słabości z nadzwyczajną pieczołowitością pielęgnowała i powiedział jéj, że je może jakiemu Żydowi sprzedać i pieniądze za nie wziąść dla siebie.

Ona też rzeczywiście to uczyniła, a gdy Oliwer przez okno wyjrzał i zobaczył, jak je Żyd zwinął, do sakwy schował i z niemi się oddalił, ucieszył się mocno, sądząc że się ich teraz już z pewnością na zawsze pozbył, i podobieństwa nawet nie było, aby je kiedy na powrót miał na sobie nosić. Mówiąc prawdę, były też to prawdziwe gałgany, gdyż Oliwer nigdy dotąd nowego ubioru nie miał.

Pewnego wieczora, w tydzień może po owém zdarzeniu z obrazem, gdy Oliwer siedział i swobodnie z panią Bedwin rozmawiał, pan Brownlow przysłał służącą do nich i kazał powiedzieć, ażeby Oliwer Twist do niego przyszedł na małą chwilkę, jeżeli już tak dalece do sił przyszedł.

— Wielki boże! umyjże prędko ręce i pozwól, niech ci włosy uczeszę, mój drogi, — zawołała pani Bedwin. — Wielki boże! żebyśmy były wiedziały, iż on zechce z tobą pomówić, byłybyśmy ci dały świeży kołnierzyk i ubrały jak małego panicza.

Oliwer uczynił to, co mu staruszka nakazała; a lubo ta dobroduszna kobieta bardzo narzekała, że nawet tyle czasu nie miała, aby mu świeży kołnierzyk uprasować i fałdy od niego ukarbować, wyglądał on jednak pomimo brak owego ważnego stroju tak ładnie i przyzwoicie, że pani Bedwin zmierzywszy go okiem od stóp do głowy w uniesieniu swego upodobania radośnie wyrzekła: iż w istocie nie wie, czyliby mogła była większą zmianę ku dobremu w jego powierzchowności zdziałać, gdyby nawet rzeczywiście daleko więcéj czasu jak teraz była miała.

Oliwer, któremu to podchlebne zdanie pani Bedwin niemało odwagi dodało, zapukał do drzwi od pokoju pana Brownlow, a gdy ten na to odpowiedział, aby wszedł, on to natychmiast uczynił i zastał go w małym tylnym pokoju, książkami zapełnionym, o jednem oknie, na mały, ale ładny ogródeczek wychodzącém. Pod oknem stał stół, a przy stole siedział pan Brownlow i czytał.

Jak tylko Oliwera zobaczył, odsunął od siebie książkę, kazał mu do stołu bliżéj przystąpić i przy sobie usiąść. Oliwer usłuchał, dziwiącsię jednak, zkąd się tak wielka ilość ludzi znajdzie, aby te wszystkie książki przeczytać byli w stanie, które bez wątpienia dla tego jedynie napisano, aby świat oświecić i mędrszym onego uczynić — a temu się jeszcze po dziś dzień ludzie od Oliwera daleko doświadczeńsi, całe swoje życie dziwią.

— Nie prawda mój synu, że tu jest wiele książek? Ozwał się pan Brownlow, spostrzegłszy ciekawość Oliwera, z jaką się szafom, pełnym książek i od dołu do góry ściany pokrywającym, przypatrywał.

— Prawda, że bardzo wiele Sir, — odpowiedział Oliwer, — jeszczem ich nigdy tyle nie widział.

— Będziesz je wszystkie czytał, skoro tylko do zdrowia zupełnie przyjdziesz, mój synu! — odrzekł łagodnie i mile staruszek, — a to ci się lepiéj będzie podobało, jak się li tylko ich okładkom przypatrywać... lubo bardzo często książki się znajdują, których okładziny największą są ozdobą, i podobać się mogą.

— Zapewnie to muszą być owe książki grube i wielkie, Sir! —

Rzekł na to Oliwer, wskazując przytém na kilka grubych foliałów, z okładzinami grubo złotem wyłożonemi.

— Nie koniecznie te, — odpowiedział staruszek, uderzając Oliwera lekko po głowie i uśmiechając się zarazem; — są jeszcze i inne, niemniéj nudne, lubo nie tak wielkie. Czy nie chciałbyś i ty być autorem i pisać książki, co?

— Zdaje się mi, żebym je wolał czytać, — odpowiedział Oliwer.

— Jakto? a zatém byś nie chciał być pisarzem? — zapytał staruszek.

Oliwer się namyślał przez chwilę i rzekł nakoniec, iż się mu zdaje, że to jest daleko lepiéj być księgarzem; na co się pan Brownlow serdecznie roześmiał i oświadczył, że Oliwer bardzą dobrą uwagę zrobił, czém się Oliwer mocno ucieszył, lubo wcale niepojmował, w czém ta dobroć téj uwagi leżała.

— Dobrze, dobrze, mój synu! — rzekł nakoniec ów jegomość, uspokoiwszy się nieco, — nie obawiaj się niczego; ja niepragnę zrobić z ciebie autora, dopokąd jeszcze inne uczciwe rzemiosła mamy, których się uczyć można, lub też cegielnie, w których na robocie nie brak, a robotnika potrzeba.

— Dziękuje, Sir!

Rzekł na to Oliwer; a powaga, z jaką to podziękowanie wyrzekł, na nowo starego jegomości do śmiechu pobudziła; wspomniał nawet w swéj wesołości coś o dziwnym wewnętrznym popędzie, któren Oliwer posiada, czego ten jednak wcale nie rozumiał, a zatém i żadnéj ważności do tego nie przywięzywał.

— A teraz, — rzekł pan Brownlow z taką uprzejmością i przychylnością w mowie, lecz zarazem i taką powagą, jak go Oliwer nigdy jeszcze mówiącego nie słyszał; — abyś z wielką uwagą tego wysluchał co ci mam powiedzieć. Chcę bowiem pomówić z tobą bez wszelkiéj ogródki, a to dla tego, iż sądzę, że jesteś zdolnym do zrozumienia mię tak dobrze, jak każden inny człowiek dorosły.

— Ach, błagam cię, Sir! niechciéj mi tego powiedzieć, że mię z domu twojege oddalić zamyślasz, — zawołał Oliwer, którego ta uroczysta powaga, z jaką staruszek do niego przemówił, niewypowiedzianéj trwogi i niespokojności nabawiła; — nie wypędzaj mnie ze swojego domu na powrót na ulicę, abym się na nowo po niéj miał błąkać! Zostaw mnie u siebie jako slugę. O nie odsełaj mnie na powrót w to miejsce okropne i zgubne, z któregom się dostał do ciebie. Miéj litość nad biednym chłopcem, Sir, błagam cię o to!

— Mój kochany synu! — rzekł na to staruszek rozczulony zapałem Oliwera niespodziewanéj prośby, — nie masz żadnéj przyczyny tego się obawiać, abym cię miał opuścić, chyba żebyś mi sam dał powód do tego.

— Ja tego nigdy, nigdy nie uczynię Sir, — odrzekł Oliwer.

— I ja się tego nie spodziewam, — odpowiedział staruszek. — I ja nie myślę, abyś to kiedykolwiek miał uczynić. Często już w prawdzie ludzie mię zdradzili, którym dobrodziejstwa świadczyłem, ale ja sobie mocno postanowiłem zaufać ci; z tego powodu daleko bardziéj tobą się zajmuję, jak sobie to samemu nawet wytłómaczyć jestem w stanie. Osoby które nie-

gdyś były przedmiotem najtkliwszéj miłości mojéj leżą teraz już w grobie, a lubo radość wszelka i szczęście mego życia wraz z nimi jest pochowane, moje serce jeszcze nie strętwiało, i skorupą twardą się nie otoczyło, broniącą przystępu najpiękniejszem uczuciom człowieka do niego. Wypadki uczyniły ono jedynie smutném, silniejszém, i uczynić nawet musiały jak sądzę, gdyż one przyrodę naszą wzmacniać i oczyszczać powinny.

Staruszek wyrzekł to głosem cichym, mówiąc raczéj do siebie samego, jak do swego towarzysza, i milczał potém przez chwilę, a Oliwer siedział tymczasem cichutko i oddechać nawet głośno nie śmiał.

— Tak, tak, mój kochany synu! — dodał staruszek nakoniec przyjemniejszym jeszcze głosem, — ja ci to powiedziałem jedynie dla tego, że masz jeszcze młode serce, a wiedząc, iż tak wiele cierpień, strat i dolegliwości w tém życiu poniosłem, będziesz się może bardziéj strzegł wszystkiego, coby mnie urazić mogło. Mówisz, że jesteś sierotą, bez przyjaciół i podpory w świecie; potwierdzają to poniekąd i wszystkie poszukiwania, które w téj mierze zrobić kazałem. Opowiedzże mi całe twoje życie, zkąd przychodzisz, gdzieś się wychował i jakim sposobem wpadłeś w ręce tych ludzi, pomiędzy któremi cię znalazłem. Mów tylko prawdę; a jeźli się przekonam, żeś żadnéj zbrodni niepopełnił, nie zostaniesz bez przyjaciela, dopokąd tylko żyć będę.

Oliwer przez kilka chwil z rzewnego płaczu i słowa wyrzec niezdołał, a gdy już przyszedł do siebie i opowiadanie swego życia rozpocząć chciał, jak przez pierwsze ośm lat swego życia „*wydzierżawionym*, po-

tém do domu roboczego przez pana Bumble zaprowadzonym został, dało się słyszeć jakieś szczególne i niecierpliwe pukanie do drzwi od ulicy, a służąca śpiesznie po schodach wbiegła, i pana Grimwig zapowiedziała.

— Czy idzie na górę? — zapytał pan Brownlow.

— Tak jest panie, — odpowiedziała sługa. — Pytał się, czy nie mamy bułek na maśle w domu, a gdym mu powiedziała, że są, oznajmił, że przychodzi na herbatę.

Pan Brownlow się uśmiechnął, i obróciwszy do Oliwera powiedział mu, że pan Grimwig jest jego dawnym przyjacielem, i lubo w swojém obejściu nieco jest rubasznym i opryskliwym, Oliwer na to wcale zważać nie powinien, gdyż on takie uczciwe i godne serce natomiast posiada, że jego znajomość największą radość mu sprawia.

W téj chwili wszedł do pokoju, spierając się na lasce grubéj, mężczyzna w podeszłym już wieku, wzrostu wysokiego, chromający nieco na jedną nogę, w niebieskim surducie, białéj kamizelce w paski, spodniach nankiwowych z kamaszami i białym kapeluszem z szerokiemi kresami, zielono podbitemi. Wązka zakładka koszuli wyglądała niby półkoszulek z po za kamizelki, z pod któréj długi, stalowy łańcuszek od zegarka z kluczykiem na końcu, na spodnie opadał. Na szyi miał chustkę białą, któréj końce zawiązane były na guz wielkości pomarańczy; — niepodobna jednak opisać téj rozmaitości w kierunku i kształcie tych fałdów i zmarszczek, któremi twarz jego poorona, a rysy pokurczone były. Miał przytém zwyczaj głowę podczas mówienia w jedną stronę przekrzywiać, a oczy zarazem

w przeciwnym kierunku zwracać, co widzącemu go papugę natychmiast gwałtem przypominało.

Skoro tylko wszedł do izby, zaraz w téjże postawie stanął, i wyjąwszy z kieszeni kawałeczek pomarańczowéj skóreczki, z gniewem i zrzędnością zawołał:

— Przypatrz się no, czy widzisz? Nie jestże to rzeczą dziwną i nadzwyczajną, że nogą w domu żadnym stąpić nie mogę, abym natychmiast gdziekolwiek bądź na schodach choćby najmniejszego kawałeczka téj przeklętéj skórki pomarańczowéj nie nadybał? Przez skórę pomarańczoną jużem raz ochromiał i jestem przekonany, że skórka pomarańczowa będzie jeszcze kiedyś przyczyną mojéj śmierci, inaczéj sam połknę moją głowę! ....

Było to zwykłém zaklęciem pana Grimwig, którém każde zapewnienie swoje stwierdzal i popierał, u niego jednak tém dziwniejszém i szczególniejszém, że, gdyby nawet dla dowodu jedynie przypuścić można możliwość doprowadzenia wydoskonaleń w umiejętności do tego stopnia, iżby ktoś mógł zjeść własną swoję głowę, jeżliby miał do tego ochotę, — głowa pana Grimwig tak wielką nadzwyczajnie objętość miała, iż trudno było, aby najchciwszy nawet żarłok mógł się był nadzieją pieścić spożycia jéj od jednego razu, gdyby go nawet uwolniono od tego grubego pokładu pudru, który nakształt skorupy ją pokrywał.

— Tak jest, prędzéj połknę moję głowę, Sir! — powtórzył Grimwig, uderzając laską o podłogę. — Holla a to co? — dodał, spostrzegłszy Oliwera i o parę kroków wstecz się cofnął.

— To jest ów młody Oliwer Twist, o którymeśmy już rozmawiali, — rzekł pan Brownlow.

Oliwer się ukłonił.

— Spodziewam się, że przecież nie chcesz powiedzieć, iż to jest ten sam chłopiec, co miał gorączkę? — rzekł pan Grimwig, i jeszcze o jeden krok daléj od niego się cofnął. — Poczekaj no chwilkę i nie mów nic — dodał, mówiąc przerywanie; a wszelka obawa gorączki przed tém odkryciem zniknęła, które uczynił; — oto jest chłopiec, który miał pomarańczę. Jeżeli to nie jest ten sam chłopiec Sir, który miał pomarańczę i ten kawałek skórki na schodach porzucił, to połknę moję głowę i jego na dodatek.

— Nie, nie, on nie miał żadnéj pomarańczy, — odparł pan Brownlow z uśmiechem. — Chodź no chodź, połóż twój kapelusz i przemów do mojego młodego przyjaciela.

— To mnie do ostatniego gniewa, Sir, — zawołał ów burzliwy i drażliwy stary jegomość, zdejmując rękawiczki. — Zawsze musi na naszéj ulicy mniéj lub więcéj skórek pomarańczowych leżeć, a ja *wiem* z pewnością, że to chłopiec golarza z rogu ulicy je tam rzuca. Przeszłéj nocy jakaś kobieta na kawałku téj skórki utknęła i na parkan mój upadła. Widziałem wyraźnie, jak swój wzrok natychmiast zwróciła ku jego przeklętéj lampie czerwonéj z namalowaną świecą. — Nie chodź do niego, — wołałem na nią z okna; — to rozbójnik ...kładący łapki na ludzi! — Tak, nie inaczéj. A może nim nie jest....?

I laską oraz w gniewie o ziemię stuknął. Przyjaciele jego dobrze jednak ten ruch rozumieli, i wiedzieli,

iż ma zastąpić jego zwykłe zaklęcie, jeżeli go słowami nie wyraził. Poczém, zatrzymując laskę w ręku, usiadł, otworzył lornetkę wiszącą na szerokiéj wstędze, i patrząc przez nię wziął Oliwera na oko, który widząc, że jest przedmiotem jego wyłącznéj uwagi, mocno się zaczerwienił, i powtórnie mu ukłonił.

— A zatém to jest ów chłopiec, czy tak? — zapytał pan Grimwig nakonice.

— Tak, to jest ów chłopiec.

Odpowiedział pan Brownlow, skinąwszy uprzejmie głową na Oliwera.

— Jak się masz chłopcze? — ozwał się pan Grimwig.

— O wiele lepiéj, Sir, — odpowiedział Oliwer.

Pan Brownlow, obawiając się, żeby jego przyjaciel dziwaczny coś nieprzyjemnego Oliwerowi nie powiedział, kazał temu zejść na dół do pani Bedwin i powiedzieć jej, że już czas na herbatę mija, a Oliwer, któremu całe wzięcie się gościa zupełnie do smaku nie przypadło, bardzo z tego był rad, że sobie mógł odejść.

— Nieprawda, że przyjemny z niego chłopczyna? — zapytał pan Brownlow.

— Niewiem, — odrzekł Grimwig opryskliwie.

— Niewiesz?

— Nie, nie wiem. Ja nigdy żadnéj różnicy między chłopcami nie widziałem. Znam tylko dwa rodzaje chłopców, chłopców bladych i rumianych.

— Do którychże Oliwer należy?

— Do bladych. Znam ja przyjaciela, mającego syna z rumieńcami na twarzy; mówią że to ma być ładny chłopiec z głową okrągłą, rumieńcami na licu, i

świecącemi oczyma;.... ja zaś utrzymuję, że to jest chłopak obrzydliwy z ciałem i członkami nabrzmiałemi, wszystkie szwy u jego niebieskiéj odzieży rozpierającemi;... przytém głos majtka i żarłoczność wilka. Znam ja dobrze tego bękarta.

— Ależ mój drogi, — zarzucił pan Brownlow, — ten opis nie stosuje się wcale do naszego młodego przyjaciela Oliwera Twista, a zatém gniewu twego pobudzać nie powinien.

— Prawda, że nie, — odparł na to pan Grimwig, — ale on gorsze jeszcze daleko przymioty mieć może od tamtego.

Na to pan Brownlow zniercierpliwioni krząknął tylko, co się panu Grimwig wielką radość sprawiać zdawało.

— Mówię, że jeszcze daleko gorsze przymioty mieć może, — powtórzył pan Grimwig. — Albowiem z kądże on przychodzi? Cóż on jest za jeden? Czémże jest? Że miał gorączkę....cóż to dowodzi? Gorączka nie jest ludziom dobrym jedynie właściwą;...i źli ludzie często bardzo gorączkę miewają.... może myślisz, że nie? Znałem ja pewnego człowieka, którego późniéj w Jamajce za zabicie swego pana powieszono, a lubo miał gorączkę na sześć zawodów, nie polecono go jednak wcale miłosierdziu tak litościwego obejścia się z nim. Szaleństwo i nic więcéj!

Cała przyczyna tego przeczenia była ta, że pan Grimwig, lubo bardzo chętnie się na to zgadzał, iż Oliwera zewnętrzność i ułożenie było bardzo ujmujące, i nadzwyczaj przyjemne, we wszystkiém jednak swemu przyjacielowi przeciwić się lubiał, a dzisiaj właśnie zna-

lezieniem skóreczki pomarańczowéj w gniew wprowadzony, w sercu postanowił, nikomu w świecie nie przyznać prawa do dawania mu przepisu, czyli jakiego chłopca za dobrego chce uznać lub nie, i zaraz z początku sobie mocno przedsięwziął, swojemu przyjacielowi we wszystkiém się sprzeciwić.

Gdy pan Brownlow wyznał, że na żadne z jego pytań zadawalniającéj odpowiedzi dać nie może, i najmocniejsze postanowienie swoje oświadczył odroczenia wszelkiego śledztwa względem przeszłości Oliwera aż do chwili, w któréj ten chłopiec na tyle sił mieć będzie, iż mu te poszukiwania szkodzić nie będą mogły, pan Grimwig na to złośliwie się uśmiechnął i zapytał z szyderskim uśmiechem, czyli gospodyni ma zwyczaj liczenia swych łyżek wieczorem, gdyż, jeżeli łyżki jednéj lub dwóch do jutra rana nie straci, to on nic nie powie, ale.... etcetera.

Pan Brownlow, lubo sam za człowieka nieco popędliwego zwykle uchodził, znając dziwactwa swego przyjaciela, te wszystkie przycinki wesoło i bez gniewu od niego przyjął; a gdy pan Grimwig przy herbacie swoje największe zadowolenie z bułek na maśle oświadczyć jeszcze raczył, wszystko szło jak najlepiéj, a Oliwer, należący to samo do ich towarzystwa, zaczął daleko swobodniéj oddechać, jak mu było dotąd podobném w przytomności owego opryskliwego i gderającego ciągle jegomości.

— Kiedyż się tedy zabierasz do wysłuchania całego, prawdziwego, szczerego i szczegółowego opisu życia i przygód Oliwera Twista? —

Zapytał pan Grimwig pana Brownlow na zakończe-

nie herbaty, i wytaczając to pytanie, zézem na Oliwera spojrzał.

— Jutro rano, odpowiedział pan Brownlow. — Życzyłbym sobie, abyśmy wtedy sami tylko być mogli. Przyjdź że zatém jutro rano do mnie, mój synu kochany, o dziesiątéj godzinie.

— Dobrze, Sir, — odpowiedział Oliwer.

Ta odpowiedź jednak wyrzeczono była z pewną niepewnością i wahaniem się, ponieważ badawcze spojrzenie, które pan Grimwig w nim utkwił, Oliwera nieco pomięszało.

— Ja ci powiadam, — szepnął Grimwig w ucho panu Brownlow, — że on jutro rano nie przyjdzie. Widziałem, jak się wahał. On cię w pole wywiedzie, wierzaj mi mój przyjacielu.

— Ja zaś przysięgam, że nie, — odparł pan Brownlow, gorąco się za nim ujmując.

— Jeżeli nie....to ... — zawołał Grimwig i stuknął przytém laską o ziemię.

— Ja życiem mojém ręczę za rzetelność tego chłopca, — odparł pan Brownlow, uderzając pięścią o stół.

— A ja głową moją za jego obłudę, — odpowiedział na to pan Grimwig, uderzając także o stół.

— Zobaczymy! — zawołał pan Brownlow, tłumiąc swoje oburzenie.

— Zobaczymy! — odpowiedział pan Grimwig z wyzywającym uśmiechem, — zobaczymy!

Los zrządził, że pani Bedwin weszła w tej chwili, przynosząc kilka książek, które pan Brownlow tego rana był zakupił u tego samego księgarza, który już

raz w téj powieści występował, i położywszy je na stole, do wyjścia z pokoju się zabierała.

— Proszę mi zatrzymać na chwilkę tego chłopca, co te książki przyniósł, moja pani Bedwin, — rzekł pan Brownlow, — ma coś wziąść na powrót ze sobą.

— Już odszedł Sir, — odpowiedziała pani Bedwin.

— Każ go zawołać, — odrzekł pan Brownlow, — i to koniecznie. Księgarz jest to człowiek biedny, a książki jeszcze nie zapłacone. Jest tu nawet kilka książek u mnie, które ma na powrót wziąść z sobą.

Drzwi od ulicy stały otworem. Oliwer tedy pobiegł w jednę stronę, służąca w drugą, a pani Bedwin stanęła sama na progu i za chłopcem wołała; lecz chłopiec jak przepadł; nigdzie ani śladu jego nie było; oboje tedy, Oliwer i dziewczyna wrócili z tém doniesieniem, że go nigdzie zobaczyć nie mogli.

— Bóg widzi, że mi to jest bardzo przykro, — zawołał pan Brownlow; — szczególnie dla tego, żem mu jeszcze dzisiaj te książki na powrót chciał odesłać.

— Poślij Oliwera do niego, — rzekł pan Grimwig z szyderczym uśmiechem, — ten mu je odda z pewnością, ja wiem.

— O, proszę mi pozwolić Sir, ja tę książki zaniesę, — wtrącił Oliwer, — ja się prędko zwinę.

Pan Brownlow chciał właśnie powiedzieć, że Oliwer żadnym sposobem z domu się oddalić nie może, lecz kaszel złośliwy pana Grimwig skłonił go do dania swego zezwolenia jedynie dla tego, aby mu przez pilne i dokładne dopełnienie tego zlecenia dowieść, że niesłusznie biednego Oliwera o podstęp posądza.

— Dobrze, *pójdziesz* mój synu, — odpowiedział

przeto staruszek. — Książki leżą na krześle koło mego stołu. Przynieś mi je tutaj.

Oliwer rad, że się będzie mógł przysłużyć swojemu dobroczyńcy, pobiegł żywo po książki, przyniósł je pod pachą z wielką skrzętnością i czekał z czapką w ręku na polecenie, które mu dać miano.

— Powiesz, — rzekł pan Brownlow, spojrzawszy śmiało na pana Grimwig. — Powiesz, że przynosisz te książki na powrót i przychodzisz mu zapłacić te cztery funty i dziesięć szylingów, które mu jeszcze winien jestem. Oto jest banknot na pięć funtów, przyniesiesz mi tedy jeszcze dziesięć szylingów na powrót, które ci wyda.

— Za dziesięć minut wrócę, Sir!

Odpowiedział Oliwer usłużnie, a włożywszy banknot do kieszonki od spencerka, i umieściwszy książki troskliwie pod pachą, skłonił się wszystkim z uszanowaniem i wyszedł z pokoju.

Pani Bedwin odprowadziła go aż do drzwi od ulicy, rozpowiadając mu najbliższą drogę, którędy ma iść, i nazwisko księgarza, i nazwisko ulicy, i to wszystko tak długo, dopokąd jéj Oliwer nie powiedział, że ją dobrze zrozumiał i spamiętał; nakoniec, udzieliwszy mu jeszcze tysiąc przestróg, jak się ma pilnować, aby się nie zaziębił, poczciwa i troskliwa staruszka mu pozwoliła się oddalić.

— Niech go bóg strzeże! — rzekła, spoglądając za nim. — Boli mnie to jednakowo, że go z oka spuścić muszę.

W tej chwili Oliwer się wesoło obejrzał, i kiwnął głową na znak pożegnania, nim znikł zupełnie za ro-

giem ulicy. Stara kobiecina oddała mu z uśmiechem jego pozdrowienie i zamknąwszy drzwi od ulicy, powróciła z sercem ściśnioném do swéj izby.

— Zobaczysz, że za dwadzieścia minut najdaléj powróci,— rzekł pan Brownlow, dobywając swego zegarka i kładąc go na stół przed siebie. — Tymczasem się zmierzchnie.

— I ty nie na żart masz nadzieję, że on powróci? — zapytał pan Grimwig.

— A ty nie? — odparł z uśmiechem pan Brownlow. Duch sprzeczności, zburzony bardziéj jeszcze uśmiechem ufności pełném przyjaciela, tém mocniéj się w piersi pana Grimwig téj chwili odezwał.

— Nie! — zawołał uderzając pięścią o stół. — Nie, ...ja nie!.... Ten chłopiec ma nowy ubiór na sobie, kilka kosztownych książek pod pachą i banknot na pięć funtów w kieszeni, wróci przeto do swoich dawnych przyjaciół, złodziei, i wyśmieje się z ciebie. Jeżeli ten chłopiec dzisiaj do tego domu wróci, Sir, to ja połknę moję głowę!....

To wyrzekłszy, pan Grimwig swoje krzesło jeszcze bliżéj do stołu przysunął i obaj przyjaciele siedzieli w niemém oczekiwaniu z zegarkiem na stole między sobą.

Tutaj uwaga następna nam się nasuwa, okazująca ważność całą, którą zwykle do naszego sądu przywięzujemy i dumę, z jaką najnierozmyślniejsze sądy w prędkości wydajemy, a ta jest, że lubo pan Grimwig nie był złym i nieludzkim człowiekiem i wielkiéj nawet przykrości by doznawał, gdyby jego przyjaciela oszukano lub w pole wywiedziono, téj chwili jednak najszczerszém i najgorętszém pałał życzeniem, ażeby

Oliwer Twist rzeczywiście nie powrócił. Ileż to i jakie sprzeczności nie leżą w człowieku!

Już się tak mocno zciemniło, że zaledwie liczby na zegarku rozeznać można było, a obaj staruszkowie nie przestawali uporczywie siedzieć w milczeniu i niemém oczekiwaniu z zegarkiem na stole pomiędzy sobą.

ROZDZIAŁ XV.

Jak miłym był Oliwer Twist znanemu nam Żydowi żartobliwemu i pannie Nancy.

W ciemnéj izbie szynkownéj karczmy najpospolitszéj, leżącéj w najbrudniejszéj części miasta, *Little Saffran-Hile* zwanéj,...w miejscu ciemném i posępném, gdzie przez cały dzień w zimie gaz się po ulicach świeci, dokąd w lecie promień słońca nigdy się przecisnąć nie zdoła, — siedział przy wielkim kubku cynowym i małym kieliszku, mocnym zapachem wódki napełnionym, głęboko zamyślony mężczyzna w manszestrowym surducie, sukiennych spodniach, ciżemkach i kamaszach, któregoby przy tém ciemném świetle nawet każdy ajent policyjny, choćby ze złodziejami bardzo mały był obeznany, natychmiast poznał, i za pana Wilhelma Sikes wziąść ani chwili się nie wahał.

U nóg jego leżał znany nam pies jego biało-włosy i czerwono-oki, zajęty na przemian to spoglądaniem na swego pana oboma oczyma naraz, to lizaniem wielkiéj, świeżéj rany z jednéj strony swego pyska, będącéj według wszelkiego pozoru skutkiem walki niedawnéj.

— Leż cicho, psie przeklęty!....leż cicho!

Zawołał Sikes, przerywając nagle panujące milczenie.

Nie wiedzieć, czy jego zamyślenie było tak głębokie, że mruganie psa mu je przerwać mogło, lub też jego uczucia przez to rozmyślanie tak mocno wzburzone były, że jakiejś ulgi uderzeniem nogą źwierzęcia spokojnego wymagały, to bowiem dotad jeszcze nie jest rozstrzygnięte. Jakakolwiek bądź jednak przyczyna tego była, dość że skutkiem jéj było uderzenie nogą i przekleństwo na psa wyzionięte.

Psy nieposiadają w ogóle zwyczaju mścić na własnych panach krzywd od nich poniesionych; lecz pies Wilhelma Sikes, mając pełno błędów wspólnych swojemu panu, chorując może przytém właśnie téj chwili na zbyteczność i silność uczucia poniesionéj krzywdy, nie ucieszył się wcale tym znakiem przywiązania, lecz wbił natychmiast kły swoje w ciżemek pana Billa, i szarpnąwszy nim silnie kilka razy, głucho zawarczał, i pod ławkę się ukrył, przez co uniknął wszelkiego zetknięcia się z cynowym kubkiem, którym Sikes w jego łeb godził.

— Czy chcesz....co,....czy chcesz?

Wołał Sikes, chwyciwszy w jednę rękę łopatkę od węgli, a w drugiéj otwierając ostrożnie nóż składany, którego wraz z kieszeni dobył.

— Chodź no tu, chodź do mnie, ty piekielniku! chodź tu zaraz, czy słyszysz?

Zapewnie że pies go dobrze słyszeć musiał, gdyż pan Sikes wrzeszczał na niego z całéj siły swego wrzaskliwego głosu; mając jednak wielką i nieprzezwycię-

żoną odrazę do wystawienia się na niebezpieczeństwo stracenia życia przez poderżnięcie gardła, został w témże samém miejscu, dokąd się schronił; warczał tylko mocniéj jak poprzód, i chwycił zarazem łopatkę za jeden koniec, wbijając w nię swe kły, niby źwierze dzikie i drapieżne.

Ten opór do większéj jeszcze wściekłości Billa Sikes doprowadził; rozjuszony albowiem padł na kolana, i zaciekléj jeszcze na psa nacierać zaczął. Pies tak przyparty, to w prawo, to w lewo skakał, warczał, kły szczerzył i niemi chwytał, a Bill łopatką szturkał i wyklinał, bił i przekleństwami miotał.... Ta walka cała doszła już do najwyższego stopnia niebezpieczeństwa dla jednego lub drugiego, gdy się nagle drzwi otworzyły, i pies przez nie wypadł, zostawiając Billa Sikes w izbie z łopatką od węgli w jednéj, a nożem w drugiéj ręce.

Stare przysłowie mówi, że do każdéj walki dwóch przeciwników potrzeba. Sikes, pozbawiony obecności psa, przeniósł gniew swój i zemstę na nowo przybyłego.

— Jakiego tysiąc djabłów stajesz miedzy mną i moim psem? — zawołał Sikes z groźnym ruchem.

— Nie wiedziałem o niczém, mój drogi przyjacielu, nie wiedziałem o niczém, — odpowiedział Fagin pokornie,... gdyż to on właśnie był tym nowo-przybyłym.

— Nie wiedziałeś o niczém, ty złodzieju zdradziecki, — gniewał się Sikes; — czyś nie słyszał hałasu?

— Bynajmniéj, jakem żyw, mój drogi Billu! — odpowiedział Żyd.

— Prawda, prawda, że ty teraz nic nie słyszysz, — odrzekł Bill z szyderskim uśmiechem, — wychodzisz

i przychodzisz zawsze tak cicho, że nikt nie wie kiedy wyjdziesz, lub kiedy przyjdziesz. Byłbym ci życzył, żebyś był był na miejscu tego psa przed chwilą.

— A to dla czego? — zapytał Żyd z wymuszonym uśmiechem.

— Dla czego? Oto dla tego, że rząd, mający wielkie staranie o zachowanie życia człowiekowi takiemu, jak ty, lubo ani połowy tyle nie jesteś wart co ten pies, pozwala każdemu zabić psa, jeźli się mu podoba, — odpowiedział Sikes, zamknąwszy nóż z bardzo wiele znaczącém spojrzeniem na Żyda; — oto dla tego!

Żyd, zacierając ręce, usiadł przy stole i udał, że się śmieje z tego żartu swego przyjaciela.....lubo, prawdę mówiąc, źle mu się na sercu przy tém zrobiło.

— Śmiéj się tylko, śmiéj Żydzie, — rzekł Sikes, kładąc łopatkę na swoje miejsce i ze wzgardą na Żyda spoglądając; — śmiéj się, śmiéj! Tyś nie miał nigdy dla mnie uśmiechu, chyba że ci kaptur groził. Ale teraz ja cię mam w mojém ręku, Fagin, i niech mię djabli wezmą, jeżeli cię tak łatwo wypuszczę. Jeżeli ja będę iść musiał, to i ty pójdziesz, strzeżże się mię tedy bardzo!

— Dobrze, dobrze, mój drogi, — odpowiedział Żyd, — wiem ja dobrze o tém wszystkiém, wiem!.... my...my...my mamy wspólną korzyść Bill,..tak, wspólną korzyść....

— Hm! — mruknął Sikes, zważywszy, że korzyść była raczéj na stronie Żyda, jak na jego. — Niech i tak będzie! Cóżeś mi przyszedł powiedzieć?

— Wszystko przeszło bezpiecznie przez tygiel, — odpowiedział Fagin, — oto twoja część. Jest tu wię-

céj, jakby na ciebie właściwie wypadało, mój drogi; ale ja wiem, że ty mi to w innéj okoliczności wynagrodzisz, i....

— Dajże, daj nakoniec to bzdurstwo, — zawołał rozbójnik zniecierpliwiony. — Gdzież jest? dawaj!

— Zaraz, zaraz Bill! jeno chwilkę poczekaj, jeno chwilkę! — odpowiedział Żyd łagodząc go. — Oto jest ....nienaruszone.

To mówiąc, wyjął oraz z zanadrza starą bawełnianą chustkę i rozwiązawszy guz wielki u jednego końca, wyjął małą paczkę z szarego papieru, którą mu Sikes śpiesznie wydarł, otworzył, i dukaty w niej będące liczyć począł.

— Czy to wszystko? — zapytał Sikes.

— Wszystko! — odpowiedział Żyd.

— Czyś tylko przez drogę nie otworzył tego papieru i jednego albo dwóch z nich nie połknął? — zapytał Sikes podejrzliwie. — Ot nie udawaj obrażonego, wszakżeś to już nie raz uczynił! Pociągnij lepiéj za sznurek!

Te słowa, czystą angielszczyzną wyrzeczone, zawierały w sobie rozkaz zadzwonienia na posługacza. Na ten znak pojawił się Żyd, młodszy wprawdzie od Fagina, lecz nie mniéj szkaradnego i odrażającego pozoru.

Bill Sikes wskazał tylko skinieniem głowy próżny kubek, a Żyd, zrozumiawszy dokładnie, o co rzecz chodzi, natychmiast go z pośpiechem napełnił, wymieniwszy jednak poprzód wiele znaczące spojrzenie z Faginem, który oczy swoje podniósłszy na chwilę, jakby tego pytania milczącego się spodziewał, głową skinął

w odpowiedzi tak lekko i nieznacznie, że tego poruszenia trzecia osoba żadną miarą dostrzedz nie mogła.

I Sikes tego niespostrzegł; albowiem téj chwili właśnie zajęty był sznurowaniem sobie ciżemka, którego mu pies rozerwał; miał przeto głowę pochyloną. Być może, iżby się Sikes nie bardzo był ucieszył, gdyby tę nieznaczną zamianę znaków był spostrzegł; ta myśl byłaby mu przynajmniéj do głowy może przyszła, iż ta okoliczność nie wiele dobrego mu rokuje.

— Czy tu jest kto u ciebie, Barney?

Zapytał Fagin głośno, — gdyż Sikes głowę podniósł i na niego patrzał, — nie podnosząc oczów swych z ziemi.

— Ani żywéj duszy.

Odpowiedział Barney, którego głos i słowa, czy one z serca pochodziły lub nie, zawsze przez nos drogę sobie torowały.

— Niema nikogo?

Zapytał Fagin z zadziwieniem, które zapewnie Barneyowi za skazówkę pozłużyć miało, iż mu prawdę, jeżeli chce, powiedzieć wolno.

— Nie ma nikogo, prócz panny Dadsy! — odpowiedział Barney.

— Nancy! — zawołał Sikes. — Kto, ona? Niech oczy stracę, jeżeli ja téj dziewczyny, dla jéj roztropności wrodzonéj nie lubię.

— Żądała pieczeni i piwa, — odpowiedział Barney.

— Przyślij ją tutaj do nas, — rzekł Sikes, kończąc kieliszek wódki, — przyślij ją natychmiast.

Barney spojrzał bojaźliwie na Fagina, oczekując niby od niego zezwolenia na to; ale Żyd milczał i oczów

swych z ziemi nie podnosił. Barney tedy wyszedł i wrócił natychmiast z Nancy, ubraną ciągle jeszcze w słomiany kapelusz i fartuszek, z koszyczkiem w jednym, a kluczem od bramy w drugim ręku.

— Czyś go wytropiła, Nancy? — zapytał Sikes, podając jej kieliszek.

— Jestem na jego tropie, Bill! — odpowiedziała Nancy, i kielich wychyliła; — nie małom się już za tém nabiegała. Ten chłopczyna był chory i zamknięty w izbie....

— O droga, kochana Nancy! — zawołał Fagin, podnosząc oczy.

Czyli to wykrzyknięcie, czyli raczéj szczególne zmarszczenie rudych brwi Żyda, i oczy jego głębokie, na pół przymknięte, rzeczywiście znakiem dla Nancy zrozumiałym i ostrzegającym były, że się nieostrożnie wiele mówić zabiera, nie jest wcale dla nas rzeczą wielkiéj wagi. Nas tylko wydarzenia rzeczywiste jedynie obchodzić mogą, a takiém wydarzeniem było, że Nancy nagle mowę ucięła, i uśmiechnąwszy się mile i przyjemnie do pana Sikes, rozmowę na co innego zwróciła.

Za dziesięć minut blizko Fagina kaszel mocny pochwycił, co gdy Nancy usłyszała, szalem troskliwie się okryła, i oświadczyła, żeby czas już był odejść. Pan Sikes, pomiarkowawszy się, że i jemu większa część drogi wspólnie z nią wypada, oswiadczył także życzenie swoje towarzyszenia jéj; poczém oboje wyszli. Pies zaś, spostrzegłszy, że jego pan mu znikł z oczu, wyszedł ze swojej kryjówki na podwórzu, i pośpieszył za nimi w niejakiéj odległości.

Żyd wychylił głowę przez drzwi z izby, którą Sikes dopiero co opuścił, spojrzał za nim, gdy przechodził przez ciemną sionkę, pogroził mu pięścią, wyzionął na niego okropne przekleństwo po cichu, potém z groźném i szyderskim uśmiechem usiadł na powrót do stołu i w krótce z czołem zasępioném w czytanie zajmujących stronnic gazety *Hue-and-Cry**) się zatopił.

Oliwer Twist, idąc tymczasem swoją drogą do księgarni, ani tego przeczuwał, że się tak blisko owego żartobliwego Żyda znajduje. Gdy wszedł w Clerkinwell, zwrócił się przypadkiem w małą, boczną uliczkę, przez którą go jednak droga nie prowadziła; lecz że pomyłkę swoję dopiero wtedy odkrył, gdy do połowy ulicy już doszedł, i do tego wiedział, że i ta uliczka do tego samego celu, do którego dążył, prowadziła, nie uważał tego wcale za rzecz konieczną wracać się taki znaczny kawał drogi, i szedł sobie daléj wesoło i żwawo z książkami pod pachą.

Szedł prosto drogą, i rozmyślał właśnie nad tém błogiém i wesołém życiem, jakie obecnie wiódł od niejakiego czasu,.... ile by dał za to, gdyby w tej chwili mógł widzieć małego Dika, który zapewnie zbity i wygłodniały, gorżkiemi łzami się może zalewa, gdy go nagle głos dziewczyny przestraszył, wołającéj głośno:

— O mój luby i drogi braciszku mały!

Chciał się właśnie do niéj obrócić i śmiało jéj za-

---

*) Gazeta donosząca o wszystkich złodziejstwach popełnionych w Londynie i jego okolicach.

pytać, co to ma znaczyć, lecz téj chwili uczuł, że go ktoś z tyłu za szyję objął i zatrzymał.

— Puszczaj mnie! — zawołał Oliwer, chcąc się wyrwać. — Puszczaj! Kto to jest! Kto mnie zatrzymuje?

Jedyną odpowiedzią na te pytanie jego było głośne narzekanie i żal téj młodéj kobiety, która go w uściśnięciu trzymała, i koszyczek mały na jednéj, a klucz duży w drugiej ręce niosła.

— O mój drogi braciszku! przecież cię raz znalazłam! Ach Oliwerze! jakiż to chłopiec z ciebie niedobry!.....tyle przykrości mi swoim zimnym i nieczułym powitaniem robić. Chodź do domu, mój drogi, chodź do domu! Ach! przecież cię znalazłam! dzięki ci, dzięki, wielkie nieba, że go przecież znalazłam!

Śród tych żalów i wykrzyknięć bez związku dziewczyna się powtórnie żałośnie rozpłakała i tak zręcznie jęczeć i żale swoje rozwodzić umiała, że kilka kobiet, nadszedłszy na to, chłopca od rzeźnika z włosem na głowie od tłustości świecącym, który również przypatrywać się przyszedł, zapytały, czyli on nie myśli, żeby lepiéj zrobił, gdyby śpiesznie po lekarza pobiegł. Na co tenże chłopiec od rzeźnika, będąc jak się zdawało trochę leniwym, odpowiedział: że nie!

— O nie, nie, nie zważajcie na to wcale! to nie nie znaczy! — zawołała dziewczyna, chwytając Oliwera za rękę; — już mi jest lepiéj!...... Chodźże natychmiast do domu, ty niedobry chłopcze, chodź!

— O cóż to tu idzie! — zapytała jakaś stara kobieta z grona.

— Ach, moja dobra matko! — odpowiedziała dzie-

wczyna; — już miesiąc temu może, jak ten chłopiec uciekł od swoich rodziców, ludzi ciężko pracujących i uczciwych, połączył się ze złodziejami i ludźmi niegodziwemi, i o trochę przez to matki na śmierć nie zagryzł.

— O ten drab mały! — zawołała jedna z kobiet.

— A pójdziesz ty do domu, ty mały rabusiu? — rzekła druga.

— Ja nie jestem jéj bratem, — odparł Oliwer z wielką trwogą. — Ja jéj wcale nie znam!...... Ja nie mam żadnéj siostry, ani ojca, lub matki. Ja jestem sierotą i mieszkam koło Pentonville.

— O, jakiż to chłopiec z niego już zepsuty i zatwiardziały! — zawołała dziewczyna.

— A to co, wszak to Nancy!

Zawołał Oliwer, zobaczywszy ją dopiero teraz z twarzy, i z niewypowiedzianém zadziwieniem w tył się cofnął.

— Widzicie sami, że mię poznał! — zawołała Nancy, prosząc otaczających ją o pomoc. — Ja sobie sama rady z nim nie dam. O pomóżcie mi zaprowadzić go do domu, moi ludzie poczciwi! inaczéj rodzice umrą ze zgryzoty o niego, a mnie serce pęknie.

— Cóż to tu jest, do pioruna? — zawołał mężczyzna, wypadając śpiesznie z poblizkiéj gospody z białym psem przy sobie; — młody Oliwer! Chodź do domu do twojéj biednéj matki, ty łotrze mały, chodź prosto do domu!

— Ja was nie znam! Ja z wami nie pójdę! Gwałtu! ratujcie! pomocy! ratunku!

Wołał Oliwer, usiłując wydrzeć się z rąk silnych Billa.

— Ratunku! — powtórzył Bill. — Dobrze, ja cię poratuję, ty bękarcie mały? Co to za książki? Zapewnieś je gdzie ukradł komu! Dawaj je tutaj.

To wyrzekłszy, Sikes wydarł mu książki z ręki i uderzył go niemi mocno w głowę.

— Dobrze mu tak! —

Zawołał jeden z widzów, przypatrujących się temu z okna.

— To jedyny sposób rozumu go nauczyć, — odezwał się drugi.

— Niezawodnie! —

Potwierdził jakiś cieśla ospały, rzucając pochwalające spojrzenie na widzów w oknie.

— To mu pomoże! — ozwały się dwie kobiety.

— A jeźli chcesz mieć więcéj, oto masz! — zawołał Sikes, uderzając go jeszcze raz i chwytając Olivera za kołnierz. — Teraz chodź, niepoczciwy chłopcze! Na tu psie! strzeż się go, chłopcze, strzeż się go!

Biedny chłopczyna, jeszcze słaby po ostatniéj chorobie swojéj, ogłuszony biciem i niespodziewanym napadem, przerażony złośliwym warczeniem psa i okrucieństwem jego pana, pokonany nakoniec przekonaniem otaczających go ludzi, że on jest w istocie tym złym i niepoczciwym synem, za jakiego go udano, cóż miał począć, jak sobie poradzić?

Już było ciemno, sąsiedztwo na ulicy zdawało się nienajlepsze, zniskąd pomocy spodziewać się nie mógł, wszelki opór przeto był niepodobny. W oka mgnieniu zaciągniono go w błędnik uliczek ciemnych i krętych, i zmuszono do biegu tak szybkiego, że wszelkie wo-

łanie, którymby mógł był uwagę ludzi na siebie ściągnąć i pomoc otrzymać, stało się przez to niezrozumiałe i niepodobne. Wreszcie, było to rzeczą bardzo obojętną téj chwili, czyli by go mógł był ktoś zrozumieć lub nie, gdyż nikogo w pobliżu nie było, coby mu był mógł na jego wołanie o ratunek w pomoc pośpieszyć.

. . . .

Już lampy gazowe zaświecono; pani Bedwin z trwogą nadzwyczajną w otwartych drzwiach domu na Oliwera czekała; służąca już mało dwadzieścia razy na ulicę wybiegała, i do połowy prawie podchodziła, aby zobaczyć, czyli gdzie Oliwera wracającego nie spostrzeże; a obaj starzy panowie siedzieli uporczywie w ciemnym pokojku, i mając zegarek na stole pomiędzy sobą, na jego powrót cierpliwie czekali.

ROZDZIAŁ XVI.

O dalszych przygodach Oliwera Twista po przyznaniu się panny Nancy do niego.

Przeszedłszy bardzo wiele ulic, uliczek, przechodnich sieni, dostali się nakoniec na plac otwarty, obszerny, zarzucony cały rozmaitemi ogrodzeniami, słupkami i innemi oznakami targowicy na bydło.

Sikes, przyszedłszy w tę okolicę, zwolnił kroku, gdyż dziewczyna dłużéj mu nastarczyć nie mogła, i zadyszana, znurzona, zaledwie się wlekła. Zwróciwszy się tedy do Oliwera, rozkazał mu rubasznie rękę pannie Nancy podać i dać się jej prowadzić.

— Czy słyszysz?

Zgromił go Sikes, widząc że się Oliwer ociąga i naokoło spogląda.

Znajdowali się właśnie w ciemnym zakątku, odległym, nieuczęszczanym, gdyż ani śladu widać nie było, aby jaka ludzka istota tędy kiedykolwiek przechodziła.

Oliwer tedy natychmiast poznał, iż wszelki opór na nic by się mu nie przydał. Podał przeto dziewczynie rękę z uległością, która ją natychmiast uchwyciła.

— Podaj mi drugą! — ozwał się Sikes powtórnie, i chwycił chłopca za drugą jeszcze wolną rękę. — Wolaku!....natu!

Pies spojrzał do góry i zawarczał.

— Pilnuj dobrze! — zawołał Sikes, chwytając Oliwera drugą ręką za gardło, wyzionąwszy oraz okropne przekleństwo; — a jeżeli słówko najmniejsze piśnie, albo się sprzeciwiać będzie, to go chwyć natychmiast!....Czyś zrozumiał?

Pies zawarczał powtórnie, i liżąc swe wargi z takim wyrazem na Oliwera spojrzał, jakoby natychmiast, bez wszelkiéj niepotrzebnéj przewłoki, kły swoje w gardle jego zatopić pragnął.

— Niech mię djabli wezmą, jeżeli ten pies nie jest tak skorym do tego, jak Chrześcianin najuczciwszy! Zawołał Sikes, spoglądając na psa z uśmiechem radośnéj i dzikiéj zachęty.

— Terazże wiesz, mój paniczu, co cię oczekuje... Krzyczże sobie zatém, krzycz, tak głośno, jak ci się tylko żywnie podoba, jeżeli do tego masz ochotę. Pies ci tę zabawkę w krótce przerwie. Daléj naprzód! ty niedołęgo!

Pudel zachwiał ogonem na pochwałę téj niezwykłéj łagodności swego pana, zawarczał jeszcze raz, niby dla napomnienia i przestrzeżenia Oliwera i puścił się drogą przodem.

Gdy się to działo, znajdowali się właśnie w części miasta *Smithfield* zwanéj, lubo dla Oliwera rzeczą zu-

pełnie obojętną było, czy to *Smithfield* lub *Grosvenon-Square*, albowiem ani jednego, ani drugiego nie znał.

Noc była ciemna i mglista. Światełka z licznych kramów pochodzące, zaledwie się przedrzeć zdołały przez tę mgłę grubą, coraz to gęstszą, dachy, ulice, pokrywającą kirem, czyniącym to miejsce jeszcze okropniejszém w oczach Oliwera i powiększającém jeszcze bardziéj jego trwogę śmiertelną.

Zaledwie kilka kroków uszli, usłyszeli odgłos posępny godziny bijącego zegaru.

Za pierwszém jego uderzeniem obaj przewodnicy Oliwera się wstrzymali i swe głowy w tę stronę zwrócili, z któréj ten odgłos do nich dolatywał.

— Ósma godzina, Billu!

Ozwała się Nancy, gdy zegar bić przestał.

— Kiego djabła mi o tém wspominasz!...... czy ty myślisz, że i ja godziny niesłyszałem tak dobrze, jak i ty,....co? — zawołał Sikes gniewliwie.

— Ja tylko ciekawa, czy i *oni* słyszeć mogą? — odpowiedziała dziewczyna.

— Niezawodnie, że mogą, — mruknął Sikes. — Było to właśnie podczas jarmarku, kiedy mnie schwytano i wsadzono, a na całéj targowicy ani jednéj trąbki niebyło, któréjbym hałasu nie słyszał. Lecz gdy noc nadeszła, to przeklęte zamczysko tak mi się ciche i smutne wydało po tym zgiełku, wrzasku i ruchu dniowym na mieście, że mię z rozpaczy nieraz chętka brała, głowę sobie o mur roztrzaskać.

— Biedne chłopcy! — zawołała Nancy, stojąc zwrócona w tę stronę, w któréj odgłos zegaru słyszała. — Ach Billu!....tak piękne chłopaki!

— O prawda! wy kobiety zawsze tylko jedno macie na myśli! — odparł Sikes opryskliwie. — Piękne chłopaki?.... Ani wspominać o nich niewarto, gdyż oni jakby już nie żyli.

Zdawało się, iż Sikes tą uwagą się sam pocieszyć i nagły wybuch zazdrości w sobie stłumić pragnie; ścisnąwszy potém Oliwera mocniéj za rękę, nakazał mu, ażeby żwawo szedł daléj za nim.

— Chwilkę tylko jeszcze poczekaj! — rzekła dziewczyna. — Owego wieczora, kiedy ciebie o ósméj godzinie rano nazajutrz wieszać miano, bałam się tędy przechodzić i błąkałam się, krążyłam koło tego miejsca tak długo, ażem nakoniec wysilona, znużona na ziemię padła; śnieg już ziemię pokrywał, a ja nawet chustki nie miałam na szyi.

— I na cóż się mi to wszystko przydało? — odparł Sikes, nieposiadając najmniejszego uczucia romansowego. — Jeżeliś się na piłkę i dwadzieścia łokci przynajmniéj dobrego, mocnego sznura zdobyć nie mogła, to mi tam djabli byli do tego, czyliś ty się tędy błąkała, lub nie. Ot, chodź lepiéj, nierozprawiaj i kazań mi niegadaj!

Dziewczyna się roześmiała, chustką lepiéj otuliła, i niewyrzekłszy ani słowa, natychmiast w dalszą drogę puściła. Lecz Oliwer czuł, iż jéj ręka drżała, a spojrzawszy jéj w oczy, gdy koło lampy przechodzili, spostrzegł, iż nadzwyczajnie zbladła.

Takiemi tedy drogami i uliczkami brudnemi, ciasnemi, mało zwiedzanemi, szli więcéj jak półgodziny, mało kogo napotykając. Lecz i ci ludzie, których napotykali, z samego już wejrzenia na takichże samych złoczyńców

wyglądali, i do tego samego stopnia towarzystwa, co i Sikes, należeć się zdawali.

Nakoniec doszli do uliczki wązkiéj, plugawéj, błotnistéj, zapełnionéj mnóstwem kramów, lecz zamkniętych i niezamieszkanych. Pies naprzód pogonił, jakby już o tém dobrze wiedział, iż Oliwera więcéj strzedz niepotrzebuje, i zatrzymał się nareście podedrzwiami kramu, zupełnie zamkniętego, pozornie wcale nawet niezamieszkanego, gdyż cały dom tak był spustoszały, że się tu i owdzie już walił, i co chwila jego zupełnego runięcia w gruzy obawiać się wypadało; nade drzwiami zaś była tabliczka przybita z napisem: *że ten dom jest do wynajęcia*, lecz tak zapruszonym i nieczytelnym, że się zdawało, iż ona tu już od wielu lat ciągle wisieć musiała.

— Wszystko bezpieczne! —

Szepnął Sikes, obejrzawszy się ostrożnie naokoło. Nancy podeszła pod okienicę, a Oliwer usłyszał natychmiast dźwięk dzwonka.

Wszystko troje przebiegli śpiesznie na drugą stronę ulicy, i stanęli wprost pod lampą. Za kilka chwil dał się słyszeć szmer, jakby ktoś okienko otwierał, potém zamknął i niebawem drzwi od domu ostróżnie uchylono. Téj chwili Sikes nagle, bez wszelkich zachodów, Oliwera za kołnierz chwycił, i w okamgnieniu z nim i panną Nancy wpadł do owego domu.

W sieni największa ciemność panowała; musieli przeto kilka chwil poczekać, nim osoba, która ich wpuściła, drzwi za sobą zamknęła i zatarasowała.

— Czy niema nikogo? — zapytał Sikes.

— Niema!

Odpowiedział głos, który się Oliwerowi cokolwiek znajomy być zdawał.

— Czy staruch w domu? — zapytał Zbójca.

— W domu, — odpowiedział ów głos; — lecz w takim sosie szkaradnym i kwaśnym, jak go jeszcze nigdy nie widziałem. Czy będzie rad z waszego przybycia, tego nie wiem.

Z téj odpowiedzi Oliwer jeszcze większego przekonania nabrał, że mówiący dobrze mu jest znajomy, lubo mu niepodobna było w téj ciemności postaci jego rozpoznać.

— Przynieś światła! — zawołał Sikes; — inaczéj karki poskręcamy, albo które na psa nastąpi, a biada byłoby łytkom tego, kogoby to nieszczęście spotkało.

— Zatrzymajcie się tutaj na chwilę, a ja tymczasem po światło pobiegnę, — odpowiedział ów przewodnik.

Stąpanie odchodzącego natychmiast słyszeć się dało, a w kilka chwil późniéj pojawiła się na schodach postać Jakuba Dawkins, czyli inaczéj: *przebiegłego Smyka*, niosącego w jednéj ręce świecę zatkniętą w kawałku połamanego lichtarza.

Gdyby nie uśmiech szyderski na chwilkę po ustach jego był przebiegł, niktby tego powiedzieć nie mógł, czyli ten młodzieniec Oliwera poznał lub nie, albowiem żaden inny znak tego na nim nie zdradzał, a on natychmiast się obrócił i przychodniom za sobą iść kazał. Przeszli przez kuchnię zupełnie próżną, a otworzywszy drzwi do nizkiéj, węglową zaduchą napełnionéj izby, któréj okna na podwórze wychodzić się zdawały, grzmiącym wybuchem głośnego śmiechu przyjęci zostali.

— O moje oczy! moje oczy! — wołał Karolek Bates, z którego płuc ten śmiech głośny się wydobył; — otóż jest! dalibóg, otóż jest! Ach Fagin! tylko się mu przypatrz! Przecież się mu przypatrz Fagin! Ja już dłużéj wytrzymać nie mogę; a to śliczna zabawka! dalibóg, że wytrzymać nie mogę. Niech mię kto wstrzyma, inaczéj pęknę od śmiechu.

Śród tego niepowściągnionego wybuchu wesołości, Karolek Bates padł jak długi na ziemię i zaczął się rzucać i tarzać po niéj przez kilka chwil w tém uniesieniu swéj roskosznéj wesołości. Nakoniec zerwawszy się na nogi, pochwycił ów kawałek lichtarza złamanego ze świecą z rąk Smykowi i przystąpiwszy blizko do Oliwera, w koło go obzierał, a Żyd, zdjąwszy z głowy bierytko, zdumiałemu chłopcu tymczasem kilkakrotnie nizko się ukłonił.

Lecz Smyk, będąc nieco poważniejszego ułożenia, oddając się rzadko kiedy uniesieniu wesołości, zwłaszcza, jeżeli sposobność do zatrudnienia się nastręczała, jął się do wypróżnienia jego kieszeni troskliwie, z niezrównaną zręcznością.

— Przypatrzno się jego odzieży Fagin! — zawołał Karolek, przysuwając światło tak blizko do nowéj sukni Oliwera, że się omal nie zapaliła. — Przypatrzno się jego odzieży;..... jakie piękne sukno!.... jaki krój śliczny!.... jak ładnie na nim leży! — O na moje oczy! jakaż to piękna zabawa!...... Patrzajno Fagin, jak on z temi książkami na prawdziwego panicza wygląda!

— Bardzo mnie to cieszy, że tak dobrze wyglądasz mój kochany! — ozwał się Żyd, z ukłonem głębokim i pokornym. — Smyk ci da inną odzież mój drogi

na tymczasem, abyś sobie téj nie zniszczył i miał czystą na Niedzielę. Dla czegożeś nam mój drogi nie napisał, kiedy do nas powrócisz?...... bylibyśmy coś ciepłego na wieczerzę dla ciebie przysposobili.

Ten żart Karolka do takiego śmiechu gwałtownego na nowo pobudził, że Fagin sam swéj powagi dłużéj utrzymać nie był w stanie, a nawet i Smyk się uśmiechnął. Ale że Smyk téjże saméj chwili banknot pięciofuntowy w kieszonce kamizelki Oliwera znalazł, nie można tego było powiedzieć z pewnością, czyli ów przekąs, lub też to odkrycie ten lekki zacień wesołości na usta jego wywabiło.

— Holla! a to co? — zawołał Sikes, przyskoczywszy do nich, gdy spostrzegł, iż Żyd banknot pochwycił. — To moje, Fagin!

— Nie, nie, mój drogi!.... to moje Billu! — odparł Żyd. — To moje! ty sobie zabierz książki.

— Jeżeli to nie będzie moje, — zawołał Sikes stanowczo, wsadzając kapelusz na głowę, — moje i Nancy; .... to ja nie książki, ale chłopca z sobą napowrót zabiorę, —

Żyd struchlał na tę groźbę; i Oliwer struchlał także, lecz z innéj wcale przyczyny, gdyż on miał nadzieję, że się ta sprzeczka rzeczywiście na têm skończy, iż go z tego domu napawrót uprowadzą.

— No jakże,...... czy dasz lub nie? — zapytał Sikes. —

— To niesłusznie Billu,... bardzo niesłusznie, nieprawda Nancy? — rzekł Żyd.

— Czy słusznie, czy niesłusznie, daj tu, powiadam ci! — odparł Sikes. — Cóż to, czy ty sobie my-

ślisz, że ja i Nancy naszego czasu drogiego na coś lepszego i korzystniejszego użyć nie możemy, jak na śledzenie i bieganie za chłopcami, którzy od ciebie ucieckną? Oddajże ten banknot natychmiast ty stary sknero wyschły, daj go tu!

Z tém nadzwyczajnie grzecznóm przedstawieniem wydarł banknot z rąk Żydowi, a spoglądając obojętnie i spokojnie na starca żałośnie na niego się patrzącego, złożył papier we dwoje i zawiązał w koniec od chustki.

— Jest to bardzo mała nagroda za nasze starania i udział w tym kłopocie, — dodał Sikes; — gdyż ona jeszcze ani połową tego nie jest, cośmy przez schwytanie go zarobili...... Książki możesz sobie zatrzymać, jeżeli masz ochotę do czytania, a jeźli nie, to je sprzedaj, jak ci się podoba.

— Bardzo ładne, niema co mówić, — ozwał się Karolek Bates, który jednę otworzył i śród tysiącznych i najśmieszniejszych wykrzywień ustami i twarzą, udawał, że w nich czyta. — Ładnie napisane, nieprawdaż Oliwerze? — dodał.

Widząc jednak, że Oliwer z niewypowiedzianą trwogą i rozpaczą na swych dręczycieli spogląda, pan Bates nadzwyczajną skłonnością i pohopnością do zbytecznéj wesołości obdarzony, w nowe wpadł uniesienie śmiechu, gwałtowniejsze i zabawniejsze jeszcze jak pierwsze.

—To są książki owego starego jegomości,—błagał Oliwer, załamując ręce,-- owego dobrotliwego staruszka, który mię wziął do siebie, który mię tak troskliwie pielęgnował, gdym zapadł na gorączkę i umierał. O bła-

gam was, zlitujcie się nademną,...... odeślijcie mu te książki i pieniądze. Zatrzymajcie mnie tutaj przy sobie przez całe moje życie, tylko mu je napowrót odeślijcie! .... błagam was o to! .... On będzie myślał, że ja mu to wszystko skradłem; ...... i owa stara pani, która się tak łagodnie, tak tkliwie ze mną obchodziła, gotowa sobie także pomyśleć, że ja to wszystko skradłem...... O miejcie litość nademną i odeślijcie mu to wszystko napowrót.

Oliwer to wyrzekł z zapałem boleści najgłębszéj, nieukojonéj, i padł do nóg Żydowi, wznosząc ku niemu swe ręce załamane w największéj rozpaczy.

— Słusznie powiedział, — rzekł na to Fagin, potoczywszy okiem po wszystkich, zmarszczywszy swe brwi gęste, siwe. — Słusznie mówisz Oliwerze, ... słusznie mówisz! *gotowi* pomyśleć, żeś mu je skradł... Ha! ha! ha! — roześmiał się Żyd głośno, zacierając ręce z radości, — gdybyśmy sobie sami porę byli obierali, niemoglibyśmy byli lepszéj, ... i korzystniejszéj obrać dla nas.

— To prawda, że nie mogli, — potwierdził Sikes; — wiedziałem o tém;.... miałem go bowiem pilnie na oku, gdy przez Clerkinwell pośpieszał z książkami pod pachą. Jednak to jest także wielką prawdą, iż owi ludzie muszą być bardzo litościwi i dobrzy, inaczéj by go nie byli u siebie zatrzymali. Jestem przeto pewien, iż żadnego poszukiwania za nim robić nie będą z obawy, aby téj rzeczy w ręce Sądów oddać nie musieli, i więzienia na niego nie sprowadzili. Z tego względu jesteśmy zatém bezpieczni.

Podczas téj rozmowy Oliwer struchlały, przerażony,

zgrozą przejęty, to na jednego to na drugiego spoglądał. Zdawało się nawet, jakoby przytomność stracił i tego wcale nie pojmował, co się z nim dzieje. Lecz gdy Bill Sikes mówić przestał, Oliwer żywo na nogi się zerwał i z przestrachem największym z izby wypadł, wołając o pomoc na całe gardło, tak, że odgłos tego wołania po tym całym domu starym, spustoszałym, się rozlegał.

— Billu!...... wstrzymaj psa! — zawołała Nancy, poskoczywszy ku drzwiom, i zamknąwszy je za Żydem, który w towarzystwie swych dwóch uczni w pogoń za Oliwerem się puścił; — wstrzymaj psa,.... rozszarpie chłopca na kawałki!

— Nie ujmujże się za nim!

Zawołał Sikes, usiłując się uwolnić z objęcia dziewczyny.

— Puszczaj mnie!..... czy słyszysz? puść mnie! albo ci łeb o ścianę rozbiję.

— Nie dbam o to Bill, nie dbam o to! — wrzasnęła dziewczyna, mocując się z nim ciągle wszystkiemi siłami; — nim dopuszczę, aby pies chłopca miał pożreć, musisz mię pierwéj zabić.

Rozbójnik do wściekłości doprowadzony, zawinął nagle dziewczyną i pchnął ją z taką mocą, że się aż na przeciwną stronę izby potoczyła; lecz téj chwili Żyd i jego dwaj ucznie powrócili, wlekąc Oliwera za sobą. —

— O cóż to tutaj chodzi? — zapytał Żyd, spoglądając w koło.

— Ta dziewczyna widzę oszalała! — odpowiedział Sikes z wściekłością.

— Nie, nie oszalała, nie, — ozwała się Nancy blada i zadyszana; — nie, nie, nie oszalała jeszcze, nie wierz temu Faginie.

— Bądźże więc cicho, czy słyszysz? — zawołał Żyd z groźném wejrzeniem.

— Nie, ja niechcę być cicho, — odpowiedziała dziewczyna, podnosząc głosu — cóż wy sobie myślicie?

Fagin znał za nadto dobrze wszelkie zwyczaje, wybryki i dziwaczności istót, do tego stopnia społeczeństwa należących, do którego Nancy należała, aby nie miał był i o tém wiedzieć, iż daleko rozsądniéj było wszelką rozmowę na teraz z nią przerwać i na dalszy czas odłożyć. Chcąc przeto uwagę całego towarzystwa na inny przedmiot skierować, obrócił się do Oliwera.

— Chciałęś nam więc uciec, mój kochanku, co? Zawołał Żyd, sięgając po kij gruby i sękaty, leżący w kącie koło kominka.

Oliwer nic na to nie odpowiedział, lecz robiąc mocno piersiami, wszystkie poruszenia Żyda śledził.

— Chciałeś wołać o pomoc,.... sprowadzić policyją, nieprawda? — szydząc zawołał Fagin i chwycił Oliwera za rękę. — Ja cię tu z tego natychmiast wyleczę, mój kochany paniczu!

To mówiąc, Żyd go laską w plecy raz uderzył, i właśnie do drugiego się zamierzył, gdy dziewczyna téj chwili przypadła, laskę z ręki mu wyrwała i w ogień z taką mocą rzuciła, że się aż węgle żarzące na izbę rozsypały.

— Fagin! dopokąd ja jestem przytomną, bić ci go nie pozwolę, — zawołała dziewczyna. — Masz teraz

chłopca, czego chcesz więcéj? Dajże mu pokój! czy słyszysz Fagin? dajże mu pokój, albo takie ślady na tobie pozostawię, że mię przed czasem jeszcze na szubienicy powieszą.

Wyrzekłszy tę groźbę, z największą złością nogą o ziemię tupnęła i z zaciętemi zębami, ściśniętemi pięściami, to na Żyda, to na Zbójcę na przemian spoglądała,...... a wściekłość wewnętrzna, stłumiona, w którą się stopniowo sama wbiła, bladością śmiertelną twarz jéj pokryła.

— A to co ma znaczyć Nancy? — rzekł nakoniec Żyd słodko i łagodnie, spoglądając przez chwilę na Billa niemy, pomięszany, osłupiały, który to jego przerażenie podzielał.— Ty się dzisiaj sama przewyższasz. Ha! ha! ha! moja droga! ślicznieś twoję rolę odegrała!

— Czy tak? — odparła dziewczyna. — Strzeż że się zatém Fagin, abym się dzisiaj za nadto nie przewyższyła; mógłbyś przytém bardzo źle wyjść; mówię ci przeto zawczasu, daj mi dzisiaj pokój.

Jest coś takiego w kobiecie zagniewanéj, zwłaszcza, jeżeli do wszelkich innych gwałtownych namiętności uniesienie rozpaczy i wściekłości zapamiętałéj się dołączy, że mało jest mężczyzn, którzy by ten stan jéj wywołać pragnęli.

Żyd poznał, żeby nie bardzo korzystnie dla niego wypaść mogło, gdyby najmniejszą wątpliwość w rzeczywistość gniewu Nancy daléj jeszcze chciał udawać; odskoczył tedy od niéj na kilka kroków i rzucił na Billa spojrzenie na pół bojaźliwe, na pół błagające, chcąc mu przez to dać niby do zrozumienia, że on jest jedy-

ną osobą, która najbezpieczniéj tę rozmowę daléj przeprowadzić może.

Sikes, tém milczącém wezwaniem znaglony, a może i tą uwagą niejako zachęcony, iż jego własna duma i powaga tego po nim wymaga, aby Nancy natychmiast do rozumu przyprowadził, wyzionął kilkanaście okropnych gróźb i przekleństw z szybkością, wielkim zaszczytem dla jego twórczego ducha w tym rodzaju obrazów będącą.

Ale że to uniesienie poetyczne pana Sikes żadnego widocznego wrażenia na osobę nie zrobiło, która przedmiotem i celem tego rodzaju pienia była, uciekł się przeto do upominku nieco dotkliwszego.

— Co to wszystko ma znaczyć?

Zawołał Sikes, popierając to pytanie okropném i najpospolitszém przekleństwem na najpiękniejszą część ciała ludzkiego, które by tak ślepotę pomiędzy ludźmi rozpowszechniło, jak naprzykład obecnie kur lub ospa panuje, gdyby raz tylko na każde pięćdziesiąt tysięcy razy wysłuchane zostało; — co to wszystko ma znaczyć, pytam się? Niech mię jasny piorun trzaśnie!...... Czy ty wiesz, kto ty i czém ty jesteś?

— O wiem ja wiem, bardzo dobrze.

Odpowiedziała dziewczyna ze śmiechem kurczowym, potrząsając przytém głową z taką szyderską obojętnością, iż z niéj łatwo wnieść mogli, że téj chwili na nic w świecie nie dba.

— Jeżeli wiesz, więc milcz i bądź cicho, — odparł Sikes z tym mrukiem właściwym i przytłumionym, którego zwykle używał, jeżeli do swego psa przemawiał; — inaczéj ja cię na długi czas uciszę.

Dziewczyna się powtórnie roześmiała, lecz tą razą nieco spokojniéj jak poprzód, a rzuciwszy spojrzenie szybkie na Billa, twarz odwróciła i usta aż do krwi zagryzła.

— Taka szlampa, wszetecznica! — dodał Sikes, spoglądając na nią z pogardą; — i jéj się w litość niepotrzebną i ludzkość bawić zachciewa!...... Śliczna mi zaleta dla chłopca, jeżeli mu powiesz, iż ma w tobie szczerą przyjaciółkę!

— Jak mi Bóg miły, jestem wszetecznicą — zawołała dziewczyna z uniesieniem namiętném; — i wołałabym tęraz, żeby mię poprzód na ulicy byli zabili, lub téż, żebym się na miejscu tych była znajdowała, koło którycheśmy tego wieczora tak blizko przechodzili, jak żem się do tego przyczyniła, aby tego chłopca tutaj sprowadzić. Ten chłopiec jest teraz złodziejem, kłamcą, złoczyńcą, i to wszystko od dzisiejszego dnia dopiero. Czyliż to jeszcze dla tego starego łakomcy nie wystarcza, nie żeby go jeszcze bił?

— Uspokój się Billu, uspokój, — ozwał się Żyd do niego, chcąc niby gniew jego uskromić; właściwie jednak dla tego, aby mu nieznacznie chłopców wskazać, którzy się temu, co się działo, pilnie przypatrywali i ciekawie przysłuchiwali; — obchódź się z nią łagodniéj Billu, łagodniéj.

— Łagodniéj! — zawołała dziewczyna, z groźnym i przerażającym gniewem. — Łagodniéj! ty nikczemny staruchu! Nieinaczéj, zasłużyłam na to u ciebie, abyś się łagodnie ze inną obchodził. Kradłam już dla ciebie, gdym jeszcze dzieckiém o połowę młodszém od tego była; — i wskazała przytém na Oliwera. — Już od lat

dwunastu tém samém się trudnię, tę samą usługę ci pełnię. Czyś już o tém zapomniał,.... mów, czyś już o tém zapomniał?

— Dobrze już, dobrze,— odpowiedział Żyd, chcąc ją uspokoić, — wszak jeżeli to czynisz, to i z tego żyjesz.

— Czy tak? — odparła dziewczyna, lecz teraz już nie mówiąc jak zwykle, po ludzku, ale z wrzaskiem przeraźliwym, nieustannym, każde słowo osobno, przerywanie, przez usta spienione przepuszczając.— O prawda, prawda, że z tego żyję, a ulice zimne, mokre, plugawe, są mojém mieszkaniem, mojém łożem, i to ty nędzniku stary doprowadziłeś mię do tego, i gonisz mię ciągle, bez przestanku na nie, i trzymasz mię na nich całe dnie i nocy, dopokąd śmierć tego nędznego życia mego nie zakończy!

— Czy słyszysz, ja ci coś złego zrobię, — przerwał Żyd, tknięty do żywego tymi wyrzutami; — ja ci coś złego zrobię, jeżeli jeszcze słówko więcéj powiesz!

Dziewczyna téż ani słówka więcéj nie rzekła, lecz z włosem najeżonym, ubiorem w nieładzie, w napadzie szaleństwa z taką siłą na Żyda się rzuciła, żeby z pewnością na jego obliczu ślady swéj zemsty była zostawiła, gdyby Sikes ją w porę za ręce nie był chwycił i wstrzymał; poczém chwilę jeszcze, lubo bezskutecznie z nim się mocowała i nakoniec omdlała na ziemię upadła.

— Teraz już dobrze, — rzekł Sikes, położywszy ją w kącie. — Ogromną siłę ma w rękach, jeżeli ją podobne szaleństwo napadnie.

Żyd otarł pot z czoła i uśmiechnął się, jakby to wielką przyjemność mu sprawiało, że ta sprzeczka się

raz przecież zakończyła, lubo ten cały wypadek ani dla niego, ani dla Billa, ani dla chłopców, ani dla psa nawet czémś nadzwyczajném i zadziwiającém nie był, lecz owszém, czémś bardzo częstém i pospolitém w tém rzemiośle.

— Najgorsza rzecz mieć z kobietami do czynienia, — rzekł nakoniec Żyd, kładąc kij na swoje dawne miejsce; — lecz one są za to nadzwyczaj dowcipne i przebiegłe, a my się w naszém położeniu bez nich żadną miarą obejść nie możemy. — Karolku, zaprowadź Oliwera do łóżka.

— Mnie się zdaje, żeby to dobrze było, aby jutro swych dobrych i ładnych sukni nie wdziewał, nieprawda Fagin? — zapytał Karolek Bates.

— Zapewnie, zapewnie, — odpowiedział Żyd, z uśmiechem szyderczym porozumienia.

Pan Bates, tém poleceniem widocznie mocno ucieszony, wziął ową szczypę, na któréj kawałek świecy był zatknięty, i zaprowadził Oliwera do przybocznéj komory, w któréj się kilka sienników na ziemi rozścielonych znajdowało, na których Oliwer już nieraz poprzód sypiał.

Tutaj dopiero Karolek śród śmiechu niewypowiedzianego, tenże sam ubiór stary z kąta wyciągnął, któren Oliwer niegdyś z taką przyjemnością u pana Brownlow z siebie zrzucił i służącéj darował, a którego przypadkowe zakupienie za pierwszą skazówką pobytu Oliwera Faginowi posłużyło i tegoż na jego ślad sprowadziło.

— Zdejm z siebie te suknie, ja je dam Faginowi do schowania, — rzekł Karolek. — Jakie piękne na nich sukno!

Biedny Oliwer, lubo niechętnie, usłuchał, a pan Bates, zwinąwszy suknie i wziąwszy je pod pachę, wyszedł z komory, zostawiając Oliwera w ciemności, i zamknął drzwi na klucz za sobą.

Odgłos śmiechu wrzaskliwego Karolka i głos panny Betsy, która właśnie w porę nadeszła, aby wodą zimną zlać twarz swojéj przyjaciółki i inne jeszcze usługi kobiece pannie Nancy wyświadczyć, by ją do przytomności przyprowadzić, byłby nie jednego może w okolicznościach daleko przyjemniejszych od Oliwera ze snu wybił, lecz Oliwer był zmęczony, niedawno po chorobie, a zatém słaby, zwątlony, a to było przyczyną, że téż wkrótce usnął.

ROZDZIAŁ XVII.

Dola Oliwera w niczém pomyślniejszą się nie staje, a jego zła gwiazda sprowadza do Londynu wielkiego człowieka, który jego sławie szkodliwy cios zadaje.

Jest to zwyczajem przyjętym, aby we wszystkich dobrych, morderczych, a zatém i pięknych melodramatach sceny tragiczne i komiczne nieustannie się zmieniały i porządkiem oznaczonym i pewnym po sobie następowały, jak naprzykład w dobréj szynce warsztwy białe i czerwone.

Tutaj bohater upada na swe łoże słomiane, przygnieciony ciężarem nieszczęścia i kajdan, a w scenie następnéj jego wierny, lubo niewiedzący o niczém pachołek wynagradza widzów jaką zabawną i śmieszną śpiewką. Tutaj widzimy z sercem gwałtownie bijącém bohaterkę w mocy dumnego i bezsumiennego panka, która, widząc że tak jéj cnota jak i życie zarówno jest zagrożone, sztyletu z zanadrza dobywa, aby jedno na

koszt drugiego zbawić;...lecz właśnie wtedy, kiedy ciekawość nasza do najwyższego stopnia wytężona, daje się słyszeć świst, a my się widzimy nagle przeniesieni do pysznéj komnaty zamku, gdzie jaki siwy seneszał pieśń zabawną wraz z zabawniejszą jeszcze lenników czeredą, wolny przystęp tak do wysokich, sklepionych kościołów, jak i wesołych zamków i pałaców mającą, i tłumnie w nieustannóm weselu z jednego do drugiego się włóczącą, chórem śpiewa.

Podobne zmiany zdają się nam nierozsądne; rzeczywiście zaś nie są one tak przeciwne istocie rzeczy, jakby się nam na pierwszy rzut oka zdawało.

I w życiu rzeczywistém podobne przechody od stołu wytwornie i smacznóm jadłem zastawionego do łoża śmiertelnego, — od stroju balowego do ubioru żałobnego, nie są tak rzadkie i nieznaczne, lubo cała i wielka różnica w tém tylko zachodzi, że tutaj jesteśmy sami czynnymi, działającymi, a tam jedynie zimnymi widzami. Aktorowie na teatrze są zupełnie ślepi, obojętni, na te gwałtowne i nagłe przechody i burzliwe wybuchy namiętności lub uczucia, które oczom widza zimnego, rozważającego, przewrotne, niedorzeczne, zeliżywe się wydają.

Że zaś te nagłe zmiany czasu, miejsca, wydarzeń nie tylko w książkach zwyczajem i długiém użyciem od dawna już są uświęcone, ale nawet i autorowi za zaletę wielką poczytane bywają, —wielu albowiem krytyków całą zasługę autora w tém tylko uważa, jeżeli ten swych bohaterów przy końcu każdego rozdziału w położeniu ciekawém, niebezpiecznóm, wątpliwém postawić umie, — czytelnik zatém tego krótkiego wstępu do obecne-

go rozdziału za rzecz potrzebną uważać może nie będzie.

Gdyby to w istocie nastąpić miało, niechaj że więc to posłuży jedynie za skazówkę małą, grzeczną ze strony życiopisarza, iż się w swéj powieści prosto aż do tego miejsca wraca, w którém się Oliwer Twist urodził, a czytelnik niechaj będzie pewnym, iż wiele i ważnych powodów było do zmuszenia go do téj podróży, inaczéj by się autor żadną miarą nie był ośmielił do podobnéj wycieczki go zaprosić.

. . . .

Pan Bumble wybrał się wczas rano z domu, przeszedł przez bramę domu roboczego, i puścił się z czołem dumnie zadartém, całą postawą napuszoną, nadętą, gościńcem ku zakładowi pani Mann.

On się znajdował właśnie na stopniu najwyższym świetności i pychy swego urzędowania.

Jego kapelusz trójgraniasty i ubiór połyskiwał w promieniach wschodzącego słońca, a laską swoją wywijał z całą siłą i dzielnością zdrowia i potęgi.

Pan Bumble zwykle nos i czoło do góry zadarte nosił, lecz dzisiaj one jeszcze bardziéj jak zwykle do góry zadzierał. Z jego óczu taka wesołość wewnętrzna, w sobie zatopiona promieniła, a w jego całéj postawie taka wyniosłość rozlana leżała, że gdyby go jaki badacz obcy téj chwili był spotkał, byłby z tego mógł wnosić, iż się myśli Woźnemu po głowie snują, za nadto wielkie, za nadto wzniosłe, aby je w słowa zamienić można.

Bumble się dzisiaj ani chwilkę na zwykłą pogadankę nie zatrzymywał, jeżeli po drodze którego ze swoich

znajomych kramarzy, lub innych ludzi spotkał, którzy go z pokorą witali, gdy koło nich przechodził. Łaskawém skinieniem ręki jedynie za ich powitanie im dziękował i kroku swego pełnego godności dopotąd nie zwolnił, dopokąd do drzwiczek ogrodowych od owego folwarku nie doszedł, w którym pani Mann biedne sieroty z taką macierzyńską troskliwością i pieczołowitością pielęgnowała.

— Ten Woźny przeklęty! — zawołała z gniewem pani Mann, usłyszawszy znane jéj dobrze niecierpliwe pukanie do drzwiczek ogrodowych. — Nie wiedzieć, po co go tutaj djabli o tym czasie, tak rano, przynoszą!.. Ach, pan Bumble!.... O wilku mowa, a wilk idzie!.. Proszę, przoszę, kochany panie Bumble!.... Jakżeż to *miło* was zobaczyć, Sir!.... Proszę do pokoju Sir.... proszę!

Pierwsza część téj przemowy pani Mann, w któréj gniew przebijał, zwrócona była do Zuzanny, a druga, radość wyrażająca, do pana Bumble, kiedy mu ta poczciwa kobiecina drzwi od ogrodu otwierała i z największém uszanowaniem i uprzejmością do siebie go zapraszała.

— Moja pani Mann, — zawołał Woźny, nie siadając na krześle, lub rzucając się na nie, jakby to każdy inny człowiek z gminu był uczynił, lecz opuszczając się na siedzenie z ruchem właściwym, powolnym; — moja pani Mann,.... dzień dobry!

— Ślicznie dziękuje!.... dzień dobry! — odpowiedziała pani Mann z wdzięcznym dygiem, ujmującym uśmiechem; — mam nadzieję, że się masz dobrze Sir.

— Jako tako, moja pani Mann, jako tako! — od-

powiedział Woźny. — Życie człowieka zależnego od gminy nie jest to łoże z róż moja pani Mann!

— Ach! to prawda, wielka prawda, panie Bumcle! — westchnąwszy rzekła pani Mann.

A wszystkie sieroty byłyby tę uwagę i westchnienie z wielką szczerością i znaczeniem właściwém powtórzyły, gdyby ono było usłyszały.

— Życie człowieka zależnego od gminy, — ciągnął daléj pan Bumble, uderzając laską swoją o stół, — jest to życie ustawicznych trosk, trudów i pracy; lecz o ile mi jest wiadomo, wszyscy w świecie ludzie publiczni na to są narażeni, i prześladowania cierpliwie znosić muszą.

Pani Mann, nie mogąc natychmiast pojąć, do czego Woźny zmierza, załamała ręce z litości, współczucia, i westchnęła głęboko.

— Dobrze robisz, moja pani Mann, że wzdychasz! — rzekł wtedy Woźny.

Pani Mann, widząc że nie źle trafiła, raz jeszcze i to głębiéj westchnęła z widoczném zadowoleniem tego publicznego męża, który, surowém wejrzeniem na swój kapelusz trójgraniasty najuprzejmiejszy uśmiech staruszki wywdzięczając, zawołał:

— Pani Mann! .... wyjeżdżam do Londynu!

— Do Londynu, panie Bumble? — zawołała pani Mann z niewypowiedzianém zadziwieniem.

— Tak jest, do Londynu! moja pani, — powtórzył niezachwiany Woźny, — i to w powozie.... Ja i dwóch naszych biedaków, moja pani Mann! .... Ważna sprawa się toczy względem prawa osiadłości, a Zbór nasz wybrał mnie, ... mnie, moja pani Mann, ... abym

w téj sprawie jako świadek przed Sądami okręgu Clerkinwelle w Londynie stanął ; .... a ja bardzo wątpię, — dodał Bumble, prostując się dumnie, — czyli Sądy Clerkinwell coś stanowczego w téj sprawie zawyrokować będą w stanie, dopokąd ze mną nie pomówią.

— Musisz z tego być bardzo dumnym, panie Bumble! — rzekła pani Mann pochlebnie.

— Jest to własna wina Sądów w Clerkinwell, moja pani Mann! — odpowiedział Bumble; — a gdyby się Sądy w Clerkinwell w końcu przekonały, że gorzéj na tém wyszły, jak się spodziewały, Sądy Clerkinwell winę tę sobie samym jedynie przypisać muszą.

Tyle śmiałości, głębokości i pogardy w téj groźbie leżało, z jaką pan Bumble te słowa wyrzekł, iż pani Mann czcią i poszanowaniem dla niego całkiem przejętą się być zdawała.

Nakoniec rzekła:

— Czy pojedziesz powozem, panie Bumble?.... Ja sądziłam zawsze, iż to jest u nas zwyczajem, wszystkich z domu roboczego lub też ubogich Gminy wozem prostym odsełać.

— Nieinaczéj! .... lecz tylko w tedy, jeżeli są chorzy, moja pani Mann, — odpowiedział Woźny. — Sadzamy w tedy naszych chorych z domu roboczego lub ubogich na wóz otwarty w porę dżdżystą, aby się nie zaziębili.

— A! — zawołała pani Mann.

— Znaleźliśmy furmana, który tych obu biedaków za bardzo małą cenę ze sobą zabierze, — mówił daléj Woźny. — Są oni obaj w bardzo złym stanie zdrowia, a myśmy obliczyli, że nam daleko taniéj wypadnie ka-

zać ich zawieść, jak pochować..... rozumie się, jeżeli ich będziemy mogli jakiéj innéj gminie narzucić;...... co według mego zdania bardzo łatwo uczynić się da, jeżeli tylko na złość nam nie zrobią, i na przekorę na drodze nam nie umrą. Ha! ha! ha!

Gdy się pan Bumble przez chwilkę serdecznie naśmiał, wejrzenie jego przypadkiem na kapelusz trój, graniasty padło, i natychmiast dawnéj powagi i surowości nabrało.

— Ale my o naszéj sprawie zapominamy, moja pani Mann, — ozwał się nakoniec Woźny, — oto jest zapłata miesięczna, moja pani Mann.

Pan Bumble wyciągnął przytém z kieszeni zwitek srebra w papier zawiniętego i odebrał od pani Mann kwit, któren natychmiast w jego przytomności napisała.

— Jest na nim wprawdzie kilka żydów, ale to nic nieszkodzi, — rzekła dzierżawczyni sierot, — zawsze on ważny.... Dziękuje ślicznie panie Bumble, ja wiem, że wam wiele wdzięczności jestem winna, Sir.

Pan Bumble pochylił lekko głowę z największą uprzejmością, dziękując niby za grzeczność pani Mann, i zapytał, jak się dzieci mają.

— Dziękuję panu za tę lubą dziatwę! — odpowiedziała pani Mann czule; — te lube i kochane dzieci mają się jak tylko mogą najlepiéj. Wszystkie są zdrowe, wyjąwszy tych dwóch, które zeszłego tygodnia zmarły i małego Dika!

— Czy się temu chłopcu wcale nie polepsza? — zapytał pan Bumble.

Pani Mann wstrząsnęła głową.

— Jest to chłopiec najgorszy, najzłośliwszy i naj-

knąbrniejszy z wszystkich wychowanków Gminy! — zawołał pan Bumble z gniewem. — Gdziesz on jest teraz?

— Przyprowadzę go natychmiast, Sir! — odpowiedziała pani Mann. — Dik!.... chodź tutaj,.... czy słyszysz?

Po wielu wołaniach Dika nakoniec gdzieś w kącie odkryto, twarz jego wodą przy studni zlano, umyto, zapaską pani Mann obtarto, i dopiero potém przed groźne oblicze pana Bumble, Woźnego, przyprowadzono.

Chłopczyna był blady, wychudły; lice miał zapadnięte, a oczy głęboko wklęsłe, wielkie. Ubiór lichy sieroty gminy, ta liberya nędzy i biedy, wisiała przestrono na jego wątłém ciele, a jego członki małe, drobne, takie były suche, wynędzniałe, jakby u starca.

To jest obraz téj małéj istoty, która drżąc na całém ciele przed obliczem pana Bumble stała, nie mając na tyle śmiałości oczów swych z ziemi podnieść, lękając się nawet grzmiącego głosu Woźnego.

— Czy nie możesz twemu przełożonemu śmiało w oczy spojrzeć, ty krąbrny chłopcze? — ozwała się pani Mann do niego.

Chłopczyna podniosła oczy nieśmiało do góry, i spotkała się z wejrzeniem pana Bumble.

— Cóż ci brakuje sieroto Gminy? — zapytał Bumble z dobrotliwością i wesołością.

— Nic panie! — odpowiedziała dziecina słabo.

— I ja także mówię, że nic, — potwierdziła pani Mann, uśmiechająca się w duszy na tę niezwykłą, niesłychaną wesołość i żartobliwość Woźnego. — Ja wiem nawet dobrze, że ci nic nie brakuje.

— Ja bym chciał .... — bąknął nieśmiało chłopczyna. —

— A to co znowu? — przerwała mu pani Mann; — spodziewam się przecież, iż niechcesz powiedzieć, że ci *czego* u mnie brakuje? .... No mów, ... gadaj! ty bękarcie mały.

— Powoli moja pani Mann, ... powoli! — zawołał Woźny podnosząc rękę z pewną urzędową powagą. — Mówże, mów, cobyś chciał, mów!

— Jabym chciał, — wyjąkał chłopczyna, — ażeby mi ktoś, co pisać umie, kilka słów na kawałku papieru napisał, tę kartkę złożył, opieczętował, i przechował ją u siebie, gdy mnie do grobu włożą....

— Co ten chłopiec mówi? — zawołał pan Bumble, na którego słabowitość, wątłość i posępność chłopczyny niejakie wrażenie zrobiła, lubo do podobnego widoku był przyzwyczajony. — Co ty przez to rozumiesz chłopcze?

— Jabym chciał, — odparł chłopczyna, — biednemu Oliwerowi Twist pamiątkę miłości mojéj dla niego po sobie zostawić, i donieść mu, ile razy samotny siedziałem i gorżkie łzy wylewałem na tę myśl, że on tak opuszczony po świecie pośród nocy ciemnych włóczyć się musi, nie mając nikogo, coby mu chciał pomódz! .... Chciałbym mu także powiedzieć, — dodał chłopczyna, składając swe malutkie rączęta i mówiąc z wielkiem zapałem, — że ja bardzo rad za młodu umieram; gdyż umierając człowiekiem już dorosłym, może nawet starcem, mogłaby mię moja mała siostrzyczka, która już dawno jest w niebie, całkiem zapomnieć, albo też na mnie się gniewać, a to jednak będzie daleko

lepiéj i miléj, jeżeli się oboje dziećmi tam ze sobą zejdziemy.

Pan Bumble zmierzył małego chłopczynę od stóp do głów z niewypowiedzianem zadziwieniem, i rzekł do pani Mann:

— Jak widzę to wszyscy są jednacy, moja pani Mann. Ten ladaco, ten śmiały i zuchwały Oliwer wszystkich popsuł.

— Nigdybym się tego niespodziewała, Sir! — zawołała pani Mann, wznosząc ręce do góry, i ze złością na Dika spoglądając. — Jeszczem takiego zuchwalca małego nigdy w mojém życiu niewidziała!

— Precz z nim, precz z moich oczu, moja pani Mann! — zawołał pan Bumble nakazująco. — Musimy o tém naszym Przełożonym donieść, moja pani Mann!

— Spodziewam się, że ci panowie będą mieli na tyle wyrozumiałości i poznają, że to nie jest wcale moją winą, Sir! — rzekła pani Mann z udanym płaczem.

— Niech cię to nie trwoży, moja pani Mann! oni to uczynią, gdyż o prawdziwym stanie rzeczy dokładnie uwiadomieni zostaną, — odpowiedział Bumble z wspaniałością. — Weź go, weź z moich oczu! nie mogę znieść jego widoku.

Dika wyprowadzono natychmiast z izby, i zamknięto do piwnicy na węgle, a pan Bumble niebawem sam się oddalił, by przygotowania do swéj podróży poczynić.

. . . .

Nazajutrz rano o szóstéj godzinie, pan Bumble swój kapelusz trójgraniasty na kapelusz okrągły zamienił, w szeroki płaszcz niebieski z kapturkiem się obwinął, i usiadł na samym wierzchu powozu furmańskiego w to-

warzystwie owych dwóch zbrodniarzy, których miejsce urodzenia i pobytu przedmiotem sądowéj wątpliwości było.

Niebawem też z nimi do Londynu przybył, niedoświadczywszy po drodze żadnéj przygody, jeżeli nieprzyjemności, pochodzące z osłabienia i pierwotnie złego stanu zdrowia obu mieszkańców z domu roboczego za przygodę uważać niechcemy, albowiem ci przez całą drogę tak mocno dygotali, i na zimno się żalić nieprzestawali, że panu Bumble, jak poźniéj sam oświadczył, zęby ze z grozy dzwoniły, i pewne niemiłe uczucie niewypowiedzianéj niewygody nim miotało, lubo płaszcz miał na sobie.

Pan Bumble, oddawszy tych zbrodniarzy na noc pod straż w miejsce właściwe, rozgościł się sam w tym domu gospodnim, do którego woźnica na popas zajechał, i kazał sobie zastawić bardzo skromny obiad z bifsztygu, sosu ostrzygowego i porteru. Usiadł potém na krześle przy kominku, szklankę z grogiem na murku od kominka postawił, zaczął rozmyślać nad występkami przeważającemi tych ludzi, którzy z obecnego stanu spółeczeństwa nie będąc radzi, na niego się gorzko żalą, i zabrał się w końcu z wszelkiemi wygodami do czytania gazet.

Pierwsze, co panu Bumble w ręce wpadło, było następne uwiadomienie:

,,*Pięć funtów nagrody!*

,,Zeszłego Czwartku wieczorem zginął chłopczyna ,,młody, imieniem Oliwer Twist. Idąc z Pentonville do ,,miasta zapewnie gdzieś w zasadzkę zwabiony, lub też ,,gwałtem przytrzymany został, gdyż odtąd żadnéj wia-

„domośsi o nim nie otrzymano. Jeżeliby się ktoś znalazł,
„coby nam o nim mógł dać wiadomość, odkryć pobyt
„jego teraźniejszy, lub też przeszłość jego nam wy-
„świecić, na czém wiele uwiadamiającemu zależy, otrzy-
„ma wzwyż naznaczoną nagrodę.“

Potém następował dokładny rysopis Oliwera postaci, ubioru, powierzchowności, a w końcu imie i pomieszkanie zawiadamiającego pana Browlow.

Pan Bumble szeroko oczy wytrzeszczył, uwiadomienie całe przynajmniéj trzy razy od początku do końca przeczytał, i za pięć minut najdaléj w drogę do Pentonville się wybrał, zapomniawszy nawet w swoim zapale o grogu, który nietknięty na murku zastawił.

— Czy pan Brownlow jest w domu? — zapytał Bumble dziewczyny, która mu drzwi otworzyć przyszła. —

Na to zapytanie dziewczyna mu dała nie tak niezwykłą, jak raczéj unikającą odpowiedź.

— Niewiem dobrze, ... a z kąd pan jesteś?

Zaledwie Bumble imie Oliwera wyrzekł, chcąc przybycie swoje usprawiedliwić, pani Bedwin, która przez ten czas pode drzwiami podsłuchiwała, śpiesznie do sieni bez tchu prawie wybiegła.

— Proszę, ... proszę mój panie! — zawołała staruszka. — Wiedziałam o tém dobrze, że się raz przecież koniecznie o nim coś dowiemy.... Biedny chłopczyna! .... O tak! .... wiedziałam o tém dobrze! .... Wielki Boże! .... zawszem o tém mówiła....

To wyrzekłszy, poczciwa staruszka na powrót do swéj izby wpadła i rzuciwszy się na sofę, rzewnie rozpłakała. Lecz służąca, która tak bardzo czułą i tkliwą

nie była, pobiegła tymczasem po schodach na górę uwiadomić o tém pana Brownlow, i powróciła niebawem z tą prośbą, aby pan Bumble za nią się natychmiast udać raczył.

Wprowadzono Woźnego do tejże saméj izdebki małéj, w któréj tyle książek się znajdowało, a pan Brownlow i jego przyjaciel Grimwig, z butelką wina na stole i szklankami pełnemi przed sobą właśnie siedzieli.

Skoro tylko Grimwig panu Bumble lepiéj się przypatrzył, natychmiast wykrzyknął:

— To Woźny! .... Woźny Gminy i domu roboczego! jeżeli, nie to połknę moję głowę.

— Bądź tak dobrym mój przyjacielu, i nie przerywaj temu panu, — ozwał się pan Brownlow. — Proszę, siadaj panie Woźny!

Bumble usiadł cokolwiek zmięszany dziwacznością pana Grimwig. Pan Brownlow światło lampy tak skierował, że ono wprost na oblicze pana Bumble padało, i ciągle go na oku mieć dozwalało; poczém z pewną niecierpliwością zapytał:

— Przychodzisz zapewne w skutek owego uwiadomienia w gazetach, nieprawdaż?

— Tak jest, panie! — odpowiedział Bumble.

— Wszak *jesteś* Woźnym, ... nieprawdaż? — zapytał Grimwig.

— Ja jestem Woźny Gminy, moi panowie! — odpowiedział Bumble z dumą.

— Zresztą, — rzekł Grimwig po cichu do przyjaciela, — wiedziałem o tém dobrze. Ubiór, który ma na sobie, jest to ubiór właściwy każdego urzędnika Gminy, a on na wskroś na Woźnego wygląda.

Brownlow wstrząsnął lekko głową, chcąc przez to milczenie swojemu przyjacielowi nakazać, i zapytał Woźnego:

— Czy wiesz, gdzie się ten chłopiec biedny teraz znajduje?

— O tém więcéj nie wiem, jak i każdy inny, — odpowiedział Bumble.

— Cóż więc *wiesz* o nim? — zapytał staruszek. — Mów śmiało, mów mój przyjacielu, jeżeli masz coś do powiedzenia. Cóż wiesz o nim?

— Nieprawdaż, że nic dobrego o nim niewiesz, nieprawdaż?

Zawołał Grimwig szydersko, zbadawszy poprzód uważnie oblicze Bumbla.

Pan Bumble natychmiast to pytanie pochwycił i z uroczystością poważną głową wstrząsnął.

— Cóż, czy nie mówiłem?

Zawołał Grimwig rzuciwszy spojrzenie zwycięzkie na pana Brownlow.

Brownlow spojrzał z pewném oburzeniem na Bumbla oblicze wykrzywione, i żądał, aby tenże wszystko powiedział, co tylko wie o Oliwerze, lecz o ile możności jak najzwięzléj i najkrócéj.

Bumble odłożył na bok kapelusz, odpiął surdut, założył ręce, przegiął w tył głowę, jak człowiek, który w pamięci czegoś szuka, i po kilku chwilach głębokiego namysłu, rozpoczął swoję powieść.

Niewiem czyliby nam czytelnik te nudy wybaczył, które byśmy mu sprawili powtórzeniem tego, co Bumble przez dwadzieścia minut blizko owym dwóm staruszkom opowiadał. Istotą zaś i treścią téj powieści jego

było to: że Oliwer był sierotą, zrodzoną z rodziców rozpustnych i występnych, że już od urodzenia wszelkie przymioty chłopca niewdzięcznego, przewrotnego, występnego i złośliwego objawiał i zawód swój krótki napadem zabójczym i zdradliwym na niewinnego, bezbronnego chłopca i ucieczką z domu swego majstra nocą zakończył.

Aby zaś dowieść, iż jest rzeczywiście tą osobą, za którą się wydaje, Bumble rozłożył na stole papiery, które z sobą do Londynu przywiózł, i założywszy na powrót swe ręce, cierpliwie dalszych uwag i badań pana Brownlow oczekiwał.

— Lękam się, że to wszystko jest rzeczywiście wielką prawdą.

Ozwał się nakoniec zacny staruszek stroskany, przejrzawszy dokładnie papiery.

— Nie jest to wprawdzie wiele za twoje doniesienie, mój panie; byłbym ci jednak trzy razy więcéj był dał, gdyby wiadomości twoje były dla tego chłopca nieco pomyślniejsze.

Nie jest to rzeczą wcale do prawdy niepodobną, żeby pan Bumble cokolwiek innéj barwy powieści swojéj był nadał, gdyby trochę pierwéj, przed tą rozmową jeszcze, o takich zamiarach pana Brownlow był wiedział. Lecz teraz już za późno było na to; wstrząsnął przeto głową jedynie z uroczystą powagą, pieniądze schował do kieszeni, i pożegnawszy staruszka, wesoło się oddalił. —

Brownlow przez kilka minut po odejściu Woźnego w przykrych myślach pogrążony po pokoju się przechadzał, tak mocno i widocznie zmartwiony i cierpią-

cy, że nawet Grimwig sam z niego wiącéj szydzić nie śmiał. —

Nakoniec stanął, i za dzwonek silnie pociągnął.

— Pani Bedwin,— ozwał się staruszek do swéj gospodyni, która téj chwili do pokoju weszła; — ten chłopiec, Oliwer, jest to kłamca, oszust!

— To być nie może, drogi panie, ... to być nie może! —

Odparła śmiało staruszka.

— Ale ja ci powiadam, że tak jest, — powtórzył Brownlow surowo. — Cóż ty sobie myślisz z twojém: to być nie może?.... Dopiero cośmy o jego całém życiu od urodzenia z jak największą dokładnością słyszeli; ...... a on przez całe swoje życie był chłopcem niegodnym, złoczyńcą.

— Ja temu nigdy nie uwierzę, — odpowiedziała staruszka niezachwiana.

— Wy kobiety stare nikomu niewierzycie, chyba kuglarzom, lub książkom bajecznym! — zawołał Grimwig z gniewem. — Ja już dawno o tém wiedziałem. Nie chcieliście zaraz z początku mojéj rady usłuchać; ...... bylibyście jednak mnie usłuchali, gdyby gorączki był nie miał, ... nieprawdaż, co?.... Był to widok tkliwy, rozczulający! Nieprawdaż?.... Tkliwy!.... ba!....

Dodał pan Grimwig, przewracając łopatką ogień na kominku.

— Była to luba, grzeczna, przyjemna i wdzięczna chłopczyna, Sir, — odparła pani Bedwin z oburzeniem. — Wiem ja dobrze, co to są dzieci, Sir!.... mając przez lat czterdzieści zawsze z niemi do czynienia, miałam także dosyć czasu doświadczenia nabrać, a ludzie,

którzy tego o sobie powiedzieć nie mogą, powinni by w téj mierze swego sądu nie dawać,.... to jest moje zdanie Sir.

Był to cios dotkliwy, na pana Grimwig wymierzony, który żył dotąd w stanie bezżennym. Lecz gdy prócz uśmiechu nic innego na tym starym kawalerze nie wymógł, stara gospodyni głową skrzywiła, i fartuszek swój gładzić zaczęła,...... znak przygotowawczy do nowéj odezwy,...... którą jéj pan Brownlow jednak przerwał.

— Cicho! — rzekł staruszek, udając gniew, którego wcale nieczuł. — Abym nazwiska tego chłopca od dzisiejszego dnia nigdy więcéj niesłyszał!.... Dzwoniłem naumyślnie, aby ci to powiedzieć, moja pani Bedwin;.... nigdy,.... nigdy więcéj,.... pod żadnym pozorem,... proszę o tém niezapominać!.... A teraz możesz odejść, moja pani Bedwin... Proszę tylko niezapominać o tém, co powiedziałem, gdyż to jest najszczerszem mojém żądaniem.

Téj nocy były serca stroskane w domu P. Brownlow.

I serce Oliwera mocno bolało, gdy sobie na swoich dobrych i miłych dobroczyńców wspomniał; to przynajmniéj było szczęściem dla niego, że tego niesłyszał, co oni dzisiaj o nim usłyszeli, albowiem wtedy byłoby mu serce z pewnością z żałości pękło.

ROZDZIAŁ XVIII.

Jak Oliwer czas swój w towarzystwie swych zacnych i sławnych przyjaciół przepędzał.

Gdy się Smyk i Karolek Bates nazajutrz po obiedzie na swoję zwyczajną wyprawę oddalili, Fagin korzystał z téj pomyślnéj chwili i zaczął Oliwerowi długie prawić kazanie, jak wielkim grzechem jest niewdzięczność, i wytłómaczył mu jasno i dobitnie, że on tego grzechu właśnie się dopuścił przez swoje dobrowolne oddalenie się od swych troskliwych i przywiązanych przyjaciół, a bardziéj jeszcze przez to, iż wczoraj od nich chciał uciekać, i o pomoc przeciwko nim wołać, niepomnąc wcale na tyle trosk i kosztów które ponieśli, nim go wykryli i do siebie sprowadzić zdołali.

Fagin na to najszczególniéj wielką kładł zasługę, że Oliwera wtedy do siebie przyjął i żywił, kiedy bez wszelkiéj pomocy będąc, z głodu by na ulicy był umrzeć musiał, gdyby mu był w samą porę przytułku nie użyczył. Opowiedział mu przytém bardzo smutną i rozczu-

lającą powiastkę o pewnym, młodym chłopcu, którego również w takiém samém położeniu z czystéj litości i miłości bliźniego do siebie przyjął, a który poźniéj ufność jego zdradził, i niegodnym jego przyjaźni się okazał, objawiając bardzo wielki popęd do zawierania poufnych stosunków z policyą.

Lecz ta zdrada w końcu bardzo złe skutki dla tego chłopca miała, albowiem pewnego poranku przed więzieniem Old-Baily powieszonym został.

Fagin nie taił tego wcale przed Oliwerem, jak wielki miał udział w sprowadzeniu tego smutnego końca na tego nieszczęśliwego chłopca; z łzami jednak w oczach na to się skarżył i użalał, że ten podstęp i zdradzieckie postępowanie owego chłopca do tak przykrego, bolesnego kroku, i złożenia sądowéj przysięgi przeciwko niemu go zmusiło, która, lubo we wszystkiém z prawdą się niezgadzała, jednak dla bezpieczeństwa własnego i kilku ścisłych przyjaciół jego, koniecznie potrzebną była.

Fagin to kazanie swoje zakończył odrażającym obrazem nieprzyjemności i niewygód wiszenia na szubienicy, i oświadczył Oliwerowi z największą grzecznością i uprzejmością tę najszczerszą nadzieję swoję, iż się niespodziewa, aby kiedyś był zmuszonym Oliwera na tak nieprzyjemną operacyą narazić.

Krew się Oliwerowi lodem w żyłach ścinała, gdy téj mowy Żyda słuchał, i okropne groźby w niéj zawarte, lubo nie ze wszystkiém, pojmował.

Że i sądy sprawiedliwości nawet winnego z niewinnym pomieniać mogą, jeżeli obu we wspólnictwie i towarzystwie przypadkowém nadybią, o tém sam na sobie

miał niedawno dowód bardzo jasny. Lecz i to się mu wielkiém niepodobieństwem niewydawało, iż Żyd już nie jednego przez swoje podstępy tajemnie uknute zgubić musiał, jeżeli ten coś więcéj wiedział, jak był wiedzieć powinien, lub téż bardziéj był udzielającym, jak mu to roztropność, albo bezpieczeństwo towarzystwa nakazywało.

Przypuszczenie, iż ten Żyd stary już nie raz podstęp podobny do skutku przyprowadzić i nie jednego na tamten świat tym sposobem wyprawić musiał, jeszcze większego prawdopodobieństwa nabierało, jeżeli sobie treść i istotę nie jednéj sprzeczki Fagina z Bilem Sikes przypomniał, która się do pewnego dawniejszego sprzysiężenia tego rodzaju rzeczywiście odnosić zdawała.

Gdy tedy bojaźliwie oczy do góry podniósł, i z wejrzeniem badawczém, przenikliwém starego Żyda się spotkał, uczuł, że ten stary złoczyńca drżenie jego członków i bladość twarzy zalęknionéj dobrze widzi i niebardzo niemiło na to spogląda.

Żyd się nakoniec obrzydliwie uśmiechnął, Oliwera po głowie poklepał, i rzekł do niego, że jeszcze bardzo dobrymi przyjacielami z sobą być mogą, jeżeli tylko odtąd spokojnie się zachowa, i szczerze i pilnie do pracy weźmie. Późniéj kapelusz na głowę włożył, surdut stary, połatany wdział na siebie i wyszedł, zamknąwszy starannie drzwi za sobą.

Tak więc Oliwer przez ten dzień cały, i przez wiele dni następnych sam jeden w téj izbie siedział zamknięty, niewidząc nikogo od świtu aż do północy, pędząc te długie chwile samemu sobie zostawiony, w towarzystwie swych własnych myśli, które nigdy do jego ludz-

kich i tkliwych przyjaciół powrócić nieomieszkały, i na to wyobrażenie ciągle się zwracały, jakie sobie oni z pewnością już od dawna o nim utworzyć musieli, a które mu żadną miarą przychylne być nie mogło.

Po kilku tygodniach, tym sposobem przepędzonych, Żyd już więcéj drzwi od izby za sobą nie zamykał, a Oliwerowi było wolno po całym domu się przechadzać.

Był to dom na dole bardzo brudny i spustoszały. Lecz na piątrze wyższém pokoje miały szerokie podwoje, wielkie i wysokie gzymsy, ściany tapetowane, ozdoby na stropach bardzo piękne i najrozmaitsze, lubo bardzo zaniedbane, z pyłu i starości już czarne.

Z tego wszystkiego Oliwer wnosił, iż na długi czas przed urodzeniem Żyda, dom ten do ludzi porządnych, majętnych należeć musiał, i wtedy może o tyle był pięknym i wesołym, o ile teraz brudny i ponury wyglądał.

Pająki rozpostarły swe siatki po wszystkich kątach ścian i stropu, a jeźli Oliwer kiedy wszedł po cichutku do któréj izby, uwidział zwykle myszki szybko przebiegające i przerażone do jam swoich uciekające.

Prócz tych istotek jednak żadnéj innéj żyjącéj istoty w tym całym obszernym domu nie było, i często się zdarzało, iż Oliwer, znużony wędrówką swoją z izby do izby, podczas zmroku w kąciku przy drzwiach od ulicy się układał, aby tylko być o ile możności jak najbliżéj ludzi, godziny całe na tém miejscu przepędzał i czatował tak długo, dopokąd Żyd, lub też który z jego wychowanków nie powrócił.

W tych wszystkich pokojach okienice były pozamykane, zabite, a pręty żelazne, które je trzymały,

mocnemi śrubami do drzewa przymocowane. Światło dniowe przebijało się do tych pokoi jedynie przez małe, rozmaicie u góry okienic powyrzynane otwory; lecz to światło jeszcze większéj posępności im nadawało, i dziwnymi, fantastycznymi cieniami je napełniało.

Jedno tylko okienko w dachu, na tył domu wychodzące, nie miało żadnych okienic, lubo mocną żelazną kratą obwarowane było, a Oliwer bardzo często godziny całe ze smutkiem w sercu i na na obliczu przepędzał, i na świat wyglądał, lubo z tego świata pięknego nic nie mógł widzieć, tylko gromadę gęsto nakupionych dachów, zczerniałych kominów i ostrych szczytów.

Spostrzegł on wprawdzie nieraz głowę popielatą, podartą, z po za ogniowych ścian poblizkich domów, lub też komina się pojawiającą, lecz ta głowa zwykle bardzo szybko na powrót znikała; a że to okno, które Oliwerowi za obserwatoryjum służyło, z zewnątrz goździami mocno przybite, i od dymu, deszczu i starości zczerniałe było, biedny chłopczyna musiał być rady, że to wszystko jako tako, lubo nie bardzo jasno mógł widzieć, i kształty tych różnych przedmiotów rozpoznać, nieżądając tego wcale, aby go widziano lub słyszano, — do czego nawet żadnego podobieństwa nie było, tak samo, jakby na przykład w kopule kościoła ś. Pawła ukryty siedział.

Pewnego dnia Smyk i Bates powrócili dość wcześnie po południu do domu, i przysposobiali się do małéj wycieczki na wieczór; pierwszy tedy z tych wspomnionych paniczów ubrdał sobie coś w głowie tego dnia nieco troskliwiéj koło wystrojenia swéj osoby się zakrzątnąć, — co, mówiąc prawdę i oddając mu słuszność,

wadą zwyczajną Smyka nie było; — i w téj myśli tak dalece się poniżył, iż Oliwerowi nakazać raczył, aby mu w tém zatrudnieniu był pomocnym.

Oliwer za nadto był uradowany, że się będzie mógł komuś stać użytecznym; .... za nadto szczęśliwy, iż się może dłużéj na twarze ludzkie patrzeć, lubo tego twierdzić nie można, aby te twarze do szlachetniejszych i ładniejszych należeć były miały, ... za nadto gorliwy w wyświadczaniu ludziom jakiéjkolwiek przysługi, choćby nawet z wdzięcznością przyjęta nie została, ... aby się temu żądaniu był miał sprzeciwić lub niechęć okazać. Oświadczył tedy natychmiast swoję gotowość i przyklęknąwszy na ziemi tak, że jego nogi w rękę mógł ująć... Smyk albowiem na stole sobie usiadł, zabrał się natychmiast do zatrudnienia, które pan Dawkins: *glancowaniem chodaków*, my zaś po prostu, w czystéj mowie: czyszczeniem obuwia nazywamy.

Niewiedzieć, czyli to było skutkiem uczucia swobody i niezawisłości, którego każde rozumne źwierze doznać musi, jeżeli sobie wygodnie na stole usiąść może, fajkę z wszelką przyjemnością wypalić, nogą sobie wesoło pokołysać, i przez ten czas buty mieć wyczyszczone, niepotrzebując sobie téj nader nieprzyjemnéj pracy zadawać, z nóg je poprzód zdejmować, lub też tą obawą tak przykrą być dręczonym, iż je na powrót wdziewać wypadnie, i przez to w swych myślach niemiło rozerwanym; ...... czyli też skutkiem dobroci tytuniu, łagodzącéj uczucia Smyka; .... lub też nakoniec przyjemności piwa, tak błogie i miłe myśli w nim wzniecającego, dość, że téj chwili zapał i uniesienie

smętne, romansowe okazał, które do zalet jego zwyczajnych wcale nie należało.

Chwilę spoglądał na Oliwera zadumany, w marzeniach zatopiony, poczém głowę do góry podniósł, głęboko westchnął, i na pół do siebie, na pół do Karolka Bates, rzekł:

— Jaka szkoda, że nie jest strzelcem.

— Ba! — odpowiedział na to Karolek Bates, — bo nie wie, co jest dobrém dla niego.

Smyk raz jeszcze głęboko westchnął, potém fajkę do ust włożył; Karolek poszedł także za jego przykładem, a obaj siedzieli przez kilka chwil w milczeniu, paląc sobie fajki.

— Mnie się zdaje, że ty nawet niewiesz, co to jest strzelec? — ozwał się Smyk ponuro.

— Mnie się zaś zdaje, że wiem co to jest, ... — odpowiedział Oliwer, spojrzawszy szybko do góry. — Jest to tyle co złodziéj; ...... a ty nim jesteś, ... nieprawdaż?

Dodał chłopczyna, niepomiarkowawszy się natychmiast.

— Prawda że nim jestem, — odpowiedział Smyk na to, — i nie chciałbym nigdy w mojém życiu być czém innćm.

Pan Dawkins, objawiwszy te uczucia swoje, rzucił dziko kapeluszem na głowie, i spojrzał na Karolka z takim wyrazem, jakby mu bardzo był wdzięcznym, gdyby mu się tenże chciał sprzeciwić, i coś innego utrzymywać.

— Tak jest; .... jestem nim! - - powtórzył Smyk; — i Karolek nim jest także, i Fagin, i Sikes, i Nancy,

i Betsy, my wszyscy jesteśmy złodziejami, niewyjąwszy nawet i psa, który z nas wszystkich najgłupszym nie jest....

— I najmniéj z nas wszystkich do zdradzenia skory, — dodał Karolek Bates.

— On się nawet do loży świadków zbliżyć boi, aby w ręce sądu niewpaść,...... i niezdradził by nikogo, choćby go przez cały miesiąc w więzieniu zamkniętego trzymano, — potwierdził Smyk.

— To prawda,.... wielka prawda! — przyznał Karolek Bates.

— O! to pies tęgi z niego! ... Jak on gniewnie na każdego obcego człowieka spogląda, jeżeli będąc z nim w towarzystwie zbytecznie się śmieje lub śpiewa! — ciągnął daléj Smyk. — Jak on natychmiast warczy, jeżeli gdziekolwiek bądź granie usłyszy,...... jak innych psów nienawidzi, jeżeli nie są jednego z nim rodu! .... tęgie psisko! .... tęgie psisko!

— Na wskróś Chrześcijanin prawdziwy! — dodał Karolek.

To miało być pochwałą niejako na przymioty i własności tego źwierzęcia; lecz to porównanie można było wziąść w innem znaczeniu jeszcze, które panu Bates ani na myśl w tenczas nie wpadło; wielu bowiem, bardzo wielu panów znakomitych bywa, którzy się na wskróś Chrześcijanami być mienią, lubo między psem pana Billa Sikes i nimi wszystkimi wielkie i rozliczne podobieństwo w bardzo wielu względach zachodzi.

— To prawda! .... to prawda!

Potwierdził Smyk, zwracając mowę do tego, od

czego się zaczęła, z tą samą uporczywością, z jaką się ludzie tego rzemiosła do wszystkiego brać zwykli.

— To prawda, ale to nie ma żadnéj styczności z tym zieleniakiem!

— Nie, nie ma! — odparł na to Karolek. — Dla czegóż się niechcesz u Fagina uczyć, Oliwerze?

— I całe twoje przyszłe szczęście mieć w ręce? — dodał Smyk z uśmiechem szyderczym.

— Bo mi się to zatrudnienie wcale niepodoba, — odpowiedział Oliwer bojaźliwie. — Jabym wolał, żeby mię puszczono.... Ja.... ja.... bym.... wolał się ztąd oddalić.

— Ale Fagin by *nie* wolał! — odparł na to Karolek. —

Oliwer o tém bardzo dobrze wiedział. Sądząc jednak, iżby niebezpiecznie dla niego być mogło, gdyby wszystkie uczucia swoje szczerze chciał wyjawić, westchnął tylko głęboko i buty daléj czyścić zaczął.

— Idź! Idź! — zawołał Smyk. — Czyżeś już wszelką odwagę utracił?.... Czyliż żadnéj dumy w sobie nie masz? czyliż chcesz żyć ciągle w zawisłości od twoich przyjaciół? co?

— Oj ty głupia głowo! — zawołał Bates, dobywając kilka chustek jedwabnych z kieszeni i rzucając je do skrzyni, — czy to jeszcze mało dla ciebie?

— Ja przynajmniéj tegobym nie mógł uczynić! — Rzekł Smyk z wyrazem dumy i pogardy.

— Lecz przyjaciół twoich opuścić to możesz, i pozwolić, ażeby ich za to ukarano, co sam zbroisz! — Odparł Oliwer z uśmiechem złośliwym.

— To się wszystko stało ze względu na Fagina, —

odpowiedział mu Smyk z poważnèm poruszeniem fajki. — Posiepacy wiedzą, że my mamy zawszy z sobą do czynienia. Bylibyśmy go zatém w kłopót wielki wprawić mogli, gdybyśmy nie byli natychmiast uciekli i schwytać się dali. Wszakże to było przyczyną, nieprawdaż Karolku?

Pan Bates skinieniem głowy to potwierdził, i chciał właśnie coś powiedzieć, lecz ucieczka Oliwera tak nagle mu się przypomniała, że dym z fajki, który właśnie do ust wciągnął, z nagłym jego śmiechem się zaplątał, do piersi i do głowy zabłąkał, i tak go zadusił, że biedny Karolek mało pięć minut się krztusić, kaszlać, rękami i nogami wierzgać musiał, nim przyszedł do siebie.

— Przypatrz się oto! — rzekł Smyk, wyjmując z kieszeni pełną garść szylingów i feników. — To mi piękne życie!....jakaż do pioruna! w tém różnica, czy one z tąd, czy z owąd pochodzą?.... Bierz ...bierz ile chcesz!....tam ich jeszcze jest więcéj, zkąd one pochodzą! ... No i cóż,....czy niechcesz?.... Oj ty poczciwy głupcze!....

— To grzech Oliwerze, nieprawda? — zapytał Karolek Bates. — Gotowi za to połechtać, nieprawda? co?

— Ja niewiem, co wy przez to rozumiecie! — odpowiedział Oliwer, spoglądając trwożliwie naokoło.

— Coś podobnego!

Odpowiedział Karolek, i mówiąc to, podniósł jeden róg od swéj chustki na szyję do góry, trzymał go w powietrzu, głowę na ramię zwiesił i jakiś pisk dziwny, przeraźliwy przez zęby wydał. To wszystko miało tyle znaczyć, że łechtać i wieszać jest jedno i to samo.

— Otóż to ma znaczyć, i to pod tém rozumiałem,

— dodał Karolek. — Spojrzyj no Jakubie na niego! Jak on przerażony,....zgrozą przejęty! Jeszczem w życiu mojém takiego głupiego, o niczém niewiedzącego chłopca niewidział! On mię jeszcze kiedyś o śmierć przyprawi,....jestem przekonany, że to uczyni!

To wyrzekłszy, Karolok Bates serdecznie się roześmiał, i z łzami w oczach jeszcze fajkę w zęby wsadził.

— Bardzo źle cię wychowano, — ozwał się Smyk, spoglądając z wielkiém upodobaniem na swoje buty, które mu Oliwer tak ładnie wyczyścił, że się jak złoto świeciły. — Spodziewam się jednak, że Fagin jeszcze z ciebie coś dobrego zrobi,....chyba, żebyś ty musiał być pierwszym, któryby się mu nieudał. Czém prędzéj się do tego rzemiosła weźmiesz, tém lepiéj będzie dla ciebie Oliwerze,....gdyż cię ono nie minie, i będziesz się musiał wziąść do niego cokolwiek prędzéj, jak sobie wyobrażasz. Marnujesz zatém czas tak drogi daremnie!

Bates poparł to zdanie różnemi moralnemi uwagami nad swojém własném życiem, a gdy mu nakoniec tego wątku zabrakło, zaczął mu wraz z przyjacielem swoim Jakubem Dawkins zachwycający obraz tych rozkoszy kreślić, które się bardzo często udziałem ich życia stawały, i męszał w ten obraz wiele skazówek i przymówek ukrytych, któremi Oliwerowi dowieść się starał, że nic lepszego uczynić nie może, jak się natychmiast na ten sam sposób o łaskę Fagina postarać, na jaki i oni łaskę jego dla siebie wyjednali.

— A terazże sobie to zapisz za ucho, — ozwał się Smyk, gdy posłyszał, że Fagin drzwi od pierwszéj izby odmyka, — jeżeli pójdziesz bekasy i turkawki wędzić....

— Na cóż to się zdało tym sposobem do niego mówić? — wtrącił Karolek Bates, — wszak wiesz, że on tego niezrozumie.

— Jeżeli pójdziesz wyciągać chustki od nosa i zegarki, — poprawił się Smyk, biorąc teraz wzgląd w swej mowie na nizkie usposobienie umysłowe Oliwera, — lub też to, co ci pod rękę wpadnie; tak że ci, co je potracą, najgorzéj na tém wyjdą; ale i ty nienajlepiéj na tém wyjdziesz, ... i w ogóle nikt na tém dobrze nie wyjdzie, wyjąwszy tych, którzy je dostaną,....lubo i ty masz takie same prawo do tego wszystkiego, jak i oni!

— To prawda!....to prawda! — potwierdził Żyd, wszedłszy do izby nieznacznie, tak że go Oliwer niespostrzegł. — To wszystko jest tak zwięźle,....tak zwięźle, a dokładnie, żeby się w orzech włoski nawet zmieściło. Wierz tylko słowom Smyka mój drogi!....wierz mu, wierz!.... Ha! ha! ha!.... Już to on zna bardzo dobrze katechizm swego rzemiosła!

Staruch zacierał sobie ręce z radości, gdy w ten sposób rozumowanie Smyka popierał, i uśmiechał się z upodobaniem nad bystrością i pojętnością swego ucznia.

Tą razą téj rozmowy daléj nieprowadzono, gdyż Żyd w towarzystwie panny Betsy do domu powrócił, a młodzieniec nieznajomy, którego Oliwer nigdy jeszcze dotąd nie widział, którego jednak Smyk imieniem: pana Tomasza Chitling powitał, wszedł właśnie téj chwili do izby, zatrzymawszy się poprzód jeszcze chwilkę na schodach, aby owéj dziewczynie kilka grzeczności powiedzieć.

Tomasz Chitling był starszy wiekiem od Smyka,

mogąc teraz mieć ośmnaście lat blizko. Lecz w swojém obcowaniu ze Smykiem nadzwyczajne uszanowanie dla tego młodego człowieka okazywał, co jasnym dowodem było, iż on się sam tak ze względu na dowcip, jak i przebiegłość i zręczność w rzemiośle wspólném, daleko niższym od niego czuł.

Chitling miał małe, żywe, świecące oczy,....twarz dziubatą, na głowie czapkę futrzaną, na sobie spencer czarny, skórzany, spodnie szare, dreliszkowe, i fartuch.

Wyznać potrzeba, iż jego ubiór w nienajlepszym stanie się znajdował, lecz on się z tego sam przed zacném towarzystwem tém uniewinniał, iż jego *czas* dopiero co minął, a będąc zmuszony przez całe sześć tygodni odzież rządową nosić, niepodobna mu było na swoją własną należytą mieć uwagę.

Pan Chitling dodał przytém z niemałém oburzeniem, że sposób nowy kopcenia odzieży wszelkiem zasadom konstytucyi Angielskiéj przeklęcie się sprzeciwia, albowiem przez to je tylko palą, a przeciwko hrabstwu żadnego lekarstwa niema.... Tę uwagę można było także zastósować do świeżo przyjętego sposobu strzyżenia włosów, co on za postępek, wszelkiemu prawu się sprzeciwiający, uważał.

Pan Chitling te uwagi swoje nareszcie tém zapewnieniem zakończył, iż przez całe czterdzieści dwa dni, nieskończenie długich i mozolnych, ani kropelki niczego nieskosztował, i oraz życzenie swoje oświadczył, czyliby czém gardła nie mógł popłukać, gdyż mu tak wyschło, jak pergamin.

— Cóż ty myślisz Oliwerze, zkąd on przychodzi?

Zapytał Żyd chłopczynę z szyderskim uśmiechem, a chłopcy tymczasem flaszkę z wódką przynieśli.

— Ja....ja....ja niewiem, panie! — odpowiedział Oliwer.

— Któż to jest?

Zapytał Tomasz Chitling, rzuciwszy spojrzenie pogardliwe na Oliwera.

— Mój przyjaciel! — odpowiedział Żyd.

— Jeżeli tak, więc jest na dobréj drodze!

Odrzekł Tomasz Chitling z wejrzeniem znaczącém na Fagina.

— Niech cię to jednak nie bardzo troszczy, mój przyjacielu, zkąd powracam, gdyż ja się o to założę, że ty drogę do tego miejsca dość wcześnie znajdziesz!

Na ten dowcip chłopcy się rozśmieli, i nażartowawszy sobie jeszcze czas niejaki z tego samego przedmiotu, wzięli Fagina w kąt, szeptali z nim chwilkę po cichu i wkrótce się z domu oddalili.

Po odejściu tych pełnych nadziei młodzieńców, Fagin wziął Tomasza Chitling na bok, i przez niejaki czas potajemnie z nim rozmawiał; poczém obaj swe krzesła bliżéj do ognia przysunęli, a Żyd, zawoławszy Oliwera do towarzystwa, kazał mu także wraz z nimi usiąść, i zwrócił rozmowę na przedmiot, któryby słuchaczy najłatwiéj mógł zająć.

Prawił im tedy o tych wielkich korzyściach, jakie im ta gałęź przekupu przynieść może, o przebiegłości i zręczności Smyka, o przyjemności Karolka Bates, a nakoniec o swojéj własnéj wspaniałomyślności.

Gdy już ten przedmiot nareście zupełnie wyczerpnięto, a pan Chitling wyraźnie oświadczył, iż bardzo

się znużonym czuje, — albowiem dom poprawy po dwóch lub trzech tygodniach nadzwyczajnie sił pozbawia, — panna Betsy się natychmiast z wszystkimi pożegnała, i przez to się im na spoczynek udać pozwoliła.

Odtąd rzadko kiedy Oliwera samego zostawiano, lecz owszem,....o ile możności go jak najczęściéj w styczność z owymi dwoma młodzieńcami wprowadzano, którzy codziennie w swoją dawną grę z Żydem się bawili, — czyli to dla własnego wyćwiczenia, lub też Oliwera nauki, o tém Fagin jedynie najlepiéj wiedział.

Czasami opowiadał mu także staruszek rozmaite zdarzenia ze swego własnego życia, powieści o złodziejstwach, które sam w młodszych latach popełnił, mieszając w to tyle rzeczy zabawnych i ciekawych, że się Oliwerowi ani sposób było wstrzymać od śmiechu serdecznego, i tego po sobie nie pokazać, że go to wbrew wszelkiem lepszem uczuciom serca mocno bawi.

Słowem, ten Żyd haniebny biednego chłopczynę w sieć swoję złowił i zawikłał; a przysposobiwszy jego umysł przez posępność mieszkania i ciągłą samotność do tego, że najgorsze nawet towarzystwo nad jedyne obcowanie z własnemi myślami w tak smutném miejscu chętnie przenosił, zaczął jego duszę poić powoli, kropla za kroplą, tym jadem, którym jego serce zupełnie zepsuć, i postanowienie na wieki zmienić się spodziewał.

ROZDZIAŁ XIX.

Zamiar szczególny zostaje ułożony i wykonanie jego śpieszne postanowione.

Była to noc zimna, dżdżysta, mglista i burzliwa, kiedy się Żyd nieznacznie ze swego mieszkania wymknął, otuliwszy swe wyschłe, zwątlałe członki w szeroki surdut, i zawinąwszy kołnierz od niego aż po uszy, aby dolnią część swéj twarzy zupełnie osłonić.

Chwilkę na progu się zatrzymał, dopokąd drzwi za nim nie zamknięto, niezatarasowano; dopiero gdy się nadsłuchując przekonał, że chłopcy wszystko zabezpieczyli, i stąpania ich nawet już więcéj słychać niebyło, puścił się ulicą i mknął nią, jak tylko mógł najśpieszniéj.

Dom, w którym Oliwer siedział zamknięty, znajdował się w sąsiedztwie Whitechapel. Żyd doszedłszy do rogu ulicy, zatrzymał się na chwilę, potoczył okiem podejrzliwém ostróżnie na wszystkie strony, przebiegł na drugą stronę ulicy, i puścił się ku Spitalfields.

Błoto wielkie ulicę pokrywało, a mgła gęsta, sina, nad domami się unosiła. Deszczyk drobny, przenikliwy, rosił, a wszystko, czego się tylko dotknąć było, zimnem i wilgocią przejmowało.

Była to noc, jakby naumyślnie dla takich ludzi jak Żyd, na przechadzkę stworzona.

Kiedy ten starzec ohydny tak śpiesznie ulicą mknął, przekradając się cieniami podcieni ulic i bram domów, wyglądał bardzo podobien do gadu obrzydłego, spłodzonego w tém błocie i ciemności, pośród któréj pełznął, wysuwającego się nocą z jam swoich, aby żeru dla siebie poszukać.

Długo biegł tym sposobem, przebiegł wiele krętych i zawiłych ulic i uliczek, nim do Bethnal-Green doszedł; zwróciwszy się potém nagle w lewo, zapuścił się natychmiast w cały błędnik wązkich, ciasnych, brudnych, plugawych uliczek, w które ta gęsto i ciasno zamieszkana część miasta tak obfituje.

Żyd musiał jednak z tym błędnikiem, przez który przechodził, bardzo dobrze być obznajomiony, kiedy go ani ciemność nocy, ani też zawiłość ulic i rozmaitych zakrętów z drogi nie zbłąkała. Biegł tedy ciągle, szybko, przez rozmaite ulice, przechodnie sienie, aż nakoniec dobiegł do uliczki wązkiéj, ciemnéj, jedną tylko lampą na przeciwnym końcu oświeconéj.

Tutaj się zatrzymał koło jednego domu, do drzwi zapukał, i rzekłszy kilka słów niezrozumiałych do osoby, która mu je otworzyła, wszedł na schody.

Pies w izbie zawarczał, gdy się Żyd klamki dotknął, a głos męzki z pokoju się odezwał: kto idzie?

— To ja Billu! to ja! — odpowiedział Żyd, wścibiwszy najprzód głowę, i spojrzawszy naokoło.

— Wsuńże raz i cielsko twoje! — zawołał Sikes.

— A będziesz ty cicho, głupie źwierze! Czyż djabła niepoznajesz, dla tego że inny surdut ma na sobie?

Zmiana w powierzchowności Fagina musiała psa widocznie złudzić; gdyż skoro tylko Żyd wierżchni surdut z siebie zdjął, i na poręczy od krzesła zawiesił, pies natychmiast do swego kąta powrócił, kołysząc ogonem podczas swego odwrotu, chcąc niby przez to okazać, że jest z tego poznania tyle zadowolonym, o ile to się z jego przyrodą i usposobieniem całém zgadzało.

— Witam! — rzekł Sikes.

— Witam, witam! — odpowiedział Żyd. — A!... Nancy!

To powitanie ostatnie wyrzeczone było z wielkiém zakłopotaniem, okazującém jasno wątpliwość, czyli dobrze przyjęte zostanie; gdyż Fagin i jego młoda przyjaciółka jeszcze się ani razu od owego czasu nie widzieli, kiedy się tak silnie za Oliwerem ujęła.

Lecz postępowanie dziewczyny zniszczyło natychmiast wszelkie powątpiewania, jeżeliby jeszcze jakie w duszy Fagina były pozostać mogły. Zaledwie Żyda ujrzała, nogi żywo z kominka na dół spuściła, krzesło cokolwiek odsunęła, i zaprosiła Fagina, ażeby przy kominka usiadł, nogi na nim oparł, gdyż noc była bez wszelkiego pytania zimna.

— Prawda, że *bardzo* zimna, droga Nancy, — potwierdził Żyd, grzejąc ręce chude i skośniałe nad ogniem. — Aż człowieka wskróś przeszywa.

Dodał starzec, kładąc rękę na lewém boku.

— Musiałoby jeszcze być daleko ostrzejsze, ażeby twoje serce przeszyć mogło, — odparł na to Sikes. — Daj mu się czego napić Nancy. Tylko żywo! Boby się człowiekowi natychmiast mdło zrobić mogło, patrząc się na to, jak ten starzec drży na całém ciele, gdyby jaki duch, co dopiero ze swego zimnego grobu wylazł.

Nancy pobiegła natychmiast do szafki, napełnionéj znaczną ilością butelek, z których każda odmiennego kształtu była i wódkę inną w sobie zawierała, przyniosła jednę, a Sikes nalawszy z niéj pełny kieliszek, podał go Żydowi, zapraszając, aby się pokrzepił.

— Dosyć, dosyć, kochany Billu! dziękuję ci, dziękuję!

Odparł Żyd, oddając mu go na powrót, zamaczawszy zaledwie usta.

— Cóż to, czy się obawiasz, abyśmy z ciebie potém czegoś łatwiéj niewyłudzili? — zawołał Sikes, wlepiwszy w niego swój wzrok, — to mi się podoba!

I mruknąwszy coś z pogardą, chwycił za kieliszek, i połknął resztę natychmiast niby na przygotowanie do powtórnego napełnienia kieliszka dla siebie, co też i niebawem uczynił.

Żyd rozpatrzył się tymczasem po izbie, nim Sikes drugi kielich wódki wychylił, i to wcale nie z ciekawości, gdyż on ją nieraz już widział, ale ze swojéj zwykłéj podejrzliwéj i niespokojnéj ruchliwości.

Była to izba licho i nędznie uporządkowana, niezawierająca nic w sobie, coby tę myśl w odwiedzających pobudzić mogło, że jéj mieszkańcem nie jest robotnik. Parę drążków żelaznych, stojących w kącie, i *zabez-*

*pieczyciel życia**) leżący na murku, były jedynymi przedmiotami, mogącymi jakie podejrzenie wzniecić.

— A teraz, — ozwał się w końcu Sikes, mlasnąwszy ustami, — teraz jestem gotów.

— Do pogadanki o naszych sprawach, co? — zapytał Żyd podstępnie.

— Tak jest, — odpowiedział Sikes; — a terazże mów, co mi masz powiedzieć.

— O sprawce w *Chertsey* Billu, co? —

Odpowiedział Żyd, przysunąwszy się bliżéj do niego, mówiąc po cichutku.

— Dobrze.... Cóż mi o tém masz powiedzieć? — zapytał Sikes.

— Ty wiesz dobrze, co ja myślę, mój drogi, — odparł Żyd. — On wie co ja myślę, nieprawdaż droga Nancy?

— Nie, niewie, nie! — odparł Sikes z szyderczym uśmiechem, — lub też nie chce wiedzieć, co na jedno wychodzi. Mówże więc, mów! i nazywaj wszystko po właściwém imieniu, a nie siedź tutaj i nie rozprawiaj ze mną na migi, mrugi i jakieś tam znaki, jakby ci to po raz pierwszy wypadło ze mną o złodziejstwie i rabunku mówić.... Piekło na twoje oczy!....jeżeli nie powiesz jasno, czego chcesz?

— Cicho Billu, cicho! uspokój się tylko! — napomniał go Żyd, usiłujący nadaremnie ten wybuch jego

*) Zabezpieczyciel życia jest to giętki pręcik 10 do 12 cali mający, po obu końcach ciężkiemi ołowianemi i w skórę obszytemi gałkami zaopatrzony. Anglicy szczególnie zręcznie nim wywijać i ciosy w głowę zadawać umieją.

oburzenia przytłumić; — mógł by nas kto podsłuchać, mój drogi, mógł by nas kto podsłuchać!

— A niech sobie słucha! — odparł Sikes, — ja nie wiele dbam o to.

Ale że Sikes rzeczywiście *bardzo* wiele dbał o to, uspokoił się przeto na tę uwagę Żyda, i wyrzekł ostatni okres swéj mowy głosem daleko cichszym.

— Tak tak, mój drogi, — ozwał się Żyd z przymileniem. — Uczyniłem to jedynie dla przezorności,... tak jest dla przezorności jedynie Billu! i nic więcéj.... A teraz mój drogi pomówmy z sobą o rabunku w Chertsey. Kiedyż się więc do niego zabierzesz Billu, co?.... kiedyż ma być wykonany? Tyle srebra, mój drogi! tyle srebra!

Zawołał Żyd, zacierając ręce radośnie, i podnosząc swe gęste brwi w uniesieniu zachwycenia już przed czasem.

— Z tego wszystkiego nic nie będzie, — odpowiedział Sikes oziębłe.

— Jakto,....z tego wszystkiego nic być niema? — powtórzył Żyd z przerażeniem, wywróciwszy się w tył na krześle.

— Nic, nic, wcale nic! — odpowiedział Sikes, — niemogliśmy znaleść domowego spólnika, jakeśmy się spodziewali.

— Musieliście się chyba nadzwyczaj niezręcznie brać do tego, — odparł Żyd, zbładły ze złości. — Ja już nic więcéj o tém słyszeć nie chcę.

— Ale ja chcę, abyś słyszał, — zawołał Sikes. — O czém byś ty w świecie słyszeć nie mógł?......Mówię ci zatém, że Tobiasz Crackit przez całe dwa tygodnie

blisko koło tego domu się snuł i uwijał, a jednak żadnego ze sług złowić nie mógł.

— Cóż to, ty chcesz we mnie wmówić Billu, — odparł Żyd, stając się tém łagodniejszym, czém bardziéj zapał jego towarzysza się wzmagał, — iż żaden z owych dwóch służących przekupić się nie dał?

— Tak jest,....jeżeli się nie mylę, to ci to powiedzieć chciałem, — odpowiedział mu Sikes. — Oni już od dwudziestu lat u swéj staréj pani służą, a żaden by się do tego nie dał nakłonić, choćby mu pięć set funtów dawano.

— Ależ mój drogi Billu, czyście i o kobietach myśleli? — odparł Żyd; — czyliż i kobiet służących podkupić nie można?

— Ani myśleć o tém, — odpowiedział Sikes.

— Nawet i przez naszego zucha wystrojonego Tobiasza Crackit? — zapytał Żyd niedowierzając. — Pomnij tylko Billu, że to kobiety!

— Nawet i przez Tobiasza Crackit nie! — odpowiedział Sikes. — Mówił, iż krążąc tamtędy, przez cały czas faworyty przyprawione i kamizelkę kanarkową nosił, ale i to nic niepomogło.

— Powinien sobie był brodę i wąsy przyprawić i w spodniach żołnierskich chodzić, — rzekł Żyd po chwili głębszego namysłu.

— On i tego doświadczył, — odpowiedział Sikes, — ale i to ziółko lepszego skutku nie miało.

Na tę wiadomość Żyd pobladł okropnie, opuścił brodę na piersi, ruszał i żuł przez chwilę dolnią szczęką, podniósł w końcu głowę, westchnął głęboko, i oświadczył, że sobie tę sprawę trzeba będzie zupełnie

z głowy wybić, jeżeli ten zuch Tobiasz Crackit prawdę powiedział.

— Ale to jednak bardzo przykro, — dodał starzec, sparłszy ręce na kolanach, — wyrzec się tego, do czego nasze serce już raz tak mocno przylgnęło.

— To prawda, — odpowiedział Sikes; — jest to wielkie nieszczęście.

Po téj rozmowie nastąpiła chwila długiego milczenia.

Żyd siedział przez ten czas w głębokich myślach pogrążony, a oblicze jego nabrało wyrazu prawdziwie szatańskiéj złości. Sikes spoglądał na niego co chwila ukradkiem, a Nancy, lękająca się widocznie zbójcę rozgniewać, siedziała przy kominku z oczyma w ogień wlepionemi, jakby zupełnie głuchą była na wszystko, co się koło niéj działo.

— Faginie! — ozwał się w końcu Sikes, przerywając pomału panujące milczenie; — czy zarobię pięćdziesiąt papierków *extra*, jeżeli się to bezpiecznie z pola da uskutecznić?

— Dobrze!

Zawołał Żyd, zerwawszy się nagle, jakby ze snu przebudzony.

— A zatém zgoda? — zapytał Sikes.

— Zgoda, zgoda!....mój drogi!

Odpowiedział Żyd z pośpiechem, chwytając towarzysza za rękę; oczy jego skrzyły, a każdy rys w jego twarzy drżał ze wzruszenia, tém pytaniem w jego duszy wzniecconego, i świadczył o jego piekielnéj chciwości.

— Jeżeli tak, — rzekł Sikes, puściwszy rękę Żyda

z pewną pogardą; — więc się możemy do tego zabrać, kiedy tylko zechcesz;.... czém prędzéj, tém lepiéj! Ja i Tobiasz zwiedziliśmy ogród przedwczoraj w nocy, i zbadali dokładnie ściany, drzwi i okiennice. Dom wprawdzie nocą pozamykany i zatarasowany jakby więzienie jakie, ale ja odkryłem jednak miejsce, przez które się bezpiecznie, bez hałasu, do niego dostać możemy.

— Którędyż to, Billu, którędy? — zapytał Żyd z pośpiechem.

— Tam gdzie się przez trawnik przechodzi, — szepnął z cicha Sikes.

— Dobrze! dobrze!

Odpowiedział Żyd, wyciągnął jeszcze bardziéj głowę ku niemu, i oczy tak mocno wytrzeszczył, że się zdawało, iż mu na wierzch chcą wyskoczyć.

— Hm!

Mruknął Sikes pod nosem, i uciął mowę, gdy dziewczyna nieznacznie, nie obróciwszy nawet głowy, na niego okiem rzuciła i lekkiém skinieniem twarz zmienioną Żyda mu wskazała.

— Niech cię to nietroszczy, którędy? Ja wiem, że ty bezemnie nic zrobić nie możesz; zawsze jednak lepiéj mieć się na baczności, jeżeli się z tobą ma coś do czynienia.

— Jak ci się podoba, mój przyjacielu, jak ci się podoba, — odpowiedział Żyd i zagryzł usta. — Czy do tego prócz ciebie i Tobijasza niczego i nikogo więcéj niepotrzeba?

— Nic, — odpowiedział Sikes, — prócz piłki okrągłéj i małego chłopca. Pierwszą mamy obaj bardzo dobrą, a drugiego ty nam się wystarać musisz.

— Chłopca? — zawołał Żyd; — a zatém to muszą być drzwi, nieprawda?

— Niech będzie co chce, niech cię o to głowa nie boli! — odparł Sikes; — potrzeba nam chłopca i koniec,....ale ten musi być mały i cienki...... Do pioruna! — dodał Sikes rozmyślając; — żebym teraz był mógł mieć owego chłopczynę od kominiarza Edwarda,...... który go naumyślnie tak chował i nędznie żywił, aby nam go mógł potém w tym celu wynająć! Ale cóż, kiedy starego schwytano i wsadzono, a towarzystwo opieki nad młodemi zbrodniarzami zabrało jego chłopca, pozbawiło go tak korzystnego zarobku, w którym sobie tyle pieniędy mógł nazbierać, zaczęło go uczyć czytać, i pisać, i zamyśla go do jakiego rzemiosła dać na naukę. Tak to się teraz z wszystkimi dzieje, — zawołał Sikes z oburzeniem coraz bardziéj wzrastającém na wspomnienie tak wielkiéj dla nich krzywdy; — tak to się dzieje,.... a gdyby tylko pieniędzy na tyle mieli,.... co jest wielkiém dla nas szczęściem, że niemają,......toby nam do naszego zarobkowania ani półtuzina chłopców najdaléj za dwa lata nie zostawili.

— Prawda, wielka prawda! —

Potwierdził Żyd, który ostatnie tylko słowa z jego całéj mowy uchwycił, będąc przez ten cały czas w myślach głębokich zatopiony.

— Słuchaj no, Billu!

— Cóż takiego? — zapytał Sikes.

Żyd wskazał mu Nancy skinieniem głowy, siedzącą cicho i spokojnie przy kominku, i dał mu na migi do zrozumienia, iż sobie życzy, aby jéj z izby wyjść kazał. Sikes wzruszył ramionami z niecierpliwością,

chcąc mu przez to okazać, iż on tę ostrożność za zbytnią uważa; pomimo to jednak mu ustąpił i nakazał pannie Nancy, aby mu kubek piwa przyniosła.

— Ty piwa niepotrzebujesz! —

Odpowiedziała mu na to Nancy, założywszy ręce, nie ruszając się z miejsca.

— Ja ci powiadam, że chcę piwa! — odparł Sikes.

— Nieprawda! — odpowiedziała na to dziewczyna zimno. — Mów tylko dalėj, mów Faginie! Ja wiem bardzo dobrze, Billu, co on chce powiedzieć;....niechaj na mnie wcale nie zważa.

Żyd się jeszcze ociągał; lecz Sikes z zadziwieniem to na jedno, to na drugie spoglądał.

— Cóż to, przecież się tėj dziewczyny, twojėj starėj znajomėj, nieobawiasz Faginie? — ozwał się nakoniec. — Przecież ją znasz już od dawna, i możesz jėj zaufać, chybaby się djabli z piekła w to wdali. A możeś ty go już kiedy zdradziła, Nancy,....co!

— O ile sobie przypominam, to jeszcze ani razu!

Odpowiedziała Nancy, przysunęła krzesło do stołu, i sparła się na nim łokciami.

— Nic, nie,.....moja kochana,..... ja wiem że nie! — odpowiedział Żyd; — ale.... — i starzec na nowo uciął.

— No i cóż ale? — zagrzmiał Sikes.

— Ale ja niewiem, czyli znowu przypadkiem tak szaleć nie zacznie, jak owego wieczora,....przecież sobie przypominasz, mój drogi? — odpowiedział Żyd.

Na to wyznanie Żyda Nancy na całe gardło się roześmiała, kieliszek wódki wychyliła, wyzywająco głową na niego skinęła, i chcąc go ośmielić różnych, nad-

zwyczajnie gminnych i nie bardzo miłych i przyzwoitych wykrzykników użyła, które ten skutek przynajmniéj miały, iż Żyda zupełnie uspokoiły, tak że w końcu z radością niejako głową kiwnął, i na powrót na krześle koło swego przyjaciela Sikes usiadł.

— A teraz, Faginie, — rzekła Nancy, śmiejąc się ciągle, — mów śmiało z Billem o Oliwerze.

— A! z ciebie bardzo przenikliwa dziewczyna, moja droga;....jeszczem nigdy w mojém życiu tak przebiegłéj, i przenikliwéj jak ty niewidział, — odpowiedział Żyd, poklepawszy ją w plecy. — Chciałem właśnie o Oliwerze z tobą pomówić, Billu, prawdziwie, ha, ha, ha!

— O nim!.... cóż takiego? — zapytał Sikes zdumiały.

— Że to jest chłopiec, jakby dla ciebie do téj wyprawy umyślnie stworzony!

Odpowiedział Żyd szepcąc głośno, przyłożył koniec palca do nosa i roześmiał się z wyrazem piekielnéj radości.

— On! — zawołał Sikes.

— Weź go, weź, Billu! — ozwała się Nancy. — Chciałabym być na twojém miejscu. Być może, iż on nie jest tak zręczny i przebiegły jak drudzy; ale wy też na teraz tych przymiotów niepotrzebujecie, jeżeli wam o to jedynie chodzi, abyście mieli kogoś, coby wam drzwi mógł otworzyć. A na to się spuść, Billu, że on jest bezpieczny.

— Zapewnie, że jest bezpieczny, — potwierdził Fagin; — był on w dobrej szkole przez te ostatnie dwa tygodnie i czas już, aby się wziął do pracy i na

chleb swój zarobił. A nakoniec resztę wszyscy są dla ciebie za grubi!

— Niechże i tak będzie! właśnie mi chłopca takiego wzrostu jak on potrzeba, — odpowiedział Sikes rozmyślający.

— A wszystko ci zrobi, moj drogi, co tylko mu nakażesz! — dodał Żyd; — i nie może nawet inaczéj, jeżeli go tylko należycie nastraszysz.

— Nastraszyć go! — zawołał Sikes. — Już ja go tak nastraszę, że on się mię nie na żarty bać będzie. Gdy mi zaś co najmniejszego na przekorę zrobi, jeżeli się już do dzieła weźniemy, bądź pewnym, Fagin, że go więcéj nie zobaczysz.... Zważ to poprzód bardzo dobrze, nim go ze mną poślesz. Pomnij na to, co ci mówię.

Dodał rozbójnik, ważąc w ręce ciężki, żelazny drążek, który z pod łóżka wyciągnął.

— Jużem wszystko dobrze rozważył, — odpowiedział Żyd stanowczo. — Miałem ja go ciągle na oku, badałem go ściśle,....bardzo ściśle.... Niechno tylko raz uczuje, że do nas należy;......niech tylko raz tą myślą się przejmie, że się stał złodziejem,...a będzie naszym, ...naszym na całe swoje życie! O dalibóg! nie mogło się na to lepszéj sposobności zdarzyć!

Starzec skrzyżował ręce na piersiach, ramiona podniósł, stulił, głowę skulił, i wyraźnie samego siebie z radości uściskał.

— Naszym! — zawołał Sikes. — Zapewnie, twoim tylko!

— Być może, mój drogi, być może! — odpowie-

dział Żyd z przerażającym uśmiechem. Może i moim, jeżeli ci się to lepiéj podoba, Billu!

— Powiedzże mi jednak, — ozwał się Sikes, spoglądając bystro i podejrzliwie na swego nader przyjemnego i miłego przyjaciela; — dla czego sobie tyle pracy zadajesz o tego wymokłego chłopca, wiedząc o tém dobrze, iż z pięć dziesiąt przynajmniéj chłopców w *Commont-Garden* nocy przepędza, na których tylko palcem kiwnąć potrzebujesz, a wszyscy się natychmiast do ciebie zbiegną, i ty sobie z nich wybrać możesz, który ci się najlepiéj spodoba?

— Dla tego, żeby się mi, na nic wcale nie zdali, mój drogi, — odpowiedział Żyd z niejakim kłopotem; — nie warto sobie żadnéj pracy z nimi zadawać, bo już ich wejrzenie samo natychmiast ich zdradzi, jeżeli którego schwytają, a jabym wkrótce wszystkich potracił. Jeżeli zaś tego chłopca wyćwiczę i troskliwiéj z nim się obchodzić będę, potrafię z nim to uczynić, czegobym z dwudziestomą innymi nigdy uczynić nie mógł. Wreszcie, — dodał Żyd, odzyskawszy na powrót swoję zimną krew; — niechnoby się mu uciec udało, miałby nas w ręku; trzeba się nam *koniecznie* o to postarać, aby w jednej łapce był z nami. Nikt nie wie, zkąd przybył, a do osięgnienia władzy zupełnéj nad nim tego przekonania mi jedynie potrzeba, iż do rozboju należał. Nie jestże to lepiéj, jak być w końcu zmuszonym biednego chłopca na tamten świat wysłać? coby rzeczą bardzo niebezpieczną dla nas być mogło, zwłaszcza, żebyśmy jeszcze przytém stracili.

— Kiedyż ta wyprawa ma nastąpić?

Zapytała Nancy, i przerwałą tém pytaniem potok

burzliwych groźb i niemiłych przekleństw, któremi Sikes tę odrazę nadzwyczajną chciał okazać, jaką mu ta udana litość Fagina sprawiała.

— Ach prawda, prawda! — potwierdził Żyd, — kiedyż nastąpi, Billu?

— Umówiłem się z Tobijaszem na noc pojutrzejszą, — odpowiedział Sikes mrukliwie, — jeżeli nic innego odemnie nie usłyszy.

— Dobrze, — pochwalił Żyd, — noc przecież nie miesięczna?

— Nie! — odpowiedział Sikes.

— Czyście już wszystko umówili, względem bezpiecznego schowania łupu? — spytał Żyd.

Sikes głową kiwnął na znak potwierdzenia.

— A względem....

— Już wszystko dokładnie rozmyślane i ułożone, — przerwał mu Sikes z niecierpliwością; — niech cię o szczegóły głowa nie boli. Lepiéj zrobisz, jeżeli chłopca jutro przed wieczorem do mnie przyprowadzisz. Na godzinę przed wschodem słońca będę się musiał wybrać w drogę. A wreszcie milcz i miéj twój tygiel na pogotowiu, to wszystko, czego od ciebie żądam, a o resztę się wcale nie troszcz.

Po krótkiéj rozprawie, w której wszystko troje czynny udział mieli, obradzono i postanowiono, ażeby nazajutrz wieczór Nancy do jamy Żyda się udała i Oliwera z sobą wzięła, albowiem Fagin tę przebiegłą uwagę zrobił, że Oliwer najchętniéj jeszcze dziewczyny usłucha, która się tak silnie za nim ujęła, i za nią najprędzéj pójdzie, jeżeliby najmniejszą odrazę miał do całéj wyprawy.

Ułożono tedy i zawarowano uroczyście, że Oliwer ma być podczas zamierzonéj wyprawy wyłącznemu dozorowi i pieczy Billa Sikes z ciałem i duszą oddany; daléj, że ten wspomniony Bill Sikes w każdym przypadku z chłopcem według swego upodobania postąpić sobie może, iż żadnéj odpowiedzialności Żydowi za to nie jest winien, jeżeliby jaki wypadek nieszczęsny i zgubny Oliwera spotkał, ani mu też sprawy z tego zdawać nie jest obowiązany, jeżeliby go ukarać, choćby najsrożéj, za rzecz potrzebną uznał.

Ażeby zaś ta ugoda szczerze dotrzymana została, i żadna strona przyczyny do wyrzutu lub żalu niemiała, postanowiono także, iż za powrotem pana Sikes z wyprawy, wszelkie wyznania jego w szczegółach ważniejszych przez zuchowatego Tobijasza Crackit poświadczone i potwierdzone być mają.

Gdy te układy przygotowawcze, wstępne, nakoniec ułatwiono, pan Sikes zaczął pochłaniać wódkę w ilości niepospolitéj, i drążkiem żelaznym oraz w sposób nadzwyczaj niepokojący wywijać, odzywając się często z piosneczkami nie bardzo miło dla ucha brzmiącemi i najczęściéj przekleństwami i zaklęciami najokropniejszemi poprzeplatanemi.

Nakoniec, doszedłszy do najwyższego stopnia swego rzemiosłowego zapału, uparł się na to skrzynię z najrozmaitszemi narzędziami swojemi do rabunku z ukrycia wyciągnąć; zaledwie jednak z nią się wtoczył i ją otworzył, aby wszelkie cnoty i zalety tych rozmaitych narzędzie wyliczyć, i piękność i dokładność właściwą ich roboty wyjaśnić, potoczył się na ziemię, legł koło téj skrzyni i zasnął natychmiast na miejscu.

— Dobra noc, Nancy!

Ozwał się wtedy Żyd, otulając się tak dobrze jak i poprzód.

— Dobra noc!

Ich oczy się spotkały, a Żyd wzrok swój przenikliwy i śledczy w oczach jéj zatopił.

Ona sobie w téj mierze z taką szczerością i otwartością postępowała, jak sam Tobijasz Crackit.

Żyd jéj raz jeszcze dobra noc! powiedział, a potrąciwszy nogą nieznacznie i potajemnie leżące na ziemi cielsko przytomności pozbawionego zbójcy, wyszedł z izby i szedł po schodach.

— Zawsze jedno i to samo, — bąknał Żyd pod nosem, wracając do siebie. — Najgorsze u kobiet jest to, iż najmniejsze drobnostki uczucia dawno w nich uśpione, zapomniane, obudzić potrafią; najlepsze zaś to, że to nigdy długo nie trwa. Ha! ha! ha! Tego człowieka za tego chłopca i worek złota!

Takiemi przyjemnemi myślami przez cały czas zaprzątniony, Fagin pośpieszał drogą po błocie do swego smutnego i ponurego mieszkania, w którém Smyk jeszcze czuwał i z niecierpliwością rychłego powrotu jego oczekiwał.

— Czy Oliwer już w łóżku? Chciałem z nim pomówić.

Było pierwszą odezwą Żyda, gdy po wschodach wszedł do góry.

— Już od kilku godzin, — odpowiedział Smyk, otwierając mu drzwi. — Oto leży!

Chłopczyna leżał na twardém łożu na ziemi, w głębokim śnie pogrążony, lecz tak blady z trwogi, trosk,

zgryzoty, długiego pobytu w tém więzieniu, iż jak śmierć prawie wyglądał; ...... nie jako śmierć trupa w trumnie, lecz ciała, z którego duch dopiero co uszedł, duch miły, młody, łagodny, i przed chwilą dopiero w niebo uleciał, a powietrze ciężkie ziemi jeszcze na tyle czasu nie miało owionąć i zmienić tego ciała, które on pobytem swoim poświęcił.

— Nie teraz, nie teraz, — rzekł Żyd, oddalając się od niego z cicha, — jutro, ... jutro!

ROZDZIAŁ XX.

Oliwer Billowi Sikes wydanym zostaje.

Gdy się Oliwer nazajutrz rano przebudził, zdziwił się mocno widząc, że stare trzewiki mu wzięto, a natomiast parę zupełnie nowych o podeszwie mocnéj i grubéj koło łoża jego położono.

Zrazu to postrzeżenie wielką radość mu sprawiło, sądził bowiem, iż jest wróżbą jego uwolnienia; ale te myśli wesołe wkrótce Żyd rozproszył, oświadczając mu przy śniadaniu, do którego oni obaj tylko, będąc sam-na-sam, zasiedli, iż téj nocy jeszcze do pomieszkania Billa Sikes udać się będzie musiał, i u niego pozostanie. Głos i surowość, z jaką to uwiadomienie wyrzeczono, jeszcze bardziéj trwogę biednego chłopca powiększała.

— Aby .... u .... niego na *zawsze* .... pozostać? — zapytał Oliwer strwożony, wylękły.

— Nie, nie, ... mój drogi! .. . nie na zawsze,.... nie! — odpowiedział Żyd. — Nie bardzo bym cię chętnie chciał utracić. Nie bój się, nie bój Oliwerze! ty

do nas wkrótce powrócisz.... Ha! ha! ha!.... nie jestem ja tak okrutny, abym cię miał od siebie wypędzać mój drogi.... O nie, nie!

Starzec, stojąc właśnie przy ogniu, na którym sobie kawałek chleba na grzankę piekł, obejrzał się w koło, i głośnym śmiechem parsknął, gdy to z szyderstwem do Oliwera wyrzekł, chcąc mu niby dać do zrozumienia, że on bardzo dobrze o tém wie, iżby Oliwer nadzwyczajnie był szczęśliwym, gdyby się od niego jakim sposobem mógł wydobyć.

— Mnie się zdaje, — ciągnął Żyd daléj, wlepiwszy w Oliwera wzrok swój przenikliwy, — iż bardzo ciekawym być musisz dowiedzieć się, po co masz iść do Billa,.... nieprawdaż mój drogi?

Oliwer się spłonił mimowolnie, widząc, iż ten Żyd stary, ten dowódzca złodziei, tak dobrze myśli jego odgadł. Opamiętał się jednak natychmiast i rzekł śmiało:

— Tak jest, chciałbym o tém wiedzieć.

— Jakże się tobie zdaje, po co?

Spytał go Żyd, unikając wprost odpowiedzi.

— Prawdziwie, — niewiem! — odpowiedział Oliwer.

— Ba! Jeżeli niewiesz, to poczekaj, dopokąd ci Bill sam nie powie!

Rzekł mu na to Żyd, odwróciwszy się od niego nieco zakłopotany, i zaprzestał swego przenikliwego badania jego oblicza.

Fagin nie zdawał się bardzo rad z tego spostrzeżenia, iż Oliwer większéj ciekawości w téj mierze po sobie nie pokazuje; właściwą przyczyną tego jednak było, iż lubo nadzwyczajna trwoga serce jego owładnęła,

wzrok przenikliwy i chytry starego Żyda, i myśli własne tłumnie się cisnące, w tak wielkie pomięszanie go wprawiły, iż żadnego pytania w téj mierze uczynić nie śmiał.

Żadna mu się, téż sposobność do tego więcéj nie nastręczyła, gdyż Żyd siedział cicho, zamyślony, milczący, ponury aż do wieczora.

Dopiero gdy się za nadejściem nocy do wychodu zabierał, rzekł do Oliwera, kładąc świecę na stole.

— Dzisiaj możesz światło palić tak długo, jak ci się podoba; a tu jest książka, którą sobie czytać możesz, dopokąd po ciebie nie przyjdą. Dobra noc.

— Dobra noc! — odpowiedział Oliwer po cichu.

Fagin postąpił ku drzwiom, obejrzał się idąc przez ramię na chłopca, zatrzymał nagle, i zawołał na Oliwera po imieniu.

Oliwer podniósł oczy. Żyd, wskazawszy mu świecę, kazał mu ją zapalić.

Oliwer to uczynił, a gdy lichtarz z świecą zapaloną na stole stawił, spostrzegł, iż Żyd z ciemnego końca izby oczy w niego ma wlepione i z chytrością szatańską, zmarszczonemi brwiami, na niego spogląda.

— Strzeż się Oliwer, strzeż! — ozwał się starzec, grożąc mu ręką podniesioną. — Jest to człowiek gbur, popędliwy, nie zważający wiele na krew, jeżeli nie jego płynie. Cokolwiek bądź się stanie, nie mów ani słowa i czyń wszystko, co ci każe, pamiętaj!

Te ostatnie słowa wyrzekł Żyd z pewnym uroczystym przyciskiem, surowość jego twarzy powoli zni-

kła i uśmiechowi przeraźliwemu ustąpiła; nakoniec głową skinął, i z izby wyszedł.

Skoro tylko starzec się oddalił, Oliwer głowę pochylił, na rękach ją sparł, i z sercem drżącém te słowa rozważać począł, które przed chwilą usłyszał. Czém bardziéj napomnienie Żyda rozbierał, tém większą się mu zagadką stawał prawdziwy cel i znaczenie onegoż. Pomiędzy innemi i to mu na myśl wpadło, iż niekoniecznie w złym celu do Billa Sikes może być posłanym, i że swojemu przeznaczeniu daleko lepiéj u tego będzie mógł odpowiedzieć, jak u Fagina, który dotąd nic z nim począć, do niczego go użyć nie umiał.

Po wielu domysłach i przypuszczeniach, następny wniosek najpodobniejszym do prawdy się mu wydał: że mu najprościejsze i najpospolitsze usługi ręczne u Billa tak długo pełnić każą, dopokąd jakiego innego chłopca, zdolniejszego i zręczniejszego cokolwiek nie znajdą.

Oliwer już za nadto do cierpień był przyzwyczajony, i za nadto wiele cierpień już wszędzie poniósł, gdziekolwiek bądź zostawał, aby go ta zmiana przyszła mieszkania zasmucić była miała.

Oliwer długo takiemi myślami zajęty siedział, nakoniec z głębokiém westchnieniem świecę objaśnił, i wziąwszy do ręki książkę, którą mu Żyd zostawił, zaczął w niéj czytać.

Z początku od niechcenia tylko kartki przewracał, dopadłszy jednak miejsca, które cokolwiek bardziéj uwagę jego zajęło i ciekawość zaostrzyło, wkrótce cały w czytaniu się zatopił.

Był to opis życia i przygód znakomitych zbrodnia-

rzy, a kartki były już zbrukane i podarte z częstego użycia. Tutaj czytał o zbrodniach tak okropnych, że mu aż krew w żyłach zastygała; o tajemnych zabójstwach, popełnionych skrycie na drogach samotnych, mało uczęszczanych; o trupach, ukrytych przed okiem ludzkiém w głębokich, ciemnych piwnicach i studniach, w których jednak, jakkolwiek bardzo głębokie były, na zawsze nie zostały, ale po wielu latach napowrót się jawiły, i zabójców swoich do tego stopnia przerażeniem i zgrozą przejmowały, że ci swoję winę natychmiast wyznali i o ukaranie swoje i powieszenie żebrali, byle tylko ujść zgryzotom sumienia.

Owdzie znowu czytał o człowieku, który leżąc na łóżku śród ciszy nocnéj, własnemi zbrodniczemi myślami do tak okropnego zabójstwa skuszony i doprowadzony został, że na samo wspomnienie onegóż chłopczyna drżał na całém ciele, a krew mu w żyłach lodem się ścięła.

Te powieści z taką prawdą napisane, tak żywemi barwami odmalowane były, iż się mu zdawało, że te zatłuszczone karty książki krwią są zbroczone, a słowa na nich spisane tak w uszach jego brzmiały, jakby mu je duchy zmarłych głosem grobowym do ucha szeptały.

Zgrozą i przestrachem niewypowiedzianym przejęty zamknął naraz książkę i odrzucił ją od siebie. Potém padł na kolana i Boga gorąco błagać zaczął, aby go od podobnych złych uczynków zachował, i śmierć raczéj na niego zesłał, niżeliby do podobnych zbrodni okrutnych i straszliwych miał się wychować.

Powoli serce i umysł jego coraz bardziéj się uspo-

kajał, a on z cicha, głosem drżącym Boga błagał, aby go od obecnego niebezpieczeństwa wybawić raczył, i jeżeli tylko jaka pomoc dla biednéj sieroty być może, która nigdy uroku miłości przyjaciół lub krewnych nie zaznała, aby mu téj pomocy teraz udzielić raczył, kiedy opuszczony, rozpaczający, bez poradnika na zepsucie i zbrodnię jest narażony.

Oliwer modlitwę swoję już ukończył, lubo chwilkę jeszcze z obliczem w rękach ukrytém klęczał, gdy go szelest blizki z tego zapomnienia przebudził.

— Kto tu jest?

Zawołał, zerwawszy się żywo na nogi i spostrzegłszy we drzwiach jakąś postać obcą.

— Ja to, ... ja! — odpowiedział mu głos drżący.

Oliwer wyniósł świecę po nad głowę i spojrzał ku drzwiom.

Była to Nancy.

— Postaw świecę napowrót na stole, — rzekła dziewczyna, odwracając głowę, — bo mię w oczy razi. —

Oliwer spostrzegł, iż bardzo była bladą na twarzy, i zapytał się jéj czule, czyli nie jest chora. Dziewczyna rzuciła się na krzesło, plecami do niego obrócona, załamała ręce, lecz mu nic na pytanie jego nie odpowiedziała.

— Boże, zlituj się nademną! — zawołała po chwili. — Nigdym o tém nie myślała.

— Czy się co stało? — zapytał Oliwer. — Czy mogę ci być w czém pomocnym?...... Jeżeli mogę, to powiedz, a ja chętnie wszystko uczynię,...... bardzo chętnie.

Dziewczyna zaczęła się na krześle rzucać,.... ręce na nowo łamać,..... piersiami robić,..... chwyciła się potém za gardło,..... wydała jęk piskliwy,.... gdyż jéj oddech zaparło, ... ona zatém zaledwie odetchnąć mogła.

— Nancy! — zawołał Oliwer strwożony, wylękły, — cóż ci to jest, Nancy?

Dziewczyna opuściła ręce na kolana, nogi na podłogę, opamiętała się nagle, otuliła w szal troskliwiéj, i wzdrygnęła się cała, gdyby z zimna dreszczem przejęta. —

Oliwer dołożył węgla do ognia. Ona zaś przysunąwszy potém krzesło bliżéj do kominka, siedziała przez kilka chwil milcząc, nic wyrzekłszy ani słowa; nareszcie głowę podniosła i naokoło spojrzała.

— Niewiem, co mi się takiego czasem dzieje, — ozwała się nakoniec dziewczyna, udając, że ubiór na sobie poprawia; — musi to być zapewnie z wilgoci i zaduchu w téj izbie...... No i cóż, kochany Oliwerze, czy jesteś już gotów?

— Czy ja z tobą mam iść Nancy? — zapytał Oliwer.

— Tak jest ... Przychodzę właśnie od Billa po ciebie, — odpowiedziała dziewczyna. — Pójdziesz ze mną. —

— Dokąd i po co? — zapytał Oliwer, odskakując od niéj.

— Po co? — powtórzyła dziewczyna, podnosząc oczy i odwracając je natychmiast, gdy się z jego wzrokiem spotkały. — Zapewnie, że po nic złego!

— Ja temu nie wierzę.

Odpowiedział Oliwer, który ją uważnie badał.

— Niechże będzie tak, jak ty sam chcesz, mój kochany, — odparła dziewczyna, zmuszając się do udanego śmiechu. — A zatém po nic dobrego!

Oliwer to wnet spostrzegł, iż pewną władzę nad dobremi uczuciami dziewczyny posiadał, i zamierzał na chwilę wezwać jéj litości nad swojém położeniem okropném. Niebawem jednak myśl przez głowę mu przebiegła, że dopiero koło jedynastéj godziny było, a zatém i wiele jeszcze luda na ulicy się znajdować musiało, którzy by gotowi byli jego słowom uwierzyć i w pomoc mu przyjść.

Gdy sobie to dobrze rozważył, zebrał się natychmiast i rzekł śpiesznie, iż jest już gotów.

Te myśli jego i zamiary nie uszły jednak baczności dziewczyny. Spoglądała ona z uwagą na niego, gdy mówił, i spojrzała potém z takim wyrazem porozumienia, iż się łatwo mógł domyśleć, że wszystko odgadła, co przez jego myśl przebiegło.

— Cicho!

Zawołała nakoniec, nachyliwszy się do niego, i obglądając się z największą ostrożnością naokoło, wskazała na drzwi.

— Ty sobie sam pomóc nie możesz. Walczyłam ja długo o ciebie, ale wszystko się na nic nie zdało. Jesteś całkiem obsaczony, i w sidła ich bez ratunku zawikłany, a choćbyś się kiedyś jeszcze mógł wybawić, wierzaj mi, że dzisiaj nie jest pora po temu.

Oliwer spojrzał na nią z zadziwieniem, uderzony szczerością i stanowczością w jéj mowie. Zdawało się mu, że prawdę wyrzekła. Oblicze jéj było blade, z

niespokojności zmienione, a ona drżała na całém ciele. —

— Wybawiłam cię już raz od bicia i chłostów, i chętnie to jeszcze uczynię, a nawet już i teraz to czynię, — ciągnęła dziewczyna głośno; — albowiem ten, coby po ciebie był przyszedł, gdybym ja tego była uczynić nie chciała, byłby się z tobą daleko gorzéj i surowiéj obszedł. Musiałam im dać przyrzeczenie, że się spokojnie i cicho sprawować będziesz; jeżeli zaś nie, to siebie i mnie zgubisz, a nawet i na śmierć narazić mię możesz. Patrz! ja to wszystko dla ciebie niedawno poniosłam, jak mi Bóg miły!

Wskazała przytém szybko na sińce na szyi i rękach, i mówiła daléj z pośpiechem:

— Pamiętaj na to, i nie powiększaj jeszcze bardziéj moich cierpień dla ciebie. Gdybym ci bynajmniéj pomóc mogła, tobym to z największą chęcią uczyniła, ale ja nic teraz dla ciebie uczynić nie mogę. Oni ci nic złego zrobić nie chcą, ... a wszystko, co ci robić każą, będzie ich winą, a nie twoją. A teraz cicho! ani słowa! gdyż każde słowo twoje jest razem i sińcem dla mnie. Podaj mi rękę! .... żywo! .... twoję rękę!

Chwyciła go za rękę, którą jéj Oliwer poniewolnie podał, i zgasiwszy świecę, wyciągnęła go z izby za sobą. Jakaś postać ciemnością pokryta drzwi im śpiesznie otworzyła i natychmiast za nimi zamknęła, gdy na ulicę wyszli.

Doróżka czekała na nich, a dziewczyna go do niéj z tąże samą burzliwą popędliwością wsadziła, z jaką dotąd do Oliwera przemawiała, i zasłony od szyb natychmiast zaciągnęła. Dorożkarz już wiedział, gdzie

ma jechać, zaciął konie bez najmniejszéj zwłoki i pogonił cwałem ulicą.

Dziewczyna trzymała chłopca ciągle mocno za rękę, i nieprzestawała mu szeptać do ucha dalsze przestrogi i zapewnienia.

Wszystko się tak szybko i nagle odbyło, iż zaledwie na tyle miał czasu przypomnieć sobie gdzie jest, i skąd się tu dostał, gdy się doróżka już u drzwi tego domu zatrzymała, do którego Żyd dniem poprzód wieczorem kroki swoje skierował.

Jednéj chwili Oliwer szybkie spojrzenie na ulicę próżną rzucił, i już o pomoc zawołać zamyślał;.... lecz ta chwila krótko trwała, albowiem dziewczyna ciągle do ucha mu szeptała, i takim głosem z trwogi konającym o litość nad sobą błagała, że nie miał serca i odwagi zamysłu swego wykonać. Śród tego wahania i chwila pomyślna ubiegła, gdyż w oka mgnieniu do domu go wciągnięto i drzwi za nimi zamknięto.

— Otóż jesteśmy na miejscu! — ozwała się Nancy, puszczając po raz pierwszy jego rękę. — Hola! Billu! —

— Cóż tam takiego? — zawołał Sikes, pojawiając się z świcą w ręku u góry na schodach. — Właśnie w porę przybywasz. Chodźcie!

To powitanie było bardzo uprzejme i wesołe nad wszelkie spodziewanie, jak na człowieka takiego jak Sikes.

Nancy zdawała się być mocno tém uradowana, i powitała go także serdeczniéj jak zwykle.

— Wołowiak poszedł z domu z Tomaszem, —

rzekł Sikes, przyświecając im na schodach. — Byłby nam tylko na zawadzie.

— To dobrze, — odpowiedziała Nancy.

— Masz przecie twoje koźlątko!

Ozwał się Sikes, gdy wszyscy do izby weszli, zamknąwszy pierwéj izbę, nim przemówił.

— Mam, jak widzisz! — odpowiedziała Nancy.

— Czy poszedł chętnie? — zapytał Sikes.

— Gdyby jagnie! — odpowiedziała dziewczyna.

— To mię cieszy! — zawołał Sikes i spojrzał srogo na Oliwera; — inaczéj byłby mi żal jego młodego ciała, któreby djabelnie było ucierpiało. Chodź tu do mnie, ty mały drabie! i posłuchaj tego, co ci mam powiedzieć, gdyż lepiéj żebym się zbył od razu.

To wyrzekłszy do swego nowego *protégé*, Sikes czapkę z głowy mu zerwał, w kąt ją rzucił, a chwyciwszy go za ramię, usiadł sam przy stole i postawił Oliwera wprost przed sobą.

— Najprzód, czy ty wiesz, co to jest?

Zapytał Sikes, biorąc w rękę pistolet, leżący na stole. —

Oliwer odpowiedział: że wie.

— A więc się przypatrz! — mówił daléj Sikes. — Oto jest proch,.... a to kula,.... a to kawałek starego kapelusza do przybicia.

Oliwer za każdym kawałkiem mruknął, iż pojmuje, a pan Sikes zabrał się do nabicia pistoletu z wielką zręcznością.

— Otóż jest nabity!

Rzekł Sikes, gdy nabijanie ukończył.

— Widzę panie! — odpowiedział Oliwer z drżeniem.

— Bardzo dobrze!

Odpowiedział rozbójnik, ścisnąwszy Oliwera mocniéj za rękę, i przytknąwszy ujście od lufy pistoletu tak blizko do głowy chłopca, że téj chwili mimowolnie z trwogi wykrzyknąć musiał:

— Jeżeli więc choćby jedno słowko piśniesz, będąc ze mną w drodze, wyjąwszy jeźli do ciebie przemówię, ...to ten cały nabój natychmiast w twój łeb się dostanie!....jeżeli ci się więc przypadkiem bez pozwolenia mówić zachce,....zmówże pierwéj modlitwę! pamiętaj!

Temu napomnieniu przyjaźnemu towarzyszło przekleństwo i spojrzenie groźne na biednego chłopca, dla powiększenia wrażenia i skutku onegoż; poczém Sikes daléj mówił:

— O ile wiem, to niema nikogo, coby się o ciebie bardzo troskliwie dopytywał, choćby cię to nieszczęście rzeczywiście spotkało; mógłbym sobie zatém oszczędzić tego djabelskiego zachodu i pracy, aby ci to wszystko wykładać,....czynię to jednak dla twego własnego dobra. Czy mię rozumiesz?

— Krótko mówiąc, znaczenie tego wszystkiego jest to, — ozwała się Nancy, mówiąc z wielką uroczystością, i marszcząc brwi z pogardą na Oliwera, jakby przez to uwagę jego na swe słowa ściągnąć chciała, — że gdyby mu kiedyś na myśl wpadło skrzyżować jakim kolwiek bądź sposobem to przedsięwzięcie, któreś sobie zamierzył, więc się o to postarasz, aby już ani słowa więcéj w życiu swojém niewymówił, strzeliwszy mu w łeb, i narażając się na niebezpieczeństwo wiszenia na szubienicy za tę zabawkę, grożące ci już i tak co

chwila za wiele innych rzeczy przy tém rzemiośle, któremu się oddajesz.

— To samo chciałem właśnie powiedzieć, — potwierdził Sikes pochwalająco; — kobiety umieją wszystko w jak najkrótszych słowach wyrazić, wyjąwszy jeżeli się kłócą, gdyż wtedy jak najdłużéj wszystko przeciągają. A teraz dość już tych rozhoworów; zjedzmy coś na wieczerzę i prześpijmy trochę, nim się jutro w drogę wybierzemy.

Stósownie do tego życzenia Nancy natychmiast stół nakryła, a zniknąwszy na kilka chwil, z butelką piwa i pieczenią z głowy owczéj niebawem powróciła, co panu Sikes do wielu bardzo zabawnych żarcików i dowcipów sposobność nastręczyło, opierających się głównie na szczególném podobieństwie słowa, oznaczającego w mowie złodziejskiéj tę potrawę, i słowa, którém narzędzie w swém rzemiośle często używane, nazywać zwykli.

W ogóle ten zacny mąż był właśnie w bardzo wesołém usposobieniu, zapewnie dla tego może, iż mu się blizka sposobność nadarzała choć na czas niejaki wziąść się czynnie do swego rzemiosła; a za dowód tego zdania naszego moglibyśmy to przytoczyć, iż przez żart na jeden łyk cały kufel piwa wychylił, i licząc najściśléj nawet i dwadzieścia razy przez całą wieczerzę przekleństwa nie wyrzekł.

Po skończeniu wieczerzy, — a łatwo się domyśleć można, iż Oliwer nie wielką ochotę miał do niéj, — Sikes wlał jeszcze kilka szklanek grogu w siebie, i rzucił sie w końcu na łóżko, rozkazując pannie Nancy śród tysiącznych przekleństw na przypadek, gdyby tego nie-

wykonała, aby go nazajutrz raniutko, równo z piątą godziną obudziła.

Oliwer się wcale nie rozbierał, tylko tak jak był ubrany na rozkaz równocześny swego pana na sienik, na ziemi leżący, położył, a dziewczyna przyłożyła parę kawałków węgla do ognia na kominku, usiadła przy nim, i spać się niekładła, aby ich o godzinie oznaczonéj w porę zbudzić mogła.

Długo biedny chłopiec nie zasypiał, sądząc, że to nie jest rzeczą niepodobną, iż Nancy sposobność sobie wyszuka zbliżenia się do niego, i dania mu nie jednéj jeszcze przestrogi i dobréj rady, ale dziewczyna siedziała przy ogniu nieruchoma, a jeźli się kiedy ruszyła, to jedynie dla tego, aby świecę objaśnić.

Nakoniec, znużony czuwaniem długiém i trwogą, głęboko zasnął.

Gdy się obudził, spostrzegł stół już do herbaty zastawiony, Billa chowającego rozmaite narzędzia do kieszeni swego tołuba, przewieszonego przez poręcz krzesła, a Nancy zajętą przyrządzeniem śniadania.

Jeszcze dnieć nie musiało, albowiem świeca w izbie się paliła, a na dworze bardzo ciemno wyglądało. Drobny, gęsty deszczyk uderzał o szyby okien, a niebo ciężkiemi, czarnemi chmurami całkiem pokryte było.

— Przecież się raz ruszasz! — zawołał mrukliwie Sikes, spostrzegłszy iż Oliwer wstaje, — już pół do piątéj minęło! Zbieraj się żywo, inaczéj śniadania nie dostaniesz, gdyż jest już późno!

Oliwer się nie bawił długo swojém ubraniem, a spożywszy cokolwiek na śniadanie, odpowiedział pytającemu się go ponuro Billowi, że już jest gotów.

Nancy zaledwie okiem na chłopczynę rzuciła; podała mu jednak chusteczkę, aby sobie nią szyję obwiązał, a Sikes mu kołnierz od płaszcza na plecy zarzucił, aby się w niego otulił.

Tak więc przebrany, podał rękę rozbójnikowi, który się na chwilkę jeszcze zatrzymał, srogo na niego spojrzał, groźnie mu raz jeszcze pistolet w bocznéj kieszeni swego tołuba wskazał, rękę jego potém silnie uchwycił, z dziewczyną się pożegnał, i z sobą go wywiódł.

Oliwer raz jeszcze wychodząc w drzwiach głowę na prędce zwrócił, w nadziei, że się z wejrzeniem dziewczyny spotka. Ale ona usiadła na powrót na swojém dawném miejscu przy ogniu, i siedziała tak nieruchomie jak poprzód.

ROZDZIAŁ XXI.

Wyprawa.

Był to poranek posępny, niemiły, kiedy na ulicę wyszli. Wiatr burzliwy powiewał, deszcz mocny padał, a chmury grube, czarne, dżdżyste po niebie goniły.

Deszcz przez całą noc wielki padać musiał, gdyż wielkie kałuże błota i wody po ulicach się nazbierały, a ścieki i rowy wodą przepełnione były. —

Na wschodzie dniowy brzask niebo wprawdzie cokolwiek rozjaśnił, ale to światło blade nie zmniejszało wcale, lecz owszem, powiększało nawet posępność całego widowiska;....gdyż ono tłumiło wprawdzie jasność czerwonawą lamp nocnych, lecz samo promieniem żywszym, jaśniejszym, świetniejszym mokrych dachów, szczytów domostw i ulic ponurych nie pokryło.

Zdawało się, że nikt jeszcze w téj części miasta z łóżka wstać niemusiał, wszystkie okienice były albowiem wszędzie po domach pozamykane, i żadna żywa dusza nie ukazała się na ulicach, przez które przechodzili.

Gdy na gościeniec do Bethnal-Green wiodący doszli, dzień się już zupełny zrobił. Wiele już lamp tymczasem pogaszono, a kilka wozów obładowanych posuwało się wolno, ciężko, ku Londynowi; czasami przegonił także mimo nich wóz pocztowy, błotem zbryzgany, a pocztylijon dawał wtedy przyjemny upominek batem woźnicy od wozów ciężarowych za to, iż jadąc bokiem gościeńca fałszywym, przybycie jego do Londynu i pocztowego domu o parę minut opóźniał.

Domy gościnne i zajezdne, wewnątrz gazem oświecone, stały już wszędzie otworem. Pomału pootwierano także i inne kramy, sklepy, a tu i ówdzie osoby się pojedynczo po ulicy przechadzać zaczęły. Niebawem nadeszło kilka gromad robotników, udających się na dzienną robotę,....za nimi mężczyzni i kobiety niosąc kosze z rybami na głowie,....wozy osłami zaprzężone jechały z jarzyną na targowicę, .. inne znów z bydłem żyjącém i ćwierciami wielkiemi świeżego mięsa,....mleczarki ze swemi wiadrami, konwiami, dzbankami,.... i szereg nieskończony luda, śpieszącego z żywnościami wszelkiego rodzaju do wschodniéj części miasta.

Czém bardziéj się do *City* zbliżali, tém bardziéj się też zgiełk, hałas, ruch i napływ kupców i przekupców wzmagał, a gdy się w ulice pomiędzy Shoreditch i Smithfield leżące zapuścili, zrósł do prawdziwego strumienia huku, wrzawy i zgiełku.

Juz się tak dalece rozwidniło, jak tylko po takiéj nocy i przy takiém niebie pogodném widno być mogło, a poranek czynny dla połowy ludności Londynu się rozpoczął.

Puściwszy się przez Sunstreet i Crownstreet minęli

Finsburysquare, a Sikes potém zwrócił przez Chiswellstreet do Barbican, potém do Longlane i Smithfield, w którém to miejscu z daleka już wrzawa i zgiełk nadzwyczajny słyszeć się dawał, i Oliwera Twista w zadziwienie niewypowiedziane wprawił.

Był to właśnie dzień targowy.

Ziemię pokrywało błoto aż po kostki, a ciężki, gęsty obłok wyziewów powstawał nieustannie z parujących ciał bydła i zmięszany z dymem, trzymającym się niezmiennie szczytu kominów i dachów, unosił się ciężko w powietrzu.

Wszystkie ogrodzenia stałe, środek téj obszernéj targowicy zajmujące, i tyle ogrodzeń na prędce utworzonych, ile ich tylko na wolnym jeszcze placu zmieścić się dało, zapełnionych było owcami, a po bokach targowicy stały długie szeregi wołów i krów, po dwoje, troje, czworo, do pali poprzywięzywanych.

Wieśniacy, rzeźnicy, parobcy, owczarze, wolarze, chłopcy, złodzieje, próżniacy, żebracy, wszystko to tworzyło jedną zbitą gromadę; świstanie parobków, szczekanie psów, ryk bydła, beczenie owiec, kwiczenie świń i wieprzów, wrzask rzeźników, krzyk, zgiełk, przekleństwa z wszystkich stron, odgłos dzwonków, wrzawa i zgiełk nagromadzonego po karczmach ludu,.. to ciśnienie, trącanie, szturkanie, popychanie, gniecienie, drażnienie w natłoku;.... ten zgiełk nieznośny i rażący, z każdego kąta targowicy się odzywający, i te brudne, nieumyte, nieogolone, zakopcone twarze nieustannie się ruszające, bo w tę, to w ową stronę ustawicznie przeciągające, i tłumy to rozsuwające, to znów ścieśniające i mnożące, — to wszystko razem

wzięte stanowiło widowisko tak dzikie, tak odurzające, że zmysły człowieka w pomięszanie wprawiało.

Sikes, ciągnąc Oliwera za sobą, i używając swych łokci, to w lewo, to w prawo, torował sobie tym sposobem drogę śród najcieśniejszego tłumu, niedając najmniejszéj baczności na tę niesłychaną wrzawę i zgiełk, który Oliwera w takie zadziwienie wprawiał. Powitał tylko skinieniem głowy kilku swoich przyjaciół mimo przechodzących, odrzucił kilka zaprosin na łyk wódeczki na śniadanie, przebijał się ciągle dalej, dopokąd się z tego tłumu ciasnego nie wydobył, i zwrócił natychmiast swe kroki przez Hosier-lane do Holborn.

— Daléjże, żywo chłopcze! — zawołał Sikes ponuro, spoglądając na zegar na wieży ś. Jędrzeja, — już blizko siódma! Musisz nogi lepiéj zbierać. Ruszaj! ruszaj, i nie wlecz się tak leniwo za mną, ty darmojedzie.

Sikes szarpnął przytém mocno Oliwera za rękę, aby to napomnienie lepiéj skutkowało, a chłopczyna, przyśpieszywszy cokolwiek swego kroku zwyczajnego, zaczął teraz biedz, aby tylko o ile możności jako tako kroku zbójcy dotrzymać.

Tak biegli dopokąd rogu Hyde-Park nieminęli, i na drogę do Kensington się nie dostali. W tedy bowiem Sikes krok swój szybki o wiele zwolnił, i ociągał się tak długo dopokąd ich wóz próżny, w niejakiéj odległości za nimi jadący, niedogonił. Gdy Sikes spostrzegł, iż nazwisko „Hunsłow" na nim napisane było, zapytał woźnicy jak tylko mógł najgrzeczniéj, czyliby ich obu do Islework z sobą wziąść nie mógł?

— Siadajcie! — odpowiedział natychmiast woźnica. — Czy to wasz chłopiec!

— Tak jest, ... mój! —

Odpowiedział Sikes, spoglądając surowo na Oliwera, wsunąwszy rękę nieznacznie do kieszeni tołuba, w któréj pistolet był ukryty.

— Twój ojciec idzie za nadto śpiesznie dla ciebie, nieprawda mały?

Zapytał Oliwera ten człowiek, widząc że jest mocno zadyszany.

— To nic, to nic! — odparł Sikes. — On już do tego od dawna przyzwyczajony. — Na! chwyć się mojéj ręki Oliwer, i siadaj!

To rzekłszy pomógł Oliwerowi wsiąść na wóz, a woźnica wskazał mu kupę worów i rzekł, aby się na nich położył i cokolwiek sobie wypoczął.

Gdy już znaczną ilość słupków milowych wyminęli, Oliwer się coraz bardziéj dziwić zaczął, gdzie go Sikes zawieść myśli. Już minęli Kensington, Hammersmith, Chiswick, Kew-Bridge i Brentford, a jednak jechali ciągle jeszcze tak szybko i śpiesznie, jak żeby podróż swoję dopiero byli rozpoczęli.

Nakoniec dojechali do zajezdnego domu z godłem: *Do Woźnicy!* a w niejakiéj odległości od tego domu droga się dzieliła i w przeciwne strony prowadziła.

Koło téj karczmy i wóz ich się zatrzymał.

Sikes zeskoczył śpiesznie z wozu, trzymając jednak ciągle Oliwera za rękę; zesadził go natychmiast za sobą, rzucił na niego spojrzenie groźne, i uderzył ręką o kieszeń swoją z wyrazem dobitnym i dla chłopczyny aż za nadto zrozumiałym.

— Niech cię Bóg prowadzi, chłopcze! — zawołał woźnica.

— To chłopiec krnąbrny! — odpowiedział Sikes, uderzywszy go kułakiem w plecy. — Ponury, złośliwy, jak pies!.... Nie zważajcie na niego!

— No, no!.... niechże i tak będzie! — odpowiedział woźnica, wsiadając na powrót do swego wozu. — Jednak on na ładnego i miłego chłopca wygląda.

I pogonił sobie dalej.

Sikes czekał na miejscu tak długo, dopokąd ich daleko już nie odjechał, rzekłszy potém do Oliwera, ażeby się za nim obejrzał; jeżeli się mu podoba, poprowadził go powtórnie dalej w drogę.

Gdy karczmę o kilka stajań minęli, zwrócili się najprzód na lewo, a potém zeszli na drogę, schodzącą na prawo i szli nią bardzo długo, idąc ciągle ulicą, którą liczne, obszerne, piękne ogrody, i letnie pałacyki, po obu stronach gościeńca się ciągnące, tworzyły i nie zatrzymali się nigdzie ani na chwilę, prócz jednego razu, aby szklankę piwa wypić, dopokąd do miasteczka niedoszli, w którém Oliwer na ścianie jednego domu wielkiemi głoskami wyryty napis: ,,Hampton" zobaczył.

Tutaj się przez kilka godzin po polach za miastem błąkali! Nakoniec weszli na powrót do miasteczka, szli ciągle z ulicy na ulicę, wyminęli dom gospodni pod godłem: *Do czerwonego lwa*, zwrócili się ku brzegom rzeki, i dostali nakoniec w niejakiéj odległości od téjże do lichéj karczmy, z godłem zatartém, w któréj sobie obiad w kuchni dać kazali.

Kuchnia była to izba obszerna, nizka, z grubą belką przez środek powały przeciągnioną. Ławy z wyso-

kiemi poręczami i plecami stały koło ogniska, a na nich siedziało kilka osób, wieśniaków w koszulkach niebiezkich, zabrukanych, którzy fajki ćmili i pili.

Ci ludzie niezważali wcale na Oliwera a bardzo mało na Billa; a że i Sikes niebardzo wiele na nich zważał, zasiadł sobie ze swoim młodym towarzyszem w jednym kącie, niedoznając najmniejszéj przeszkody lub zawady od nieznajomego towarzystwa.

Zastawiano im zimnego mięsiwa do jedzenia, poczém bardzo długo na miejscu siedzieli, tak że Sikes tymczasem kilka fajek wypalił, a Oliwer w końcu na tę myśl przyszedł, iż już daléj niepójdą, tylko tutaj pozostaną.

Już się dobrze zmierzchło, kiedy go Sikes uderzeniem kułaka ze snu przebudził.

Oliwer się natychmiast zerwał, oczy przetarł, w koło siebie spojrzał, i spostrzegł swego zacnego towarzysza w żywéj, poufnéj rozmowie z jakimś wieśniakiem, przy szklance dobrego piwa.

— Jedziecie zatém do Lower Halliford? — zapytał Sikes.

— Tak jest, — odpowiedział wieśniak, po którym widać było, że sobie już na dobre, — czyli raczéj na złe, jak się komu podoba, — podpił; — a bądźcie pewni, że niepowoli. Mój koń niema już wieczór tego ciężaru za sobą, jaki dziś rano wieść musiał, ... i będzie się do żłobu i stajni diabelnie śpieszył. Na jego zdrowie! .... Dalibóg! poczciwe i dobre to konisko!

— Czybyście mnie wraz z chłopcem kawałek drogi z sobą wziąść nie mogli?

Zapytał go Sikes, przysuwając swojemu nowemu przyjacielowi kufel z piwem.

— Jeżeli się natychmiast ze mną zabrać możecie, chętnie! — odpowiedział wieśniak, podniósłszy na chwilę oczy od kufla. — Czy chcecie do Halliford jechać?

— Tylko do Shepperton, mój poczciwcze! — odpowiedział Sikes.

— Możecie ze mną jechać tak daleko, jak i sam pojadę; — rzekł na to wieśniak.

— Czy już wszystko zapłacone, Betty?

— Wszystko! .... ten pan wszystko zapłacił — odpowiedziała dziewczyna.

— Czy tak? — zawołał ów człowiek, dobrze już spity, — nie, to być nie może, ... tego ja niedopuszczę. —

— Dla czego nie? — odparł Sikes. — Wy nam chcecie grzeczność uczynić, dla czegóż bym ja na odwrót nie miał za was w karczmie zapłacić?

Wieśniak się bardzo głęboko nad tym dowodem swego przyjaciela zamyślił, i przystając nakoniec na wszystko, chwycił Billa za rękę, i oświadczył, iż z niego rzeczywiście wielki poczciwiec. Sikes mu za to podziękował, mówiąc iż zapewnie żartuje; — a gdyby wieśniak tylko był trzeźwym, byłby się mógł łatwo przekonać, że to w istocie żartem tylko powiedzieć musiał.

Nagadawszy sobie jeszcze wzajem wiele rozmaitych grzeczności, pożegnali resztę towarzystwa, rzekłszy im dobra noc! i wyszli z izby, a dziewczyna posługująca, sprzątnąwszy za niemi kufle, talerze ze stołu, wyszła

z ciekawości do drzwi i stanęła w nich trzymając to wszystko w ręku, aby zobaczyć, dla czego się tak nagle zatrzymali.

Koń, za którego zdrowie przed chwilą w jego nieobecności pito, stał już na podwórzu do wozu zaprzągnięty. Oliwer i Sikes wsiedli natychmiast bez wszelkich zachodów, a właściciel jego, zatrzymawszy się jeszcze na chwilę, aby konia pogłaskać, i z dumą sługę gospodniego i świat cały wyzwać, czyli ktoś drugi podobnego konia mieć może, poszedł za ich przykładem i wsiadł także.

Sługa gospodni, widząc że już wszyscy siedzą w wozie, puścił głowę koniowi, którego dotąd za uzdę trzymał; koń zaś, mając teraz głowę wolną, nienajlepszy użytek z téj wolności zrobił, gdyż ją z największą pogardą do góry podrzucił, i kilka szyb w oknie koło bramy przez to wybił. Poczém, dokonawszy tego czynu waleczności, i tańcząc przez kilka chwil na tylne nogi spięty, naraz cwałem drogą pogonił i z miasta pędem wyjechał.

Noc była bardzo ciemna. Mgła ciemna, gęsta, wznosiła się z rzeki i mokrzysk, drogę po obu stronach otaczających, i pokrywała niby kirem grobowym puste pola w około. Zimno było dotkliwe, wskróś przenikające, a ciemność nieokreślona.

Przez całą drogę nikt ani słowa nieprzemówił; gdyż właściciel wozu usnął sobie szczęśliwie, a Sikes nie miał wcale ochoty go budzić i rozmowy z nim wszczynać. Oliwer trwogą, niespokojnością niewypowiedzianą miotany siedział, przytuliwszy się w jednym kącie wozu, a okropność nocy i téj pustyni, przez któ-

rą jechali, różnemi groźnemi obrazami go dręczyła; zdawało się mu bowiem, że jakieś dziwne postacie na drzewach nad gościeńcem widzi, które się na ich konarach kołyszą i dziwne tańce w powietrzu wyprawiają.

Gdy nakoniec do kościółka w Sunbury dojechali, zegar na wieży właśnie siódmą godzinę uderzył.

W karczminie i mieszkaniu dla przewoźników nad brzegiem rzeki widać było światło, które promienia swoje aż na drogę rzucało, i zacień starego, rozłożystego dębu, pod którym się groby znajdowały, jeszcze ciemniejszym robiło.

W niejakiéj odległości od drogi słychać było szmer przytłumiony płynącéj wody i szelest ponury liścia starego dęba wietrzykiem nocnym rozkołysanego, wydający się niby głosy muzyki cichéj, uroczystéj, wiecznemu snu zmarłego przygrywającéj.

Nakoniec i Sunbury minęli, i powtórnie na gościniec samotny wyjechali. Ujechawszy kilka mil na nowo, wóz się naraz zatrzymał, Sikes wysiadł i chwyciwszy Oliwera za rękę, w dalszą drogę się z nim puścił.

W Shepperton niezagościli do żadnego domu, jak się tego chłopczyna znużony, zmęczony spodziewał; .... lecz szli ciągle daléj śród ciemności i błota przez rozległe, zimne, otwarte pustynie, i zatrzymali się dopiero wtedy, gdy światło jakiegoś innego miasta w niejakiéj odległości spostrzegli. Oliwer, natężywszy swój wzrok, zobaczył tuż przed sobą płynącą rzekę i most, o kilka kroków od nich na drugą stronę wiodący.

Sikes szedł ciągle daléj, dopokąd do mostu nie doszli, i zwrócił się potém nagle na dół po lewém brzegu rzeki. —

— Woda! — pomyślał sobie Oliwer, a mróz go wskróś przeszedł i mdło się mu zrobiło z przestrachu; — zapewnie mię do tego miejsca przyprowadził, aby mię tém swobodniéj zabić!

Już się chciał na ziemię rzucić, i z całych sił o swoje życie młode walczyć,.... w tém spostrzegł, że się tuż koło samotnego, pustego domku znajdują. Po obu stronach zawalonego wchodu były okna, a nad nim piąterko; światła nie można było jednak nigdzie ustrzedz.

Był to dom ciemny, spustoszały, i według wszelkiego podobieństwa, niezamieszkany.

Sikes, trzymając ciągle Oliwera za rękę, zbliżył się z nim po cichu, ostrożnie, aż do owego wchodu nizkiego i pociągnął za klamkę. Drzwi się otworzyły, a oni weszli obaj do domku.

ROZDZIAŁ XXII.

Rabunek.

— Hola! kto tam?

Zawołał głośno jakiś głos męzki, rubaszny, skoro tylko nogą w sieni stanęli.

— Nierób takiego hałasu, — odpowiedział Sikes, zamykając drzwi za sobą. — Przynieś lepiéj światła, Tobijaszu!

— A, to ty! — odpowiedział ów głos, — Barnéj, światła, światła! Poświeć temu panu, Barney! lecz pierwéj się rusz z łóżka, jeżeli łaska!

Mówiący musiał pieskiem od butów lub też czémś podobném na tego rzucić, do którego odezwa jego wymierzona była, aby go ze snu przebudzić, albowiem odgłos czegoś drewnianego, z siłą na ziemię padającego, dał się słyszeć, a tuż potém jakieś mruczenie niezrozumiałe, jakoby ktoś ze snu się budził, i do siebie natychmiast przyjść nie mógł.

— Czy słyszysz? — zapytał powtórnie ów głos.— Bill Sikes czeka w sieni, a nie ma nikogo, coby na przeciw niego wyszedł, i do izby go wyprowadził; .... ty sobie śpisz jak zabity, jakby ci ktoś opium z wieczora był zadał, lub coś podobnego. Czyś się już ocknął, albo może czekasz, abym cię z tym lichtarzem żelaznym zapoznał i do reszty zbudził?

Téj chwili dał się słyszeć szmer nóg spiesznie po podłodze się suwających i w pantofle obutych, i niebawem ukazała się z drzwi na prawo leżących najprzód świeca, a potém postać tego samego człowieka, którego już pierwéj opisano jako istotę, cierpiącą na bardzo nieprzyjemne kalectwo mówienia zawsze przez nos, i pełniącą usługi posługacza w gospodzie koło Saffron-Hill w Londynie.

— A! pan Sikes! — zawołał Barney z radością, niewiedzieć jednak czyli rzeczywistą, lub też udaną;— proszę do izby, proszę!

— Chłopcze! ruszaj naprzód! — zawołał Sikes, popychając Oliwera przodem. — Ruszaj żywiéj, albo ci nogi poobtłukam!

Wyzionąwszy przytém kilka jeszcze przekleństw na powolność chłopca, Sikes popędził Oliwera przed sobą, i wszedł z nim do izby nizkiéj, ciemnéj, z kominkiem, na którym się ogień dymił, kilkoma połamanymi stołkami, stołem, i nadzwyczajnie starém łóżkiem, na którym leżał wyciągnięty mężczyzna, mając nogi wyżéj jak głowę, paląc sobie tytuń z długiéj glinianéj fajki.

Miał na sobie surdut tabaczkowy modnego kroju, o wielkich, żółtych guzikach, chustkę na szyi żółtą,

grubą, jaskrawą, różno-barwną kamizelkę, i szare spodnie.

Crackit, — gdyż to on był tym nieznajomym, — nie miał wiele włosów na głowie, ani też pod nosem lub na brodzie; ale te, co je miał jeszcze, były rude i w długie kędziory, nakształt korkociągu zwinięte, przez które często swymi brudnymi, w wielkie, proste, pospolite pierścionki ubranemi palcami przesuwał.

Był on cokolwiek wyższym od ludzi średniego wzrostu, i widocznie bardzo słaby na nogach; ta okoliczność jednak nie osłabiała wcale tego uniesienia, z jakim swe palone buty podziwiał, na które z niewypowiedzianém upodobaniem w tém położeniu wywyższonėm nóg swoich spoglądał.

— Ach Billu! poczciwy Billu! — zawołał ten człowiek, zwróciwszy oblicze swoje ku drzwiom. — Jakżeż się cieszę, że cię widzę. Jużem się obawiał, żeś albo o naszéj wyprawie zapomniał, albo ją też porzucił, a jabym się jéj był w tedy na własną rękę podjął. A to co?

— Wyrzekłszy te słowa ostatnie z wielkiém zadziwieniem, pan Tobiasz Crackit oczy w Oliwera wlepił, z łóżka się zerwał, usiadł na nim i raz jeszcze zapytał, kto to i co to jest?

— Chłopiec, i.... i nic więcéj tylko chłopiec.

Odpowiedział Sikes, przysuwając sobie stołek do ognia.

— Jeden z uczni Fagina!

Dodał Barnej z ohydnym uśmiechem.

— Czy tak!.... Fagina? — zawołał Crackit, przypatrując się Oliwerowi. — To chłopiec jak widzę nie-

opłacony do kieszeń starych pań w kościele. On jeszcze majątek z niego zrobi.

— Dosyć....dosyć już tego! —

Odparł Sikes zniecierpliwiony, nachylił się do swego przyjaciela, który się na łóżku na powrót ułożył, i szepnął mu kilka słówek do ucha, na co się Crackit serdecznie roześmiał i Oliwera spojrzeniem niewypowiedzianego zadziwienia uczcił.

— A teraz, — zawołał Sikes, usiadłszy na powrót na krześle, — czy nam dacie co zjeść i wypić tymczasem, nim się do dzieła zabierzemy?...toby nam trochę więcéj odwagi dodało,.... a przynajmniej mnie na każden przypadek!......Siadaj przy ogniu, chłopcze, i wypocznij sobie; musisz bowiem téj nocy raz jeszcze z nami się w drogę puścić, lecz tą razą niedaleko.

Oliwer spojrzał na Billa w milczeniu z niemałém zadziwieniem i przestrachem, i przysunąwszy sobie nizki stołeczek do kominka, usiadł na nim, i głowę sparł na rękach, zapominając o wszystkiém, co się koło niego dzieje, niewiedząc nawet gdzie się znajduje.

— Oto macie!

Zawołał Crackit, gdy im Żydek jadło i butelkę wódki na stole postawił.

— Na pomyślność naszéj wyprawy!

Na cześć tego zdrowia wstał z łóżka, postawił fajkę w kącie ostrożnie, przystąpił do stołu, nalał sobie kieliszek wódki, i wychylił go do razu.

Sikes poszedł za jego przykładem.

— Odrobinkę dla chłopca! — rzekł Tobijasz, napełniwszy kielich duży do połowy.

— Łyknijże śmiało, niewiniątko!

— Prawdziwie,.... — odparł Oliwer, spojrzawszy na niego z okiem błagającém, — prawdziwie.... panie! ....ja....ja....

— Łykaj! — zgromił go Tobijasz. — Cóż to, czy ty myślisz, że ja niewiem, czego ci potrzeba? Pij, pij!....Billu, nakażże mu, aby pił!

— On tego predzéj usłucha! — odpowiedział Sikes, uderzywszy ręką o kieszenię z pistoletami. — Niech mię jasny piorun trzaśnie, jeżeli ten chłopiec nie jest nam bardziéj na zawadzie, jak cała czereda Smyków! Pijże, pij! ty niedołęgo! pij natychmiast!

Oliwer, przestraszony groźbami tych obu ludzi, wypił śpiesznie ten kielich, a nieprzyzwyczajony do wódki, mocno się zakrztusił i rozkaszlał. Ten przypadek wielką przyjemność sprawił Tobijaszowi i Barneyowi; nawet i na usta samego Billa, tego człowieka zwykle tak ponurego, lekki uśmiech wywabił.

Po téj przygodzie małéj, gdy Sikes głód swój dostatecznie zaspokoił, — Oliwer nie jadł nic, prócz małego kawałeczka chleba, do czego przemocą prawie go zmuszono, — ułożył się wraz z Tobijaszem na stołku swojém do krótkiego spoczynku. Oliwer niezmienił swego miejsca przy kominku, a Barney, otulony w prześcieradło, położył się na ziemi, tuż koło jednéj ścianki kominka.

Wszyscy spali, lub przynajmniéj zdawało się, iż śpią szczęśliwie, gdyż żaden z nich się nie ruszył; tylko Barney wstał czasami, aby na ogień węgla przyłożyć.

Oliwer zasnął głęboko, a ponure obrazy zeszłego dnia przesuwały się mu przed okiem jego duszy; to się

błąkał po polach pustych, dróżynach samotnych, ścieżkach nieznanych, to znów po ciemnym, okropnym cmentarzu, gdy go naraz Tobijasz Crackit z tego snu niemiłego przebudził, zrywając się nagle i wołając: że już pół do drugiéj!

W oka mgnieniu i tamci dwaj złoczyńce na równe nogi się zerwali, i wszyscy się natychmiast czynnie i śpiesznie zabrali do uczynienia wszelkich przygotowań do podróży.

Sikes i jego towarzysz otulili szyję i brodę w długie, ciemnobarwne szale, i przywdziali swe tołuby, a Barney otworzył pod tenczas szafę, wyjął z niej różne narzędzia, które oni śpiesznie w kieszeniach swoich ukryli.

— Podaj mi moje hałaśniki, Barney! — zawołał Tobijasz Crackit.

— Oto są! — odpowiedział Barney, podając mu parę pistoletów. — Sameś je nabił!

— Dobrze! — odpowiedział Crackit, chowając je do kieszeni. — Gdzież przekonywacze?

— Już je mam! — odpowiedział Sikes.

— A teraz klucze, świdry, piłki, wytrychy, latarniczka,... czyśmy niczego niezapomnieli?

Zapytał Tobijasz przymocowawszy drążek żelazny na sznureczku, pod jedną połą tołuba przyszytym.

— Jest wszystko!

Odpowiedział Sikes.

— Barney! przynieś mi mój kostur,..... to z wszystkiego najlepsze!

To mówiąc wyrwał gruby kij z rąk Barneya, który

drugi Tobijaszowi podał, a potém płaszcz Oliwerowi na plecy zarzucił.

— A teraz dalćj!

Zawołał Sikes, chwytając chłopca za rękę.

Oliwer, nieprzyzwyczajony do tak dalekich podróży, śród nocy,, mgły i deszczu, odzwyczajony przez swój pobyt u Żyda od świeżego powietrza, nienawykły do picia wódki, którą przemocą w niego wlano, był jakby odurzony i przytomności pozbawiony; czynił tedy wszystko, co mu nakazano bez oporu, i podał rękę swoję poniewolnie Billowi, który ją też natychmiast uchwycił.

— Weź go za drugą rękę, Tobijaszu! — rzekł Sikes. — A ty Barney, obejrzyj się pierwéj!

Barney wyszedł natychmiast i powrócił niebawem, mówiąc: że wszystko jest bezpieczne.

Obaj rozbójnicy wyruszyli tedy natychmiast z domu na wyprawę, z Oliwerem pomiędzy sobą; a Barney zamknął dom za nimi, otulił się na powrót w kołdrę i zasnął sobie niebawem głęboko.

Noc była nadzwyczaj ciemna; mgła większa i cięższa jeszcze jak przed północą, a powietrze tak wilgotne, że Oliwera brwi i włosy na głowie w kilka minut po opuszczeniu domu od mrozu stężały, pokryte szronem, w powietrzu się unoszącém.

Przeszli przez most i zwrócili swe kroki ku owem światełkom, które Oliwer już raz poprzód widział. Odległość nie była wielka, a że szli krokiem przyśpieszonym, przybyli też w krótce do Chertsey.

— Idźmy wprost przez miasto, — szepnął Sikes

z cicha; — niemamy się czego obawiać, abyśmy kogoś po drodze zdybali, coby nas mógł widzieć i poznać.

Tobijasz przystał na to. Puścili się zatém główną ulicą miasteczka, która o téj porze zupełnie pusta była.

Czasami wprawdzie słaby promień lampy nocnéj w niektórych domach przez szpary od okienic sypialni na ulicę się przedzierał, a szczekanie psów tu i owdzie ciszę nocną przerwało, lecz ani żywéj duszy na ulicy nie było, a oni bezpiecznie przez miasto przeszli niespostrzeżeni, i na otwarte pole wyszli, gdy druga godzina na wieży wybiła.

Zwolniwszy teraz cokolwiek kroku, zwrócili się na lewo boczną dróżyną.

Za ćwierć godziny najdaléj zatrzymali się koło samotnego domu, otoczonego w koło dość wysokim murem, na który się Tobiasz Crackit, odpocząwszy sobie tylko tyle, by cokolwiek odetchnąć, śpiesznie wdrapał.

Podajże mi teraz chłopca, — szepnął Tobijasz. — Podnieś go do góry, a ja go potém już sam wyciągnę.

Nim się Oliwer należycie w koło mógł obejrzeć, Sikes go już chwycił pod ręce, a Tobijasz się z nim w oka mgnieniu na przeciwnéj stronie muru na trawnik stoczył.

Sikes przybył tuż za nimi, poczém się wszyscy trzéj ostrożnie ku domowi skradać zaczęli.

Teraz dopiero Oliwer, z przerażenia i zgrozy do szaleństwa prawie doprowadzony, po raz pierwszy na tę myśl przyszedł i poznał, iż rozbój, rabunek, a może i zabójstwo celem téj wyprawy było.

Załamał tedy ręce w rozpaczy i wydał mimowolnie prawie lekki okrzyk zgrozy. W oczach mu się zaćmiło,

w głowie kręcić zaczęło, zimny pot wystąpił na jego czoło i wybladłe, zsiniałe oblicze, nogi pod nim zadrżały, a on padł na kolana.

— A wstaniesz ty! — zawołał Sikes po cichu na niego, drżąc z wściekłości, i dobywając z kieszeni pistoletu, — wstań! jeżeli niechcesz, abym ci łeb natychmiast roztrzaskał.

— Ach, błagam Was na miłość Boga! puśćcie mię, puśćcie! — żebrał Oliwer; — pozwólcie mi z tego miejsca uciec i gdziekolwiek bądź w polu życie zakończyć! Ja nigdy już do Londynu nie powrócę!.. nigdy! przenigdy! O błagam was! miejcie litość nademną! i nie każcie mi kraść i rabować! Zaklinam was na wszystko, co wam najdroższego na świecie;...na wszystkich świętych i aniołów w niebie, miejcie litość nademną!

Lecz ów człowiek, do którego się chłopczyna z prośbą swoją rzewną zwrócił, wyzionął okropne przekleństwo, kurek od pistoleta naciągnął, i byłby mu niebawem w łeb wypalił, gdyby Tobijasz jego ręki z pistoletem nie był odtrącił, Oliwerowi gęby nie zatkał, i ku domowi go z sobą nie powlókł.

— Cicho! — zawołał Crackit, — i nie piśnij ani słowa!....Jeżeli najmniejsze słówko jeszcze mrukniesz, to ja sam takiém uderzeniem w łeb z tobą skończę, że cię bez najmniejszego hałasu djabli wezmą, ani będziesz wiedział kiedy! a to się stanie daleko ciszéj, bezpieczniéj i ładniéj...A teraz, Billu, wyważ okienicę. ....On już teraz będzie spokojny i powolny;.... założę się z tobą o niewiedzieć co. Widziałem ja już starszych drabów od niego, którzy się tak zimnéj nocy jak

dzisiejsza, w podobném położeniu także chwil kilka wahali.

Sikes, wyzionąwszy okropne przekleństwo na Fagina, że z nimi do takiéj ważnéj wyprawy Oliwera wysłał, podsadził silnie drążek i zaczął dłutem koło okienicy ile możności jak najostrożniéj i najciszéj wyrabiać, lubo się zawsze bez małego szelestu nie obyło. Przy pomocy jednak Tobijasza, okienica w końcu puściła po niejakiéj chwili i wyważona z haków zdjęta być mogła.

Okienko było bardzo małe, półszosty stopy blizko od ziemi oddalone; w tyle domu umieszczone prowadziło do małéj śpiżarni czyli też domowego browaru, na samym końcu sionki. Otwór ten tak był wązki i mały, że właściciel domu tego może za konieczną potrzebę nie uważał, by go lepiéj zabezpieczać; był on jednak dość obszerny, aby się taki chłopczyna mały, jak Oliwer, snadnie przez niego mógł przecisnąć.

Sikes nie wielkiego natężenia swych sił lub też swéj sztuki na to potrzebował, aby i to okienko małe otworzyć, które w bardzo krótkim czasie żadnego im oporu więcéj nie stawiało.

— A teraz słuchaj, ty mały drabie! — szepnął Sikes, wyjmując z kieszeni małą latarniczkę którą zapalił i światło całe na oblicze Oliwera skierował. — Ja cię przez to okienko przesunę. Weź z sobą tę latarnię, wejdź ostrożnie, po cichu, po schodkach tuż przed tobą będących, przejdź przez sień aż do drzwi od ulicy;...te otworzysz i wpuścisz nas przez nie.

— U drzwi jest zasówka tak wysoko, żebyś jéj nie dostał, — dodał Tobijasz. — Przystaw że sobie jedno

z krzeseł w przedpokoju stojących. Jest ich tam trzy Billu! każde z ładnym niebieskim nosorożcem i złotemi widełkami;....jest to herb staréj pani.

— Sprawże się cicho! — krzyknął Sikes na Oliwera i spojrzał groźnie na niego. — Drzwi od izdebki, czy stoją otworem?

— I to na oścież, — odpowiedział Tobijasz, zajrzawszy ostróżnie przez okienko, aby się sam przekonać; — najzabawniéj, że oni je na noc zawsze otworem zostawiają, aby pies, mający tutaj swoje łoże, do sieni mógł wyjść i po niéj się przechodzić, jeżeliby gdzieś coś poczuł.... Ha! ha! ha! Barney go bardzo zręcznie dzisiaj wywabić umiał.

Lubo Crackit po cichutku szeptał, i bez wszelkiego hałasu się śmiał, tak że go o parę kroków ani słyszeć niemożna było, Sikes mu jednak nakazał milczeć i do dzieła się zabrać.

Tobijasz też natychmiast usłuchał, wyjął najprzód latarnię, postawił ją na ziemi, a potém się zgjął we dwoje, na nogach mocno osadził, głową o mur tuż pod okienkiem oparł, i rękami o kolana się podparł, tak że tym sposobem grzbiet jego stanowił niejako stopień od schodków, na który się Sikes natychmiast wspiął, Oliwera zwolna nogami naprzód przez okno przecisnął, i niewypuszczając go wcale z ręki zręcznie i ostróżnie, za kołnierz ciągle trzymając, na podłogę wewnątrz spuścił.

— Weź tę latarnię z sobą, — szepnął Sikes, spoglądając do owéj izdebki. — Czy widzisz schodki przed sobą?

Oliwer na pół umarły, odpowiedział mu, że widzi;

a Sikes, wskazawszy mu pistoletem drzwi od ulicy, napomniał go bardzo krótko, aby o tém niezapominał, iż go ze swego pistoletu wszędzie dosięgnąć może, i natychmiast trupem położy, jeżeliby się bynajmniéj ociągał i rozkazu jego wykonać nie chciał.

— Na to wszystko zaledwie jednéj minuty czasu potrzeba, — dodał Sikes ciągle swoim cichym szeptem. — A teraz cię puszczam! idźże i uczyń to, co ci nakazano. Żywo!

— Ha! co to jest! — zawołał nagle po cichu jego towarzysz.

Obaj uważnie nadsłuchiwali.

— To nic,....to nic! — odpowiedział Sikes, puszczając Oliwera; — a teraz daléj!

Przez ten czas krótki, który mu do rozmyślenia zostawiono, a on przytomność swoję odzyskał, Oliwer sobie szczerze postanowił wszystkiego użyć, aby mieszkańców domu rozbudzić, choćby go za to śmierć sama spotkać miała. Z tą myślą postąpił ku drzwiom, idąc jednak bardzo cicho.

— Wróć nazad! — zawołał nagle Sikes. — Nazad! nazad!

Oliwer, przestraszony tém nagłém przerwaniem grobowéj ciszy, w tym domu panującéj, i głośném krzykiem który natychmiast po tém nastąpił, upuścił z ręki latarnię niewiedząc co ma robić, czyli iść daléj, lub też uciekać.

Ów krzyk się powtórzył, — światło się pokazało, — widok dwóch ludzi przestraszonych, na pół ubranych, u góry schodów stojących, oczom jego się pojawił, — potém nagły łysk, — huk, — dym, — nakoniec hałas,

którego jednak już rozeznać nie mógł, — poczém w tył się potoczył, i na ścianę upadł.

Sikes znikł z okna na chwilę; lecz natychmiast na powrót się pojawił, i chłopca za kołnierz chwycił, nim się dym rozeszedł. Potém ze swego pistoletu nawzajem na owych ludzi wypalił, którzy się już oddalali, i chłopczynę przez okno przeciągnął.

— Przytul bardziéj ramiona do ciała! — zawołał Sikes, ciągnąc go przez okienko. — Podaj mi szal, Crackit! Żywo! Przeklęcie! jakże z tego chłopca krew cieknie!

Niebawem dał się słyszeć w domu odgłos dzwonka, szmer broni, strzelb, krzyk i hałas zbierających się ludzi, a to wszystko połączyło się w umyśle chłopca z uczuciem, jakoby go śpiesznie uciekając po drodze nierównéj niesiono.

Ten hałas, wrzask, zmniejszył się w niejakiéj odległości, mróz śmiertelny przejął całe jego ciało,.... zatamował bicie serca,.... a chłopczyna przytomność straciła.

ROZDZIAŁ XXIII.

Zawiera zabawną rozmowę pomiędzy panem Bumble i pewną niewiastą, i dowodzi, że nawet i Woźny w pewnym względzie czułym być może.

Noc była nadzwyczajnie zimna.

Śnieg, pokrwający ziemię, ściął się w jedną, jednostajną, grubą i gładką skorupę, tak że tylko bryły śniegu w rowach i po brzegach namiecionego, na całą gwałtowność wichru wyjącego wystawione były. On też całą swoję wściekłość nad tém wywarł, co nadybał, rozwiał te bryły w tysiączne płatki, uniósł je wirując do góry, i rozsiał potém po powietrzu.

Była to noc ciemna, zimna, dotkliwa, przenikliwa; noc, podczas któréj ludzie dobrze i wygodnie mieszkający zwykle koło ognia się kupią i Bogu gorące dzięki składają, że siedzą w domu; a ludzie ubodzy, bez przytyłku, ochrony, zwykle na ziemi się kładą, i z głodu, zimna umierają.

Ileż to ludzi nędznych, wygłodniałych, z łona społeczeństwa wyrzuconych, o takim czasie na ulicach naszych się kładzie i oczy swoje zamyka, których już nigdy choćby największym nawet był zbrodniarzem, w świecie gorszym i nielitościwszym dla niego więcéj nie otworzy.

Taki widok przedstawiał właśnie świat zewnętrzny téj chwili, kiedy pani Corney, gospodyni owego domu roboczego, z którymeśmy naszego czytelnika dawno już jako miejscem urodzenia Oliwera Twista zaznajomili, we własnym małym pokoiku, przy miłym ogniu na kominku płonącym wygodnie sobie usiadła, i z niemałém upodobaniem i przyjemnością na stolik okrągły okiem rzuciła, na którym tacka odpowiedniéj wielkości leżała, a na téj wszystko, co do przyrządzenia najmilszego kobietom napoju jest potrzebne.

Pani Corney chciała się właśnie kubkiem ciepłéj herbaty pokrzepić. A gdy jéj oko pomału ze stołu na ogień się zwróciło, na którym malupeńki kociołeczek śpiewkę króciótką, jednostajną, głosem cieniutkim, jednostajnym, odśpiewywał, przyjemność jéj wewnętrzna widocznie rosła, a w końcu tak jéj miło na sercu się zrobiło,....tak miło,...że aż uśmiech na ustach pani Corney osiadł.

— Miły Boże! — pomyślała sobie ta kobieta, sparta łokciami na stoliku, spoglądając na ogień zamyślona, — ja wiem dobrze, że my wszyscy mamy zawsze wielką przyczynę Bogu być wdzięcznemi,..tak jest, wielką przyczynę, chociaż jéj czasem sami nieznamy!

Pani Corney wstrząsnęła posępnie głową, jakoby opłakiwała ślepotę umysłową i przewrotność tylu ubogich

i nędzarzy, którzy téj przyczyny *wcale* nie znają, a wziąwszy do ręki śrebrną łyżeczkę, (jéj własność osobista) i zatopiwszy ją w najtajniejszą kryjówkę puszki, pięć łutów herbaty zmieścić w sobie mogącéj, zabrała się do przyrządzenia tego przyjemnego napoju.

Jakżeż małéj drobnostki na to potrzeba, aby w okamgnieniu błogość i pogodę tak wątłéj rzeczy jak nasz umysł, zniszczyć!

Ów kociołeczek czarny tak był mały, że nie wiele na to potrzeba było, aby go całkiem zapełnić; gdy się tedy woda w nim zagotowała i zakipiała, zaczęła wybiegać, i oparzyła cokolwiek rękę pani Corney, która właśnie owemi głębokiemi uwagami zajęta była.

— Przeklęty kociołek! — zawołała ta godna niewiasta, zdejmując go z trójnóżka i stawiając na krawędzi ogniska; — głupie, niedorzeczne naczynie, że się w niém parę kubków tylko mieści! .... Na cóż się przyda komu? ..... chyba, — dodała pani Corney po małéj chwili, — chyba takiéj kobiecie biednéj, opuszczonéj, jak ja? .... Miły Boże!

To wyrzekłszy zacna niewiasta na krzesło się rzuciła, łokciami napowrót o stół oparła, i nad swoją lichą dolą, iż w samotności życie swoje pędzić musi, rozmyślać zaczęła.

Ów kociołeczek mały, i filiżanka na stole zawsze samotna, pobudziła w jéj duszy takie smutne myśli o nieboszczyku panu Corney, jéj mężu, — który od dwudziestu pięciu lat dopiero w grobie leżał, — iż się mocno rozczuliła.

— Już ja żadnego więcéj nie dostanę! — zawołała

pani Corney zmartwiona; — ach!.... żadnego,.... takiego jak ten!

Czyli ta uwaga się na jéj męża ściągała,.... lub téż na kociołeczek,...... tego z pewnością wszelką powiedzieć trudno. Musiała się jednak prędzéj na kociołeczek ściągać, gdyż pani Corney wtedy właśnie na niego spoglądała, gdy to mówila, a nawet i natychmiast potém po niego sięgnęła.

Zaledwie pierwszy kubek herbaty wypiła, dało się słyszeć lekkie do drzwi pukanie i w piciu jéj przeszkodziło. —

— Któż tam taki?...... Wejdźże, wejdź, kto tam jest? — zawołała pani Corney opryskliwie. — Zapewnie ktoś od kobiety umierającéj,.... gdyż te przeklęte baby stare zawsze wtedy zwykle umierają, kiedy się do jedzenia zabieram. Niestójże, niestój we drzwiach, i nie wpuszczaj mi zimna do pokoju. No, i cóż tam takiego?

— Nic, nic, pani Corney! — odpowiedział głos męzki.

— Wielki Boże! — zawołała zacna niewiasta o wiele łagodniejszym głosem; — wszakże to pan Bumble!

— Na twoje usługi, pani Corney!

Odpowiedział Bumble, który się przede drzwiami na chwilkę był zatrzymał, aby trzewiki oczyścić i śnieg ze swéj odzieży otrząść, a teraz do pokoju się wsunął, trzymając w jednéj ręce swój kapelusz trójgraniasty, a w drugiéj zawiniątko.

— Mamże drzwi zamknąć, pani Corney?

Ta skromna i wstydliwa niewiasta wahała się cokolwiek z odpowiedzią, z obawy, aby w tém jakiéj nie-

przyzwoitości świat nie upatrzył, iż przy drzwiach zamkniętych z panem Bumble ma rozmowę. Lecz pan Bumble korzystał z tego wahania się, i zawarł drzwi bez wszelkiego pozwolenia, gdyż on mocno przemarzł i przcziąbł.

— Zimno na dworze! — rzekła pani Corney.

— Zimno, bardzo zimno! moja pani Corney, — odpowiedział Woźny. — Powietrze szkaradne, z uszczerbkiem dla Gminy!.... Musieliśmy już wydać na miasto, moja pani Corney,...... musieliśmy już wydać tego popołudnia dopiero dwadzieścia blizko bochenków chleba i półtora sera, a ubodzy jeszcze z tego nie są radzi! —

— Z pewnością że nie.... Kiedyż by ci byli radzi, panie Bumble?

Odpowiedziała zacna niewiasta, popijając herbatę.

— To prawda, kiedy? — potwierdził Bumble. — Oto mamy właśnie pewnego człowieka, któremu ze względu na żonę i liczną rodzinę dano cały bochenek chleba i funt sera.... funt cały, dobréj wagi! Czy pani myślisz,.... że on nam za to podziękował? co?.... Ani na grosz wdzięczności od tego człowieka nie mamy! Zamiast wdzięczności, moja pani Corney, przychodzi po węgle, choćby tylko garstkę, tyle co się do chustki zmieści, powiada!.... Węgli!..... na cóż tobie węgli? — Aby ser na nich usmarzyć, a potém przyjść po więcéj!...... Tak to jest zawsze z tymi ludźmi, moja pani Corney!.... — dzisiaj się im da pełny fartuch węgli, a ci bezwstydnicy bezczelni, miedzianego czoła, na trzeci dzień najdaléj po *więcéj* przychodzą!

Zacną niewiasta oświadczyła zupełne swoje zado-

wolnienie z tym obrazem zrozumiałym, a Woźny ciągnął dalćj:

— Ta bezczelność, — rzekł Bumble, — doszła w tych dniach do takiego stopnia wysokiego, jakem jeszcze nigdy nie widział. Przedwczoraj przyszedł człowiek, — pani byłaś już zamężną, mogę zatém powiedzieć, — który zaledwie kilka gałganów miał na ciele, (tutaj pani Corney oczy na dół wstydliwie spuściła,) zapukał do drzwi dozorcy wtedy właśnie, kiedy ten w dobranćm towarzystwie przy objedzie siedział, i rzekł, aby go koniecznie czémś wsparto; proszę sobie tę śmiałość wyobrazić, moja pani Corney! A że niechciał się oddalić, a widok jego gości mocno raził, nasz dozorca kazał mu dać funt ziemniaków i kwaterkę mąki owsianćj.... „Mój Boże!“..... zawołał wtedy ten niewdzięcznik przemierzły, „na cóż się mi to zdało? To tak samo, jakbyście mi parę żelaznych okularów dać chcieli!“.... „Dobrze więc!“.... odpowiedział na to nasz dozorca, odebrawszy mu to, co mu dano,.... „zatém nic nie dostaniesz, gdyż ja ci nic innego dać nie mogę.“.... „To ja na ulicy z głodu umrę!“.... rzekł na to ten włóczęga.

— Ten bezczelnik! — zawołała pani Corney z oburzeniem.

— Nieinaczćj! — odrzekł pan Bumble. — Nasz dozorca mu także odpowiedział:.... „jak ci się podoba mój człowieku!“

— Ha! ha! ha! .... to było bardzo dobrze!..... to nakształt pana Grannet, nieprawdaż? — wtrąciła pani Corney. — Cóż się potém stało, panie Bumble?

— Co się potém stało, moja pani? — odpowie-

dział Bumble. — Ten człowiek sobie poszedł i *umarł* na ulicy!...... Niejestże to człowiek krnąbrny, bezczelny?

— Niewiem, czylim już kiedy w mojém życiu o takiéj krnąbrności słyszała! — zawołała pani Corney z uroczystością. — Mnie się jednak zdaje, i jestem pewna, że i ty panie Bumble to zdanie moje potwierdzisz, że pomoc po za domem roboczym dawana, na nic się nie przyda, a nawet jest bardzo szkodliwą? Jako człowiek tak wielkie doświadczenie w téj mierze posiadający, powinienbyś o tém wiedzieć panie Bumble. Nieprawdaż?

— Moja pani Corney!

Zawołał Woźny, uśmiechnąwszy się tak, jak się zwykle każdy człowiek uśmiecha, który jest świadom swéj wyższości w czémkolwiek, o niéj przekonany, i okazać ją zamyśla.

— Moja pani Corney! ... pomoc pozadomowa,.... skromnie.... bardzo skromnie i oględnie użyta,.... jest największą ucieczką Gminy. Zasadą główną,..... ba najgłówniejszą i jedyną takiéj pomocy po za domem roboczym jest to, aby ludziom pomocy potrzebującym to dawać, czego właśnie nie potrzebują, a to ich tak zrazi, że drugi raz z prośbą nie przyjdą.

— A to sposób przecudowny! — zawołała pani Corney; — na tę myśl byłabym nigdy nie przyszła.... A to bardzo roztropnie!

— To prawda! Niech to jednak między nami pozostanie, moja pani Mann,..... tylko między nami, — napomniał pan Bumble.— Oto jest nasza wielka i główna zasada, i oraz przyczyna, dla czego tak często w na-

szych bezczelnych i przemądrzałych dziennikach czytać można, iż rodziny ubogie i chore serem jedynie obdarzono. To jest teraz w całém państwie ogólną zasadą, moja pani Corney. Proszę jednak o tém niezapominać, droga pani Corney, —dodał Woźny i zawiniątko swoje rozwijać zaczął; — proszę o tém niezapominać, że to są tajemnice urzędowe, o których tylko tacy urzędnicy Gminowi, jak my oboje, moja pani Corney, pomiędzy sobą mówić mogą...... Oto jest porter, który Zbór dla chorych wyznaczył,...... porter świeży, prawdziwy, czyściutki, dzisiaj popołudniu dopiero na flaszki ściągnięty;.... jasny jak krynica i żadnéj osady.

Pan Bumble wziął oraz jednę butelkę do ręki, potrzymał ją do światła, potrząsł nią na dowód, że w istocie jest bardzo dobra, i postawił potém obie na komodzie, złożył chustkę na powrót, w któréj je przyniósł, schował ją troskliwie do kieszeni, i wziął kapelusz do ręki, jakby się już do odejścia zabierał.

— Będziesz miał drogę bardzo przykrą, panie Bumble, — ozwała się zacna kobieta.

— Burza i mróz tak wielki, moja droga pani Corney, — odpowiedział Bumble, wywracając kołnierz od swego płaszcza, — że człowiekowi omal uszy nie odmarzną.

Pani Corney to na czajnik swój, to na Woźnego spojrzała, który się już ku drzwiom posuwał, a gdy Bumble odkrząknął, znak ostrzegający, że się żegnać i dobra noc jej powiedzieć zamyśla, ona go skromnie, ...wstydliwie,... zapytała, czyli od niéj filiżanki herbaty przyjąć nie raczy?

Bumble kołnierz od swego surduta natychmiast na

powrót odwinął, kapelusz i laskę na krześle położył, i krzesło drugie do stolika sobie przysunął.

Gdy się w końcu na nim poważnie usadowił, rzucił okiem na panią Corney. Zacna niewiasta oczy w czajnik wlepiła. Pan Bumble powtórnie odkrząknął, i lekko się uśmiechnął.

Pani Corney wstała i poszła do szafki po drugą filiżankę i drugą tackę.

Gdy na powrót usiadła, oczy jéj napotkały powtórnie słodkie wejrzenie zalotnego i ugrzecznionego Woźnego;.... rumieniec wystąpił wtedy na jéj lica, a ona się szybko zabrała do przyrządzenia drugiéj filiżanki herbaty.

Pan Bumble jeszcze raz krząknął;...... lecz tą razą daleko głośniéj jak dotąd.

— Czy słodko, panie Bumble?

Zapytała godna niewiasta, otworzywszy cukierniczkę.

— Ach słodko, słodko, jak najsłodziéj, droga pani Corney.

Odpowiedział Bumble, i mówiąc to, oczy swoje w panią Corney utkwił;.... a jeżli kiedy jaki Woźny słodko, pieszczotliwie, na kobietę spoglądał, to nasz pan Bumble téj chwili na takiego Woźnego wyglądał.

Pani Corney przyrządziła herbatę w milczeniu i podała mu ją nie rzekłszy ani słowa.

Bumble, osłoniwszy kolana chustką od nosa, aby sobie spodni nie splamić, i połyskującéj białości ich padającemi okruszynami nie zaćmić, zabrał się do jedzenia i picia, nadając pewnéj odmiany téj zabawie przez głębokie westchnienia, które jednak jego chęci do her-

łaty wcale niepsuły, ale owszem, czynność jego żołądka w oddziale herbaty i ciastek nieskończenie podniecać stę zdawały.

— Jak widzę, to chowasz u siebie kota, droga pani Corney!

Ozwał się nakoniec Bumble, spoglądając oraz na kotkę, która, swemi szczenniętami małemi otoczona, przy ogniu się grzała.

— I kotki małe także! — dodał po chwili.

— Ach ja je tak lubię!....panie Bumble! — odpowiedziała niewiasta. — To są *tak* ładne, *tak* wesołe, *tak* lube źwierzątka, że ich towarzystwo wielką uciechą jest dla mnie.

— Ładne źwierzątka, prawdziwie! — potwierdził Bumble; — a tak łaskawe!

— Ach to prawda! — odpowiedziała niewiasta z uniesieniem; — tak są do mnie i do domu przywiązane, że rozkosz największa patrzeć na nie; dalibóg, prawda!

— Pani Corney,....droga, zacna pani Corney!

Zawołał Bumble, mówiąc zwolna, wybijając takt łyżeczką od herbaty z ruchem poważnym i nader przyjemnym.

— Mnie się zdaje, że ten kot lub kotka, którą u siebie w domu trzymasz, osłemby chyba być musiała, gdyby do *ciebie* przywiązaną nie była.

— Ach, panie Bumble! — odparła skromnie zacna niewiasta.

— Jest to rzecz jasna, niezaprzeczona, moja droga pani Corney!

Potwierdził Bumble swoje zdanie, wywijając łyżecz-

ką od herbaty z pewną godnością miłośną, która mowie jego większéj jeszcze wartości, większego wpływu nadawała.

— A jabym z radością takiego kota własnoręcznie utopił!

— Ach, okrutniku! — zawołała pani Corney śpiesznie, i sięgnęła po filiżankę Woźnego. — Serce nielitościwe, kamienne!

— Serce kamienne, moja droga pani Corney! — rzekł Bumble; — kamienne!

Pan Bumble podał jej swoję filiżankę, niedołożywszy ani słowa więcéj, uścisnął paluszek pani Corney, gdy po filiżankę ręką sięgnęła, poklepał się przytém dłonią parę razy po swéj kamizelce galonowéj, westchnął głęboko, czule, i odsunął krzesło swoje cokolwiek od kominka.

Stolik, przy którym oboje siedzieli, był okrągły; a że pani Corney i Bumble naprzeciw siebie siedzieli do ognia zwróceni, a przestrzeń wielka ich od siebie nieprzedzielała, zdawałoby się każdemu, iż Woźny oddalając się od ognia, lecz zostając w téjże saméj odległości od stołu, przestrzeń owę pomiędzy sobą i swą nader miłą gospodynią chciał tylko powiększyć.

Czytelnicy rozsądni będą zapewnie podziwiać to postępowanie Woźnego i uznają ono za czyn nadzwyczajnie mężny i waleczny z jego strony, mając zwłaszcza wzgląd na to, iż pora, miejsce, okoliczności, wszelkę sposobność mu nastręczały i nadzwyczajnie sprzyjały do prowadzenia pewnych rozmów tak miłych, tak przyjemnych, a jednak złudnych, ulotnych, które może dla ludzi młodych, lekkomyślnych przystoją,

lecz godność wysokich Sędziów kraju, członków Parlamentu, Ministrów, Lord-majorów, i innych wysokich Urzędników Państwa poniżają, a szczególnie powadze i godności Woźnego, który, jak wiadomo, najsurowszym i najnieugiętszym z nich wszystkich zawsze być powinien, ubliżają i nieodpowiadają.

Jakiekolwiek bądź jednak zamiary pana Bumble były, — a nie wątpiemy wcale, że one bardzo dobre były,...jakiekolwiek one tedy były, dość że na jego nieszczęście,....jakeśmy to dwa razy już nadmienili,...... stolik przypadkiem był okrągły, tak że pan Bumble, posuwając się z krzesłem coraz dalej, przestrzeń pomiędzy sobą i ową zacną niewiastą koniecznie zmniejszać musiał; a że się to na zewnętrznym obwodzie koła działo, ich krzesła się w krótce tak dalece jedno do drugiego zbliżyły, że się z sobą zetknęły.

Gdy Bumble raz ten cel osięgnął, przestał natychmiast dalej się posuwać.

Pani Corney żadną miarą z miejsca się ruszyć nie mogła; gdyż, jeżeliby się z krzesłem na prawo była usunąć chciała, byłaby się za nadto do ognia zbliżyła i na niebezpieczeństwo oparzenia lub spieczenia naraziła; chcąc zaś na lewo się usunąć, byłaby wprost w objęcie pana Bumble wpadła.

Lecz ona była kobietą zacną, uczciwą; objąwszy przeto jednym rzutem oka te wszystkie skutki, pozostała na miejscu, i nalała drugą filiżankę herbaty Woźnemu.

— Serce kamienne, pani Corney?

Powtórzył Bumble, zamieszawszy herbatę, i spojrzał niewiaście prosto w oczy. —

— Czy i ty kamienne serce posiadasz, moja droga pani Corney?

— Wielki Boże! — zawołała ta zacna niewiasta, — jakież to dziwne pytanie na mężczyznę nieżonatego. Cóż to pana może obchodzić, panie Bumble?

Woźny wypił herbatę co do kropli, skończył ciasteczko, zmiótł okruszyny z kolan, otarł chustką usta, i wycisnął rozważnie pocałunek na licu niewiasty.

— Panie Bumble! — zawołała ta wstydliwa kobieta z cicha, albowiem tak mocno się przelękła, iż z przestrachu głos straciła. — Panie Bumble! ja będę krzyczeć.

Pan Bumble nic na to nieodpowiedział, lecz zwolna i poważnie ręką kibić jéj objął. Ponieważ ta zacna i skromna niewiasta raz już oświadczyła, iż będzie krzyczeć, byłaby to zatém z pewnością uczyniła po tym świeżym dowodzie śmiałości Woźnego, lecz ten dowód skromności stał się zupełnie niepotrzebnym, gdyż téj chwili właśnie do drzwi zapukano.

Zaledwie Bumble to pukanie usłyszał, zerwał się z krzesła z nadzwyczajną szybkością i poskoczył zręcznie ku butelkom z winem, które z pyłu i piasku ocierać zaczął, a pani Corney spytała tymczasem kwaśno i opryskliwie: kto tam do drzwi puka?

Jest to godném uwagi, jako dowód zadziwiający nadzwyczajnego wpływu nagłego przerażenia na skutki wielkiego przestrachu, iż pani Corney natychmiast całą ostrość i opryskliwość swego głosu urzędowego odzyskała.

— Przepraszam pani! — rzekła stara, zmarszczkami pokryta, odrażająco brzydka kobieta z domu robo-

czego, wsunąwszy głowę przez drzwi do pokoju; — ale stara Sally kona.

— A mnie co to obchodzi? — zapytała opryskliwie pani Corney. — Czyż ją mogę utrzymać przy życiu?

— Wiem ja, wiem dobrze iż nie, moja dobra pani! — odpowiedziała staruszka; — nikt tego już uczynić niemoże,....z nią już za daleko doszło. Widziałam ja już nie mało ludzi konających, tak dzieci drobnych, słabych, jak i wielkich, silnych, dorosłych mężczyzn, i umiem natychmiast rozpoznać, kiedy śmierć na człowieka przychodzi. Ale ona już przytomność traci,.... a jeźli na chwilkę do siebie jeszcze przyjdzie,....co się nie bardzo często zdarza, gdyż ona ciężkie ma konanie, ...wtedy mówi, że z panią koniecznie przed śmiercią pomówić musi. Ona nieumrze spokojnie, dopokąd jéj pani niewysłuchasz!

To słysząc, zacna pani Corney zaczęła się mocno gniewać i rozmaicie wyzywać na stare baby, które nawet umrzeć nie mogą, aby swych przełożonych konając jeszcze umyślnie na śmierć nie znudziły, i otuliwszy się śpiesznie w chustkę ciepłą, wełnianą, poprosiła pana Bumble, aby się u niéj zatrzymał, dopokąd nie powróci, obiecując, że to jak najprędzéj uczyni, jeżeli jéj coś szczególnego i nadzwyczajnego dłużéj nie zatrzyma.

Rozkazawszy potém staruszce żywo się zwijać, i nie leźć tak powoli, gdyż ona całéj nocy na schodach strawić nie myśli, wyszła za nią z pokoju w bardzo złym sosie, zrzędząc i gderając przez całą drogę.

Postępowanie pana Bumble, gdy sam w pokoju pozostał, było niepojęte, niedocieczone. Otworzył bowiem

szafkę, policzył wszystkie łyżki i łyżeczki, zważył w ręce cukierniczkę i szczypczyki od cukru, obejrzał dokładnie garnuszek srebrny na śmietankę, aby się przekonać, iż jest z czystego srebra, a zaspokoiwszy należycie ciekawość swoję w téj mierze, zasadził swój kapelusz trójgraniasty na bakier na głowę, i zaczął z wszelką powagą przez niejaki czas koło stolika tańczyć.

Po ukończeniu tego niesłychanego i nadzwyczajnego widowiska, zdjął na powrót kapelusz z głowy, rozłożył się szeroko koło ognia, plecyma do niego odwrócony, i zatopił w dokładne myślą obliczenie i ocenienie całego uporządkowania pokoju i własności pani Corney.

ROZDZIAŁ XXIV.

Krótki, lecz bardzo ważny na przyszłość.

Kobieta, która spokojność i błogość pani Corney tak niemiło przerwała, niebyła niestósownym zwiastunem śmierci. Wiek postać jéj nagiął, nachylił, udar członki jéj poraził, władzy pozbawił, a oblicze wykrzywione, poorane, dziwnie pomarszczone, zdawało się być raczéj utworem dziwacznym jakiegoś dzikiego pęzla, jak dziełem twórczéj przyrody.

Boże! jakżeż mało twarzy mamy, któreby nas tą pięknością rozweselały, jaką przyroda je pierwotnie ustroiła!

Troski, zgryzoty, dolegliwości najrozmaitsze świata zmieniają je w krótce, podobnie jak i serca nasze; i tylko wtedy, gdy namiętności zasną, i władzę swoję na zawsze utracą, owe chmury posępne się rozpraszają, i błękit nieba czysty, pogodny, za sobą zostawiają.

Jest to widowiskiem bardzo zwyczajném, że oblicza umarłych w tym stanie śmiertelnego otrętwienia, pe-

wnego wyrazu nabierają, który je bardzo dawno, w czasach marzącego jeszcze dziecieństwa zdobił, i przez to wiele podobieństwa do pierwszych lat swéj młodości na powrót zyskują. One się wtedy tak spokojne, tak miłe i łagodne na powrót stają, że ci, którzy ich z czasów błogiéj młodości jeszcze znali, z czcią i uszanowaniem koło zwłoków ich klękają, i w nich samych aniołów na ziemi upatrują.

Stara kobiecina szła tedy jak tylko mogła najśpieszniéj przez kilka sieni i parę schodów do góry, mrucząc sobie coś pod nosem niezrozumiale, w odpowiedzi niejako na ciągłe zrzędzenie swéj towarzyszki, oddała jéj świece, gdy się na chwile zatrzymać musiała, aby cokolwiek odetchnąć i sił nabrać, i pozostała w tyle, chcąc się za nią wtedy dopiero udać, gdy do sił przyjdzie, a żwawa jeszcze dozorczyni roboczego domu żywo tymczasem daléj pośpieszała, i ku izbie, w któréj konająca leżała, kroki swe zwróciła.

Była to izba na poddaszu, nędzna, zimna, o jednéj, lichéj lampie, tlejącéj w kącie.

Koło łóżka siedziała druga staruszka, a uczeń gminowego lekarza stał przy kominku, zarzynając sobie piórko do zębów.

— Noc bardzo zimna, pani Corney!

Ozwał się ten młody człowiek, gdy do izby weszła.

— Prawda, że bardzo zimna!

Odpowiedziała mu jak najgrzeczniéj i dygnęła.

— Powinnibyście się o lepsze węgle postarać, — mówił daléj uczeń lekarza, tłukąc parę stopionych kawałków węgla końcem zardzewiałéj łopatki od ognia; — te węgle na nic się nie zdadzą przy takim mrozie.

— Ja się nimi wcale nie trudnię, mój panie; — odparła gospodyni domu roboczego; — zbór je sam wybiera i godzi. Jeżeli coś dla nas uczynić może, to chyba to, żeby nas przynajmniéj ciepło trzymał, gdyż nasze obowiązki są i tak dosyć uciążliwe.

Jęk stłumiony konającéj przerwał téj chwili rozmowę.

— A!

Zawołał młodzieniec, obróciwszy się do łóżka, jakby sobie teraz dopiero konającą przypomniał.

— Już dogorywa, pani Corney!

— Doprawdy? — spytała zacna gospodyni.

— Mocno by mię dziwiło, gdyby jeszcze kilka godzin pożyła, — odpowiedział uczeń lekarza, kończąc piórko do zębów. — Już wszystkie władze jéj ciała ustają. Czy zasnęła może, stara?

Staruszka zagadnięta nachyliła się na łóżko i kiwnęła głową na znak potwierdzenia.

— A więc może w tym śnie i na tamten świat się przeniesie, jeżeli nie będziecie robić hałasu i jéj więcéj nieprzebudzicie, — odpowiedział młodzieniec. — Postawcie światło na podłodze, aby jéj w oczy nie biło.

Stara dozorczyni uczyniła to natychmiast co jéj nakazano; lecz głową przytém wętrząsnęła, chcąc niby przez to dać do zrozumienia, że ta kobieta tak prędko nie skona, jakby się zdawało; poczém na swojém miejscu obok drugiéj dozorczyni na powrót usiadła, która podten czas także powróciła.

Pani Corney otuliła się mocniéj w swoję chustkę wełnianą z wyrazem wielkiéj niecierpliwości i usiadła sobie u nóg łóżka.

Uczeń lekarza, dokończywszy robotę swego piórka od zębów, stanął blizko przed ogniem, i zrobił natychmiast użytek ze swego wyrobu, przekłuwając sobie nim zęby przez dziesięć minut blizko; poczém mu się zapewnie spać zachcieć musiało, gdyż panią Corney pożegnał, życząc jéj dobréj zabawy i dobréj nocy, i na palcach się z izby wyniósł.

Obie dozorczynie stare przesiedziawszy przez czas niejaki przy łóżku w milczeniu, wstały nakoniec, zbliżyły się do kominka, przyklękły koło ognia, i zaczęły sobie grzać przy nim ręce wyschłe, pomarszczone. Przy tym płomieniu sinym, niebieskawym, twarze ich zapadnięte, starością wycieńczone, okropnie wyglądały, niby oblicza duchów, strachów nocnych;....w téj postawie rozpoczęły międzą sobą po cichu następną rozmowę:

— No i cóż Hanno, czy nic więcéj nie powiedziała, kiedym po panią Corney chodziła?

Zapytała towarzyszki ta, którą po gospodynię domu roboczego wysłano.

— Ani słówka, — odpowiedziała jéj towarzyszka. — Zaczęła tylko drżyć i skubać się po rękach i piersi przez czas niejaki,.... ale ja ją za ręce chwyciłam, a ona się wkrótce uspokoiła. Już nie wiele sił ma w sobie;....mogłam jéj przeto wnet dać radę. Nie jestem ja jeszcze tak słaba na moje stare lata, przy tém życiu nędzném na koszta Gminy!....oj nie! nie!

— A czy wypiła to wino przygrzane, które jéj lekarz przepisał? — zapytała pierwsza.

— Chciałam go w nią wlać, — odpowiedziała druga, — ale ona miała zęby tak mocno ścięte, i szczęki

zaciśnięte, że niepodobna było ani kropelki w usta jéj przecedzić. Wypiłam go zatém sama i spodziewam się, że mi na złe nie wyjdzie.

Obejrzawszy się potém ostrożnie na około, aby się zapewnić, że ich nikt słyszeć niemoże, te dwie czarownice bliżéj jeszcze do ognia się przysunęły, i serdecznie rozśmiały.

— Pamiętam ja dobrze te czasy, — rzekła pierwsza, —kiedyby ona sama to była uczyniła, i jeszcze się dobrze z tego naśmiała.

— Oj to prawda! .... to prawda! — odpowiedziała druga; — ona bardzo lubiła podobne żarciki! Nie jedno ciałko ładne ona już wyciągnęła, a takie toczne i krągłe jakby z wosku.... Widziałam to nieraz na moje własne stare oczy, a te ręce stare ich się także dotykały, gdyż ja jéj nieraz w téj pracy pomagałam.

Stara czarownica to mówiąc, palce swoje drżące przed siebie wyciągnęła, podniosła je równo z twarzą, pokiwała niemi kilkakrotnie, a potém zatopiwszy je do kieszeni, dobyła z niéj staroświeckiéj, wytartéj, wypłowiałéj tabakierki, z któréj kilka ziarnek tabaki na dłoń swéj towarzyszce, a kilka więcéj na dłoń własną wysypała.

Kiedy się te dwie staruszki w taki sposób z sobą zabawiały, pani Corney, zniecierpliwiona nadzwyczajnie tém długiém czekaniem na ocknięcie się owéj kobiety umierającéj ze swego snu i otrętwienia, zbliżyła się do nich do ognia, i zapytała opryskliwie: jak długo jeszcze będzie czekać musiała?

— Nie długo, moja pani, nie długo! — odpowiedziała druga staruszka, podnosząc na nią swe oczy. —

My wszyscy nie długo mamy na śmierć naszą czekać. Cierpliwości tylko, cierpliwości! Już ona dość wcześnię wszystkich nas dosięgnie!

— Milcz lepiéj, głupia babo! — zawołała pani Corney surowo. — Powiedzcież mi wy Marto, czy ona już poprzód kiedy w takim stanie leżała?

— Oj i bardzo często! — odpowiedziała zagadnięta staruszka.

— Ale to się już więcej razy nie stanie, — wtrąciła druga, — gdyż ona tylko raz jeden jeszcze z tego otrętwienia się opamięta, ... i to nie na długo, proszę o tém pamiętać, moja pani.

— Czy na długo, czy nie na długo, — odpowiedziała pani Corney porywczo, — ona mię więcéj tutaj nie zobaczy, gdy się obudzi, a wy obydwie miejcie się na baczności, jeżeli mię raz jeszcze kiedy po nic wołać będziecie. To nie należy wcale do mojego obowiązku być naocznym i niepotrzebnym świadkiem, jak wszystkie stare kobiety w całym domu roboczym umierają; a wreszcie ja tego nie chcę, ... ja tego nie potrzebuję..... Zapiszcież sobie to za uchem, wy stare, bezczelne czarownice! Jeżeli mię jeszcze raz kiedy za dudka mieć będziecie, to ja się wam za to wypłacę, spuśćcie się na mnie.

Już się do wyjścia zabierała i oddalić chciała, gdy ją nagły okrzyk obu staruszek dozorujących, które do łóżka obrócone, konającą na oku miały, wstrzymał i do obejrzenia zniewolił. Wtedy spostrzegła, że kobieta umierająca na łóżku się zerwała, usiadła i ręce do nich wyciągnęła.

— Kto to jest? — zawołała grobowym głosem.

— Cicho! cicho! — zawołała jedna z dozorczyń starych, zbliżywszy się do niéj, i nachylając nad nią, — połóżcie się, połóżcie, i leżcie spokojnie!

— Już ja się przy życiu nigdy więcéj nie położę!— odpowiedziała konająca, broniąc się jéj; — ja *chcę* z nią mówić!.... Zbliżcie się do mnie,.... bliżéj!.... bliżéj! ....Niech wam coś do ucha powiem!

Chwyciła panią Corney za ramię, i zmuszając ją do tego, aby sobie na krześle koło niéj usiadła, już się mówić do niéj zabierała, kiedy okiem koło siebie potoczywszy dostrzegła, iż obie staruszki dozorujące ku niéj nachylone stały, i głowy wyciągnąwszy ciekawie i chciwie nadsłuchiwać się zdawały.

— Każ się im oddalić! — ozwała się wtedy konającym głosem; — tylko żywo!.... tylko żywo!

Obie stare czarownice, widząc że je wypędzano, zaczęły jednogłośnie rzewne płacze i żale rozwodzić, skarżąc się głosem najżałośniejszym, iż z biedną ich towarzyszką tak daleko już doszło, że najlepszych swoich przyjaciółek więcéj nie poznaje, i oświadczyły na kilka zawodów otwarcie, iż tego na sercu nie przeniosą, aby ją w ostatniéj życia godzinie opuścić miały; lecz przełożona, niezważając na te ich jęki i tak wielkie przywiązanie, wytrąciła je za drzwi, które za niemi zamknęła i napowrót koło łóżka usiadła.

Staruszki, widząc że je z izby wypędzono, zmieniły nagle swoje postępowanie, i zaczęły głośno przez dziurkę od klucza wrzeszczeć, że się stara Sally upiła, a to nie było w istocie tak niepodobném do prawdy, jeżeli na to uwagę zwrócimy, że staruszka umierająca nietylko znaczną ilość opium przez lekarza przepisanego

zażyć musiała, ale i skutki sporéj szklanki wódki z wodą, którą ją owe obie dozorczynie stare w szczerości swego serca, jako dawną przyjaciółkę potajemnie na dodatek uraczyły, jeszcze nie przeminęły.

— A teraz chciéj mnie wysłuchać!

Zawołała konająca tak głośno, jakby ostatnich sił swoich dobywała, aby ostatnią iskierkę dzielności swojéj ukrytéj obudzić.

— Słuchaj mnie!.... W téjże saméj izbie,.... na tém samém łóżku,.... pielęgnowałam przed laty młode, ładne dziewcze, które (z nogami rannemi od dalekiéj podróży, zapylone, zakrwawione, do tego domu przywiedziono. Tutaj porodziła chłopczynę i umarła.... Może sobie..... rok jeszcze przypomnę?.... zaraz!.....

— Niechaj się tam kiedy chce stało, o rok nam wcale nie chodzi! — ozwała się niecierpliwa z ciekawości pani Corney; — mów lepiéj, co się daléj stało?

— Co się daléj stało?— mruknęła konająca kobieta, wpadając na nowo w swoje dawniejsze otrętwienie i ospałość; — o tak, co się daléj stało!.... ja wiem,.... wiem,.... co się daléj stało!....— wrzasnęła, zrywając się powtórnie i przychodząc do siebie; rumieniec pokrył jéj lica, a oczy lśniące omal że jéj z głowy nie wyskoczyły; — ja ją okradłam!.... tak jest,.... okradłam ją! zrabowałam!.... Ona jeszcze nie zastygła!.... jeszcze nie zastygła, powiadam ci! kiedym jéj skradła, ... zrabowała!

— Cóżeś jéj skradła? powiedz na miłość Boga! — Zawołała pani Corney z ruchem, jakoby o pomoc zawołać chciała.

— *To*!

Odpowiedziała konająca i rękę na ustach pani Corney położyła.

— Jedyne, co miała. Nie miała odzieży, aby się ciepło otulić, nie miała żywności, aby się od głodu uchronić;.... a jednak to troskliwie przechowała, i w zanadrzu swojém ukryte trzymała...... Było to złoto!.... mówię ci, złoto!..... szczere złoto, którém by się od śmierci była okupić mogła!

— Złoto! —

Powtórzyła pani Corney, nachyliwszy się szybko na umierającą kobietę, która się téj chwili, sił pozbawiona, na łóżko wywróciła.

— Mówże,..... mów daléj!..... na miłość Boga, mów!..... co się daléj stało?..... co ta kobieta była za jedna?.... zkąd była?.... kiedy się to stało?

— Kazała mi to ukryć i troskliwie przechować, — odpowiedziała konająca z żałośnym jękiem; — i zwierzyła się mi, jako jedynéj kobiecie, która się przy niéj znajdowała. Skradłam jéj to wtedy jeszcze w mojéj myśli, w sercu, kiedym ono po raz pierwszy na jéj szyi zawieszone zobaczyła. I chłopca mam także może na sumieniu!..... Byliby się może z nim lepiéj obchodzili, gdyby o tém wszystkiém byli wiedzieli?

— O czémże wiedzieć mieli, o czém? — zawołała pani Cornéj. — Mówże, mów, na miłość Boga!...... o czém?

— Ten chłopczyna był tak podobnym do swéj matki, — odpowiedziała konająca, która coraz bardziéj przytomność tracąc, na pytanie nie zważała; — żem ją zawsze przed oczyma widziała, gdym się na niego spojrzała.... Biedna dziewczyna!....tak była jeszcze młoda!...

takie jagnie łagodne, miłe!.... Ha!....ja wam jeszcze coś więcéj mam powiedzieć! a możem wam już wszystko powiedziała,....co?

— Nie, nie! —

Odparła pani Corney, pochyliwszy głowę, aby jéj słowa uchwycić, które konająca coraz słabiéj, coraz to niezrozumialéj wymawiała.

— Mówże, mów prędzéj, co masz mówić, aby potém już za późno niebyło.

— Matka, — odpowiedziała konająca, z większém daleko natężeniem jak dotad; — matka mi szepnęła do ucha, gdy śmiertelne poty na nią występowały, że gdy się jéj dziecko narodzi i wyrośnie, to chwila owa może przyjdzie, że się niebędzie potrzebowało wstydzić, jeżeli nazwisko jego matki ktoś wyrzecze.... „Wielki Boże!"....dodała, złożywszy swe wyschłe ręczęta,.... „czy to będzie chłopiec lub dziewczyna, ujmij się za tą dzieciną, wzbudź jéj przyjaciół na tym świecie smutnym, i ulituj się nad tą samotną, opuszczoną sierotą, niemającą nikogo prócz ciebie!"

— Jakżeż temu chłopcu na imie? — zapytała pani Corney.

— *Nazwali* go Oliwer! — odpowiedziała konająca głosem słabym. — A złoto,....które skradłam,.... był to....

— No i cóż?....cóż? — zawołała gospodyni.

Żywo się nad konającą nachyliła, aby odpowiedź jéj uchwycić; mimowolnie jednak z odrazą od niéj odskoczyła, spostrzegłszy, że ta raz jeszcze zwolna, wyprężona, się podniosła, usiadła, z okiem w słup postawioném, konającém, kołdrę oboma rękoma chwyciła,

kilka słów niezrozumiałych po cichu szepnęła, i bez duszy na łóżko na powrót opadła.

. . . .

— Umarła! —

Zawołała jedna z owych starych dozorczyń, wpadłszy do izby, skoro tylko drzwi otworzono.

— A przy tém wszystkiém nie miała nawet nic do powiedzenia!

Odpowiedziała na to pani Corney, oddalając się spokojnie.

Obie staruszki były widocznie za nadto troskliwie swém smutném zatrudnieniem koło zwłok zmarłéj zajęte, aby cośkolwiek były na tę uwagę swéj przełożonéj odpowiedzieć mogły, i pozostały niebawem same, krzątając się pilnie koło ciała zmarłéj.

ROZDZIAŁ XXV.

Powieść powraca do Fagina i jego towarzyszy.

Kiedy owe wydarzenia na prowincyi w domu roboczym zaszły, Fagin siedział tymczasem w stolicy w swojej jamie tajnéj,.... w téjże saméj, z któréj dziewczyna Oliwera uprowadziła....i rozmyślał, dumał, przy ogniu ciemnym, dymiącym.

Na kolanach trzymał mieszek mały, widocznie w tym celu, aby nim ogień ożywić, rozżarzyć; lecz w głębokich myślach pogrążony, ręce na tym mieszku założył, brodę sparł na wielkich palcach, i oczy wlepił nieruchome w żelazne, zardzewiałe kominka podpory.

Przy stoliku w niejakiéj odległości od Żyda stojącym, siedzieli Smyk, Karolek Bates i Chitling, zajęci mocno grą w wista. Smyk grał właśnie z kołkiem przeciwko panom Bates i Chitling.

Oblicze Smyka, w którém się zwykle wielka przebiegłość i bystrość przebijała, nabierało jeszcze więk-

széj przebiegłości i bystrości przy gre, do którój wszystkie swoje władze umysłowe zebrać musiał, zwłaszcza, przy téj uwadze nadzwyczajnéj i natężonéj na rękę pana Chitling, na którą co chwila, jeżeli tylko sposobność do tego mu się nastręczyła, okiem potajemnie rzucał, i całą grę swoję stósownie do tych uwag, które przez dorywcze zajrzenie w karty swego sąsiada nazbierać był w stanie, z niewypowiedzianą roztropnością zakierować umiał.

Ponieważ to była noc zimna, Smyk sobie siedział w kapeluszu, co się u niego z resztą bardzo często przytrafiało, chociaż był w domu. W zębach trzymał fajkę glinianą, na krótkim, giętkim cybuchu, którą wtedy jedynie na czas bardzo krótki z ust wyjmował, jeżeli za rzecz potrzebną uznał sięgnąć dla pokrzepienia po dzbanek na stole stojący, który dla uraczenia tak zacnego towarzystwa, wódką z wodą zmięszaną był napełniony.

I pan Karolek Bates wielką baczność na grę dawał; będąc jednak z przyrody już nieco drażliwszym i żywszym, jak jego przyjaciel ukończony, szczególniejszym sposobem daleko pilniéj od niego do wódki z wodą się przykładał, daleko częściéj z dzbanka popijał, i przez to w różne żarciki niedorzeczne i uwagi niepotrzebne zapuszczał, które się z odegraniem umiejętném robra wcale niezgadzały.

Smyk też rzeczywiście, budując na te ściśle związki przyjaźni, które ich ze sobą łyczyły, nie jednéj sposobności zręcznie użył, aby go w téj mierze napomnieć, i podobne nieprzyzwoitości mu zganić; lecz pan Karolek Bates te wszystkie wyrzuty jak najlepiéj przyj-

mował, prosząc usilnie swego przyjaciela, aby się nienadymał, głowy mu nie mył, lecz raczéj swoję do worka wścibił;.. lub też podobnymi żartami wszystkie jego napomnienia zbywał, których zręczne i ładne użycie i zastósowanie pana Chitling w niewysłowione podziwienie wprawiało, i wielką przyjemność mu robiło.

Była to jednak rzecz dziwna i szczególna, że ten panicz ostatni i jego wspólnik zawsze przegrywali, i że ta okoliczność żadnéj przykrości panu Karolkowi Bates nie sprawiała, ale owszem taką uciechę nadzwyczajną robić się mu zdawała, iż za każdą grą skończoną na całe gardło się zwykle śmiał, oświadczając, iż odkąd żyje, nigdy jeszcze tak ładnéj gry niewidział, i tak dobrze się nieubawił.

— Otóż i druga dubla i rober skończony! — zawołał Chitling, nadzwyczajnie zmartwiony, wyjmując z kieszonki od kamizelki kilka szylingów, które mu zapłacić wypadało. — Jeszczem nigdy niewidział, aby ktoś tak szczęśliwie grał jak ty, Kubasiu!.... Ty zawsze wygrywasz. A chociaż my nieraz z Karolkiem bardzo dobre karty miewali, jednakeśmy nic z nich wyrobić nie mogli.

Ta uwaga, czyli raczéj sposób i głos żałośny, z jakim wyrzeczona została, tak się Karolkowi Bates śmieszną wydała, że natychmiast głośnym śmiechem parsknął, a ten wybuch śmiechu przebudził nagle Żyda z jego zamyślenia i spowodował go do tego, że się ich zapytał, co tak śmiesznego mają?

— I bardzo śmiesznego, Fagin! — odpowiedział Karolek. — Jabym sobie życzył, żebyś się naszéj grze uważnie był przypatrzył. Tomasz Chitling ani jednego oka

nie wygrał, a ja byłem jego wspólnikiem przeciwko Smykowi z kołkiem.

— Czy tak? —

Zawołał Żyd z uśmiechem szyderskim, dowodzącym dostatecznie, iż mu przyczyna tego nie jest niewiadoma.

— Spróbuj z nim jeszcze raz Tomaszu, spróbuj z nim jeszcze raz!

— Nie, nie!....dość już mam i na tém;....dziękuję za więcéj panie Fagin; — odpowiedział Chitling. — Ten Smyk ma dzisiaj takie szczęście szelmoskie, że niepodobna z nim nic począć.

— Ha! ha! ha! mój kochany, — odpowiedział Żyd na to, — musisz się bardzo rano wybrać, jeżeli chcesz ze Smykiem wygrać.

— Rano! — zawołał Karolek Bates; — musisz chyba przez całą noc butów niezdejmować, do każdego oka dalowid przywiązać, i na karku lornion sobie kazać przymocować, jeżeli go chcesz zwyciężyć, lub przewyższyć.

Dawkins przyjmował te wszystkie grzeczności pochlebne z największą spokojnością i obojętnością, i oswiadczył swoję gotowość puścić się z którymkolwiek bądź z zacnego towarzystwa w inną grę w karty; na przykład: kto pierwszą fogurę dostanie, o całego szylinga stawki.

Lecz gdy żaden z nich tego przyjąć nie chciał, a fajka się tymczasem właśnie zakończyła, wynalazł sobie inną zabawkę, i zaczął przez żart rys więzienia Newgate na stole kawałkiem kredy kreślić, która mu poprzód za liczman do gry służyła, świszcząc sobie przytém z właściwą sobie sztuką mistrzowską.

— Jaki z ciebie człowiek śmieszny i szczególny, Tomaszu!

Ozwał się nakoniec Smyk, przerywając długie milczenie, które dotąd panowało.

— Co myślisz Faginie,..o czém teraz nasz Tomasz rozmyśla?

— Cóż ja mogę wiedzieć, mój drogi? — Odpowiedział Żyd, dmąc mieszkiem w ogien, i spoglądając na wszystkich po kolei. — Zapewnie o swojéj przegranéj, albo też może o swojém życiu samotném w tém tak ludném mieście, które niedawno dopiero porzucił, co? .... Ha! ha! ha! nieprawda, mój drogi?

— Ale gdzież tam, aniście słówka niezgadli, Faginie! —

Odpowiedział Smyk, przerywając mowę, gdy spostrzegł, iż Chitling chce coś powiedzieć.

— A ty Karolku, cóż *ty* na to powiesz?

— Mnie się zdaje, że ja prawdę odgadłem, — odpowiedział Karolek z uśmiechem szyderskim. — On myśli o Betsy, w któréj się po uszy zakochał.... Patrz no, patrz jakiego ogromnego spiekł raka!...... O na moje oczy! jakiż to z niego śmieszny chłopak!..... Tomasz Chitling zakochany!.... ha! ha! ha! Ach Faginie! Faginie! to nad moje siły!.... ha! ha! ha! to śmiesznie! to zabawnie!

Tą wiadomością zupełnie pokonany, że Chitling stał się ofiarą tak tkliwego przywiązania do panny Betsy, pan Karolek Bates rzucił się w rozkoszném uniesieniu swéj wesołości z taką siłą w tył na krześle, że równowagę stracił, wraz z krzesłem na ziemię się wywrócił, i tak długo na niej jak lin wyciągnięty leżał, — gdyż

ten przypadek jego wesołości wcale nie zmniejszył, — dopokąd go śmiech nie opuścił; poczém dopiero z ziemi się podniósł, na pierwszém miejscu swojém na powrót usiadł, i na całe gardło powtórnie się roześmiał.

— Nie gniewaj się o to na niego, i niezważaj na to wcale, mój drogi!

Ozwał się Żyd, mrugając na Smyka, i uderzając lekko Karolka końcem mieszka, na znak ostrzeżenia, aby się opamiętał i pohamował.

— Betsy, to dziewczyna bardzo zacna, bardzo godna. Weź się do niéj szczerze, Tomaszu! radzę ci otwarcie;....weź się do niej!

— Ja też to właśnie uczynić myślę, Fagin! — odpowiedział Chitling, czerwony na twarzy jak burak; — i spodziewam się, że tutaj nikt niema nic przeciwko temu.

— A uchowaj Boże! Któżby śmiał przeciwko temu coś zarzucić; — odpowiedział Żyd. — Ot zwyczajnie! Karolek to wyrzekł, aby tylko coś powiedzieć,..dla tego nie zważaj wcale na niego, mój drogi, niezważaj na niego! ....Betsy jest to dziewczyna bardzo zacna, bardzo miła. Połącz się tedy z nią, Tomaszu! połącz się z nią, a zrobisz szczęście.

— To ja też *chcę* uczynić, jeżeli tylko ona się ze mną połączyć *zechce*, — odpowiedział Chitling. — Jabym się nawet dał chętnie do więzienia zamknąć, jeżeliby taka wola jéj była i ona to za potrzebę uznała. A to by zapewnie na złe wam nie wyszło, Fagin, i niekorzystném nie było, nieprawda Fagin? A wreszcie, cóż znaczą sześć tygodni? Wszak czy dziś, czy jutro, zawsze one nas nie miną;.... czyż nie lepiéj je odsiedzieć zimową porą, kiedy tyle roboty niema, wy nas tak bar-

dzo nie potrzebujecie, i łatwéj się bez nas obejść możecie, nieprawdaż, Fagin?

— To prawda, to prawda, mój drogi! — odpowiedział Żyd z uśmiechem.

— I tybyś sobie z tego wcale nic nie robił, Tomaszu, gdyby tylko Betsy na to przystała, co?

Zapytał Smyk, mrugnąwszy na Karolka i Żyda.

— Zdaje mi się, żem już raz powiedział, iżbym sobie z tego nic nierobił, — odpowiedział Tomasz kwaśno; — i powtarzam to samo jeszcze raz teraz! Któryż z was to o sobie powiedzieć może? co?..... chciałbym tego widzieć; ha, co Faginie?

— Żaden,.....żaden, mój drogi! — odpowiedział Żyd; — ja wiem o tém dobrze, żeby się żadna dusza nieznalazła, którąby to uczynić chciała,....... wyjąwszy ciebie, mój drogi! wyjąwszy ciebie!

— Mógłbym się był łatwo uwolnić, gdybym się był chciał usunąć i z drugich zażartować? nieprawdaż Fagin? — ciągnął daléj biedny Tomasz rozdrażniony, z którego tak dowcipnie zadrwiono. — Jedno słówko moje mogło już być dostateczne, nieprawda Fagin?

— Prawda, mój drogi! prawda, wielka prawda!.. — potwierdził Żyd.

— Czym się kiedy z czémś wygadał, co Fagin?.. czym się z czémś wygadał?

Pytał ciągle niezmordowany Chitling, zadając pytanie po pytaniu z nadzwyczajną łatwością.

— Nie, nie, tego nikt na ciebie powiedzieć nie może! — odpowiedział Żyd, — ty jesteś za nadto dumny, abyś to miał uczynić,......tak, tak, za nadto dumny, mój drogi!

— A może i jestem dumny, — odpowiedział Tomasz, spoglądając z gniewem na około; — a jeżli nim jestem, któż się tu śmie ze mnie wyśmiewać; co Fagin?,

Żyd miarkując, iż pan Chitling nadzwyczajnie był oburzony i nie nażarty zgniewany, pośpieszył z tém zapewnieniem, że się nikt z niego naśmiewać nie myśli, a chąc dowieść, że sobie wszyscy, jak najrzetelniéj z nim postępują, wezwał Karolka Bates, jako tego, który go głównie obraził, aby to sam potwierdził.

Lecz na nieszczęście Karolek, który właśnie gębę otworzył, aby dać to zapewnienie, iż nigdy jeszcze w swojém życiu z taką szczerością sobie nie postępował, jak dzisiaj, nie zdołał w sobie stłumić takiego silnego wybuchu śmiechu, że Chitling oszukany, zdurzony, i rozjuszony, nie wyrzekłszy ani słowa więcéj, na niego się rzucił, i silny raz w głowę swego przeciwnika wymierzył, który jednak, będąc nadzwyczaj zwinny i zręczny, od swego prześladowcy uchronić się umiał, głową wykręcił, aby owego ciosu uniknąć, i to tak zręcznie w porę uczynił, że ten cios prosto w piersi owego żartobliwego staruszka ugodził, który się natychmiast aż do ściany potoczył, i o nią dopiero oparł, sapiąc i ciężko dysząc; Chitling zaś zgłupiały, spoglądał na niego tymczasem z niewypowiedzianém przerażeniem.

— Cicho! — zawołał Smyk téj chwili, nadstawiając ucho. — Zdawało się mi, jakby ktoś zadzwonił.

Wziąwszy z sobą światło, wyszedł ostrożnie do sieni.

Dzwonek powtórnie się odezwał; lecz tą razą z

większą jeszcze niecierpliwością;.... a Żyd i jego dwaj uczniowie siedzieli tymczasem w ciemności.

Po chwili Smyk powrócił, i szepnął coś Faginowi tajemniczo do ucha.

— Jak to! sam jeden? — zawołał Żyd z przerażeniem.

Smyk kiwnął głową na znak potwierdzenia, i zasłoniwszy ręką płomień od świecy, dał Karolkowi po przyjacielsku na migi do zrozumienia, iż lepiéj uczyni, jeżeli na teraz zbytnią wesołość swoję poskromi. Spełniwszy tę przyjacielską usługę, zwrócił oczy swoje na oblicze Fagina, i oczekiwał jego rozkazów.

Starzec gryzł się w swoje palce zwiędniałe, i namyślał przez chwilę. Pod ten czas walka nadzwyczajna sercem jego miotać musiała, albowiem oblicze jego kilkakrotnie się zmieniało, jakby się czegoś spodziewał, i wiadomości najgorszéj oczekiwał. Nakoniec głowę podniósł do góry.

— Gdzież jest? — zapytał.

Smyk wskazał na sień na dole, i zrobił poruszenie, jakby z izby wyjść zamyślał.

— Dobrze! — potwierdził Żyd, niby w odpowiedzi na jego milczące pytanie, — przyprowadź go tutaj. Sza!....cicho, Karolku!.... spokojnie, Tomaszu! Precz z tąd, precz!

Ten rozkaz krótki, Karolkowi Bates wydany, aby się wraz ze swoim przeciwnikiem niedawnym oddalił, natychmiast i w największém milczeniu wykonanym został.

Szmer ich kroków jeszcze zupełnie nie ucichł, a Smyk już szedł po schodach do góry, niosąc świecę

w ręku i prowadząc ze sobą człowieka w koszulce brudnéj, wypłowiałéj, który natychmiast po całéj izbie szybko i ostróżnie okiem rzucił, szal szeroki osłaniający mu dolnią część twarzy zdjął z szyi, i oblicze wycieńczone, wynędzniałe, nieumyte, zarośnięte, — zuchowatego Tobijasza Crackit odsłonił.

— Jak się macie Fagin? —

Zapytał ten zacny człowiek, kiwnąwszy głową na powitanie Żyda.

— Włóż mi ten szal do mego kastorowego kapelusza, Smyku, abym go długo szukać niepotrzebował, jeżeli mi go będzie potrzeba;....to jest rzecz główna! Z ciebie jeszcze kiedyś tęgi zuch będzie na pociechę i zaszczyt naszego stanu!

To mówiąc, zrzucił z siebie natychmiast koszulkę, zwinął ją w kłębek, przysunął stołek do ognia, usiadł na nim, a nogi sparł na krawędzi od kominka.

— Przypatrz się tylko, Fagin! — ozwał się potém, wskazując z rozpaczą prawie na swoje buciki, — ani odrobinki czernidła na nich od czasu,.... ty już wiesz, odkąd?....czegóż tak okropnie na mnie spoglądasz, człowieku? Na wszystko czas przyjdzie. Ja o ważnych sprawach dotąd rozprawiać niemogę, dopokąd się nie najem dobrze i nie napiję; tak przynajmniéj roztropność wymaga; każże mi więc dać trochę żywności, niechaj się po raz pierwszy przynajmniéj od trzech dni dobrze nasycę!

Żyd nakazał natychmiast Smykowi, aby to, co w domu z żywności było, na stole dla niego zastawił, i usiadłszy sam na stołku naprzeciw rozbójnika, ocze-

kiwał z dręczącą niecierpliwością téj chwili, w któréj mu głód zaspokojony mówić pozwoli.

Sądząc z pozoru, to Tobijasz nie wielki w sobie czuł popęd do rozpoczęcia rozmowy.

Z początku Żyd i tém niecierpliwość swoję chciał zaspokoić, że oblicze nowoprzybyłego przenikliwie badał, aby z rysów jego tę wiadomość wyczytać, którą mu przynosił;....lecz ta praca jego była daremna.

Crackit wyglądał znurzony, wysilony;....w obliczu jego przebijała ta sama obojętność, to samo zadowolenie z siebie samego, które się już tak często złudném okazało,....a pomimo gruby pokład brudu i mocny zarost brody, widać było na niém uśmiech wieczny zawsze dumnego, pysznego zucha Tobijasza Crackit.

Żyd, niewypowiedzianą trwogą i niecierpliwością miotany, zaczął w końcu liczyć wszystkie kęsy, które kładł w usta, przechodząc się tym czasem po izbie niespokojnością nieokreśloną dręczony. Lecz wszystko nic niepomogło.

Tobijasz nieprzestawał jeść z obojętnością i spokojnością niezachwianą, dopokąd już ani odrobiny więcéj połknąć niebył wstanie; poczém kazał się Smykowi oddalić, drzwi za nim zamknął, szklankę wódki z wodą sobie przyrządził, usiadł i do rozmowy i opowiadania sposobić się zaczął.

— Najprzód i przedewszystkiem, Fagin, — rzekł Tobijasz.

— Dobrze już, dobrze! —

Przerwał mu Żyd, przysuwając swój stołek bliżéj do niego.

Crackit uciął, aby tymczasem łyk wody z wódką

pochłonąć i oświadczyć, że grog jest pyszny; poczém nogi do góry aż na kapę od kominka założył i to tak wysoko, że się jego huty na równi z jego oczyma znajdowały, i rzekł spokojnie:

— Najprzód i przedewszystkiem Fagin, — rzekł tedy rozbójnik, — gdzie jest Bill?

Co? —

Wrzasnął Żyd zerwawszy się z krzesła.

— Przecież nie myślę, abyś przez to chciał powiedzieć,....że.... — odparł Tobijasz i zbladł okropnie.

— Powiedzieć!.... — Zawołał Żyd, tupnąwszy nogą z wściekłością. — Ja nie mam nic do powiedzenia! Ty mi powiedz, gdzie oni są?....gdzie jest Sikes i chłopiec?.... Gadaj! gdzie!.... Gdzie dotąd byli?.... Gdzie się ukrywali?....dla czego jeszcze dotąd tutaj nie powrócili?

— Sztuczka nam się nieudała! — odpowiedział Tobijasz drżącym głosem.

— Wiém o tém, wiém! —

Odpowiedział Żyd, dobywając gazety z kieszeni i wskazujęc na nią.

— Cóż więcéj?

— Wystrzelili do nas i ugodzili chłopca! Uciekaliśmy przez pola, wlekąc go pomiędzy sobą,....tak prościutko, jak lot strzały,....prosto przez ciernie, głogi, płoty, rowy. Puścili się w pogoń za nami!.... Do tysiąc piekielnych piorunów!....zdawało się że cała okolica ze snu się zerwała, aby gonić za nami;....ludzie i psy!

— A chłopiec? — zapytał Żyd z trwogą niewypowiedzianą.

— Bill go wziął na barki, i biegł z nim tak szybko jak wiatr. Zatrzymaliśmy się raz na chwilkę, aby go znowu wziąść pomiędzy siebie; głowa mu na dół wisiało, a on już cały był zimny. Oni zaś tuż, tuż byli za nami! Każdemu skóra własna miła,....dba tedy o nią jak może i od szubienicy ucieka!.... Rozłączyliśmy się zatém oba, i zostawili chłopca omdlałego w rowie. Czy zaś umarł, czy żyje, tego niewiem.

Żyd już nic więcéj słyszeć nie chciał,.... wrzasnął tylko przeraźliwie, jęknął, ręce załamał, za włosy się z rozpaczą chwycił, i wypadł z izby i domu jak szalony.

ROZDZIAŁ XXVI.

Osoba nieznajoma, tajemnicza występuje, i wiele rzeczy, z tą powieścią ścisły związek mających, się dzieje.

Staruszek dobiegł w tym szale rozpaczy do rogu ulicy, nim się opamiętał, i z tego przerażenia, którém go wiadomość Tobijasza przejęła, do siebie przyszedł.

On nie zwolnił jednak wcale niezwykłéj szybkości swego kroku, lecz biegł ciągle jednostajnym pędem w głębokich myślach zatopiony, aż go nareszcie szybko jadący powóz najechał, krzyk przerażenia przechodniów, którzy to niebezpieczeństwo jego spostrzegli, z tego zapomnienia obudził, i pęd jego szybki nagle wstrzymał.

Odtąd o ile możności wszystkie ludniejsze ulice i gościeńce wymijał i mknął samemi jedynie uliczkami bocznemi, i przechodniemi sieniami, dopokąd nakoniec w okolicę Snow-Hill się nie dostał.

Tutaj zaczął bardziéj jeszcze pospieszać, jak dotąd, i nie zwolnił swego kroku, dopiero gdy doszedł do

pewnéj sieni przechodniéj, która mu bardzo znajomą się być zdawała, gdyż czując iż jest teraz w swym własnym żywiole, pośpiech swój na krok powolny, wlekący, zamienił, i o wiele swobodniéj oddechać się zdawał.

Tuż w pobliżu téj okolicy, w któréj Snow-Hill i Halborn Hill się schodzi, widać na prawo, jeźli się od City przychodzi, uliczkę wązką, ciemną, brudną, która prosto ku Saffran-Hill prowadzi.

W tej uliczce znajduje się niezliczona ilość brudnych, ciemnych kramów tandyciarskich, po których mnóstwo jedwabnych chustek najrozmaitszéj barwy i wielkości, z drugiéj ręki już na sprzedaż wisi, — a przekupcy tu mieszkający są to wszystko ludzie, którzy ze złodziejami w znajomości, wszystko od nich odkupują. Te chustki powiewają całemi setkami u drzwi, okien, a wewnątrz na półkach i wiszadłach.

Lubo ta okolica, *Field-lane* zwana, nadzwyczaj jest mała, posiada ona jednak swego własnego golarza, swoją kawiarnię, swoją gospodę, swój własny skład ryb i t. d.

Jest to cała osada przekupowa sama dla siebie,.... świątynia wszelkiego mniejszego złodziejstwa, odwiedzana wcześnie rano i wieczór o zmroku przez milczących kupców, którzy w ciemnych, tylnych izdebkach ugody zawierają, i z taką samą ostrożnością troskliwą z jaką się tutaj wśliznęli i na powrót wymykają.

Tutaj to przekupca odzieży, obuwia i gałganiarz wystawia w oknie lub na drzwiach przed kramem towar swój na znak i godło dla małych złodziei, a zasoby liczne, stosy starego żelaza i kości, kupy psujących się

kawałków materyj wełnianych i płóciennych, gniją i butwieją po brudnych, wilgotnych piwnicach.

W tę to okolicę Żyd zwrócił swe kroki. Musiał on bardzo dobrze z wszystkimi mieszkańcami téj uliczki być znajomym, albowiem każdy z nich, który tylko przy okienku lub koło drzwi siedział, i na kupca lub przekupcę czatował, poufale go powitał, gdy mimo niego przechodził.

Fagin im na wszystkie strony dziękował i pozdrawiał ich nawzajem, niezatrzymując się jednak u żadnego z nich, dopokąd na drugi koniec ulicy nie doszedł, gdzie się koło jednego kramu zatrzymał, i właściciela, człowieka nizkiego wzrostu, który tyle ze swéj osoby w krzesło dla dziecięcia wtłoczył, ile się w niém zmieścić mogło, i fajkę u drzwi swego składu palił, uprzejmie zagadnął:

— Ach panie Fagin!.... wasz widok sam by już człowieka natychmiast z choroby na oczy uleczył.

Ozwał się ten zacny przekupca w podziękowaniu za grzeczność Żyda, iż się o jego zdrowie zapytać raczył. —

— W sąsiedztwie waszém coś tych dni za nadto gorąco było, Liwely!

Rzekł Fagin, podnosząc brwi i zakładając ręce w tyle.

— To prawda. Słyszałem już parę razy, że się na to użalano, — odpowiedział przekupca; — ale teraz się już zimniéj robić poczyna; jakżeż się wam zdaje?

Fagin skinął głową na znak potwierdzenia, i wskazując w kierunku Saffran-Hill, spytał, czyli tam jest kto téj nocy.

— Pod kalekami?

Zapytał Przekupca.

Żyd kiwnął głową.

— Niech no sobie pierwéj przypomnę, — odpowiedział przekupca przypominając sobie. — Jest, jest; .... o ile wiem, to ich tam kilkunastu poszło. Ale mnie się zdaje, że waszego przyjaciela tam pomiędzy niemi nie było.

— A Sikes, czy jest?

Zapytał Żyd, którego jedna nadzieja już zawiodła.

— *Non est ventus!* jak krętarze prawa mówią.

Odpowiedział przekupca, potrząsając głową z wyrazem nadzwyczajnéj przebiegłości w obliczu.

— Czy macie może coś dla mnie téj nocy?

— Nic, nic, téj nocy! — Odpowiedział Żyd, idąc daléj.

— Czy do karczmy pod kalekami idziecie, Fagin? — zawołał ten mały człowiek wołając za nim. — Poczekajcie no, poczekajcie; mnie się zdaje, że ja mam coś z wami do pomówienia,...... to bym poszedł z wami....

Żyd się do niego zwrócił, i dał ręką znak taki, że się przekupca z niego mógł domyśleć, iż Fagin sam jeden pozostać woli; a że się ten mały człowiek przytém ze swego jeszcze mniejszego krzesła tak prędko nie mógł wydobyć, gospoda pod trzema kalekami musiała się na teraz obejść bez tego zaszczytu, widzenia tego wieczora pana Lively u siebie.

Nim się zatém z krzesła wydostał, Fagin mu już znikł z oczu.

Pan Lively, zatrzymawszy się przez chwilę w pro-

gu drzwi, w nadziei, że mu się Fagina jeszcze gdzieś zobaczyć i zachwycić uda, widząc że sposobność pomyślna już minęła, wcisnął się na powrót w swoje malutkie krzesło, spojrzał z porozumieniem na kobietę na przeciwnéj stronie ulicy w drzwiach kramu swego siedzącą, wstrząsnął głową z wyrazem pewnego podejrzenia i nieufności, i wziął się nakoniec ze zwykłą powagą do fajki.

Gospoda pod trzema kalekami, czyli raczéj: pod kalekami po prostu, stanowiącemi godło téj gospody, pod którym pomiędzy zwyczajnymi gośćiami swoimi i i znajomymi powszechnie znaną była, była tym samym domem publicznym, w którymeśmy raz już pana Billa Sikes w tak niebezpiecznéj walce z psem swoim widzieli.

Fagin skinieniem głowy jedynie powitał tego człowieka, który w izbie gospodniéj przy stoliku szynkowym siedział, wszedł po schodach na górę, otworzył z cicha drzwi do izby obszernéj, wśliznął się do niéj nieznacznie, i obejrzał po niéj z trwogą niewypowiedzianą, osłaniając sobie oczy ręką, jakoby tylko jednéj, pożądanéj osoby tutaj szukał.

Dwa promienie gazu oświecało całą izbę, których blasku jednak zewnątrz żadną miarą niemożna było widzieć, albowiem okna były okienicami mocnemi szczelnie zatarasowane, a zasłony z czerwonéj, grubéj materyi jeszcze je na dodatek z wewnątrz osłaniały.

Strop i ściany były na czarno pomalowane dla zapobieżenia temu, aby jaka inna barwa kopceniem lamp i świec zniszczoną nie została, a izba cała tak była gęsto dymem z fajek napełniona, że niepodobna było zrazu cośkolwiek w niéj rozeznać.

Lecz czém więcéj tego dymu przez drzwi otworem stojące uchodziło, tém jaśniéj dawało się widzieć stopniowo mnóstwo nagromadzonych głów, a tak rożnych, pomięszanych, jak i ta wrzawa, która się o uszy obijała. A gdy oko człowieka do tego widowiska nieco bardziéj nawykło, przybywający mógł powoli rozpoznać i zapewnić się o bytności licznego towarzystwa mężczyzn i kobiet, siedzących tłumnie, przy długim stole.

U wyższego końca tego stołu siedział otyły mężczyzna, trzymający w ręce młotek urzędowy starszego zgromadzenia, a w kącie nieco odleglejszym na prostym stołku przy kiepskim, brzęczącym klawikordzie, inny, umiejący cokolwiek na nim brzdąkać, z nosem sinym, i obliczem dla bólu zębów chustką obwiązaném.

Kiedy się Fagin nieznącznie do izby wśliznął, powstała właśnie niesłychana wrzawa, którą muzykant przy klawikordzie siędzący wzbudził, wzniecając brzdąkaniem i przegrywką swoją w towarzystwie całém to nieco hałaśne życzenie, aby kogoś wyszukano, coby ich śpiewaniem mógł zabawić; a gdy się wrzawa i zgiełk nieco uciszył, jedna z przytomnych kobiet wystąpiła, i wzięła na siebie ten przyjemny obowiązek zabawienia całego towarzystwa śpiewką o kilku czterowierszowych zwrotkach, pomiędzy któremi ów muzykant podczas każdego przestanku śpiewaczki uszy słuchaczy swoich odegraniem téjże saméj melodyi, lecz tak głośno, o ile tylko siły jego i instrumentu starczały, nielitościwie rozdzierał.

Po zakończeniu tego popisu, starszy zgromadzenia raczył zadowolenie swoje oświadczyć, i dać przyzwolenie swoje do nowego popisu dwóm innym ze zgroma-

dzenia po prawicy i lewicy jego siedziącym, którzy natychmiast odkrząknęli, i wesoły dwuśpiew z niesłychaną radością i uciechą przytomnych i chwałą największą dla siebie odśpiewali.

Była to jednak rzecz bardzo ciekawa badać z uwagą niektóre oblicza, z całego tłumu najbardziéj w oczy wpadające.

I tak najprzód zaraz oblicze starszego, zgromadzeniu przywodzącego.

Był to sam właściciel gospody;....człowiek otyły, niezgrabny, podsadkowaty, krępy, który podczas śpiewania oczyma na wszystkie strony zawracał, i cały z ciałem i duszą wesołości i zabawie oddany się być zdawał, a jednak oko bystre na wszystko, co się naokoło działo, i ucho dobre na wszystko, co tylko mówiono, posiadał.

Tuż koło niego siedzieli owi dwaj śpiewacy, którzy z obojętnością i spokojnością, dla największego nawet mistrza w ich sztuce zaszczytem być mogącą, wszelkie grzeczności pochlebne całego towarzystwa przyjmowali, i wszelkiemi siłami do wypicia kilkunastu szklanek wódki z wodą się przykładali, któremi ich najzapaleńsi wielbiciele raczyli.

Ci wielbiciele zaś sami posiadali oblicza, na których zdrożności i występki wszelkiego rodzaju w każdym stopniu prawie jak najwybitniéj wyryte były, i swą odrazą niewypowiedzianą pewien urok, pewien czar na widza wywierały.

Przebiegłość, podłość, rubaszność, srogość, pijaństwo we wszystkich stopniach znajdowało się tutaj pod najohydniejszą postacią swoją, a kobiety, — niektóre

posiadając jeszcze kilka ostatnich zabytków pierwotnéj świeżości swojéj, która wam się w oczach ginąć zdawała;....inne zaś, pozbawione już wszelkiego piętna, wszelkiéj cechy kobiecości, przedstawiające ohydny, przerażający widok poniżenia, sprośności i zbrodni — wiele z nich jeszcze młode dziewczęta, inne zaś już kobiety,....z których jednak żadna jeszcze po za obrębem pierwszéj młodości okresu życia swego nie stała, — stanowiły tło najciemniejsze, najsmutniejsze tego zgrozą przejmującego obrazu.

Fagin, którego sercem uczucia gwałtowne, dręczące miotały, spoglądał podczas tego całego widowiska po wszystkich twarzach, nie mogąc jednak téj znaleść, jak się zdawało, któréj tak troskliwie, tak tęskliwie szukał.

Nakoniec, rzuciwszy okiem na gospodarza, całemu zgromadzeniu przewodzącego, dał mu skinieniem znak potajemny, i wyniósł się natychmiast z izby tak cicho i nieznacznie, jak i wszedł był do niéj.

— Czegóż chcecie odemnie panie Fagin? — zapytał go gospodarz, wyszedłszy za nim aż do sieni. — Czy nie chcecie z nami pozostać?.... Zrobilibyście nam wszystkim wielką przyjemność swoją obecnością.

Żyd wstrząsnął głową z niecierpliwością, i zapytał go szepcąc:

— Czy *on* jest tutaj?

— Nie! — odpowiedział gospodarz.

— A o Barneyu nic niesłychać? — zapytał Fagin powtórnie.

— Nie! — odpowiedział właściciel gospody pod kalekami. — On się z miejsca nie ruszy, dopokąd się

wszystko naokoło nieuciszy, tak że bezpiecznie będzie mógł powrócić. Spuśćcie się śmiało na to, że oni dobrze są ukryci, bezpieczni, i żeby cały świat natychmiast poruszyli, gdyby się teraz już pokazać chcieli. Nie musi ono tak źle być z nimi, gdyż ja bym do tego czasu już był o Barneyu coś usłyszał. Już ja wam za to ręczę, że się Barney z wszystkiém jak najlepiéj sprawi. Spuśćcie się tylko na niego.

— Czy *on* będzie tutaj téj nocy?

Zapytał Żyd, z tymże samym przyciskiem co i poprzód na tę zgłoskę: on.

— Kto, Monks? — zapytał gospodarz z niejakiém wahaniem.

— Pst! — odpowiedział Żyd. — Tak jest!

— Niezawodnie, — rzekł na to gospodarz, dobywając złotego zegarka z kieszonki małéj w spodniach; — już go od kilku chwil oczekuję;....niebawem przyjść musi;....jeżeli byście zatém dziesięć minut tylko zaczekać chcieli, to....

— Nie, nie! —

Odpowiedział Żyd z pośpiechem, jakby z tą osobą wprawdzie pomówić pragnął, jéj nieobecność jednak téj chwili wielką ulgę mu sprawiała.

— Powiedz mu, żem tutaj był, aby z nim pomówić,....i żeby dzisiaj w nocy do mnie przyszedł;....albo nie,....nie!....lepiéj będzie jeźli jutro przyjdzie. Kiedy go niema, więc i do jutra będzie dosyć czasu.

— Dobrze! — odpowiedział gospodarz. — Nic więcéj?

— Ani słowa więcéj! — potwierdził Żyd, schodząc na dół po schodach.

— Mnie się zdaje, — ozwał się jeszcze gospodarz, przechylony przez poręcz, szepcąc głośno, — żeby dzisiaj był czas bardzo pomyślny na małą sprzedaż!.... Mam tutaj Phila Barkera. Taki pijany, żeby go dziecko najmniejsze pokonało.

— Czy tak?.... Ale na Phila Barkera czas jeszcze nie przyszedł! — odparł Żyd, spoglądając do góry. — Phil nam wiele jeszcze usłużyć musi, nim go się będziemy mogli pozbyć, a teraz powróć do swego towarzystwa, mój drogi! i powiedz im, niechaj się bawią, dopokąd im *czas i pora służy*. Ha! ha! ha!

Gospodarz rozśmiał się nawzajem, i wrócił potém do swoich gości.

Zaledwie Żyd sam pozostał, oblicze jego na nowo dawnego wyrazu zamyślenia i trwogi przybrało. Po kilku chwilach namysłu najął sobie doróżkę i kazał się jéj do Bethnal-Green zawieść. W niejakiéj odległości od mieszkania Billa Sikes ją opuścił, i resztę drogi piechotą odbył.

— No! — mruknął sobie Żyd pod nosem, gdy do drzwi zakołatał, — jeżeli się w tém coś najmniejszego ukrywa, coby dla mnie zdradliwém być mogło, to ja z ciebie to wyciągnę, choćbyś sto razy jeszcze mądrzejszą i przebieglejszą była dziewczyno! jak teraz.

Ona była u siebie w domu, kobieta mu to na dole powiedziała; po cichutku przeto Fagin się wpiął do góry i wszedł prosto do mieszkania Billa, bez wszelkich dalszych zachodów.

Dziewczynę zastał samą. Leżała głową na stole, a włosy rozpuszczone, w nieładzie, kark i grzbiet jéj pokrywały.

— Musiała się upić, — pomyślał sobie Żyd oziębłe, — a może jéj tylko mdło się zrobiło.

Starzec, robiąc te uwagi, obrócił się, aby drzwi za sobą przymknąć, a szmer, który przez to powstał, obudził dziewczynę z otrętwienia.

Spostrzegłszy Żyda, wzrok swój bystro w niego wlepiła, zapytała go, czyli jakich nowin nie przynosi, i słuchała z uwagą, gdy jéj te wiadomości powtórzył, które mu Tobijasz Crackit doniósł.

Gdy Fagin mówić przestał, wpadła napowrót w ten stan nieprzytomności, w którym ją zastał, przybrała pierwszą swoją postawę, i ani słowa więcéj nie wyrzekła. Z niecierpliwością tylko świecę od siebie odsunęła, a dreszczem i wzburzeniem gorączkowém dręczona, parę razy położenie swoje zmieniwszy, nogami po ziemi posunęła;.... lecz na tém się wszystko skończyło.

Podczas tego milczenia Fagin się niespokojnie i troskliwie po izbie obejrzał, widocznie w tym celu, aby się upewnić, czyli jakiego, choćby najmniejszego śladu nie ustrzeże, iż Sikes potajemnie do domu powrócił; lecz badaniem swojém, jak się zdawało, dostatecznie uspokojony, odkrząknął kilka razy, i wszelkich sposobów używał, aby z dziewczyną rozmowę rozpocząć;... ale Nancy tak mało na niego zważała, jakby on tylko był kamiennym posągiem, a nie człowiekiem żyjącym.

Nakoniec jednego jeszcze sposobu użyć postanowił, i zacierając ręce, z największą łagodnością i uprzejmością się ozwał:

— Cóż ty myślisz, moja droga, gdzie się teraz Bill znajduje?.... co?

Dziewczyna bardzo niezrozumiale na to odpowiedziała, iż tego powiedzieć nie umie, a sądząc po drżeniu głosu na pół stłumionego, wnosić należało, iż płacze.

— I chłopiec także! — mówił daléj Żyd, który się wszelkiemi sposobami w oczy jéj zajrzeć starał. — Biedny, mały chłopczyna!..... porzucony w rowie,.... droga Nancy!.... zraniony,.... omdlały!.... tylko sobie pomyśl.

— Chłopcu, — odpowiedziała dziewczyna, podnosząc oczy na Żyda, — jest daleko lepiéj tam, gdzie się teraz znajduje, jak pomiędzy nami; a byle tylko dla Billa z tego nic złego nie wynikło, to bym sobie z serca życzyła, aby chłopczyna w owym rowie na wieki legła, i jego członki młode tam zgniły.

— Co? — wrzasnął Żyd zdziwiony.

— Tak jest, ja sobie tego z serca życzę, pragnę, — powtórzyła dziewczyna, zatapiając w nim swe oko bystre; — jestem nawet teraz szczęśliwa, iż go na moje oczy więcéj już nie widzę, i wiem, że już wszystko przecierpiał. Niepodobna mi jest znieść jego obecności, a jego widok mię burzy i do wściekłości przeciwko sobie i wam wszystkim doprowadza!

— Ba! — odpowiedział Żyd z pogardą. — Upiłaś się jak widać dziewczyno!

— Upiłam się, mówisz? — zawołała dziewczyna z goryczą. — O, ja wiem, że nie twoja by w tém wina była, jeżelibym pijaną nie była! Gdyby szło według twojéj woli, tobym zawsze pijaną być mogła, tylko nie dzisiaj... A może ci się dzisiaj nie podobam, co?... czy ci się nie podobam?

— Nie! .... nie! — odpowiedział Żyd zgniewany; — niepodobasz się mi, ... nie!

— A więc zrób tak, abym ci się podobała! — odpowiedziała dziewczyna z uśmiechem.

— Co? —

Zawołał Żyd, oburzony, rozumu prawie pozbawiony niespodziewaną krnąbrnością dziewczyny, i zawodem wszelkich nadziei téj nocy doznanym.

— Dobrze, ... ja to zrobię! .... Posłuchaj że mię więc, ... ty dziewczyno przemierzła, ... tylko uważnie! .... Niepotrzebuje tylko jedno słówko pisnąć, a Bill z taką pewnością zostanie zaduszony, jak jego pies, gdybym go miał w ręku w téj chwili..... Jeżeli powróci, a chłopca ze sobą nie przyprowadzi, ... jeżeli jest wolny, ... a ja chłopca, czy to żywego, czy umarłego, napowrót mieć nie będę, to go zamorduj sama, jeżeli go w ręce kata oddać nie chcesz, i to natychmiast, skoro tylko nogą w téj izbie stanie, inaczéj pamiętajcie na mnie, ... czy prędzéj, czy późniéj, ja swego dokażę! —

— Cóż to wszystko ma znaczyć? — zawołała dziewczyna, mimowolnie przerażona.

— Co to ma znaczyć? — mówił daléj Fagin rozjuszony. — Oto to ma znaczyć: .... Ten chłopiec ma dla mnie wartości sto funtów; mamże więc to, co mi przypadek z największém bezpieczeństwem nastręczył, utracić z winy bandy pijaków, ludzi lekkomyślnych, zdradzieckich, których życie w mojém ręku trzymam, ... i do tego się jeszcze przykuć do prawdziwego szatana nie człowieka, który jedynie chcieć potrzebuje, i tę moc posiada, aby mię....

Tutaj starzec uciął, sapiąc gwałtownie,.... jąkając się,.... szukając słowa;.... lecz téjże saméj chwili wstrzymał nagle potok swéj złości, i zmienił całe swoje wzięcie.

Przed chwilą jeszcze ręce jego w pięść zwinięte, po powietrzu miotały,.... oczy jego szeroko rozwarte, ze swych jam wyskakiwać się zdawały, a oblicze zbladło, posiniało z wściekłości;...... lecz teraz opadł w krzesło, skulił się we dwoje, i drżał na całém ciele z przestrachu, iż się wydał, i swą wewnętrzną, potajemnie uknutą podłość zdradził.

Po małéj chwili ośmielił się jednak okiem na dziewczynę rzucić, a widząc, iż dziewczyna w tymże samym stanie otrętwienia i nieprzytomności zostaje, z którego ją przyszedłszy przebudził, zdawał się być tém spostrzeniem swojém mocno zaspokojony.

— Droga Nancy! — ozwał się Żyd słodko, głosem zwyczajnym. — Czy mnie słyszysz, co?

— Nie męczcie mię teraz, nie dręczcie nadaremnie Fagin! — odpowiedziała dziewczyna, podnosząc głowę powoli, ociężale. — Jeżeli się Bill teraz dobrze sprawił, to on wam to inną razą wynagrodzi.... Wszak on już nie jedno dla was wykonał, co wam nie małą korzyść przyniosło, i jeszcze więcéj uczynić gotów, jeżeli się tylko coś nastręczy; nie mówmy więc o tém więcéj.

— Ale, o chłopcu, droga Nancy, co?

Rzekł Żyd, zacierając ręce gwałtownie z niecierpliwości.

— I chłopiec musi się nakoniec podać, tak jak się już tylu innych podało, — odpowiedziała dziewczyna

z pewną drażliwością; — a ja raz jeszcze powiadam, że się tą nadzieją cieszę, iż umarł, i przez to od wszystkich cierpień, a zatém i od was Faginie się wybawił, ... byle tylko Bill przy tém nie ucierpiał. Jeżeli zaś Tobijasz uciekł, to i Bill musi także być już w bezpieczeństwie, ... gdyż co ten uczynić jest w stanie, Bill to w dwójnasób podoła.

— A jakżeż z tém, com ci mówił, droga Nancy, co? — zapytał ją Żyd, wlepiwszy w nią wzrok swój przenikliwy.

— Jeżeli to jest coś, o czém dzisiaj jeszcze mam wiedzieć, to mi jeszcze raz od początku do końca powtórzyć musicie, — odpowiedziała Nancy; — jeżeli zaś nie, to poczekajcie z tém lepiéj do jutra. Obudziliście mię wprawdzie na chwilkę, ale teraz jestem napowrót tak głupia, jak poprzód.

Fagin wiele jeszcze pytań jéj zadał; a wszystkie w tym jedynym celu przekonania się dokładnie, czyli dziewczyna w istocie tego niezmiarkowała, z czém się przez zapomnienie i nieostrożność przed nią wydał; ale ona tak otwarcie i szybko na wszystkie pytania odpowiadała, i na jego śledcze i badawcze spojrzenia tak wielką obojętność okazywała, że to przypuszczenie, które mu zaraz z początku, na wejściu do izby, na myśl wpadło, iż kilkakrotnie na dno kieliszka zajrzeć musiała, wszelkiego pozoru prawdy nabrało.

A mówiąc szczerą prawdę, to i Nancy nie była wolną od téj wady, która potém zwykle u wszystkich niewieścich wychowanków starego Żyda w nałóg przechodziła, nałóg, którego w pierwszéj młodości tych

istót nieszczęśliwych nawet przytłumić się nie starano, ale owszem, ile możności wzniecano i podżegano.

Ten nieład w jéj ubiorze i całéj powierzchowności, silny zapach wódki całą izbę zapełniający,, potwierdzał niezbicie słuszność owego przypuszczenia Żyda, a kiedy przytém jeszcze spostrzegł, że ona zniósłszy cierpliwie taki wybuch gwałtowny jego złości, najprzód w otrętwienie, ospałość swoję dawną, a potém w nadzwyczajne rozrzewnienie wpadła, w tym stanie znacznego wzburzenia uczuć przez kilka chwil łzy obfite wylewała, i wkrótce potém pewnéj wesołości nawet się oddała, wołając: ,,Niech mi o śmierci nikt nie mówi!" i tém podobne bardzo miłe przekleństwa, które w sercu jéj oddawna nagromadzone, przy téj sposobności, rozsądkiem niepohamowane, swobodnie z serca na usta spłynęły... .... Fagin, posiadający znaczne doświadczenie w téj mierze, z wielką radością swoją i zadowoleniem największém poznał, że ona znacznie pijaną była.

To odkrycie wszelką spokojność mu wróciło; dopełniwszy przeto swego zamiaru, i osięgnąwszy cel podwójny, to jest: uwiadomienia dziewczyny o tém, co téj nocy usłyszał, i przekonania się oraz na własne oczy, iż Sikes jeszcze do domu nie powrócił, Fagin opuścił to mieszkanie i zwrócił swe kroki ku swojemu domowi, zostawiając swoję młodą przyjaciółkę śpiącą, z głową na stole opartą.

Już było po północy; ciemność wielka panowała, a mróz dotkliwy na wskroś przeszywał. Fagin tedy co sił pośpieszał, nie mając wcale chęci długo się na ulicy zatrzymywać.

Wiatr dojmujący, uganiający, świszczący po ulicach,

musiał je nietylko z błota i pyłu, ale i przechodniów oczyścić, albowiem bardzo mało osób się na nich znajdowało, a i te widocznie co tchu ku domowi pośpieszały. Wiatr wiał z okolicy bardzo niemiłéj dla Żyda, albowiem wprost naprzeciw niego, tak, że Fagin za każdym silniejszym powiewem, dreszczem wskróś przejęty, mocniéj się otulał i bardziéj jeszcze kroku swego przyśpieszał.

Już się zwrócił koło rogu swéj własnéj ulicy, i sięgnął nawet do kieszeni po klucz od drzwi wchodowych, gdy téjże chwili jakaś postać z pod wystawy jednego domu, w cieniu największém leżącéj, wypłynęła, przez ulicę na drugą stronę przebiegła, i nieznacznie do Fagina się zbliżyła.

— Fagin!

Szepnął nieznajomy Żydowi do ucha.

— Ha! — zawołał Żyd, obróciwszy się ku niemu jak oparzony; — czy to....

— Tak jest! — przerwał mu nieznajomy rubasznie. — Czekałem tutaj na ciebie więcéj jak dwie godzin. Gdzieżeś u djabła dotąd tak długo ślęczał?

— W twojéj sprawie, mój drogi, — odpowiedział Żyd, spoglądając niespokojnie na swego towarzysza i zwalniając kroku podczas téj rozmowy. — W twojéj sprawie, jak zawsze.

— Czy tak? — zapytał nieznajomy z szyderskim uśmiechem. — Bardzo ładnie, cóż tedy słychać?

— Nic dobrego! — odpowiedział Żyd.

— Nic złego, jak się spodziewam?

Odparł nieznajomy, zatrzymując się na miejscu

przerażony, rzuciwszy spojrzenie trwożliwe na swego towarzysza.

Fagin wstrząsnął głową i chciał mu coś na to odpowiedzieć, lecz nieznajomy przerwał mu mowę, wskazując na drzwi od jego domu, do których tymczasem doszli i przed niemi się zatrzymali, robiąc oraz tę uwagę, iż lepiéj będzie, jeżeli mu to, co mu ma powiedzieć, pod dachem powie, gdyż mu od długiego czekania na ulicy, krew już prawie w żyłach zastygła, i wiatr go na wskróś przewiał.

Fagin tak wyglądał, jakoby się chętnie chciał był z tego jakim sposobem wymówić, aby o tak niezwykłéj porze tak rzadkiego i nieznajomego gościa do siebie niewprowadzać, i bąknął coś pod nosem, że niema u siebie ognia, ale jego towarzysz żądanie swoje głosem nieco rabuszniejszym, tonem nakazującym powtórzył; Fagin przeto drzwi otworzył, prosząc go, aby je tymczasem pocichutku zamknął, nim ze świecą po niego powróci.

— Ciemno jak w garnku, — ozwał się nieznajomy, postąpiwszy w sieni kilka kroków naprzód omackiem. — Spiesz się, śpiesz, gdyż i mnie się śpieszy.

— Zamknij drzwi za sobą! — szepnął Fagin z drugiego końca sieni.

Lecz drzwi tymczasem same z wielkim hałasem się zatrzasły.

— To nie moja wina! — odpowiedział nieznajomy, pnąc się ciągle daléj omackiem.

— Wiatr je musiał zatrzasnąć, albo téż one same na swoję rękę się zamknęły, jedno z tych dwojga być musi. Przynieś że światło jak najprędzéj, inaczéj sobie

jeszcze łeb o coś rozbiję, albo kark skręcę w téj przeklętéj dziurze.

Fagin pobiegł śpiesznie po wschodach, i wrócił niebawem z świecą i tém doniesieniem, że Tobijasz Crackit w izbie tylniéj spać się już położył, a obaj chłopcy na przodzie. Potém skinął na swego towarzysza, aby się za nim udał i poprowadził go po schodach do góry.

— To, co sobie wzajem powiedzieć mamy, możemy sobie i tutaj powiedzieć, mój drogi, — ozwał się Żyd, otwierając drzwi od pokoju na pierwszém piętrze; — ale że w okienicach są szpary, a my jeszcze dotąd nigdy sąsiadom naszym światła nie pokazali, to ja świecę tutaj na schodach tymczasem postawię. Tak! —

To mówiąc, Fagin się schylił, świecę na pierwszym zaraz schodzie tuż naprzeciw drzwi od pokoju postawił, i zaprowadził nieznajomego do komnaty, w któréj ani jednego sprzętu nie było, prócz połamanego krzesła poręczowego, i staréj kanapy bez obicia, stojącéj tuż koło drzwi.

Nieznajomy rzucił się natychmiast na to siedzenie, jakoby mocno był znużony, a Żyd przysunąwszy sobie krzesło poręczowe, usiadł na niém wprost naprzeciw swego gościa. W izbie nie było bardzo ciemno, gdyż drzwi do połowy otworzone stały, a świeca przez nie światło słabe na ścianę przeciwną rzucała.

Długo z cicha, na szepty z sobą rozmawiali; a lubo z téj ich rozmowy, prócz kilku słówek oderwanych nic więcéj usłyszeć nie było podobna, ten, coby ich chciał być posłuchać, byłby łatwo mógł poznać, że

Fagin się przeciwko różnym zarzutom nieznajomego bronić zdawał, a tenże na niego mocno się gniewał i rzucał.

Już więcéj jak ćwierć godziny może z sobą w ten sposób rozmawiali, gdy Monks, — tak bowiem Żyd w ciągu swéj rozmowy tego nieznajomego kilkakrotnie nazwał, — głośniéj nieco do niego się ozwał:

— Ja ci raz jeszcze powtarzam, że ten cały zamiar jak najgorzéj był ułożony. Dla czegóż go nie było dłużéj przy sobie zatrzymać, i na podłego, nikczemnego złodzieja wykierować?

— Posłuchaj mnie tylko.

Zawołał Żyd, wzruszywszy ramionami z niecierpliwości.

— Może myślisz we mnie wmówić, żebyś tego był niemógł uczynić, gdybyś się tylko szczerze był chciał wziąść do tego? — odparł Monks surowo. — Czyliżeś tego z innymi chłopakami, trudniejszymi jeszcze od niego, nie dokazał? Gdybyś tylko jeden rok przynajmniéj był chciał cierpliwie poczekać i pracy sobie zadać, czyliżbyś go nie mógł był tak wykierować, ażeby go nakoniec schwytano, skazano, i na całe życie może z kraju wywieziono?

— Na cóż by to się wszystko było zdało, mój przyjacielu? — zapytał Żyd pokornie.

— Toby się mnie na wiele było zdało, — odpowiedział Monks.

— Ale nie mnie? — odrzekł Żyd pokornie. — On mógł być dla mnie bardzo użytecznym. Jeżeli dwie strony do jakiego układu wchodzą, rzecz konieczna,

aby korzyść obu na względzie miano, nieprawdaż, mój drogi, co?

— Cóż to ma do tego? — zapytał Monks ponuro. —

— Widziałem ja bardzo dobrze, iż go nie tak łatwo było do naszego rzemiosła skłonić,— odpowiedział Żyd; — on nie był ani na włos do innych chłopców podobnym, którychcśmy już nieraz w podobnych zupełnie okolicznościach dostawali.

— To prawda że nie! przekleństwo na niego! — mruknął z gniewem Monks, — inaczéj by już od dawna złodziem był został.

— Nie mógłem go z żadnéj strony tak zajść, aby go popsuć i gorszym zrobić! — mówił daléj Żyd, badając troskliwie oblicze swego towarzysza. — Ręka jego ani razu jeszcze do obcéj kieszeni nie sięgnęła, a ja niczém go nastraszyć nie zdołałem, czego w początkach koniecznie dopiąć muszemy, jeżeli nie chcemy, aby praca nasza była nadaremna. Cóż miałem czynić? Wysłać go jeszcze raz na miasto ze Smykiem i Karolkiem? Już mię zaraz pierwszego razu wszelka chęć do tego odszła. Drżałem wtedy o nas wszystkich.

— *To* nie było moją wolą, — odpowiedział Monks.

— Nie, nie, mój drogi, ja tego nie mówię, — odparł Fagin, — ja téż tego nie bardzo teraz żałuję; gdyżby ci ten chłopiec może nigdy nie był wpadł w oczy, i nigdybyś może nie był poznał, że to jest ten sam, którego szukasz, gdyby się ten wypadek nie był wydarzył. Otóż ja go za pomocą téj dziewczyny napowrót do siebie, lecz tylko ze względu na ciebie zwabiłem, a *ona* się potém za nim ujmować zaczęła.

— A więc uduś dziewczynę! — zawołał Monks zniecierpliwiony.

— Tego na teraz żadną miarą uczynić nie możemy, mój drogi, — odpowiedział Żyd z uśmiechem; — a zresztą podobne rzeczy nie należą do naszego rzemiosła, inaczéj bym był w tych dniach coś podobnego rzeczywiście uczynił. Ale ja znam te dziewczęta bardzo dobrze, mój drogi, bardzo dobrze. Niech no tylko chłopczyna do naszego rzemiosła się weźmie i jemu się całkiem odda, to się dziewczyna ani tyle o niego troskać nie będzie, jak o kawałek drzewa. Ty chcesz koniecznie, aby został złodziejem; jeżeli tylko nie umarł, więc od dnia dzisiejszego złodzieja z niego zrobić mogę; .... a jeźli, ... — dodał Żyd, przysuwając się bliżéj do nieznajomego, — co bardzo łatwo wypaść mogło, ... jeźli go coś najgorszego spotkało,.... jeżeli on w istocie umarł....

— Więc to nie będzie moja wina!

Wtrącił nieznajomy, spojrzawszy na Żyda ze zgrozą w oku, i uchwyciwszy go za ramię rękami drżącemi.

— Pamiętaj o tém Faginie, że ja tego wcale nie chciałem, ... że w tém ręki mojéj nie miałem. Już ci z początku zaraz mówiłem: Wszystko, tylko jego śmierci nie pragnę! Ja nie chcę krwi przelewać; to się zawsze wyda, a człowiek przytém ani na chwilę spokoju niema. Jeźli go zabito, ja nie byłem do tego powodem, czy słyszysz?.... Ha!.... ta przeklęta jama!.... Co to jest?

— Co takiego? — wrzasnął Żyd, chwyciwszy go

obiema rękami, gdy przelękniony z kanapy się zerwał.
— Gdzie?

— Tam, ... tam! — odpowiedział Monks, mając oczy w przeciwną ścianę wlepione. — Cień jakiś; .... widziałem wyraźnie cień kobiety w płaszczu i kapeluszu, mknącéj wzdłuż ściany gdyby widmo jakie!

Żyd go natychmiast puścił, i wypadł wraz z nim do sieni. Świeca, która się przy tym przeciągu powietrza mocno już upaliła, stała na témże samém miejscu, na którém ją postawiono, i oświecała schody próżne i ich własne, pobladłe twarze. Długo z natężeniem nadsłuchiwali, lecz milczenie głębokie tak w domu jak i po za domem panowało.

— Musiało ci się chyba coś przywidzieć, mój drogi!

Zawołał w końcu Żyd, podejmując świecę, i zwracając się do swego towarzysza.

— Jabym na to przysiągł, żem coś widział! — odpowiedział Monks, drżąc na całém ciele. — Gdym ono po raz pierwszy spostrzegł, stało ku nam nachylone;... gdym krzyknął, cofnęło się natychmiast i znikło.

Żyd spojrzał z pogardą na wybladłe oblicze swego towarzysza, i powiedziawszy mu, aby się za nim udał, jeżeli chce, wszedł po schodach na górę.

Przejrzeli wszystkie pokoje; ...... wszystkie były zimne, puste, gołe.

Zeszli do sieni, a nawet i do piwnicy.

Pleśń zielona pokrywała nizkie ściany, a ślady ślimaków pełznących połyskiwały w promieniu świecy, lecz wszędzie było tak spokojnie i cicho, jak w grobie.

— Cóż teraz myślisz? — zapytał Żyd swego to-

warzysza, gdy do sieni na pierwszém piętrze powrócili. — Wyjąwszy nas samych ani żywéj duszy w domu całym niema prócz Tobijasza i moich dwóch chłopaków; ale ci są bezpieczni. Patrz sam!

W dowód tego twierdzenia swojego Żyd mu dwa klucze pokazał, wyjmując je z kieszeni, i powiedział mu, że drzwi wtedy jeszcze pozamykał, gdy po świecę poszedł, aby bez wszelkiéj przeszkody z sobą rozmawiać mogli.

Przeciwko tym dowodom naocznym Monks żadnego zarzutu uczynić nie zdołał. Pomału téż i on sam się coraz bardziéj uspakajać zaczął, i tak bardzo się już Faginowi nie sprzeciwiał, gdy szukając nikogo nie znaleźli; nakoniec zaczął się śmiać sam ze siebie i przyznał, że to własna wyobraźnia tak go złudzić musiała. —

Jednakowo rozmowy téj nocy rozpoczętéj daléj już prowadzić nie chciał, przypominając sobie nagle, że już pierwsza godzina minęła; a tak ta parka zacna z sobą się rozstała.

ROZDZIAŁ XXVII.

Naprawia błąd, który w jednym z poprzedzających rozdziałów popełniono, porzucając tak niegrzecznie kobietę i Woźnego.

Ponieważ to na skromnego i pokornego autora wcale nie przystoi, aby osobie tak ważnéj jak Woźny, stojący do kominka tyłem obrócony, obie poły od swéj urzędowéj odzieży w rękach podniesionych, wyprężonych, rozkrzyżowanych trzymający, i przy ogniu się grzejący, tak długo stać i czekać kazano, dopokąd się mu uwolnić go nie spodoba;...... a to jeszcze bardziéj z jego stanowiskiem i grzecznością się nie zgadza, aby ta sama niedbałość, to samo zapomnienie i na niewiastę się rozciągać miało, na którą tenże Woźny tkliwém, czułém okiem spoglądał, do któréj ucha tysiączne pochlebstwa i słodziutkie słóweczka szeptał, które, z ust takiego męża pochodząc, pierś każdéj dziewczyny i kobiety, drżeniem koniecznie przejąć musiały;.... a zatém i ten szczeroduszny autor, którego pióro te słowa kre-

śli, mając w sobie tę ufność, iż nietylko zna dokładnie swoje stanowisko, ale i o tém wie bardzo dobrze, jak wielkie uszanowanie i cześć tym jest winien, którym moc i władza wzniosła rządu na ziemi jest nadana, pośpiesza złożyć u nóg ich to uszanowanie, którego wysokie ich stanowisko wymaga, i z tą cześcią głęboką z nimi się obejść, jakiéj godność ich tak wysoka, a w skutek tego i wielkie ich cnoty po nim wymagają.

Już sobie nawet założył wplątać do téj powieści, i w tém miejscu właśnie umieścić rozprawę o świętości tego prawa, i wyjaśnić oraz tę zasadę: że Woźny nigdy zbłądzić i niesłuszności popełnić nie może, coby z pewnością czytelnikowi prawemu nietylko wielką przyjemność sprawiło, ale i nadzwyczajną korzyść przynieść mogło, lecz szczupłość miejsca i krótkość czasu zmusza go na nieszczęście do odłożenia tego zamiaru do sposobności zręczniejszéj i pomyślniejszéj; ..... a gdy ta nadejdzie, autor wszelkich sił swoich dołoży, aby dowieść, że Woźny należycie wyposażony, — to jest: Woźny Gminy, przyłączony do domu roboczego Gminy, i do urzędowych osób parafialnego kościoła Gminy należący, — na mocy prawa i urzędowéj posady swojéj, wszystkie zalety, cnoty, przymioty i własności najzaszczytniejsze człowieka posiada; i że prosty Woźny lichéj Gminy na wsi, lub Woźny pojedynczego Sądu, lub téż nakoniec Woźny lichego kościołka filialnego,— ten przynajmniéj w bardzo nizkim stopniu, — do owych cnót, zalet, przymiotów najmniejszego prawa nie ma.

Pan Bumble jeszcze raz wszystkie łyżki troskliwie obliczył, jeszcze raz cukierniczkę i szczypczyki do cukru zważył, jeszcze raz troskliwiéj garnuszek na śmie-

tankę obejrzał, jeszcze raz całe uporządkowanie pokoju, krzesła, kanapę zbadał, dociekając nawet, czyli siedzenie jest z końskiéj sierci lub nie, i ten cały przegląd szczegółowy mało dziesięc razy powtórzył, nim się opamiętał, i na myśl mu przyszło, iż czas, aby pani Corney już powróciła.

Myśl myśl wyradza, a że ani słychać jeszcze było o powrocie pani Corney, pan Bumble sobie tedy pomyślał, żeby czas swój na poczekaniu strawiony w sposób bardzo niewinny i korzystny mógł przepędzić, gdyby ciekawość swoję zaspokoił, i do szybkiego przejrzenia i przetrząśnienia komody i szafki pani Corney się zabrał. —

Przytknąwszy ucho do dziurki od klucza, i zapewniwszy się dokładnie, iż się nikt do pokoju nie zbliża, poszukiwania swoje od dołu pan Bumble rozpoczął, to jest od trzech długich szuflad, zapełnionych rozmaitą odzieżą z ciężkich materyj, dobrze i starannie pomiędzy dwoma pokładami starych dzienników i suchych liści lawendowych przechowaną, która mu nadzwyczajną radość sprawiać się zdawała.

Przyszedłszy przy dalszém poszukiwaniu aż do wysuwki na prawéj stronie komody, ... w któréj kluczyk zwykle leżał, ... spostrzegł w niéj kufereczek na kłódeczkę zamknięty, który przy potrząśnięciu głos bardzo miły, niby dźwięk kruszcu wydawał; ...... poczém pan Bumble krokiem poważnym, uroczystym na dawne miejsce swoje przy kominku powrócił, i przybierając napowrót dawną swoję postawę, rzekł z największą powagą, głosem stanowczym do siebie:

— Doświadczę!!

Uczyniwszy to ważne i szczególne postanowienie, przez dziesięć minut jeszcze przynajmniéj głową w sposób wiele znaczący kiwał, jakby sobie samemu pewne wyrzuty robił, iż takim zabawnym jest człowiekiem, poczém z nadzwyczajném upodobaniem i radością swoim nogom i łytkom się przypatrywał.

Tém przyjemném i tak miłém dla niego zatrudnieniem jeszcze był zajęty, gdy pani Corney, wpadając nagle zadyszana, wylękniona, na krzesło przy kominku się rzuciła, i zakrywając oczy jedną ręką, drugą na sercu położyła i do tchu przyjść nie mogła.

— Pani Corney, ... droga pani Corney! — zawołał pan Bumble, nachylając się ku niéj; — cóż to ma znaczyć? .... co to jest .... czyli się co niemiłego, ... złego wydarzyło? Proszę mi powiedzieć; stoję .... jak .... jak.... —

W swéj niespokojności Bumble sobie niemógł natychmiast przypomnieć: ,,jak .... na *szpilkach*" ..... albo, ,,jak na *gorących węglach*," .... powiedział zatém: ,,jak... jak na....szkle....

— Ach panie Bumble! — zawołała niewiasta, — takem się okropnie wylękła, że do siebie przyjść nie mogę.

— Nie możesz przyjść do siebie, droga pani Corney? — wykrzyknął Woźny; — któż to się odważył tak okropnie cię przestraszyć? ..... Ja wiem, — dodał Bumble, z powagą wrodzoną się miarkując; — zapewnie ktoś z tych złośliwych ubogich!

— Ach, jeżeli tylko na to pomyślę, to mię strach zbiera, — mówiła daléj pani Corney, wzdrygnąwszy się cała. —

— A zatém co zażyj, droga pani Corney! — odpowiedział Bumble pieszczotliwie. — Może kropeleczkę wina,....co?

— Ach, za nic w świecie! — odparła pani Corney. — Nie, nie,..wina nie!.. jabym go połknąć niemogła!.. ach!....tam,....tam....na prawo,....w szafce,....ach! Godna niewiasta wskazała przytém w swojém wzburzeniu na szafkę, i zdawała się oraz wewnętrznym kurczom ulegać.

Pan Bumble przypadł natychmiast do szafki, zdjął z półki z miejsca wskazanego ciemnozieloną butelkę, nalał z niéj pełną filiżankę napoju w niéj zawartego, i przytknął ją do ust osłabionéj niewiasty.

— Teraz mi już trochę lepiéj!

Odpowiedziała pani Corney, odtrącając ją ręką, gdy połowę wypiła.

Pan Bumble oczy nabożnie wzniósł ku stropowi na znak podziękowania, opuścił je potém na filiżankę, którą zwolna do nosa zbliżył.

— Miętówka!

Wytłómaczyła mu pani Corney słabym głosem, uśmiechnąwszy się przytém ponętnie do Woźnego.

— Proszę pokosztować! jest tam w niéj jeszcze odrobinka czegoś innego.

Pan Bumble skosztował lekarstwo z pewną wątpliwością, mlasnął ustami, łyknął raz jeszcze, i wychylił filiżankę aż do kropli.

— Ach to wzmacnia! — rzekła pani Corney.

— To prawda,....i bardzo wzmacnia!....rzeczywiście droga pani Corney!

Odpowiedział Woźny, a mówiąc to, przysunął sobie

krzesło, usiadł tuż koło niéj, i zaczął siejéj czule dopytywać, co się takiego wydarzyło, że tak wylękniona przybiegła.

— Nic, nic, panie Bumble, — odpowiedziała pani Corney. — Ach ja jestem kobieta szalona, drażliwa i bardzo słabowita istota.

— Nie, nie słabowita, droga pani Corney! — odparł Bumble, i jeszcze bliżéj z krzesłem do niéj się przysunął. — A może jesteś w istocie słabą istotą, droga, luba pani Corney?

— Ach, my jesteśmy wszyscy słabemi istotami! Odpowiedziała pani Corney, zasłaniając się zasadą ogólną.

— To prawda! — potwierdził Woźny.

Przez kilka minut milczenie jak najgłębsze panowało, gdyż żadne z nich ani słówka nierzekło. Bumble wyjaśnił niejako to całe położenie, zdjąwszy lewą rękę z poręczy krzesła pani Corney, na któréj dotąd spoczywała, i opuściwszy ją do sznureczka u fartuszka pani Corney, z którym się powoli poplątała.

— My jesteśmy wszyscy słabemi istotami! Ozwał się nakoniec pan Bumble.

Pani Corney westchnęła.

— Ach pani Corney! dla czegóż tak wzdychasz? — zapytał Bumble.

— Kiedy się temu oprzeć niemogę! Odpowiedziała pani Corney i powtórnie westchnęła.

— Jest to pokoik bardzo ładny, wygodny, droga pani Corney! — mówił Bumble daléj, potoczywszy po nim okiem. — Jeszcze jeden taki pokój, a niczego by już nie brakowało.

— Toby za wiele było dla jednéj osoby, — szepnęła zacna niewiasta.

— Ale nie dla dwóch, — odpowiedział Bumble głosem najsłodszym. — Cóż pani Corney?

Pani Corney pochyliła głowę, gdy Bumble to wyrzekł, a Bumble również swoję pochylił, aby w twarz pani Corney zajrzeć.

Pani Corney odwróciła cokolwiek twarz swoję z nadzwyczajną skromnością i chciała po chustkę od nosa do kieszeni sięgnąć, lecz ta ręka z ręką Bumbla się zetknęła.

— Opał wolny, nieprawdaż droga Corney? — Zapytał Woźny, ściskając namiętnie jéj rękę.

— I światło także, — Odpowiedziała pani Corney, ściskając go leciuchno nawzajem.

— Opał, światło i mieszkanie wolne, — zawołał wtedy Bumble; — ach pani Corney, jakiż to anioł z ciebie!

Takiemu wybuchowi czułości biedna niewiasta żadną miarą oprzeć się niemogła.

Padła tedy w objęcie Woźnego, a Bumble, zapałem i rozkoszą swoją uniesiony, pierwszy ognisty pocałunek na nos jéj cny i skromny wycisnął.

— Taka piękność, taka doskonałość naszéj Gminy! — zawołał Bumble z uciechą. — Wszak ci wiadomo, że panu Slout téj nocy się pogorszyło?

— Wiem! — odpowiedziała pani Corney wstydliwie.

— Jak lekarze mówią, to zaledwie tydzień jeszcze pożyje, — mówił daléj Bumble. — On jest Zawiado-

wcą tego zakłada;....śmierć jego stanie się powodem, iż jedna posada wolną będzie; .. wypadnie ją zapełnić! .... Ach pani Corney, jakie widoki,... jakie piękne widoki!! Jaka sposobność pomyślna dla połączenia dwóch serc,....dwóch gospodarstw!

Pani Corney szlochała.

— Jedno tylko słówko! — zawołał wtedy Bumble, nachylając się ku téj piękności wstydliwéj, — jedno tylko małe,....malutkie,....maluteńkie słóweczko najsłodsza Corney!

— Do....do....dobr....brze! — wyzionęła cichutko zacna niewiasta.

— Jeszcze jedno! — mówił daléj Woźny; — jedno jeszcze niechaj te usteczka słodziutkie wyrzekną! .... Kiedyż ma nastąpić?....kiedy?....kiedy?

Pani Corney po dwa razy usta otworzyła, i po dwa razy słowa na ustach jéj skonały.

Nakoniec, zebrawszy całą swoję odwagę, objęła obiema rękami Woźnego za szyję, i rzekła: iż nastąpić może, kiedy tylko sam zechce, gdyż on jest człowiekiem, któremu się oprzeć niepodobna.

Uporządkowawszy raz całą tę sprawę na tak przyjacielski i zadawalniający sposób, zatwierdzono uroczyście zawartą ugodę i zaręczyny drugim kubkiem miętowki, która przy tém wzburzeniu umysłu niewiasty i jéj serca daleko potrzebniejszą jeszcze się stała.

Gdy się nakoniec z tém wszystkiém cokolwiek uspokojono, pani Corney uwiadomiła Woźnego o śmierci staréj dozorczyni domu roboczego.

— To dobrze, — odpowiedział Bumble, chlepnąwszy miętówki. — Jeszcze dzisiaj wracając do siebie

do pana Sowerberry wstąpię, i powiem mu, aby się na jutro koło niéj zakrzątnął. Cóż cię tak mocno przestraszyło, droga, droga Corney?

— Nic szczególnego, mój luby, — odpowiedziała niewiasta unikająco.

— Jednak musi w tém coś być koniecznie! — nacierał Bumble uporczywie; — dla czegóż tego twojemu Bumble nie chcesz powierzyć, najdroższa?

— Nie teraz jeszcze, nie teraz, — odparła pani Corney: — dopiero gdy się pobierzemy, to ci potém powiém, drogi Bumble.

— Gdy się pobierzemy? — zawołał Bumble. — Spodziewam się, że to niebyła przecież jaka śmiałość bezczelna ze strony którego z mieszkańców tego domu....?

— Nie, nie, drogie życie, nie! — wtrąciła niewiasta żywo.

— Gdybym o tém mógł pomyśleć, — mówił daléj Bumble, — gdybym wiedział, iż który z nich swoje gminne oczy do tego lubego oblicza podnieść się odważył....

— Oni by się tego niepoważyli, mój drogi, nie! — odpowiedziała niewiasta.

— Szczęście dla nich wielkie! — zawołał Bumble, grożąc pięścią. — Pokaż mi człowieka, czy to z naszéj Gminy, czy też z kąd inąd, który by się to uczynić ośmielił, to ja mu powiem takie słóweczko, że już tego po drugi raz z pewnością nie uczyni.

Te słowa spokojnie, bez wszelkiego żywszego, namiętniejszego ruchu wyrzeczone, nie uchodziłyby wcale za wielką grzeczność i pochwałę na wdzięk i urok pani

Corney; ale że Bumble tę groźbę wyrzekł z nadzwyczajném oburzeniem i złością w ruchu i głosie, pani Corney tym dowodem miłości i przywiązania jego mile tkniętą, rozczuloną została, i oświadczyła z niewypowiedzianém uniesieniem, że on jest w istocie prawdziwym gołąbkiem.

Gołąbek tedy zawinąwszy kołnierz od swéj urzędowéj sukni, zasadził na głowę swój trojgraniasty kapelusz, uściskał i ucałował raz jeszcze czule swoją przyszłą małżonkę, i odszedł, narażając się śmiało na wszelkie nieprzyjemności mroźnego wiatru nocnego; .....poprzód jednak na chwilkę jeszcze w izbie mężczyzn domu roboczego się zatrzymał, aby ich cokolwiek zgromić w celu przekonania się własnego, iż urząd zawiadowcy domu roboczego z potrzebną do tego surowością wypełnić podoła.

Pan Bumble rad zupełnie ze swoich zdolności, opuścił zakład z sercem lekkiém i dumnymi widokami przyszłéj swojéj wzniosłości, które go ciągle przez drogę zajmowały, dopokąd do zakładu Przedsiębiorcy pogrzebów nie doszedł.

Tutaj sklep jeszcze nie był zamknięty, lubo zwykła godzina dawno już minęła, a to z przyczyny, że pan i pani Sowerberry na wieczór na herbatę sobie wyszli, a Noa Claypole nigdy w sobie nieczuł nadzwyczajnéj skłonności do użycia większego sił swoich, jak tyle, ile do jedzenia i picia niezbędnie potrzeba było.

Pan Bumble uderzył kilka razy laską swoją o stolik; lecz gdy przez to żadnéj uwagi wzbudzić nie zdołał, a przez okienko małe w izdebce w tyle od zakładu się znajdującéj mdłe światło spostrzegł, postanowił

przeto się odważyć i zajrzeć, co się też tam dzieje takiego; a gdy to w istocie spostrzegł, *co* się tam działo, zadziwienie niemałe Woźnego ogarnęło.

Stół był do wieczerzy nakryty, a na nim znajdowało się masło, chleb, talerze, szklanki, dzbanek z piwem i butelka wina.

U wyższego końca stołu siedział Noa Claypole, wygodnie rozparty na krześle poręczowém, mając nogi przez jednę poręcz przewieszone, z nożem otwartym w jednéj, a kromką obficie masłem nasmarowanego chleba w drugiéj ręce; tuż koło niego stała Karolina, dobywając ostrzygi z małéj beczułeczki, które pan Noa Claypole z nadzwyczajną chciwością pochłaniać raczył.

Rumianość nieco większa jak zwykle w okolicy nosa tego młodego jegomości, i pewien obłęd, lśnienie niezwyczajne w prawém oku jego, jasnym było dowodem, iż w pewném stopniu był już pijanym; a co jeszcze bardziéj to przypuszczenie potwierdzało, to owa roskosz nieokreślona, z jaką te ostrzygi jedna za drugą pochłaniał, którą by jedynie własnością ich chłodzącą w każdym przypadku, jeżeli gorączka wewnętrzna dopieka, dostatecznie wyjaśnić można.

— Patrzaj Noa, jaka tłuściutka,....i smaczna! — rzekła Karolina; — jeszcze tę jednę tylko zjedz! tę jednę i ostatnią jeszcze!

— Taka ostrzyga, jest to jednak coś niesłychanie smacznego! — zauważył Noa, połknąwszy ją z lubością. — Jaka szkoda, że się człowiekowi niemiło zrobi, jeżeli pewną ilość zje tych źwierzątek, nieprawda Karolino?

— To jest prawdziwą srogością,...okrucieństwem! — odpowiedziała dziewczyna.

— Nieinaczéj, — potwierdził Noa Claypole. — A ty czy nie lubisz ostrzyg?

— Niebardzo! — odpowiedziała Karolina. — Ja się bardziéj lubię patrzeć na to, jak ty je połykasz drogi Noa; to mi jest milsze, jakbym je sama jadła.

— A to rzecz śmieszna! dalibóg! — zawołał Noa z namysłem.

— Oto jest jeszcze jedna, — rzekła Karolina. — Patrzaj no, jaką ładną, smaczną ma bródkę!

— Już więcéj jeść niemogę, — odpowiedział Noa. — Żałuję bardzo, ale już ani rusz więcéj! Karolino, chodź do mnie, niech cię pocałuję!

— Co! — zawołał Bumble, wpadając do izby. — Powiedz to jeszcze raz!

Karolina wrzasnęła, i twarz swoję fartuszkiem zakryła, a Noa, zmieniwszy o tyle tylko postawę swoję, że nogi z poręczy krzesła na ziemię zesunął, spoglądał na Woźnego z przerażeniem i osłupieniem pijanego.

— Powtórz to jeszcze raz, ty niegodziwy, bezczelny chłopcze! — zawołał Bumlbe. — Jak ty śmiesz przez usta nawet coś podobnego przepuścić, co? Jak ty śmiesz na takie rzeczy mu pozwalać, i do tego jeszcze go sama podbudzać, ty zdrożna dziewczyno! Całować ją!....całować! — wołał Bumble z niewysłowieném oburzeniem; — tego już za wiele!

— Jabym tego nigdy nierobił! — zawołał Noa becząc; — ale ona mię zawsze do tego namawia i sama całuje, czy ja chcę, czy niechcę.

— O Noa! — zawołała Karolina z gorzkim wyrzutem.

— Ona to zawsze robi, panie Bumble! — odparł Noa; — tak jest, ty zawsze to robisz!....ona mię głaszcze po brodzie, i pieści się ze mną na wszystkie sposoby.

— Milcz! — zawołał Bumble surowo. — Ruszaj natychmiast do kuchni, niegodziwa niewiasto! A ty Noa, zamknij natychmiast skład, i nie mruknij ani słówka, dopokąd twój pan do domu nie powróci; gdy zaś wróci, powiedz mu; że pan Bumble tutaj był i kazał mu powiedzieć, aby jutro rano przyszedł do zakładu i miarę wziął na trumnę dla zmarłéj kobiety staréj,.... czyś słyszał?.... Całować!

Zawołał Bumble, wznosząc ręce do góry.

— Zepsucie i występność niższych klass ludności téj Gminy okropnie górę wzięła; a jeźli parlament w to się niewda, i uwagi swojéj na to przerażające zgorszenie nie zwróci, to kraj zniszczeje, a ród włościan na wieki zaginie.

To mówiąc, Woźny opuścił skład pana Sowerberry z powagą i godnością uroczystą.

A teraz, kiedyśmy go tak daleko już odprowadzili, i wszelkie przygotowania do pogrzebu zmarłéj staruszki uczynić kazali, musimy się także za Oliwerem Twistem obejrzeć, i zapewnić, czyli pozostał w tym rowie, w którym go Tobijasz Crackit pozostawił.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.